

*Ostatni
z Gzwardaków
Tom II*



EX-LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ

I MIEJSKIEJ

BIBLIOTEKI

PUBLICZNEJ

IM. EMANUELA SMÓŁKI

W OPOLU

OSTATNI Z CZWARTAKÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ.

NAPISAŁ
GRABOWSKI.



TŁOMACZENIE Z NIEMIECKIEGO.

(PRZEDRUK WZBRONIONY).

TOM DRUGI.



KATOWICE G.-Ś.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI „GÓRNOŚLĄZAKA” SPÓŁKI WYDAWN. Z OGR. ODP.
1903.



830-3

1982
4456

ZBIORY ŚLĄSKIE

1981/11

ROZDZIAŁ DWUDZIESTYPIĄTY.

Henryka Postowojtówna.

Majątek wdowy po jenerale Postowojtow, zwany Turowice, leżał w pobliżu miasteczka Radzyna niedaleko prawego brzegu Wieprza, dziesięć mil na północ od gubernialnego miasta Lublina.

Nie był to majątek wielki, dochody jednak z niego w połączeniu z emeryturą, jaką generałowa pobierała z kasy państwowej, zapewniały jej utrzymanie stosunkowo bardzo ładne.

Kraj w owych stronach jest bagnisty i pokryty lasami. Okolice nie należą do najromantyczniejszych a tak zwany pałac nie zasługiwał na tę nazwę ani ogromem ani też stylem. Był to raczej wielki dom obywatelski, otoczony budynkami gospodarczymi i chatami wiejskimi, podobny do większej części dworów szlacheckich, prawie taki sam, jak w dobrach Bogusławskiego. Mieszkanie urządzone było jednak z komfortem. Wszystkie sprzęty i przedmioty świadczyły o wytwornym smaku artystycznym pani domu.

Generałowa spędzała na wsi życie spokojne i rzadko tylko wyjeżdżała do miast pobliskich. Córka jej odebrała wykształcenie od nauczycieli domowych. Henryka i Walerya Gurowska były prawie jedynymi jej towarzyszkami z wyjątkiem wakacyi, na które przyjeżdżał Ignacy.

Biedna Walerya dawno już straciła wszelką nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy swoją Teresę. Czas, najlepszy lekarz, złagodził w niej przykre wspomnienia. Teresę uważano za umarłą. Serce Waleryi wypełniało uczucie wdzięcznej przyjaźni dla swej dobrodziejki i jej córki, głównie zaś miłość matczyna. Syn jej Ignacy z roku na rok wyrastał na coraz to

piękniejszego młodzieńca. Pod względem charakteru i urody stawał się podobnym do ojca.

Gdy Ignacy skończył rok szesnasty, musiał pojechać do Petersburga na akademię wojskową. Pożegnanie z matką i z rodziną Postojtow, do której się szczerze przywiązał, było bardzo smutne. Młodzieniec pomimo szkodliwego wpływu szkoły moskiewskiej, zachował w duszy miłość ojczyzny i ze wstrętem tylko przysięgał wierność nieprzyjaciółom Polaków. Przez jakiś czas nawet snuł w głębi duszy najdziwniejsze plany, jakimby sposobem mógł wyrwać się gwałtem z pod przemocy wroga. Po bliższej rozwadze przyszedł jednak do przekonania, że z toru, na jaki go okoliczności wepchnęły, wykoleić się nie może. Matka, generałowa, a nawet Henryka, przenikając jego myśli i zamiary, błagały go, aby nie popełniał niedorzeczności i nie pogrążał wszystkich w nieszczęście.

Młody człowiek sam przyznać musiał, że plan uchylenia się od służby wojskowej nie miał widoków powodzenia. Gdyby mu się nawet rzeczywiście udało, uciec ze szkoły i przejść granicę austriacką lub pruską, byłyby go rządy ościenne na rekwiżycją władzy rosyjskiej z pewnością wydały. W takim razie straciłby rodzinę na zawsze, zwichnąłby sobie karierę i nędzny pędziłby żywot aż do śmierci. Gdyby mu się jednak ucieczka nie udała, co także było możliwą, posłanoby go na Kaukaz w żołdacy.

Matka nigdy nie rozstawała się z myślą, że syn jej Ignacy jest jedynym prawowitym spadkobiercą majątku niebożczki pani Dzierżwińskiej, która go do chrztu podawała, i że ten majątek można odzyskać. Na pomyślny rezultat zatargu z niecnym mnichem Bonawenturą liczyć było można tylko w takim razie, gdyby Ignacy doszedł do znaczniejszego stanowiska w armii rosyjskiej. Co się stało z majątkiem, który podług woli testatorki dopiero po upływie trzydziestu lat miał się dostać kościołowi w razie, gdyby spadkobierca po niego się nie zgłosił, ani generałowej, ani Waleryi, ani też jej synowi nie było wiadomem. Nie wiedziano, czy pieniędzmi jeszcze sąd zawiaduje, czy też odebrał je kościół katolicki lub prawosławny, do którego przeszedł ojciec Bonawentura. W rosyjskich stosunkach każde wywiadywanie się o podobne sprawy było bardzo niebezpieczne, jeżeli prawowity spadkobierca nie

zajmował wpływowego stanowiska, jeżeli nieprzyjaciele nie potrzebowali go się obawiać, a rząd popierać.

W państwie wojskowem zawód żołnierski najprędzej i najłatwiej prowadził do celu. Z tego też jedynie powodu generał przeznaczył Ignacego do służby w armii, panie zaś życzyły sobie, aby w niej pozostał.

Gdy Ignacy w roku 1847 po ciężkiej z sobą walce pojechał do szkoły podchorążych do Petersburga, Henryka była dzieckiem dwunastoletniem. Skłonności, jakie sobie nawzajem okazywali, nie można było nazwać inaczej, jak uczuciami rodzinnymi. Przez kilka lat następnych oboje wcale się nie widzieli.

Po ukończeniu nauk dostał się Ignacy do gwardyi, załogującej w stolicy. Wkrótce potem przesiedlono go na Kaukaz w stopniu porucznika, gdzie walczył przeciwko Czerkiesom. Była to jego pierwsza wyprawa wojenna. Rok 1848, który poruszył prawie cały świat cywilizowany, minął w owych dalekich górskich okolicach prawie bez echa. Ignacy dopiero o wiele później dowiedział się, co się w owym roku działo w świecie, jako też o tem, że Polacy w Poznańskim urządzili powstanie.

Roztropność nakazywała mu milczenie. W jego warunkach było szczęściem dla niego, że powstanie prędko upadło, gdyż inaczej nie byłby się powstrzymał i pobiegł rodakom na pomoc.

Zresztą młody człowiek w krótkim czasie wykształcił się na dzielnego oficera i nieraz złożył dowody odwagi i wojskowej ogłędności. Ruscy przełożeni szanowali go i chwalili, chociaż mu nie dowierzali dla tego, że był Polakiem.

Ignacy Gurowski nie był jedynym polskim oficerem i żołnierzem w pułku, w którym służył. Rzecz oczywista, że oficerowie Polacy żyli z sobą w ściślejszem kole, i że nie jedno słowo, które padło między nimi potajemnie, rozżarzyło w młodym człowieku święte uczucie miłości ojczyzny. Szkoła jednak, jaką przechodził, nauczyła go zawczasu ostrożności. Jeżeli rosyjscy przełożeni kiedykolwiek łudzili się ideą, że dwie na śmierć sobie wrogie narodowości mogą zlać się w jedną, Ignacy zewnętrznem postępowaniem swoim nie dawał im najmniejszego powodu do pozbycia się tych złudzeń. Stąd też wkrótce pozyskał zupełne ich zaufanie.

Katastrofa z roku 1848 przesunęła się obok caratu dosyć spokojnie. Ciężka ręka despoty stłumiła w zarodku każdy polot niezależnej myśli, każde drgnienie rewolucyi. Rosya w owym czasie jak najściślej oddzieliła się od reszty Europy.

W kilka lat później dostała się znowu w wir wypadków europejskich i odegrała wtedy główną, choć bardzo smutną rolę.

Pycha moskiewska i polityka cara Mikołaja, który wszelkimi siłami tak zwany testament Piotra Wielkiego chciał w czyn zamienić, wywołały wojnę wschodnią. Znowu zachwiał się niezmierny kolos na glinianych nogach, gdy mocarstwa zachodnie, Anglia i Francya, otwarcie przeszły na stronę zagrożonej Turcyi. Każdemu wiadomo, że dopiero w roku 1856 upokarzający dla Moskwy pokój zakończył tę straszną walkę.

Przypadkiem pułk, w którym służył Ignacy, należał do tej armii, która po pierwszych klęskach w Krymie bronić miała Sebastopola.

Młody człowiek był więc zmuszonym służyć sprawie, której w duszy życzył tylko klęski. Honor wojskowy jednak wymagał, aby stał wiernie przy chorągwi. Wytrwał więc na swoim stanowisku, jak na prawego i dzielnego rycerza przystoi. Obrona fortecy wymagała wielkiego poświęcenia. Ignacy tak się wtedy odznaczył, że krótko przed zawarciem pokoju awansował na kapitana.

Aż do tego czasu, do roku 1856 nie miał żadnej sposobności widzieć się z swoimi. Wtedy jednak pułk jego przeniesiono do kraju, na Wołyń. Ignacy, stojąc załogą w Żytomierzu, na żądanie otrzymał kilkutygodniowy urlop do gubernii lubelskiej.

Od czasu, gdy się ostatni raz widział z matką, z panią jenerałową i jej córką, minęło już lat dziewięć. Z powodu wielkiej odległości i zawieruchy wojennej nie można było częstych listów pisywać do siebie. Ignacy wiedział tylko, że jenerałowa, chyląc się coraz więcej ku starości, w ostatnich latach często chorowała i że Henryka, jako też jego matka były zdrowe. Panienska także czasami wysyłała do niego krótkie liściki. Było rzeczą zrozumiałą, że gdy dorosła, nie zdradzała się już tak otwarcie z swojemi uczuciami z lat dziecięcych. On zaś w przeciągu lat kilku tyle przeżył i tyle doświadczył twardych i zmiennych życia kolei, że wyjątkowe sto-

sunki, w jakich się obracał, wycisnęły na nim piętno męskiej powagi. Choć przed oczyma duszy często mu się przesunął obraz młodej przyjaciółki, nie żywił jednak dla niej innego poczucia, jak tylko przywiązanie braterskie.

Ignacy wyrósł na pięknego mężczyznę. Urodziwym był aż nadto, i z łatwością mógłby odnosić tryumfy nad płcią nadobną, choćby też czasem uznać się musiał za zwyciężonego, lecz ciągle życie wojacze powstrzymywało go od świata niewieściego. Pod tym więc względem, gdy wrócił do domu, miał serce równie spokojne, jak wówczas, gdy w świat daleki wyjeżdżał.

Dzień jego przyjazdu do Turowic był dla wszystkich mieszkańców pałacu i wioski wielkim świętem. Naprzód już napisał, kiedy przyjedzie. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością i z jaką tęsknotą matka wyglądała dawno niewidzianego syna. Także pani jenerałowa z córką doświadczyły niepokoju oczekiwania. Nawet starsi z służby, przypominając sobie pięknego i grzecznego ucznia szkoły wojskowej, cieszyli się, że zobaczą wspaniałego oficera.

Ignacy przyjechał w oznaczonym czasie. Najprzód rzucił się w ramiona matce, która takiego szczęścia i takiej radości nigdy się nie spodziewała. Ze łzami w oczach i kurczowem łkaniem obsypywała syna tysiącem zapytań, jak mu się przez długi czas rozłąki w życiu powodziło. Po przywitaniu się z matką zwrócił się Ignacy do jenerałowej i z uszanowaniem pocałowało ją w rękę. Wreszcie spojrzał na Henrykę, stojącą na uboczu i przypatrującą się dorodnemu przyjacielowi z lat dziecińczych.

W chwili szczęścia Ignacy zapomniał, że prawie dziewięć lat minęło od czasu, gdy po raz ostatni swoich najdroższych oglądał. Pod pierwszem wrażeniem najchętniej byłby się rzucił w objęcia swojej siostry przybranej. Henryka zapełniła zauważyła, może go się nawet obawiała i chciała mu przeszkodzić. Podając mu bowiem rękę, miała rumieniec na twarzy a oczy w ziemię utkwione.

Zaambarasowanie dziewczyny i nagła zmiana w jej postawie zastanowiły młodego oficera. I jemu twarz się zmieniła. Onieśmielony poprzestał na tem, że podaną sobie rękę serdecznie ucałował.

Henryka liczyła wtedy lat dwadzieścia jeden. Pięknością nie ołsniewała. Postać miała niską i szczupłą, a mimo to silną. Rysy twarzy nie odznaczały się nawet regularnością, a jednak spojrzenie jej wielkich, ciemnych oczu wyrażało powagę i stanowczość, dziwną w tak młodym wieku i pociągającą każdego niezwykłym urokiem. Te oczy świadczyły równie o silnej, męskiej prawie woli i o rozumie, jak o głębokiem uczuciu, skłonnośm do marzycielstwa. Nic więc nie tracąc na wdzięku niewieścim, panna Postowojtówna robiła wrażenie kobiety energicznej i poważnej.

Ubrana była skromnie, lecz gustownie. Czarne włosy puklami spływały jej po obydwuch stronach czoła. Oswoiwszy się znowu z dawnym przyjacielem, nie krępowała się w obejściu. Przy śmiałości i pewności siebie była ożywiona. Choć miała pogląd na świat poważny, z którym nie łatwo zdradzała się wobec drugich, była jednak zwykle wesołą, jak dziecko.

Ignacy marząc często z daleka o przyjaciółce z lat dziecińczych, wyobrażał ją sobie inną. Pod pewnym względem się zawiódł, gdyż w sennych widziadłach ukazywała mu się piękniejszą. Pod względem jednak duchowym przewyższała jego oczekiwania. Od wczesnej młodości mając pogląd na życie poważny, poznał w Henryce duszę sobie pokrewną i bliższą od wszystkich innych kobiet.

Pierwszego dnia tyle było do opowiadania, że nikomu na myśl nie przyszło, badać drugiego i wyciągać wnioski o charakterze. Tylko Henryka była małomówną. Przysłuchując się uważnie słowom przyjaciela, chciała go przeniknąć aż na dno duszy. W małym kółku rodzinnem Ignacy nie potrzebował się krępować. Nieraz wymknęło mu się słówko pełne znaczenia. Przy tych zwierzeniach nie zauważył, że twarz dziewczęcia coraz bardziej się rozjaśniała. Wieczorem przy pożegnaniu poczuł, że Henryka serdeczniej ścisnęła go za rękę. Mimowoli zdumiał i spojrzał na nią badawczo.

Henryka zrozumiała, o co wzrokiem się pytał, gdyż lekko się zarumieniała. Tym razem jednak bystrego oka nie utkwiała w ziemię, tylko śmiało na niego spojrzała i po chwili pewnym, choć tylko dla niego dosłyszalnym głosem powiedziała:

„Muszę ci otwarcie wyznać, Ignacy, że mundur, jaki nosisz, takim napęłnił mnie wstrętem, że nie byłam zdolną, prze-

mówić do Ciebie serdecznie. Przewyciężyłam się jednak i sądzę, że pod tą odzieżą nam wrogą bije w Tobie serce szczeropolskie.»

„Nie mylisz się, kochana Henryko«, odpowiedział młody człowiek, uradowany serdecznym tonem jej mowy. „Mam nadzieję, że często jeszcze będę miał sposobność przekonać Cię o tem.»

Od tej chwili dawny stosunek braterskiej poufałości między rówieśnikami odświeżył się na nowo. Henryka wkrótce się przekonała, że Ignacy zachował miłość do ojczyzny i wiernym pozostał zasadom, wyznawanym za młodu. On zaś poznał od razu, że melancholijna zaduma, nie schodząca jej z twarzy, była następstwem gorącego patryotyzmu, który wypełniał całą jej duszę i na niej wycisnął piętno męskiej powagi.

Ignacy wkrótce znowu pozyskał w całej pełni życzliwość pani jenerałowej. Utwierdziła go w tem mniemaniu kochająca matka, nie umiejąca przed synem na długo zachować tajemnicy. Dowiedział się także, że obie panie Gurowska i Postowojtówna niczego sobie goręcej nie życzyły, i o niczem więcej nie marzyły, jak o małżeństwie Ignacego z Henryką.

Taki plan łatwiej było ułożyć, jak przeprowadzić, gdyż do tego przedewszystkiem potrzebną była zgoda młodych. Czy w sercach ich równe powstało pragnienie, za wcześnie było odgadnąć.

Ignacy kochał Henrykę serdecznie, lecz po bratersku. Gdy mu matka wspomniała o swoich zamiarach, nie chciał ich krzyżować ze względu na obowiązki synowskie. Serce miał spokojne. Nie znał jeszcze rozkoszy, ani też tęsknoty, jaką daje miłość. Chcąc dać matce jakąś odpowiedź, z uśmiechem wzruszył ramionami i wywinał się twierdząc, że urzeczywistnienie tego zamiaru zależy głównie od Henryki, która, jak się zdaje, wcale nie myśli o nim.

Myśl o małżeństwie coraz częściej przychodziła mu do głowy. Nie można jednak powiedzieć, aby był zrozpaczonem, niekroć w postępowaniu panny nie dostrzegł ani śladu miłości.

Ignacy otrzymał urlop trzymiesięczny, a do Turowic przyjechał około połowy października. Obecność jego nowem życiem natchnęła całą rodzinę. Pani jenerałowa nie prowadziła, jak to mówią, domu otwartego. Szlachta okoliczna jednak od-

wiedziała ją ze względu na jej stanowisko społeczne. Miała więc koło dobrych znajomych, których towarzystwo mogło być bardzo przyjemne, gdyby tylko zdrowie pozwalało jej utrzymywać stosunki.

Dla rozrywki Ignacego i dla uprzyjemnienia mu pobytu na wsi odświeżono dawne znajomości i pospraszano sąsiadów. Oprócz tego robił Ignacy od czasu do czasu wycieczki w okolicę w towarzystwie Henryki, która doskonale jeździła konno. Przy tych spacerach było dosyć sposobności do bliższego poznania się z sobą.

Henryka miała tę wiarę niezłomną, że Polska pewnego dnia zrzuci z siebie pęta niewoli. Tej pewności nic w niej zachwiać nie zdołało. Pod tym jednym jedynym względem była fanatyczką. Pomimo przedstawień upierała się przy tem, że godzina wolności wybiję niedługo, i że w oswobodzeniu ojczyzny należy jej się wziąć udział. Ile razy o tem mówiła z Ignacym, zapalał szczery krasał jej lica. Była wtedy tak piękna, że nieraz brała oficera pokusa, zapytać się jej otwarcie, czyby nie chciała zgodzić się na życzenia swej matki. Panienska jednak za każdym razem tak wyłącznie przejętą była miłością ojczyzny, że inne uczucia do jej duszy nie miały przystępu.

Na kresach wschodnich naszej ojczyzny zima rozpoczyna się wcześniej i śniegi rychło spadają. Ignacy i Henryka w stopadzie już mieli sposobność użycia sanny, odwiedzając raz po raz bliskich sąsiadów.

Jenerałowa wskutek choroby zwykle zostawała w domu. Walerya zaś, dbając o jej wygodę i rozrywkę, nie chciała jej opuszczać. Obie panie tem chętniej młodych zostawiały same na sam, że spodziewały się i życzyły sobie, aby jak najprędzej związał się między nimi stosunek serdeczny. Sąsiedzi nie brali za złe Henryce ani Ignacemu, że sami we dwoje razem wyjeżdżali, ponieważ ogólnie uważano ich prawie za rodzeństwo. Zresztą niktby się nie dziwił, gdyby się młodzi pobrali. Zazdrośników i plotkarzy na szczęście wtedy w okolicy nie było.

Pewnego pięknego i pogodnego dnia zimowego postanowili oboje młodzi odwiedzić po południu znajomych, mieszkających dwie mile od Turowic. Służący, który im zwykle to

warzyszył zachorował i dla tego pozostał w domu. Chociaż w całej okolicy rozboje wcale się nie zdarzały i choć tego roku nikt jeszcze wilków nie widział, które zimą wychodząc z gór Karpackich i z głębi Rosyi, często całemi gromadami po kraju się uwijały, jednak od wszelkiego przypadku przy dalszych wycieczkach zwykle zabierał Ignacy z sobą flintę nabitą. Sam będąc ostrożnym, nie mało jednak się żdziwił, gdy wsiadając do sani spostrzegł, że także Henryka włożyła do torebki rewolwer o sześciu nabojach.

»Na co to?« zapytał się Ignacy obojętnie.

»Hm, może późno wracać będziemy do domu«, odpowiedziała śmiało, — »nie można wiedzieć, co zajdzie. Nieraz już w bliskości naszego dworu wilki napadły sanki chłopskie, a nawet pocztę.«

»Nic jednak na kilka mil wokoło nie wiadomo, aby choć jedna z tych bestyi się pokazała.«

»Zjawiają się one prędzej, nim ich się kto spodziewa. W każdym razie ostrożność nigdy nie zawadzi.«

»A miałabyś dosyć odwagi i wprawy, kochana Henryko, do władania tą bronią?« pytał się młody człowiek z uśmiechem.

Panna się trochę zadąsała, lecz wkrótce odpowiedziała:

»Przekonasz się o tem jutro, gdy w ogrodzie strzelać będziemy do tarczy. Nie po raz pierwszy mam pistolet w ręce, myślę nawet, że wcale nieźle strzelam.«

»A więc wprawiałaś się już w strzelaniu z pistoletu? — Powiedz mi jednak, dla czego to robiłaś?«

»W Polsce każda dziewczyna i każda kobieta powinna władać bronią«, odpowiedziała Henryka poważnie i z takim błyskiem ciemnych oczu, że się Ignacy przeraził.

Wskutek tego zwrotu rozmowa przyjęła kierunek bardzo poważny, gdy sanie, zaprzężone w dwa ogniste konie, razno posuwały się naprzód po gładkiej śnieżnej powierzchni. Nigdy jeszcze Henryka nie wyjawiała tak otwarcie i bez ogródki swojego patryotyzmu i gotowości służenia ojczyźnie, choćby z poświęceniem własnej osoby. Choć z jednej strony zdawało się młodemu człowiekowi, że patryotyzm panny sięga za daleko, przyznać jednak musiał, że miała hart woli i zasady, godne uwielbienia.

W toku rozmowy wprost go się zapytała, coby uczynić zamysłał, gdyby Polacy jeszcze raz powstałi przeciwko przemocy moskiewskiej.

Po tem pytaniu czoło Ignacego zachmurzyło się. Po krótkim jednak wahaniu odpowiedział:

Nie potrzebuję zapewne zaręczać, na którą stronę serce mnie ciągnie. Tymczasem jestem spętany okowami, a temi więzami jest przysięga, którą złożyłem carowi rosyjskiemu i chorągwi pułkowej.

»Wymuszona przysięga!« zawołało dziewczę gwałtownie. »Cóż znaczy taka przysięga!«

»Kochana Henryko«, odpowiedział młody oficer, — »prze-
stańmy mówić o tej kwestyi i odłóżmy nasze zamiary na przyszłość. Zaręczam Ci, że gdy pora nadejdzie, postąpię sobie tak, jak mi sumienie i poczucie honoru nakażą. Wiem jednak naprzód, że w każdym razie musiałbym stoczyć ciężką z sobą walkę.«

Henrykę widocznie ta odpowiedź nie zadowoliła. Oboje więc, zanim osiągnęli cel podróży, zamienili z sobą tylko kilka słów obojętnych.

Obustronna ich niechęć wkrótce ustąpiła, gdy zajechali do sąsiadów, którzy ich powitali z serdeczną gościnnością. Gdy znowu wracali do domu, późno już było wieczorem. Chciano im dać na drogę służącego do pomocy, lecz oboje stanowczo odmówili, tłumacząc się, że na tak małej odległości nieszczęśliwego wypadku obawiać się nie potrzeba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTYSZÓSTY.

Wilki.

Zaraz za dworem, w którym Ignacy i Henryka byli w gościnie, zaczynał się las gęsty, leżący po obydwóch stronach mało uczęszczanej drogi, prowadzącej do Turowic i kończący się dopiero pół mili od majątku pani jenerałowej. Między lasem a pałacem Turowickim, leżała wielka równina, po której wila się droga, tu i owdzie tylko drzewkami oznaczona. W ciemnej nocy nie trudno było zbłądzić ludziom dobrze nawet znającym okolicę. Noc jednak, w której Ignacy i Henryka wracali do domu, była wskutek śniegu i blasku księżyca tak jasną, że podobnego wypadku obawiać się nie było potrzeba. Mróz był na dworze siarczysty. W lesie raz po raz rozlegał się trzask gałęzi uginających się pod ciężarem zamarzłej okiści. Zresztą panowała dokoła cisza głucha, aż niemiła.

Obojga podróżnym mróz nie bardzo doskwierał, gdyż byli odziani w ciepłe futerka, a wielkie skóry niedźwiedzie, rozłożone na całych sankach, rozgrzewały im nogi. Ignacy trzymał cugle w ręce, a dzielne i dobrze wyćwiczone konie były posłuszne kierującej ręce, omijając w całym pędzie każdą przeszkodę, jaka się czasami na drodze stawiała.

Nie wiadomo, czy w dalszym ciągu nieporozumienia przed wizytą, czy też wskutek znużenia po ożywionej rozmowie w towarzystwie, — oboje młodzi ludzie wracając, nie zamienili z sobą prawie ani słowa. Ignacy zajęty był tylko koni i drogą, Henryka zaś oparła się o poduszki i zamknęła oczy.

Dojechali szczęśliwie do połowy lasu, gdy Ignacy zauważył, że konie poczęły się niepokoić, strzygąc uszami i czasem parszcząc nozdrzami. Nadto przyspieszyły biegu i tak parły naprzód, że trudno było utrzymać je na wodzy. Młody

oficer, znając dokładnie bystry instynkt zwierzęcy, był także niespokojny i uważnie oglądał się na wszystkie strony. Ponieważ jednak nic nadzwyczajnego nie zauważył, był pewnym, że konie płoszą się tylko wskutek trzasku łamiących się gałęzi, i uważał za zbyteczną, zwrócić na to uwagę swojej towarzyszki, która widocznie drzemała.

Nagle jednak rozległy się w pobliskiej gęstwinie dziwnie płaczliwe, a zarazem groźne głosy, poczem konie tak gwałtownie i w tak nieregularnych susach rzuciły się naprzód, że woźnicy o mało cugle nie wypadły z ręki, podczas gdy lekkie saneczki zaczęły zamiatać na wszystkie strony.

Ignacemu dobrze były znane te głosy. Nie dziw więc, że się przeląkł. Zanim jednak zdążył wymówić słowo, Henryka już się podniosła i głosem nieco drżącym powiedziała:

»To są wilki, — baczność.«

Rzeczywiście płaczliwe, ostre wycie zbliżało się coraz bardziej. Kto je raz słyszał, mógł łatwo się dorozumieć, że nie wychodziło z paszczy jednej, tylko więcej bestyi, które głód w czasie ostrej zimy zmusza do wypraw dalekich i napadów szalonych.

W owej okolicy wcale nie jest rzadkością, że wilki, szczególnie porą nocną, napadają na samotnie jadące sanki, rozszarpując w kawały konie i ludzi. Głodem trapiione zwierzęta nie dają się odstraszyć nawet strzałami, a ponieważ ciągną zwykle wielkimi gromadami, walka z nimi jest zawsze niebezpieczną i niepewną.

Ignacy i Henryka znali dosyć podobnych przykładów z opowiadania, nawet takich, jakie się wydarzyły w najbliższym sąsiedztwie. Jasno więc zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie im groziło. Dziewczyna jednak okazywała tyle odwagi i zimnej krwi, jak jej towarzysz.

»Będiesz miała dosyć siły utrzymać lejce, gdy wezmę flintę do ręki?« pytał się z powątpiewaniem, gdyż konie tak już były spłoszone, że woźnicy zaczęły wypowiadać posłuszeństwo.

Szarpały się na prawo i na lewo i w dzikim popłochu rzucały się naprzód a sanki zawadzały o wyboje i każdej chwili mogły się przewrócić. Trzeba było silnej ręki, żeby rozpędzone konie utrzymać na wodzy.

Henryka wiedziała o tem i nie przeceniała sił swoich. odpowiedziała więc, że pewnie koni nie utrzyma, dodała zaraz jednak, że dosyć będzie miała mocy strzelać do wilków, gdyby rzeczywiście miały napaść na sanki.

Przez kilka sekund pędzili przez las na złamanie karku. Straszliwe wycie rozległo się kilka razy coraz to słabszem echem i już się zdawało, że daleko pozostały po za saniami. Przez ten czas Ignacy nie mógł się obejrzeć, gdyż całą uwagę skupić musiał na konie, Henryka zaś uzbroiła się w rewolwer, który szczęśliwem przeczuciem wiedzona z sobą zabrała.

»Nie bój się, żeby mi ręka zadrżała, lub zebym strzeliła na próżno, jeżeli tego będzie potrzeba«, powiedziała z wymuszonym uśmiechem do niego, chcąc go uspokoić, poczem obejmując się szybko wstecz, zaraz dodała:

»Wilki lecą za nami. a choćby się konie nie wiedzieć jak wyteęzały, dogonią nas za kilka minut. Trzymaj się tylko kolei, bo gdyby się sanki przewróciły, jesteśmy bez ratunku zgubieni.«

Tak też było rzeczywiście. Ignacy musiał wszystkie siły wyteęzać, chcąc w pędzie zatrzymać rozbiegane konie. Ile razy wilki chrapliwie zawyły, doganiając sanie, konie rzucały się w bok i byłyby z pewnością, pozostawione same sobie, wpadły w gęstwinę, gdzieby równie jak sanie marnie zginęły. Z strachu pokryły się całe białą pianą a szeroko rozwartemi nozdrzami parskając, buchały kłębami pary, która w szalonym pędzie całunem kładła się ponad saniami. Z odwiedzionym rewolwerem w rękę Henryka na pozór spokojnie wyczekiwała, co się stanie. Odwróciła się na siedzeniu tak dalece, że napastników wciąż miała na oku, powiadając od czasu do czasu Ignacemu, o ile się zbliżają.

Zimna krew dziewczęcia dodała młodemu człowiekowi nieco otuchy. Gdyby miał przy sobie towarzyszkę mniej męzną i o słabych nerwach, nie miałby innego wyboru, jak tylko konie pozostawić własnemu instynktowi i wziąć flintę do ręki, co bardzo smutnie mogło się zakończyć.

Było tak dalece jasno, że dokładnie można było odróżnić ciemne postacie wilków, które wyciągniętem ciałem pędziły za sankami i tylko o jakie sto kroków pozostawały za nimi. Było ich wiele, najmniej trzydziści, a może czterdzieści bez

względu na to, że może więcej ich jeszcze goni w leśnej gęstwinie po bokach drogi. Cała gromada trzymała się razem. Tylko co najgłodniejsze, lub najodważniejsze zwierzęta wybiegały naprzód i parskaly ostremi nozdrzami, nie zatrzymując się w biegu. Te same wydawały potem, krótkie, urwane i chrapliwe głosy, jakby na zachętę do przyspieszenia biegu. Cała sfera odpowiadała na to przeraźliwym wyciem.

Sanie przebyły drogę z powrotem przez las, licząc od tej chwili, w której się konie zaczęły niepokoić, w prawie o połowę krótszym czasie, jak w tamtą stronę. Podług obliczenia Ignacego potrzeba było jeszcze około dziesięciu minut, aby wyjechać z lasu na równinę. Wtedy dopiero można się było spodziewać, że wilki zawrócą, gdyby ich głód i drapieżność nie gnały za łupem. Na całej przestrzeni od lasu do pałacu jenerałowej nie było ani jednej chaty, zkadby się można pomocy spodziewać, lub gdzieby można było znaleźć schronienie. Wszystko więc zależało od tego, czy konie i sanki wytrwają i czy jaki strzał nie padnie daremnie.

Jakiś wielki, stary wilk karpaka pędził tuż za saniami. Henryka widziała wielkie iskrzące się ślepie łupieżcy i czuła prawie jego oddech gorący. Wilk zziąjany, pędząc naprzód na oślep, był tylko pięć do sześciu kroków za saniami. Gdyby się był zasadził i zwinnym rzutem skoczył naprzód, byłby wpadł do sanek na podróżnych.

Henryka poznała, że czas działania nadszedł.

»Teraz wypalę«, szepnęła do towarzysza. — »Trzymaj cugle w garści, bo konie się spłoszą.«

Po chwili strzał błysnął i huknął. Ignacy nie mógł się całkiem odwrócić, tylko z ukosa spojrział na Henrykę. Gdyby była spudłowała i w cel nie trafiła, czas był największy porzucić lejce a chwycić za flintę.

Lecz Henryka nie zadrżała. Zimny spokój bijący jej z twarzy, dziwny wyraz oczu, które utkwiała w niebezpiecznego napastnika, pewność ręki przy celowaniu i pociągnięciu kurka, wprawiły Ignacego w zdumienie. Tyle zimnej krwi w chwili największego niebezpieczeństwa, on, żołnierz doświadczony, nawet u mężczyzn nie często spotykał.

Tuż po strzale, który, jak Henryka słusznie przewidziała, konie jeszcze bardziej spłoszył, rozległ się groźny i zarazem

bolesny ryk drapieżcy, który kulą ugodzony między skrzące się ślepie, runął na miejscu. Cała gromada krwi chciwa zawałała się. Za chwilę sanie pozostawiły napastników daleko po za sobą. Podróżni słyszeli tylko dalekie echo płaczliwego wycia.

»Dzielnie się spisałaś, kochana Henryko!« powiedział Ignacy, a serce biło mu gwałtownie. »Zdaje się, że wilki sobie pójdą.«

»Nie oddawaj się złudnej nadziei«, odpowiedziało dziewczę jak najspokojniej. »Chociaż sama nigdy jeszcze nie byłam w podobnem położeniu, jak dziś, słyszałam jednak od starych i doświadczonych ludzi z naszej okolicy, że wilki strzału się nie boją i że zatrzymują się tylko na chwilę, aby potem z tem większą wściekłością biedz naprzód.«

Dziewczyna prawdę mówiła, lecz wilki inaczej się rozmyśliły i postanowiły innego użyć fortelu, byle tylko nie opuścić pożądanego żeru. Jak zmówione, zgodnie podzieliły się na dwie gromady, z których każda pędziła w zaroślach po przeciwnej stronie drogi, czychając na sposobność, aby koniom zająć z przodu. Choć rumaki rwały się w szalonym galopie, wilki jednak biegły o wiele jeszcze prędzej. Ich ślepie jarzące, podobne w pełnym biegu do pasków ognistych, świeciły się raz obok, to znowu tuż przed saniami.

Dziwnym sposobem nie odważyły się wypaść z lasu na drogę, jak gdyby po nauce, jaką odebrał stary herszt rozbójnik, obawiały się wymierzonego pistoletu Henryki.

Las rzednął coraz bardziej. Pomiędzy drzewami widniało szczere pole. Po kilku minutach rzeczywiście sanki z boru wypadły.

Z zapartym oddechem Ignacy i Henryka spoglądali na ciemny kraj lasu, gdzie wilki się zatrzymały. Niepewne, czy mają biedz dalej, chórem straszliwie zawyły.

»Jesteśmy uratowani!« westchnął młody człowiek z głębi piersi.

Zanim jednak Henryka zdążyła odpowiedzieć, już się oboje przekonali, jak złudną była nadzieja. W wielkich susach wypadły wilki z lasu. W potem polu, gdzie żadna zapora drogi im nie tamowała, zapędili się w tem straszniejszy. Jakby

na komendę otaczały sanie wielkiem półkolem, które się coraz bardziej ścieśniało.

»Pocóż teraz jeszcze końmi kierować? Zostawmy je własnemu instynktowi!« zawołał Ignacy stanowczo, cugle przywiązał do sanek i chwycił za flintę.

W tej chwili jakaś bestya ogromna zrobiła skok olbrzymi na konie. Zanim ich jednak dopadła, Ignacy wypalił, a wilczyso krwią własną zbroszone, wiło się po śniegu.

Stojąc na saniach na wszystkie strony miotanych, Ignacy flintę nabijał. Pośpiech był konieczny, gdyż wilki śmiercią współbrata wcale się nie przstraszyły, przeciwnie, cała gromada przystąpiła do walnego ataku na konie i na sanie. Jedna z bestyj skoczyła koniowi do szyi. W tej samej jednak chwili ugodzona kulą oficera, upadła wznak nieżywa. Równocześnie podniosła się Henryka na saniach i wystrzeliła z rewolweru raz za razem, a dwa wilczyso martwe padły na ziemię.

Z chrapliwem wyciem wilki zaczęły się cofać. Tymczasem konie, widząc niebezpieczeństwo, stanęły, wspinały się i tak dziko były kopytami, że byłyby uprzęż zerwały. Zanim Ignacy zdążył pochwycić lejce, zerwały się z kopyta w chwili, gdy wilki nieco się cofnęły, i na nowo pędziły z saniami w szalonym galopie przez pola, zbaczając z drogi.

»Zdaje mi się, że jesteśmy straceni«, powiedział głucho, Ignacy.

Henryka nic nie odpowiedziała. Z pewnością była tego samego zdania.

Z powodu prędkości, z jaką to wszystko się działo i z powodu łatwo zrozumiałego rozdrażnienia, oboje nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Nawet ciemny kraj lasu znikł już im z oczu. Jak okiem sięgnąć, nic innego widać nie było, jak niezmierną przestrzeń białą, a raczej szarawą, której zarys zlewał się w jedną całość z równie szarem niebem. Na instynkt koni nie było można się spuszczać, inaczej bowiem byłyby pobięły prostą drogą do stajni, a nie skręciły na pole. Jeden z koni, zaczepiony przez wilczyso, widocznie był ciężko rannym, gdyż w chwilę dyszał coraz ciężiej i robił bokami. Henryka też zauważyła i zwróciła na to uwagę swojego towarzysza, że poza saniami na śniegu pozostają ciemne, zapewne krwawe ślady.

Wilki pokazały się znowu w niedalekiej odległości.

Tymczasem Ignacy znowu cugle pochwycił. Zaledwie jednak wziął je do ręki, zerwały się z nich jedne wskutek gwałtownego rzucania się zranionego konia. Tak więc o kierowaniu saniami ani myśleć nie było można.

Jak się miała skończyć ta szalona jazda? Gdyby lekkie saneczki wywróciły się na nierównym polu — takie niebezpieczeństwo groziło każdej chwili — stałyby się pastwą krwi żarłocznych zwierząt. Któżby mógł liczyć na pomoc ludzką w takiej pustyni i w nocnej porze?

W takich myślach pogrążony, silił się Ignacy na wyszukanie sposobów ratunku.

Wtem przemówiła Henryka i zapytała go się spokojnym głosem:

»Czy nie dobrze było, że zabrałam z sobą rewolwer?«

»A cóż on ma nam pomódz?«

»Są w nim jeszcze trzy strzały. Pierwszy z nich dostać się może wilkowi, który nas napadnie, drugie zaś pozostaną dla nas, gdy już nie będzie najmniejszej nadziei ratunku.«

Przed oczami uciekających zamajaczył nagle na równinie jakiś przedmiot, do którego konie prosto się skierowały. Bieg obu rumaków od minuty już stawał się coraz wolniejszym, gdyż niezraniony ciągnął za sobą z wielkim wysiłkiem drugiego, który co chwilę groził upadkiem. Wilki zwolniły biegu i trzymały się w należytej odległości, jak gdyby zrozumiały, że ofiara ujęć im już nie może.

Co za przedmiot ukazywał się w dali, rozpoznać jeszcze nie było można, chociaż co sekundę stawał się większym i wyraźniejszym. Był to wielki krzak samotny, lub też jaka chata opuszczona. Ignacy pytająco wskazywał na niego ręką.

»Nie wiem zupełnie, gdzie się znajdujemy«, odpowiedziała Henryka, wzruszając ramionami.

»To dom, tam będą ludzie, którzy nam pomogą!« zawołał zaraz potem Ignacy z radością.

Rzeczywiście stała przed nimi mała i nędzna lepianka.

Gdyby się nasi zbiegowie mogli jej bliżej przypatrzeć, byłiby się przekonali, że była opuszczoną i zapadłą rudera. Okiennic nie było wcale, w małych otworach ściany nie było nawet okien a drzwi zwieszały się na zepsutych zawiasach. Tego

wszystkiego jednak Ignacy i Henryka nie zauważyli, tem mniej, że konie, wiedzione instynktem, w tem miejscu także szukały ratunku i z taką siłą wpadły na chatę, że dyszel przebił słabą ścianę z gliny, rozsypując ją w gruzy, oba zaś konie wskutek odbicia upadły na kolana. Koń ranny więcej się już nie ruszył i zdechł na miejscu, drugi zaś tarzał się po ziemi, siląc się napróżno stargać krępującą go uprząż.

Ignacy jednym susem wyskoczył z sanek i wysadził prędko Henrykę, w drugiej ręce mocno trzymając flintę. Równocześnie głośno wołał o pomoc, myśląc, że znajdzie tam ludzi. Oczywiście odpowiedzi nie było. Oboje więc przekonali się natychmiast, że chata stała opuszczoną i że dać im nie może dostatecznego schronienia.

Niespodziewana przeszkoda wprawiła wilki w zdumienie. W odległości pięćdziesięciu kroków utworzyły półkole przed chatą, jak gdyby się chciały przekonać, czy ich żer ominie.

»Niech się z końmi dzieje, co chce!« zawołał Ignacy, ciągnąc za sobą swoją towarzyszkę do chaty. — »Będziemy tu mogli bronić się jeszcze przez chwilę, gdyby te bestye same nie odeszły. Może też kto usłyszy wystrzały i przybiegnie nam z pomocą.«

Henryka jednak wymknęła się Ignacemu i pobiegła do koni, leżących na ziemi. Choć koń jeszcze żywy rzucał się wściekle i bił kopytami, szybko i pewną ręką poprzężyła rzemienie, nie okazując najmniejszej obawy. Zaledwie zwierzę poczuło, że jest wolnem, zerwało się z ziemi, przez chwilę przyglądało się wilkom, parskając nozdrzami, a potem cwałem pobiegło przez pola.

»Może wilki pogonią za koniem«, powiedziała Henryka do Ignacego, który jej przybiegł z pomocą, skoro zrozumiał, co zamyślała. — »Zdaje mi się, żeby to był jedyny nasz ratunek.«

Rzeczywiście większa część gromady poleciała za koniem, druga zaś wpadła na sanie, z których Henryka i Ignacy ledwie ujęć zdołali, chroniąc się do chaty.

W domu, a raczej w nędznej lepiance była jedna tylko izba. Podłoga była z gliny, równie jak ściany. Przez dziury w słomianej strzesze księżyc ciekawie zaglądał, a między czterema ścianami, w których szczeliny wygodnie wchodziła ręka, nie było nic zgoła, ani nawet komina.

Gdyby się było wilkom przyśniło, lepiankę oblegać i szturmować wspólnemi siłami, nie byłoby żadnej nadziei oporu, oczywiście dawała lepszą zasłonę, jak szczere pole.

Gdyby się w tem pustkowiu znalazł choć jaki taki przedmiot, mogący służyć do zaparcia drzwi i okien. Niestety, nic tam nie było, oprócz czterech ścian gołusieńkich.

Ignacy miał przy sobie jeszcze pięć, czy sześć naboí do flinty, a w rewolwerze Henryki tkwiły jeszcze trzy kule, — takie były środki obrony przeciwko gromadzie wilków, których każdy strzał więcej rozgoryczał i drażnił, jak przestraszał.

W pierwszej chwili dzikie zwierzęta nie troszczyły się o ludzi, których ściagały, tylko rzuciły się z wścieklą żarłocznością na padłego konia. Ukryci w lepiance wyraźnie słyszeli chrupanie druzgotanych kości i wyraźnie widzieli, jak konia darto w kawały. Przy tej czynności okrutne wilczyśka rzucały się na siebie z zazdrości i wyły tak przeraźliwie, że nawet serce najodważniejsze musiało by zadrzeć.

Trzeba przyznać Henryce, że w rozpaczliwym położeniu zachowała więcej zimnej krwi i spokoju od Ignacego.

»Broń drzwi i okien po prawej stronie!« wołała na niego, — »ja dopilnuję drugiej połowy. Z każdym nabojem obchodź się oszczędnie, gdyż przed brzaskiem dnia ludzkiej pomocy spodziewać się nie możemy.«

Młody człowiek olśniony potęgą jej ducha, posłusznie przyjmował rozkazy.

Od tej chwili oboje długo nie przemówili ani słowa do siebie, tylko z bijącym sercem przypatrywali się wstrętnym scenom, jakie się w ich oczach rozgrywały, i śledzili każdy ruch rozwścieklonych bestyj.

»Jeżeli się nie mylę«, powiedziała Henryka po dłuższym namyśle, — »jesteśmy obecnie w zapadłej chacie, okóło ćwierć mili od Turowic. Być jednak może, że się mylę, gdyż nie mam pojęcia o kierunku, w którym konie przez pola pędziły.«

Dzikie wilczyśka pożarły już swoją ofiarę, lub też poczuły apetyt na nową, będąc pewne, że im nie ujdzie. Większa z nich część odeszła od zdechłego konia, zaczęła się czaić pod chatą i przez szczeliny parskać nozdrzami.

Chociaż Ignacy i Henryka przy tej sposobności nieraz mogli dać ognia, nie zaczęli walczyć, chcąc przed brzaskiem

dnia zachować naboje, po części zaś w nadziei, że wilki ich nie napadną w tej nędznej lepiance.

Była godzina druga po północy. Pół godziny już siedzieli w chacie ukryci.

Stali oboje na stanowisku z zapartym w piersi oddechem. W ciemnym zmroku, panującym między czterema ścianami, za ledwie rozeznac zdołali jedno drugie. Nagle przeraził ich lekki szmer ponad głowami. Spojrzeli do góry. Henryka wydała krzyk zgrozy. Obawy, trapiące ją dotąd, już się spełniły. Jeden z napastników zwinnie skoczył na strzechę, tylko kilka stóp ponad ziemię wzniesioną i wetknął łeb z świecącymi ślepiami przez dziurę, jakby chciał się przekonać, czy mu kto drogę zagrodzi.

Gdyby wilczysko skoczyło na ziemię, a drugie wpadły za niem, oboje młodzi ludzie niechybnie byłiby zgubieni.

»Wypal do niego, Ignacy!« zawołała dziewczyna w najwyższym rozdrażnieniu.

Rozległ się huk strzału a izba napełniła się dymem, tak że w pierwszej chwili naocznie o skutku przekonać się nie było można. Słyszano tylko, jak z łoskotem wilk runął na ziemię, i równocześnie żalosne wycie gromady na dworze. Wycie wilków powtarzało się zawsze, ile razy jeden z nich padał.

Co obleganym nadal czynić wypadało, zależało od taktyki, jakiejby się wilki chwyciły, gdy im się pierwsza nie udała. Ignacy i Henryka z natężeniem śledzili znowu przez okna i szczeliny w ścianach, co się działo na dworze.

Wtem jasny płomień nagle oświecił ciemności. Ignacy i Henryka odwrócili się zdumieni. Jasny promyczek nadziei przez chwilę im zabłysnął, że może pomoc nadchodzi, lecz oboje oniemieli z przyrażenia, widząc, co się dzieje.

Cienkie krokwie, podpierające strzechę i słoma na dachu, pokrytym cienką tylko warstwą śniegu, stały w płomieniach które się z gwałtowną szybkością coraz dalej rozszerzały. Pożar powstał zapewne wskutek papieru w naboju, który się zatlił przy ostatnim strzale. Nieszczęsny wypadek pozbawił obłożonych ostatecznego schronienia.

Wilczyska na widok wybuchających z domku płomieni,

z wyciem rozpiezchły się na wszystkie strony. Wiadomo, że większa część zwierząt dzikich boi się ognia. Wilkom jednak wcale nie przyszło do głowy, porzucać łup, na który tak długo ostrzyły sobie zęby, tylko zamierzały wykonać oblężenie z większej odległości.

Ignacy i Henryka o gaszeniu pożaru myśleć nie mogli, gdyż dym palącej się i na pół mokrej słomy zapierał im oddech w piersiach. Cienkie krokwie i tłące się snopy słomy spadały już do wnętrza chaty. Nie ulegało więc najmniejszej wątpliwości, że w kilka minut lepianka spali się do szczętu. Pozostać w niej nie było można ani na chwilę.

Bez poprzedniego porozumienia się oboje wypadli na dwór. Dokąd mieli się udać?

»Przewróćmy sanie i schrońmy się za niemi!« zawołało dziewczę, nie tracąc jeszcze przytomności umysłu. — »A jednak«, dodało natychmiast, — »będzie to prawie rzeczą niemożliwą.«

Rzeczywiście stały sanie tak blisko domku, że musiały się zapalić. Trudnem było zadaniem ruszyć je z miejsca, bo były ciężkie i przywiązane do padłego konia. Mimo to oboje młodzi, nie tracąc odwagi, zabrali się do pracy, mało rokującej powodzenia. Wtem postać rzeczy nagle się zmieniła.

Na szarych krańcach śniegiem pokrytej ziemi zabłysły nagle dwa lub trzy światelka, które się szybko zbliżały. Równocześnie w tym samym kierunku rozległ się huk kilku strzałów.

»Jesteśmy wybawieni!« zawołała Henryka z radością. »Zapewne koń, który uciekł, szczęśliwie dostał się do Turowic i ztąd też przychodzi nam pomoc! Paląca się chata będzie drogowskazem dla naszych wybawców!«

Dziewczę prawdę odgadło. Na białej powierzchni śniegu zamigotały cienie kilku jeźdźców pędzących naprzód i strzelających w powietrze, aby wilki odpędzić. Przed końmi umykała w dzikim popłochu ta część gromady, która w pościgu za koniem zapędziła się aż blisko do dworu. Reszta wilków połączyła się także z uciekającymi, a cała sfora krwiożercza bez zaspokojenia swej chuci zniknęła w ciemnościach, chroniąc się do lasu.

Za chwilę zjawił się rządcza jenerałowej w otoczeniu

ośmiu, czy dziesięciu parobków, z kilku ogromnemi psami, które przez jakiś czas puściły się w pogoń za wilkami, i radośnie powitał państwa. Gdy koń instynktem szczęśliwie wiedziony przyleciał do stajni, trafnie domyślono się nieszczęścia od razu i pospieszono na pomoc, szczególnie że krótko przedtem doszły posłuchy o napadach wilków. Tymczasem generałowa i Walerya spały spokojnie i nie miały pojęcia o niebezpieczeństwie, w jakim się ich pociechy znalazły.

Ignacy i Henryka nie ochłonawszy jeszcze z rozdrażnienia, uścisnęli sobie ręce w milczeniu. Oko młodzieńca z wyrazem najwyższego podziwu spoczęło na bohaterskiej dziewczynie, której moc charakteru dopiero teraz w pełnym zajaśniała blasku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTYSIODMY.

Aresztowanie.

Ignacy i Henryka wracając do domu, postanowili nie budzić swoich matek, tylko nazajutrz dopiero opowiedzieć im swoją przygodę z zachowaniem wszelkich względów ostrożności. Młody człowiek wyraził wprawdzie swoją obawę, że rozdrażnienie później jeszcze zaszkodzi towarzyszce, Henryka jednak odparła mu z uśmiechem, może nieco wymuszonym, że czuje się spokojną i nawet zadowoloną z niebezpieczeństwa, o którym całemi latami będzie mogła opowiadać z dumą.

Rzeczywiście nazajutrz zjawiła się przy wspólnem śniadaniu swobodna i wesoła, i wtedy dopiero generałowa i Walerya dowiedziały się, co się w nocy działo. Obie kobiety po chwilowem przerażeniu uspokoiły się prędko, widząc naocznie, że ich pociechom nic złego się nie stało. O stracie konia prędko zapomniano a rozmowa toczyła się tylko o konieczności urządzenia razem z sąsiadami wielkiego polowania na wilki w celu uniknięcia dalszych strat, wyrządzonych przez niebezpiecznych gości.

Naganka na wilki, do której zwołano wielu ludzi, odbyła się rzeczywiście w dniach następnych i skończyła się zagładą, lub też wypędzeniem tych dzikich drapieżców. Ignacy brał w niej udział, Henryka zaś odmówiła zaproszenia na prośby swej matki.

Oczywiście stała się panna bohaterką, podziwianą w całem okolicy. Gdyby była próżną, mogłaby święcić tryumfy, wskutek zasłużonych pochwał, któremi ją ze wszystkich stron obсыrywano.

Wspólne niebezpieczeństwo, z jakiego oboje młodzi ludzie wyszli zwyciężko, zdolne było zbliżyć ich do siebie. Obu

matkom zdawało się nawet, że dzieci sprzyjają sobie więcej, jak dawniej i życzyły sobie gorąco, aby ich pociechy złączyły się węzłem nierozzerwalnym na całe życie, zanim Ignacy po ukończeniu się urlopu zmuszonym będzie opuścić Turowice, nie wiedzieć, na jak długo.

Na życzenie jenerałowej Walerya miała wysondować serce swego syna i nakłonić go do tego, aby otwarcie starał się o rękę Henryki.

Tym razem okazało się, że młody człowiek łatwiej dał się pozyskać do takich planów, bądź to z powodu, że spodziewał się wzajemności Henryki, bądź też że pragnął pewności, zanim wyjedzie. Przyrzekł więc matce, że skorzysta z pierwszej sposobności i rozmówi się z panną, ponieważ sam chciałby posieść skarb, jaki znalazł w charakterze Henryki. W poufałym, prawie rodzinnym stosunku obojga młodych ludzi, taka sposobność nadarzała się łatwo. Pewnego więc razu bez uniesienia, lecz z gorącym uczuciem młody oficer rozpoczął rozmowę z panną o planach ich matek.

Nie wiedzieć, czy oświadczenie się Ignacego było dla Henryki niespodzianką, rozmowa ich jednak inaczej się zakończyła, jak się tego ogólnie spodziewano.

Wysłuchawszy Ignacego spokojnie aż do końca, z widocznym wzruszeniem i ze łzami w oczach, podała mu rękę, patrząc na niego czule i serdecznie. Opowiedziała mu jednak, że pomimo szczerych i prawdziwych uczuć przyjaźni i braterstwa nie może się zgodzić na jego żądania, ponieważ już przed laty związała się świętym ślubem tajemnie, że wcale za mąż nie wyjdzie, w każdym razie nie prędzej, za nim ojczyzna nie będzie wolną.

»O tem mocnem i niezmiennem postanowieniu nie mówiłam jeszcze nikomu«, dodała, odzyskawszy wkrótce równowagę, »gdyż wiem z pewnością, że ci, co mnie kochają, nie zgadzają się na nie, inni zaś ganią je nawet, uważając za przesadę. Tobie tylko, bratu mojemu, otwieram całe serce, abyś nie myślał, że nie przyjmując Twojej ręki, chciałabym Cię obrazić. Serce moje już nie jest wolne, chociaż go nigdy nie oddałam żadnemu mężczyźnie. Mogłeś się niedawno o tem przekonać, że to serce nie jest łagodnem, niewieściem. Dziwnym sposobem obdarzył mnie Pan Bóg charakterem męzkim

z którego jestem dumną i którego pozbyć się nie myślę. Nie śmiej się zemnie, kochany Ignacy, jeżeli Ci powiadam, że czuję w sobie powołanie do poświęcenia się za ojczyznę. Gdy ten dzień nadejdzie, muszę być wolną i nieskrępowaną. To powołanie czułam już od dziecka. Może nie uszło Twojej uwagi, że wtedy już z zamiłowaniem oddawałam się zajęciom i zabawom, które wszyscy uważali dla mnie za niewłaściwe. Nie był to kaprys kobiecy, choć mnie dobra matka nieraz za to ganiła. Dzieckiem jeszcze będąc, miałam już cel wytknięty przed sobą i przygotowywałam się na przyszłość i na stanowisko, które, co daj Panie Boże, chciałabym prędzej czy później zająć dla dobra ojczyzny. Czemż córki Polski nie miałyby mieć tych samych obowiązków, jak jej synowie? Naszych jest garść tylko i taką pozostanie wobec przemożnej potęgi ciemiężców. Dla tego musimy stać wszyscy ramię przy ramieniu, komu sił starczy.«

W coraz to większe wpadając uniesienie, mówiło dziewczę dalej:

»Czyliż historya prawie wszystkich ludów nie daje nam przykładów bohaterskich niewiast, niosących naprzód sztandar wolności? Czyż nie kobiety właśnie zapalały mężczyzn do nieśmiertelnych czynów i do ofiar bez granic? I czyż Polska nasza nie obfitowała zawsze w takie wyjątkowe charaktery kobiece? — Któżby śmiał je potępiać za ich mężki hart duszy? — Chcąc do tego celu wielkiego i wspaniałego dążyć wszelkimi siłami od Pana Boga mi danemi, z drugiej zaś strony nie chcąc mu się sprzeniewierzyć wskutek uczuć kobiecych, złożyłam ów ślub wielki i dochowam go święcie. Zanim nie spełnię obowiązku i zanim ojczyzna wolną nie będzie, nie mogę należeć do żadnego męża i nie mogę mieć dzieci, gdyż nie mogłabym serca oddać im całkowicie, nie chcąc być zdrajczyną względem własnej ojczyzny. Czy kiedy jeszcze, gdy cel życia spełnię, mogłabym marzyć o szczęściu, przeznaczonem prawie każdej kobiecie, rozsądzać dziś jeszcze nie mogę. Obecnie jednak, kochany Ignacy, zgrzeszyłabym podwójnie, gdybym Twojemu i matki mojej życzeniu uczyniła zadość. Dla tego proszę Cię, zapomnij o mnie i nie dręcz serca próżnem pożądaniem. Jeżeli mnie kochasz, poświęć się dla mnie i powiesz naszym matkom, że nie znalazłeś u mnie tej głębi uczucia, która

«przyszłem pożyciu małżeńskiem dla Ciebie jedynym jest szczęścia warunkiem».

»Zresztą«, dodała, siląc się na uśmiech przyjazny i swobodny i ściskając mu rękę serdecznie, »bądź mi tak dobrym bratem, jak ja Tobie siostrą. Bądź też przekonany, że Twoja przyszła i wierna towarzyszka życia zawsze liczyć może na moją przyjaźń szczerą i życzliwą.«

Trudno opisać, co się po tej odpowiedzi działo w sercu Ignacego. Oczywiście, że odmowa nie mogła go zadowolić. Choć sam sobie musiał powiedzieć, że posiadanie Henryki nie było jedynym warunkiem jego szczęścia, jednak skutek życzeń matki i jenerałowej tak był pewnym siebie i tak sobie życie pięknie wyobrażał, że zawód był mu bardzo bolesnym. Poglądy Henryki wydawały mu się trochę przesadne. Znał jednak charakter dziewczyny i nie łudził się wcale, że ją od nich odwiedzie. Zresztą więcej był obrażonym, jak się do tego przyznawał, choć panna wyjawiała mu wszystkie tajemnice serca.

A jednak po kilku godzinach zimnej rozwagi nie czuł do niej żadnego żalu i matce, a przez nią jenerałowej dał taką odpowiedź, jak sobie Henryka życzyła.

Obie panie taki rezultat ich pragnień bardzo zasmucił. Jenerałowa jeszcze raz potajemnie rozmawiała z córką i starała się odwieść ją od powziętego zamiaru. Henryka jednak oświadczyła stanowczo, że ani myśli wyjść za mąż za Ignacego, lub za kogo innego, będąc przekonaną, że byłaby dla pierwszego równie złą żoną, jak była i będzie zawsze dobrą siostrą. Tymczasem więc wszystkie marzenia jenerałowej i Waleryi o tem małżeństwie musiały się rozwiać. Nie mówiono nawet o tej sprawie, dopóki Ignacy pozostawał w domu.

Razem z rokiem starym kończył się też urlop. Gdy oficer wracał do garnizonu, pożegnanie było dla wszystkich bardzo smutne.

Życie żołnierza nie przedstawia wiele przyjemnych rozmaiłości. Pozostawmy więc oficera własnemu losowi i zobaczmy, co się w najbliższym czasie działo w Turowicach.

Przed przyjazdem Ignacego dom jenerałowej, jak już powiedziano, pędził życie bardzo spokojne. Henryka rzadko tylko uczuwała potrzebę odwiedzania sąsiadów, lub też przyjmowania

gości. Dopiero w czasie pobytu młodego człowieka odświeżono dawne stosunki towarzyskie.

Z biegiem czasu młode dziewczę obdarzone od urodzenia żywym temperamentem, w towarzystwach znajdowało znowu wiele przyjemności. Ponieważ w tym właśnie czasie stan zdrowia jenerałowej znacznie się polepszył, a nawet zupełnie poprawił, udało się Henryce z łatwością matkę nakłonić, aby znowu prowadziła dom więcej otwarty.

Jakimże sposobem mogła jenerałowa na prośbę ukochanej córki się nie zgodzić? Henryka spędziła młodość na ogół cicho i smutnie. Obecnie była w rozkwicie wieku. Któżby się więc dziwił, że wzięła ją ochota do życia? Matka przynajmniej serdecznie się z tego cieszyła, szczególnie od czasu, gdy widoki małżeństwa Henryki z Ignacym spełzły na niczem. Czemużby dziewczyna nie miała znaleźć innej dobrej partyi? Któż zresztą matka uwierzy dwudziestoletniej córce, jeżeli powiada, że z pewnością nie chce wyjść za mąż! —

Nad Turowicami zajaśniało więc nagle zupełnie nowe słońce. W całym dworze tylko jedna jedyna Walerya w skrytości duszy nie zupełnie była z tej zmiany zadowolona. Nie mogąc tak samo myśleć, jak jenerałowa, brała za złe Henryce, że od razu nabrała ochoty do życia i to krótko potem, gdy odmówiła ręki Ignacemu. Walerya często łamała sobie głowę, jakim sposobem się stało, że młodzi ludzie, tak bardzo i tak dawno z sobą zaprzyjaźnieni, nie pobraли się. Z pewnością byłaby miała wielki żal do Henryki, którą zawsze kochała, jak własną córkę, gdyby dziewczyna nie okazywała jej niezmiernego i serdecznego przywiązania. Prawdą też było, że Henryka zawsze jeszcze z wielką przyjaźnią dla Ignacego się odzywała. Oboje często bardzo pisywali do siebie.

Przyjmowano więc gości i wyjeżdżano w sąsiedztwo. Córka jenerała zaprzyjaźniła się z innemi pannami, z którymi się dawniej mało tylko знаła. Nawet z młodzieżą bawiła się w towarzystwie wesoło i swobodnie.

W domu jenerałowej przebywały tylko same rodziny polskie. Nikogo to dziwić nie było powinno, ponieważ była urodzoną Polką. Rodziny rosyjskich urzędników w pobliskim mieście opowiadały jednak, że jenerałowa ze względu na sta-

nowisko niebożczyka męża powinna także o innych pamiętać, lecz Henryka i jej matka na to nie zważały.

Łatwo sobie wyobrazić, że wojna krymska, która państwu cara zadała cios tak gwałtowny, nie przeszła w Polsce bez śladu. Któżby Polakom mógł wziąć za złe, że wszystkie swoje nadzieje pokładali w możliwym pogromie Moskwy? — Emigracja przez ten czas nie pozostawała bezczynną i zawiązywała znowu stosunki z mocarstwami zachodnimi. Wielu z młodzieży pospieszyło w służbę Turcyi w stopniu oficerów i szeregowców. Na żołdzie Anglii utworzył się również polski legion, który jednak z powodu szybkiego zawarcia pokoju wcale nie był czynnym.

Pokój ten nadzieje Polaków znacznie ostudził, lecz ich nie zniweczył. Wszyscy widzieli, jak ogromny kolos moskiewski się zachwiał, Polakom zaś okazywano zewsząd wiele sympatii.

Polacy wciąż jeszcze spoglądali z utęsknieniem na Anglię i Francję. Któż mógł wiedzieć, co zawsze zamknięty w sobie cesarz Napoleon III myślał o Polakach? Gdy Włochy powstały, uznał znowu prawo uciśnionych narodowości do rozporządzania sobą i posłał swoje armie przeciwko Austrii, a więc mocarstwu, które znaczne części dawnego państwa polskiego również miało w swoim posiadaniu. — Tak więc druga połowa dziewiętnastego wieku zaczęła się bardzo burzliwie i spowodowała w Europie tak ogromne zmiany w ustrojach państwowych, że dziwić się nie można, jeżeli Polacy w nadziei powetowania krzywd wyrządzonych ojczyźnie, znowu głowę podnieśli.

Arystokracja spodziewała się pomocy od mocarstw zachodnich, demokracja zaś opierała się na rewolucyi. Polacy walczyli dzielnie pod Garibaldim, który za to powinien był się poczuwać do wdzięczności.

Wreszcie nowy car Aleksander zapowiadał dla całego państwa, szczególnie dla Polski, postępowe reformy, i nie było powodu do powątpiewania w szczerłość tych obietnic. Rzeczywiście straszny ucisk, jaki kraj cały cierpiał za rządów jego poprzednika, nieco złagodził.

Polacy w obrębie Królestwa mniej byli skrupowani,

dawniej, mogąc łatwiej łączyć się z sobą i okazywać swój patriotyzm na zewnątrz.

Większą swobodę widać było w całym kraju, a choć wielu jeszcze nie dowierzało ani Moskalom, ani mocarstwom zachodnim, ani też demokracji, jednak nadzieje i żądania objawiano coraz to wyraźniej i stanowczej.

Sprawy więc ogólne, jak cały kraj, tak też i towarzystwo jenerałowej głównie zajmowały. Nie potrzeba zapewne dodawać, z jakim zapalem Henryka właśnie brała w nich udział.

Jenerałowej i Waleryi udało się wreszcie rozwiązać zagadkę, dla czego Henryka tak nagle się zmieniła. Nie szukała więc towarzystw dla czczych i szumnych zabaw, tylko w celu poważnym, dla wymiany myśli i uczuć w kołach owianych gorącym patriotyzmem, gdzie mogła marzyć o wolności ojczyzny, do której jednak było jeszcze daleko.

Teraz Walerya zrozumiała Henrykę od razu i dla Ignacego zaczęła znowu snuć plany na przyszłość, jenerałowa jednak obawiała się następstw tak stanowczych, czasami nawet nierozważnych wystąpień swej córki i nieraz ją z tego powodu przestrzegała i upominała.

Któżby jednak zdołał powstrzymać zapaloną dziewczynę, teraz dopiero będącą w swoim żywiole, od tego, co uważała za najświętsze swoje prawo i swój obowiązek?

Zresztą nie była jedyną w swoim towarzystwie i nie sama tylko czasami rzucała nierozważne słówka. Cała młodzież równie była zapaloną, jak ona i nie mogła doczekać się chwili dotrzymania obietnic, którym nawet nie ufano.

Nie wiadomo na pewne, jakie zamiary miał car Aleksander względem Polaków. W każdym razie natrafił na opór przemóżnej partyi w państwie. Konserwatyści słuchać nie chcieli o ulgach dla Polaków i podejrzewali ich na każdym kroku, przepowiadając, że nigdy się Polacy nie zadowolą ustępstwami dobrowolnie im nadanymi, tylko wciąż dążyć będą do zupełnego oderwania się od monarchii.

Tymczasem Polacy się znecierpliwili, gdyż zapowiadanych reform długo nie zaprowadzano.

Od wstąpienia na tron cara Aleksandra znowu lata minęły.

Pod koniec roku 1861 w zaborze rosyjskim panował wielki niepokój. Dwa stronnictwa zwalczały się nawzajem, jedno

narodowe, drugie zaś reformy, na czele którego stanął hrabia Wielopolski, markiz Gonzaga-Myszkowski. Pierwsze z wymienionych stronnictw dążyło do zupełnej niezawisłości Polski, drugie zaś chciało się zadowolić postępowymi reformami cara.

Nie można zarzucać hrabiemu Wielopolskiemu, że nie był patriotą, chociaż z powodu umiarkowanych zapatrywań politycznych przez przeważną część ziomków nie był lubianym. Na emigracji był zwolennikiem stronnictwa szlacheckiego Czarotorskiego a w czasie rewolucji z roku 1830 z ramienia rządu narodowego posłował w Londynie. Skazany później na wygnanie, wycofał się z życia publicznego i wrócił do kraju dopiero po wstąpieniu na tron cara Aleksandra. Wkrótce potem stanął w Petersburgu na czele stronnictwa reformy i nie zupełnie bez skutku starał się o ustępstwa dla Polaków. Car powierzył mu tekę ministra sprawiedliwości i oświaty w Warszawie, gdzie wtedy już panował wielki niepokój.

W stolicy polskiej stronnictwo narodowe, licząc szczególnie na patriotyzm młodzieży, urządzało od czasu do czasu rozmaite demonstracje przeciwko rządowi. Rozrzucano po mieście pisma ulotne narodowej treści, pokazywano się znowu publicznie w barwach narodowych i śpiewano po kościołach hymny błagalne o wolność ojczyzny, zakazane przez Moskali. Gdy policja, lub zarekwirowane wojsko podobnym demonstracjom chciały przeszkodzić, natrafiały na opór, lub też narażały się na szyderstwo i pośmiewisko. Z tego powodu nastąpiły liczne aresztowania, szczególnie wśród duchowieństwa, któremu zarzucano, że podburzało lud z kazalnicy, i pozamykało wiele kościołów. Gdy rozgoryczenie przeciwko rządowi i hrabiemu Wielopolskiemu coraz więcej wzrastało, ogłoszono stan wojenny.

Ze przy tych wszystkich niepokojach ujawiała się zawsze znana moskiewska brutalność, każdy przyznać musi, choćby stosownie do swojego zapatrywania się z stanowiska partyjnego, rozmaicie osądzał ówczesne wypadki. Najlepszym tego dowodem jest wyrok sądu wojennego, ogłoszony 15-go lutego roku następnego, podług którego skarano stuczerdziestutrzech aresztowanych, z tych pewnego właściciela drukarni na dzieiesięć lat zesłanie i ciężkie roboty, pięćdziesięciu osiem młodych ludzi i studentów w żołdacy do Orenburga za obra-

policy i wojska, więcej jak dwudziestu księży za śpiewanie zakazanych hymnów na stałe osiedlenie się w Syberii, więcej jak pięćdziesiąt osób na kilkoletnie więzienie forteczne i t. d.

Gdy się to działo w Warszawie, zachodziły podobne rzeczy także w innych miejscowościach Królestwa, chociaż nie wywoływały równie wielkiego wrażenia. Nawet odległe od świata Turowice z swoimi mieszkańcami, żyjącymi długi czas w spokoju, doczekały się wypadków niezwykłych i smutnych.

Od dłuższego już czasu śmiała, lecz niebaczną występowanie Henryki pod względem narodowym wzbudziło wśród Moskali, mieszkających w pobliżu, niechęć i nienawiść do dziewczyny tem większą, że była córką carskiego generała. Henryka nigdy się z tem nie tała, że była prawdziwą Polką i starannie unikała towarzystwa Moskali, pragnących ją wciągnąć do swojego koła. Przez szpiegów, których nigdy nie brak, wypośredkowano, że ona właśnie była duszą całego ruchu w okolicy, przynajmniej wśród szlacheckiej młodzieży płci obojga. Obwiniano ją o to, że pod pozorem miłosiernych uczynków odwiedzała chaty wieśniacze w Turowicach i że ludziom postępowymi i rewolucyjnymi ideami zawracała głowy. Posądzano ją także o to, że utrzymywała korespondencyę z niezadowolonymi w Warszawie, Lublinie i innych miejscowościach. W domu generałowej, choć po za jej plecami i pod pozorem zebrani towarzyskich miały się odbywać formalne narady, dotyczące się powstania. Młode dziewczęta miały się zajmować za namową Henryki przygotowaniem opatrunków dla szpitali, które się miały potworzyć za pierwszym wezwaniem do walki. Takie i tym podobne nieprzyjemne dla rządu i niebezpieczne dla państwa sprawy zarzucano Henryce.

Było w tem nieco prawdy, lecz najwięcej przesady. Henryka zawsze uważała za swój obowiązek, pomagać włościanom radą i czynem. Nieraz im opowiadała z zapalem o wspólnej ojczyźnie Polsce, lecz do nieposłuszeństwa względem władz nikogo nie namawiała. Korespondowała także z kilku przyjaciółkami i znajomymi, którzy się przenieśli do Warszawy lub Lublina o tamtejszych stosunkach. W gronie swoich zaufanych mówiła także często o możliwości i prawdopodobieństwie zbrojnego powstania. Zobowiązała również swoje przyjaciółki, że w danym razie zaopatrzą szpitale w przedmioty, wykonane

własną ręką. Nie miała jednak sposobności i nie czuła w sobie powołania do głoszenia rewolucyi.

Najbliższy ksiądz katolicki był wzorowym kapłanem i dobrym Polakiem, gorącym patriotą, należącym do stronnictwa narodowego, i przekonany zwolennikiem papieżstwa, z którym Kościół prawosławny oddawna walczył już w kraju środkami najsurowszemi. Henryka była jego penitentką, również jak jej matka i Walerya. Ksiądz, będąc człowiekiem starszym i doświadczoneym, wkrótce poznał żywy i nieugięty charakter dziewczyny. On też głównie przyczynił się do tego rozbudzenia w niej entuzjazmu, który pomimo wspaniałomyślności łatwo stać się mógł niebezpiecznym.

Wypadki warszawskie, szczególnie aresztowania na wielką skalę i zamykanie kościołów wywołały w całym kraju wielkie wzburzenie i dały w wielu miejscowościach powód do urządzania demonstracji żałobnych, w których przedewszystkiem duchowieństwo brało udział.

Podobnie jak inni księża, także wyżej wspomniany już proboszcz najbliższego kościoła parafialnego odprawił żałobną mszę świętą, na którą okoliczna szlachta tłumnie się zjechała, zanim policya zdołała temu przeszkodzić. Damy przyjechały do kościoła w żałobie, lub też ubrane w barwy narodowe, przysłonięte krepą. Podczas mszy świętej odśpiewano wspaniały i wzruszający hymn »Boże, coś Polskę«, który podejrzany o tendencje rewolucyjne, surowo był zakazany.

Przy tej demonstracji szczególnie Henryka brała udział, zajmując się nią z całego serca, choć jej to matka odradzała. Skutki tego czynu wkrótce miały się okazać.

W dwa dni po żałobnym obrzędzie kościelnym panie z Turowic siedziały razem po południu w saloniku same, ponieważ właśnie nikt z gości nie zawitał.

Wszystkie trzy panie były bardzo przygnębione. Powodem tego nie był jedynie pochmurny i niemiły dzień zimowy dążący do kresu i szarym zinrokiem napełniający wygodnie urządzonego salonik. Przyczyną smutku nie był także list Ignacego właśnie odebrany, który po przeczytaniu trzymała w ręce matka. Był to raczej smutek, który czasami jak cień pada na duszę bez powodu i pomimo woli, będąc złowrogim zwiastunem najbliższej przyszłości.

Ignacy wprowadzić nie pisał nic wesołego. Od czasu, jak ostatni raz opuścił Turowice, minęło już pięć lat długich, a swoich serdecznych zobaczyć nie mógł, gdyż w rosyjskiej armii niższy oficer nie łatwo urlop dostanie. Nadto kapitan z swoimi przełożonymi, którzy przez ten czas kilkakrotnie się zmieniali, nie był w tak dobrych stosunkach, jak dawniej. Obecnie dano mu rozkaz wcale nie pojętny odstawienia rekrutów w głąb Rosyi. Wypełniając go tracił nadzieję, że przed upływem kilku miesięcy wróci do ojczyzny. Nie dano mu nawet czasu, aby mógł poprosić o krótki choćby urlop do Turowic i zobaczyć się z matką i najdroższymi osobami.

Waleryi po przeczytaniu listu ły, błyszczące jak perły, zajaśniały w oczach. Jenerałowa także była zafrasowana, choć z innej przyczyny. Będąc szczerą przyjaciółką Waleryi i jej syna, zajmowała się zawsze losami obojga. Tym razem jednak nie mniej ją dręczył smutek z powodu niepomyślnej wiadomości od Ignacego, jak źle tylko tajona obawa, że udział Henryki w owej uroczystości żałobnej stać się może przyczyną nieszczęścia.

Henryka wreszcie zapomniała już prawie o demonstracji w kościele. W tej chwili właśnie pograżyła się w myślach, czy przez odmowę ręki nie wyrządziła przyjacielowi z lat dziecięcych niezasłużonej krzywdy.

Takie były powody, dla których trzy razem z sobą siedzące panie już od kilku minut nie zamieniły ani słowa, tylko każda z nich posępnym oddawała się myślom.

Po długim milczeniu, zapukano lekko do drzwi a po odezwaniu się jenerałowej weszła do pokoju dosyć młoda jeszcze pokojówka.

Służąca była blada i widocznie wystraszona. Zdawało się, że słów znaleźć nie umie.

»Co się stało, Józefo?« zapytała się jenerałowa z obawą.

»Wielmożna pani, jakiś pan, który co dopiero przyjechał, chciałby z panią mówić, — ale —

»No, ale? — Czy to ktoś z naszych znajomych?«

»Nie, — ach Boże, stało się nieszczęście, wielmożna pani! — wcale o tem nie wątpię.«

»Poproś go,« rozkazała jenerałowa głosem stanowczym, lecz nieco drżącym.

Zaledwie pokojówka drzwi otworzyła, ukazał się w nich wysoki i okazały mężczyzna w eleganckim ubraniu cywilnem. Rysy jego twarzy wyrażały wojskową stanowczość, połączoną z inkwizycyjną surowością. Wszystkie trzy panie ani na chwilę nie mogły wątpić, że przybysz był wyższym rosyjskim urzędnikiem policyjnym. Takie odwiedziny nic dobrego wróżyć nie mogły, szczególnie w czasach tak niespokojnych. Ztąd pochodził przestrah pokojówki. Niemniej wszystkie panie, zobaczywszy niespodziewanego gościa, zbladły z przerażenia.

Przybysz zauważył wrażenie, jakie wizyta jego sprawiła. Na ustach jego zaś grał przelotny i tryumfujący uśmiech. Gość natychmiast jednak spoważniał i uklonił się grzecznie, lecz zimno.

»Zapewne mam zaszczyt mówić z samą panią generałową?« zapytał się zwrócony do zbladłej i widocznie drżącej matrony.

Generałowa nie była zdolną wymówić ani słowa, tylko potakująco skłoniła głowę. Walerya również była przerażoną. Sama tylko Henryka nie straciła zwykłej przytomności umysłu i utkwiała oczy w obcego, jak gdyby go się chciała zapytać o nazwisko i życzenie. Równocześnie jednak ukloniła mu się lekko i wytwornie.

»Jestem carskim inspektorem policyi«, przedstawił się gość, nieproszony z wymuszenie grzecznym uśmiechem.

»Nie myli się pan, rzeczywiście jestto moja matka«, odpowiedziała Henryka, której wymieniony charakter urzędowy wcale nie imponował, — »a to pani Gurowska, długoletnia przyjaciółka i towarzyska nasza.«

Po tych słowach wskazując ręką na krzesło, prosiła gościa, aby zajął miejsce.

Inspektor policyi widocznie przyzwyczajony do tego, że podanie swego tytułu wprawiało wszystkich w obawę, spojrzał na Henrykę nieco zdziwiony, uklonił się raz jeszcze i usiadł.

»Może mam zaszczyt mówić z panną Henryką Postowojtówną —« powiedział nieco zaambarasowany.

»Tak jest, jestem nią — jedyną córką mojej matki.«

»Mam bardzo przykre polecenie do spełnienia«, mówił urzędnik dalej z wahaniem, patrząc z ukosa na generałową, — »które szczególnie pani dotyczy, panno Postowojtówno.«

Trzeba przyznać, że urzędnik zachowywał się bardzo względnie. Henryka nie miała już żadnych wątpliwości, co spowodowało jego odwiedziny. Zdecydowała się szybko, wstała z krzesła, podeszła do matki, która z przerażenia oniemiała, uściśnęła ją i szepnęła jej do ucha:

»Uspokój się, matko. Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Zapewne będą tylko przesłuchy z powodu żałobnego nabożeństwa.«

»Jestem do usług pańskich«, powiedziała potem stanowczo i z dumą do urzędnika. — »Może pan zechce towarzyszyć mi do drugiego pokoju.«

Inspektorowi policyi taka propozycja widocznie była na rękę, gdyż wstał natychmiast i poszedł za Henryką, która odchodząc jeszcze raz na matkę i Waleryę skinęła z uśmiechem.

Ten uśmiech, pewny siebie, zginął jednak prędko, gdy pozostała z urzędnikiem sama. Bardzo poważnie zapytała go się:

»Czego sobie odemnie życzy carska policya?«

»Panno Postowojtówno«, odpowiedział inspektor tonem surowym, wyjmując z kieszeni papier, który potem rozwinął, »w imieniu jego carskiej Mości i na rozkaz mojej władzy przełożonej aresztuję panią i proszę udać się zamną bez żadnego oporu. Oto jest moja plenipotencja i rozkaz aresztowania, podpisany przez gubernialnego dyrektora policyi.«

Przy tych słowach pokazał dziewczynie papier, zapisany wielkimi literami i zaopatrzony w pieczęć urzędową, nie wydając pisma z ręki.

Jeżeli mniemał, że uroczystą przemową złamie odwagę Henryki, to się zawiódł. Przez chwilę bladła i czerwieniła się naprzemian, lecz płomienie, bijące jej z oczu, świadczyły raczej o uporze i dumie, niż o strachu lub obawie. Na pozór zupełnie spokojnie zapytała go się:

»Mogłabym się dowiedzieć, jakie przewinienie lub jaką zbrodnię prawo mi zarzuca?«

»Nie mam polecenia o tem z panią rozmawiać«, odpowiedział inspektor policyi, wzruszając ramionami, a jednak w tonie zdradzającym szacunek dla postępowania Henryki. »W każdym razie dowie się pani o tem niedługo, jeżeli pani

rzeczywiście nie ma o tem dotąd pojęcia i jeżeli pani nie poczuwa się do żadnej winy?»

»Może chodzi o nabożeństwo żałobne, którem przed kilku dniami uczestniczyłam?»

»Zdaje mi się, że tak jest.«

»Hm, łaskawy panie!« powiedziała Henryka prostując się z miną nieco pogardliwą, — »któreż prawo może mi zakazać modlić się za nieszczęśliwych współrodaków, zawleczonych do więzienia, lub też żałować, że pozamykano kościoły, w których ja i moi współwyznawcy się modlimy?»

»Łaskawa pani,« przerwał jej urzędnik dosyć niecierpliwie, — proszę nie zapominać, że nie jestem pani sędzią.«

»Czyż urzędnik policyi i sędzia w Rosyi nie jest prawie zawsze to samo?« powiedziała dziewczyna, której lica z gniewu coraz bardziej krasniały. Przypominając sobie jednak, że przyszedłszy rzeczywiście był tylko ślepem narzędziem w ręku wyższej władzy, i że dotąd okazał dosyć względności, dodała w tonie łagodniejszym:

»Masz pan rację, nie będę panu utrudniała i tak już dosyć przykrego zadania. Jestem nawet za dumną, abym miała opierać się przemocy. Przez chwilę tylko przyszło mi na myśl, jaki ból i jaki niepokój ogarnie starą moją matkę, gdy się dowie, że mam być aresztowana. Nie możnaby tak sprawy urządzić, abym jutro sama dobrowolnie stawiała się na sąd? W takim razie wydalać się z domu, mogłabym użyć pozorów, że chcę odwiedzić znajomych.«

»Takiego pozwolenia w żaden sposób pani udzielić nie mogę,« odpowiedział inspektor stanowczo. — Zresztą matka pani zapewne od sług już się dowiedziała, lub też dowie się wkrótce, że na podwórzu stoją kryte sanki, otoczone policyą i kozakami, do których raczy pani łaskawie wsiąść razem zenną. Tak brzmi wyraźnie moja instrukcja.«

»A więc ja, słaba kobieta, mam być istotą tak niebezpieczną,« mówiła Henryka z szyderstwem, walcząc z wewnętrznym wzburzeniem, — »że trzeba mnie otaczać uzbrojoną sekortą? A może też chodzi o to, aby wywołać sensację, która mnie ma skompromitować, a drugich straszyć?»

Urzędnik policyjny znowu wzruszył ramionami i spojrzał

na zegarek, że już czas największy, aby oboje razem odjechali.

Henryka dobrze zrozumiała nieme napomnienie.

»Pojadę z panem,« powiedziała stanowczo. »Dokąd ma mnie pan zawieść?»

»Po drodze dowiesz się pani o tem.«

Ah, rozumiem pana. Sprawę traktuje się ostrzej, jak się tego spodziewałam. Ale, ja się nie boję, mam odwagę! Chciej pan jednak wiedzieć, łaskawco, że jest to wstrętnem barbarzyństwem ze strony wyższej władzy, gdy się córkę jedy-naczkę zabiera z domu, nie pozostawiając starej i chorowitej matce najmniejszej pociechy!»

»Moja instrukcja —«

»Fi, takie postępowanie niegodnem jest rządu cywilizowanego! zawołała dziewczyna gwałtownie. »Pozwoli mi pan przynajmniej pożegnać się z matką?»

»Tak, ale tylko w mojej obecności. Jestem zniewolonym uprzejmie prosić o pośpiech.«

»Ubiorę się tylko jak najprędzej w podróż.«

Henryka, której gniew lży wycisnął z oczu, odwróciła się, aby je ukryć, ku drzwiom. Urzędnik jednak stanął w tej chwili tuż przy jej boku i powiedział głosem stanowczym:

»Pod żadnym warunkiem nie mogę pani ani na chwilę pozostawić samej, gdyż, — wyznaję to otwarcie — uchodzi pani za kobietę niebezpieczną i zdolną do czynów gwałtownych. Każ pani zapakować najpotrzebniejsze przybory podróżne i zanieść je do sanek.«

Henryka wskutek takiej bezwzględności przez chwilę onie-miała. Ponieważ jednak jasną było rzeczą, że wszelki opór na nicby się nie zdał, zacięła usta i spojrzawszy hardo na urzędnika powiedziała krótko:

»Dobrze, może mi pan towarzyszyć! — Tylko proszę mieć wzgląd na matkę. Jest to jedyna prośba, jaką mam do pana.«

Inspektor policyi lekko się uklonił i krok w krok szedł za nią, gdy po krótkiej walce znowu zapanowała nad sobą i wracała do pierwszego pokoju.

Henryka i urzędnik, zajęci żywą rozmową, nie zauważyli, że w jej nieobecności scena w pierwszym pokoju znacznie się zmieniła.

Jenerałowa w śmiertelnej trwodze jeszcze raz kazała przywołać pokojówkę Józefkę i wypytywała się dokładnie o przybysza, wskutek czego się dowiedziała, że przyjechał na krytych saniach i z silną eskortą. Co takie odwiedziny znaczą, w Rosji ogólnie jest wiadomo. Służba opowiadała sobie w całym pałacu, że kogoś zaaresztują lub też nawet wywiozą na Sybir. Kogóż innego miałby podobny los spotkać, jeżeli nie panienkę? — Ludzie wiedzieli już nawet, dla czego Henrykę wywiozą.

Biedna matka myślała tak samo i z krzykiem boleści bez duszy upadła na poduszki kanapy. Podczas gdy wystraszona Walerya i pokojówka, straciwszy głowę, cucily zemdloną, otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju, a w nich ukazała się Henryka w towarzystwie urzędnika.

Za jednym rzutem oka poznała, co się stało i rzuciła się do matki. Była to scena prawdziwie wzruszająca, jakiej się przypatrywał inspektor policyi. Trudno przypuszczać, żeby był z kamienia i miał tryumfować, widząc jak duma i silna wola dziewczęcia uległy wobec miłości do matki. Trzeba więc przyznać, że był w ambarasie, jak pogodzić względność z surowymi instrukcjami.

Zresztą Henryka wkrótce znowu się opanowała i bystrym wzrokiem poznała swoją dolę. Stan jenerałowej nie mógł wzbudzać poważnej obawy, gdyż podobne napady nerwowe często przechodziła szczęśliwie. Bez względu na to, co się stać mogło, gdyby wróciła do przytomności, nakazywał rozsądek wybierać to, co się stać musiało. Jak okropnie musiałoby pożegnanie jeszcze raz wstrząsnąć biedną kobietą.

Henryka powstała więc nagle, otarła oczy i oświadczyła, że natychmiast chce wyjeżdżać. Rzucając się Waleryi na szyję, prosiła ją na wszystkie świętości, aby uczyniła wszystko, co by mogło jenerałową uspokoić i pocieszyć. Wyraziła przekonanie, że wróci za dni kilka, gdyż żadnej zbrodni nie popełniła, za którą możnaby ją ukarać. — Nieszczęśliwa Walerya, rozpływając się we łzach, z rozpaczą przystawała na wszystko.

Potem dziewczyna przygotowała się do wyjazdu z domu rodzicielskiego, okazując przy tej sposobności więcej może bohaterstwa, niż podczas owej nieszczęśliwej przygody z wilkami. Wobec Waleryi i służby, zanoszącej się od płaczu, zachowała

spokój i odwagę, gdyż nie chciała, aby matka później się dowiedziała, że zwątpiła o przyszłości i w nią nie wierzyła.

Ani jeden miesiąc nie zadrgnął jej na twarzy i wcale nie stała się bledszą, jak dotąd, gdy zobaczyła groźne przygotowania się do transportu. Pewnym krokiem wsiadła na sanki, w których obok niej usiadł inspektor policyi — a powózka, otoczona ze wszystkich stron dzikimi jeźdźcami, popędziła w ciemności zapadłej już nocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTYÓSMY.

W więzieniu.

Łatwo sobie wyobrazić można, co się działo w sercu Henryki, gdy dom rodzicielski znikł jej z oczu, i gdy się od niej już brała ją ochota, zapytać się towarzysza, dokąd niego coraz bardziej oddalała — może na zawsze. Charakter ją, szczególnie że obiecał przedtem powiedzieć jej o celu mniej silny może byłby się ugiął i złamał pod natłokiem myśli transportu po drodze. Duma jednak wciąż jej jeszcze zamyślała usta, a towarzysz chcąc się może zemścić za jej upór, który obok siedzącemu towarzyszowi nie pozwalał czytać i zachowywał również milczenie.

Inspektor policyi zachowywał się tak spokojnie, jakby go nie zdołała zapanować nad swoim niepokojem i po dłuższej wcale nie było. Z tego można było wnioskować, że rzeczy z sobą walce zapytała się:

Z tego też powodu Henryka nie miała osobistej nienawiści do tego człowieka. Był dla niej tylko niemiłym, ponieważ był rosyjskim urzędnikiem policyi. Za nic w świecie nie byłaby w rozmowie z nim szukała pociechy, chociaż może byłaby się mogła od niego dowiedzieć, co się z nią stanie. Duma jej oburzała się tak niesłychanie przeciw wyrażeniom krzywdzie, że nie była zdolną przemówić uprzejmie.

Myśli jej zajęte były jedynie aresztowaniem i najbliższą przyszłością. Przyczynę uwięzienia знаła doskonale, również nie wątpiła o brutalności Moskali. Chodziło jej tylko o to, jak daleko posuną swą samowolę.

Z początku myślała, że ją odwiezą niedalej, jak do Radzyna, że ją tam przesłuchają i pytać będą o uczestników demonstracji. Za nic w świecie nie byłaby się zgodziła na takie żądanie. Zdawało jej się także, że po daremnym badaniu wypuszczą ją znowu na wolność, zagrożiwszy karą lub też tylko czas krótki zatrzymają w więzieniu. Byłaby mogła być dumna, że się jej nadarzała sposobność cierpienia i znoszenia prze-

śladowania za sprawę ojczystą, gdyby nie była zmuszoną, pamiętać przede wszystkim o utraceniu matki.

W szalonej jeździe wśród ciemności nocy wciąż pędzili naprzód. Radzyń już dawno powinien był pozostać za nimi, jeżeli nie dążyli do innego celu. Nareszcie sanie stanęły. Henryka nie mogła rozpoznać, gdzie się znajduje. Urzędnik policyi, nieproszony także jej tego sam nie powiedział. Słyszała tylko, że konie zmieniano. Z tego wnioskuje, że czekała ją jeszcze podróż daleka.

Potem popędzono znowu naprzód i znowu zmieniano konie po raz wtóry i trzeci.

Biednemu dziewczęciu serce coraz bardziej się ścisnęło. Duma jednak wciąż jej jeszcze zamyślała usta, a towarzysz chcąc się może zemścić za jej upór, który obok siedzącemu towarzyszowi nie pozwalał czytać i zachowywał również milczenie.

Musiało już dawno być po północy. Wreszcie Henryka

nie zdołała zapanować nad swoim niepokojem i po dłuższej wcale nie było. Z tego można było wnioskować, że rzeczy z sobą walce zapytała się:

»Kiedyż będziemy na miejscu?»

»Nad ranem«, odpowiedział policyant lakonicznie.

O tej porze nocy są długie. Z tego wnioskuje, że cel podróży, o którym mówił urzędnik, odległym był od Turowic mil dwanaście do piętnastu. Tak też prawie daleko było do Lublina, głównego miasta w gubernii. Henryka nie mogła więc wątpić, że tam ją transportują. W takim razie groził jej długi i ciężki proces. Chodziło więc o to, czy chciano ją wywieźć z rodzinnego miejsca tylko dla tego, aby sparaliżować jej wpływy, lub czy też chciano pomścić się na niej. W jednym i drugim przypadku nie mogła się spodziewać, że matkę wkrótce zobaczy.

Dziewczyna nie chciała pytać się więcej, tylko znowu zamknęła oczy, pogłębiając się w myślach. Rozdrażnienie i niepokój spłoszyły sen z powiek.

Po kilku godzinach grobowego milczenia brząsk szary zaczął się wdzierać przez zasłonki do wnętrza sanek. Chcąc uniknąć wzroku towarzysza, zasłoniła się Henryka woalką

i udawała, że śpi, choć baczna zwracała uwagę na wszystko, co się wkoło niej działo.

Po zmienionym odgłosie, jaki płozy sanek i kopyta końskie wydawały, wnioskowala, że jedzie po miejskim bruku. Kilka razy spostrzegła także przez szczeliny w zasłonach światelka, które prędko się wynurzały i znowu ginęły. Przejeżdżano więc około oświeconych domów. Naraz powózka stanęła. Równocześnie prawie usłyszała, jak któryś z eskortujących kozaków rozmawiał z innemi osobami. Szeptano tak cicho, że nie zdołała pochwycić ani wyrazu, choć doskonale rozumiała po rosyjsku. Po chwili sanie znowu ruszyły, lecz wkrótce potem znowu się zatrzymały.

Inspektor policyi dotąd obojętny, poruszył się, ziewnął i westchnął, jak każdy człowiek po spełnieniu ciężkiego zadania. Odwracając się potem do Henryki, powiedział:

Łaskawa pani, tymczasem jesteśmy u końca podróży, w Lublinie.

A więc nie zawiodła się w swoim mniemaniu.

»Jesteśmy obecnie w więzieniu, nieprawda?« zapytała się dziewczyna z pospiechem.

»Przykro mi niewymownie, że się pani nie myli. Jesteśmy w więzieniu policyjnym.«

Zasłony i drzwiczki sanek otworzyły się po jednej stronie. Na świecie panował jeszcze brzask szary.

Henryka bystrem okiem rozejrzała się dokoła. Sanie stały pod ciemnem sklepieniem starego budynku. Kilka osób w ubraniu cywilnem i wojskowem stało niedaleko. Inspektor policyi poprosił Henrykę, aby tymczasem pozostała na miejscu, sam zaś wysiadł i przez wszystkich witany uniżenie, wszedł do domu.

Dziewczyna mocno otuliła się w futro, woalką twarz jeszcze lepiej zasłoniła i nie dbała o to, że gapiono się na nią i szeptano sobie do ucha mniej lub więcej mądre uwagi.

Zanim urzędnik powrócił, minął może kwadrans. Wróciwszy, miał cały pakiet papierów w ręce, które potem wsunął do kieszeni w futrze. Henryka zauważyła, że miał minę bardzo kwaśną. Rzucił kilka słów do furmana i eskorty i wsiadł znowu do sanek. Zaciągnięto zasłony i powózka ruszyła z miejsca na nowo. Z widoczną niechęcią przykucnął towarzysz w kącie.

»Powiedziałeś mi pan co dopiero, że jesteśmy u celu podróży?« zapytała się dziewczyna po krótkiej pauzie, nie mogąc zapanować nad niepokojem, który ją ogarniał.

»Niestety omyliłem się«, odpowiedział szorstko, »jeszcze dłużej będę miał przyjemność pani towarzyszyć, gdyż teraz właśnie odebrałem nowe instrukcje.«

»A dokąd to jedziemy?« zapytała się Henryka, z niepokojem w duszy.

»Do Żytomierza!« odpowiedział krótko.

Jak już przedtem wspomniano, Żytomierz, stolica Wołynia, leży sześćdziesiąt do siedmdziesiąt mil dalej od Lublina.

Henryka byłaby prawie krzyknęła z przerażenia, lecz jeszcze raz zapanowała nad sobą. Ciężkie tylko westchnienie wydarło się jej z piersi wezbranej. Przestrzeń, która ją teraz oddzielała od matki, była tak wielką, że ją przerażała. Obawa, że kara, jaka na nią czeka, będzie surową, nabierała coraz więcej podstawy. Jedyna pociecha, jaką mieć mogła po takim oświadczeniu, musiała rozwiać się w niwecz, ponieważ Ignacy, który dotąd załogą stał w Żytomierzu, pisał co dopiero, że w interesie służby wyjeżdża na kilka miesięcy.

Biedna dziewczyna nieszczęściem czuła się zlaną. Chętnie byłaby się teraz poskarżyła przykreemu dotąd towarzyszowi podróży, byle tylko znaleźć trochę ulgi w rozmowie. Czuła jednak, że go przez cały czas obrażała i przekonała się, że dalsza podróż wprawia go w zły humor.

Milczenie, jakie panowało dotąd, trwało też i nadal.

W Rosyi podróżuje się szybko, szczególnie w porze zimowej, gdy śniegi drogi równają. Dla urzędników państwowych na wszystkich stacyach pocztowych konie stoją w pogotowiu i usługa jest chętna. Do Żytomierza zajechać więc było można przez trzydzieści do czterdziestu godzin.

Wszędzie, gdzie się sanki zatrzymywały, a konie i eskortę zmieniano, nakazywał komisarz policyjny krótki tylko popas. Henryka wysiadła tylko raz z powózki, aby się nieco posilić. Choć jej się podróż wydawała nieskończenie długą, jednak się skończyła przed południem dnia następnego. Przez cały ten czas z swoim towarzyszem na krok się nie zbliżyła.

Sanie znowu stanęły, a urzędnik widocznie uradowany zawołał:

»Jesteśmy w Żytomierzu.«

Wyskoczył pierwszy i chciał podać rękę towarzysze po droży przy wysiadaniu. Henryka podziękowała jednak niemem skinieniem głowy i z właściwą sobie zwinnością obyła się bez cudzej pomocy.

Pomimo rezygnacyi nie straciła przytomności umysłu, tylko uważnie rozejrzała się dokoła. Całe otoczenie wcale na nią nie sprawiało przyjemnego wrażenia. Wszystko, co widziała, zdolne było wstrząsnąć mniej mocnymi nerwami i mniej silną wolą.

Sanki zaprzężono w trzy małe konie, które wstrząsały grzywami i z nozdrzy buchały kłębami pary, zatrzymały się na dosyć ciasnem podwórze, zamkniętem czterema ponuremi budynkami i pokrytem śniegiem roztajałym i brudnym. Na pierwszy rzut oka trudno było poznać, którędy się wjechało, gdyż w murach znajdowały się tylko małe i zamknięte drzwiczki i wąskie, niskie okienka, umieszczone w rzędach ponad sobą na trzy do czterech piętr wysokości. Wszystkie prawie okna były zakratowane, po części nawet zaopatrzone w tak zwane kosze więzienne, czyli pudła z drzewa, które na samym wierzchu pozostawiają wąskie tylko otwory dla światła dziennego. Wszędzie panował nieład i spustoszenie.

Trzech czy czterech żołnierzy w szarych płaszczach wojskowych i w białych czapkach z wielkimi, okrągłymi denkami na głowie patrolowała przed małymi drzwiczkami, chodząc tam i napowrót z muszkietami w ręku, na których błyszczały zamknięte bagnety. Kozacy, eskortujący sanki, zsiadli z koni buchających parą, o które oparli swoje długie lance. Inspektor policyi natychmiast szeptać zaczął z jakimś wysokim i chudym mężczyzną, ubranym na pół po wojskowemu, który prawdopodobnie był dozorcą więzienia. Ożywiona rozmowa obydwu dotyczyła się widocznie aresztantki. Kilku dzikich i brudnych pachołków zdjęło z sanek kufereczek, zawierający najpotrzebniejsze przedmioty aresztantki i stało, oczekując na dalsze rozkazy.

»Choćbym nawet popełniła morderstwo, nie mogłabym dostać się w gorsze położenie, jak obecnie«, pomyślała dziewczyna, stojąc w mokrym śniegu cierpliwie. »Jestem rzeczwiście ciekawą, co się zemną stanie.«

Henryka dotąd jeszcze nie czuła żadnego strachu. Była tylko oburzoną, że, jak się zdawało, nie brano należytego względu na jej płeć i stanowisko społeczne. Stała się więc jeszcze więcej ponurą i mocniej jeszcze zacisnęła usta.

Dysputa obydwu urzędników wreszcie się skończyła, po czem inspektor policyi zwrócił się znowu do aresztantki i zawiadomił ją bardzo grzecznie, że drugi urzędnik wskaże jej mieszkanie, prosząc, aby zechciała zastosować się do jego rozkazów. Potem pożegnał się i wszedł znowu do sanek.

Wysoki i chudy dozorca więzienia był zresztą grzeczniejszym mężczyzną, jakby się tego z powierzchowności można było spodziewać. Salutował Henrykę po wojskowemu, prosił ją, aby szła za nim i skinął na pachołków, aby to samo uczynili.

Wewnątrz ciemnego i krętego budynku szli jakiś czas po długich korytarzach i po schodach w górę i na dół. Rzadko tylko przechodzili około okien, przez które wpadało światło dzienne. Zwykłym oświetleniem były ciemne lampy olejowe i latarnie. Henrykę dziwne jakieś orgarnęło uczucie, gdy przechodziła około całego szeregu drzwi, zaopatrzonych w mocne zamki i żelazne rygle. W tajnej wyobraźni przedstawiała sobie, że w każdej celi jęczą ofiary, zakute w kajdany, oddane na pastwę rozpaczy i nędzy.

Budynek musiał być bardzo rozległym, gdyż wędrówka po nim trwała dosyć długo. Najpierwszą i prawie jedyną myślą Henryki było pytanie, jakimby sposobem mogła uciec z więzienia, gdyby ją chciano zamknąć na czas długi. Życie bez światła i bez powietrza wydawało jej się niemożliwem. Z tego powodu postanowiła dobrze zapamiętać sobie drogę, jaką przechodziła, i zapoznać się z miejscowością. Wkrótce jednak się przekonała, że wszelkie wysiłki w tym względzie były daremne.

W końcu jednak sienie, przez które przechodzili, stawały się weselsze. Korytarze były szersze i wyższe, powietrze było lepsze, a drzwi miały charakter mniej więzienny, choć zamków i mocnych rygli nie brakowało. W tej części budynku natrafiono także na ludzi, prawdopodobnie dozorców, gdyż mieli na sobie rodzaj uniformu i nosili przy boku krótkie pałasze. Henryka spostrzegła nawet kilka kobiet, zajętych widocznie sprawami gospodarskimi.

Wszyscy witali inspektora więzienia z wielką uniżonością. On to był pewnie królem, panującym w tym domu.

Wreszcie stanęli przed drzwiami, które otworzył inspektor kluczem, jaki miał przy sobie. Gdy skinął ręką zapraszająco, przestąpiła Henryka próg celi. Oczy jej biegały prędko na wszystkie strony, gdyż wiedziała, że stanęła u celu.

Cela, w której się znajdowała, była mała, wązka, niska i jedno miała tylko okno. Białe tynkowane ściany nie sprawiały wprawdzie miłego i wytwornego wrażenia, całość jednak nie była odstraszać. Jedyne okno było wielkie i jasne, przedewszystkiem zaś nie miało krat żelaznych. Sądząc po wyborze celi, zdawało się, że uwięziona doznawać będzie względów, choćby jej dola miała być najtwardszą.

Umeblowanie pokoiku było skromniutkie. — Stały w niem tylko łóżko, stół, dwa krzesła i lusterko. Wszystko było prostej roboty, lecz czyste. Dla więźnia to wystarczało.

Na ten widok oblicze Henryki mimowoli rozjaśniło się. Inspektorowi, który to spostrzegł, pochwlebiała pewnie zmiana na twarzy Henryki, gdyż rozkazawszy pacholkom postawić kuferek na ziemi i odejść, przemówił grzecznie do dziewczyny:

»Łaskawa pani, mam nadzieję, że, o ile to będzie możliwe, nie będzie pani miała powodu się skarżyć. Ułatwień, na które pozwolić mogę, nigdy pani nie odmówię, atoli jedynie pod tym warunkiem, że pani z chęcią podda się regulaminowi więziennemu. Próba ucieczki byłaby z pańskiej strony wielkim nierozsądkiem, gdyż sala ta leży właśnie nad wielkim portalem, w którym się mieści odwach policyjny i wojskowy, na korytarzach zaś bez ustanku krążą patrole.«

»Jeżeli pani zechce przystąpić do okna,« mówił dalej, postępując naprzód, — »przekona się pani z łatwością, że pokój ten leży na drugim piętrze. Z tego powodu mogliśmy oszczędzić sobie tych krat szkaradnych, które zasłaniają widok.«

Chudy pan inspektor był przekonany, że ostatnim frazesem wypalił dowcip, nad którym rozśmiał się uradowany. O widoku bowiem nie mogło być mowy, gdyż naprzeciw okna którego skrzydła przezornie gwoździami zabito, w odległości najwyżej dziesięciu kroków stał mur wysoki bez najmniejszego otworu, nad szczytem którego przeziarał wązki tylko skrawek nieba.

Henryka poszła za inspektorem do okna i spojrzała na świat z pozorną obojętnością. Wspinając się na palce, ujrzała połowę jakiejś wązkiej i brudnej uliczki. Dokąd ona wiodła i czy była otwartą dla ruchu publicznego, pozostawało dla niej tymczasem zagadką.

»Na życzcie może się pani stołować sama,« mówił inspektor dalej. — »Natychmiast przysłę pani służącą, której wolno pani wydać odpowiednie rozkazy.«

»Czy będę mogła napisać do matki i zawiadomić ją o tem, co się zemną dzieje?« zapytała się Henryka.

»Pozwolenie na to musi dać sędzia śledczy.«

»A kiedyż z nim się zobaczę?«

»Może dziś, może jutro — sam nawet nie wiem.«

Przy tych słowach pożegnał się inspektor i troskliwie drzwi za sobą zamknął.

Skoro uwięziona pozostała sama, poczęła rozważnie rozglądać się dokoła, czy na ścianach lub też na suficie nie spostrzeże coś podejrzanego. Z opowiadań bowiem wiedziała, że często w więzieniach znajdują się sztuczne przyrządy w celu obserwowania aresztantów bez ich wiedzy. Nie znalazła jednak żadnego śladu, któryby podobne podejrzenie mógł usprawiedliwić.

Potem lustrowała raz jeszcze ulicę, leżącą pod oknem i mur stojący naprzeciw, potem całe okno i każdy gwoździk, przybity do niego. Gwoździe były zwyczajne, żelazne, white aż pod same główki. Nie mogła ich wyjąć, bo nie miała narzędzi. Gdyby się nawet udało wyjąć je z niesłychanym trudem przy cierpliwości bez granic, jakimże sposobem miała potem zejść na ulicę, o której nie wiedziała, dokąd prowadzi, na wolność, czy też znowu do więzienia.

A choćby nawet wolną już była, dokąd miała się udać, nie znając kraju i będąc oddaloną od domu przestrzenią sto-milową? O powrocie do Turowic ani marzyć nie mogła, gdyż zbiegła z więzienia z pewnością poszukiwanoby najpierw w domu rodzicielskim. A jednak myśl, że uciec musi koniecznie, z nie-przepartą siłą cisnęła się wciąż jej do głowy. Ponieważ wy-wieziono ją tak daleko, było rzeczą pewną, że w danym przy-padku nie chodzi tylko o śledztwo lub małą jaką karę.

Z natłoku ponurych i prawie beznadziejnych myśli wyrwał Henrykę zgrzyt klucza w zamku, poczem drzwi się otworzyły.

Dziewczęciu dotąd jeszcze na myśl nie przyszło, że trzeba zrzucić z siebie podróżne okrycie, tylko wciąż jeszcze siedziała na skromnym, lecz czystym posłaniu, pogrążona w marzeniach. Skrzypnięcie drzwiami tak ją przeraziło, jak gdyby ją już pochwycono podczas ucieczki.

Jakaś starsza kobieta w skromnym, lecz porządnym ubraniu i z pocziwemi oczami, którym mimo to nie brakowało wyrazu energii, weszła do celi. Ogromny wzrost nie mniej świadczył o sile niewiasty.

Niewątpliwie była to dozorczeni więzienia.

Za taką przynajmniej przedstawiła się Henryce po krótkim przywitaniu. Najprzód pytała się o życzenia uwięzionej, a potem zaczęła jej opowiadać, z wszystkimi szczegółami po rosyjsku, że imię jej Marya, że pochodzi z dalekiego wschodu i że wyszła za mąż za dozorcę więzienia policyjnego.

W powierzchowności kobiety nie było nic odpychającego, ani surowego, a jednak z całego jej wzięcia wiał jakiś chłód, który natychmiast przekonał Henrykę, że uda jej się prawdopodobnie wzbudzić w dozorczeni trochę współczucia, że nigdy jednak nie może spodziewać się od niej pomocy w ucieczce. Widoczną było od razu, że dozorczeni nie zna litości, ani się nie da przekupić. Takim sposobem w niwecz obróciła się nowa nadzieja, której Henryka uczepiła się przez chwilę.

»Biedne dziecko«, mówiła dozorczeni, skoro z miną bardzo poważną, jak jej nakazywał obowiązek, objaśniła Henryce regulamin więzienny, — »wiemy już, z jakiego powodu pani tu się dostała i dla tego obawiam się, że będzie pani ciężko. Co tam znaczą śledztwa! Choćbyś pani była czystą jak anioł, — mam tu na myśli występki przeciwko naszemu najjaśniejszemu carowi, o który panią obwiniają, — jednak pani prędzej nie wyjdzie z więzienia, dopóki w kraju nie będzie zupełnego spokoju, a Bóg wie, czy tego dożyjemy. Polacy są niespokojnym i zapamiętałym narodem. Czegoż oni właściwie żądają? Czy może im gdziekolwiek być lepiej na świecie, jak pod potężnem i sprawiedliwem panowaniem cara? A czyż to

nasz car nie posiada niezaprzeczonego prawa do Polski, wskutek uświęconych układów międzynarodowych?»

W ten sposób rozwijała pocziwa Marya swoje oryginalne zapatrywania polityczne jeszcze przez cały kwadrans. Widocznie jednak nie przekonała Henryki, która uważała za zbytę jej odpowiadać. Ponieważ dozorczeni była przekonana, że uwięziona żałuje już za swoje grzechy polityczne, spuściła wreszcie z tonu, pocieszała ją, że car miłościwy dla wszystkich swoich poddanych okazuje się łaskawym, jeżeli tylko z ufnością udają się do niego, i odeszła z zapewnieniem, że pamiętać będzie o potrzebach Henryki, odebrawszy poprzednio na ten cel pieniądze.

Rzeczywiście nie miała odtąd Henryka żadnego powodu do skargi pod względem materyalnym, z wyjątkiem braku świeżego powietrza i ruchu. Za to tem gorzej działo się pod względem duchowym. Pierwszego dnia nie zaprowadzono jej wcale przed sędziego śledczego, i takby też może pozostało całemi tygodniami, gdyby nie była energicznie domagała się przesłuchów.

Dopiero po upływie dni kilku zaczął się rodzaj śledztwa w jej własnej celi. Sędzia, człowiek szorstki, zadał jej kilka pytań, dotyczących się jej działalności politycznej w gubernii lubelskiej, a odpowiedzi zapisywał sekretarz do protokołu. Zdało się, że sędzia sam jeszcze nie wiedział, o jakie przestępstwo obwiniać dziewczynę. Henryka jednak sama z własnej woli wyznała wszystko, co — jej zdaniem — można jej było zarzucić, ponieważ wciąż się jeszcze spodziewała, że w ten sposób najprędzej się jeszcze dostanie na wolność, po odsiedzeniu małej kary więziennej. Na prośbę pozwolono jej zresztą napisać do matki, co też natychmiast uczyniła.

Odpowiedź wkrótce nadeszła. Jenerałowa nie mogła pisać sama. Z jej polecenia wyręczyła ją Walerya, która donosiła, że pani Postojtow jest bardzo cierpiąca. W sposób jak najczulszy błagała Henrykę, aby na każdym kroku okazywała się powolną, ponieważ pani jenerałowa wysłała już do cara prośbę o ulaskawienie. Jak długo trzeba było czekać, zanimby odpowiedź nadeszła! —

Co się działo w kraju, co sądzili przyjaciele Henryki o jej uwięzieniu i czy dalsze jeszcze nastąpiły aresztowania, o tem

Walerya oczywiście wspomnieć nie mogła, gdyż wszystkie listy, jakie uwięziona wysyłała lub odbierała, musiały najprzód przechodzić przez ręce inspektora więzienia. Nie było więc mowy o dokładnych wiadomościach z ojczyzny.

Dla duszy tak żywej i wrażliwej, jaką posiadała Henryka, było zupełne odosobnienie od świata nieznośną torturą. Cierpiała nawet fizycznie w tem dusznem więzieniu.

Od czasu pierwszych przesłuchów dalszych już nie było. Ilekroć się Henryka na to użalała, gdy inspektor od czasu do czasu odwiedzał ją w celi, nie otrzymywała od niego dostatecznej odpowiedzi. Wzruszał tylko ramionami i tłumaczył się, że władza jego tak daleko nie sięga, w czem oczywiście miał słuszność. Było więc jasną, jak na dłoni, że dziewczyna, ponieważ uchodziła za niebezpieczną, tak długo będzie uwięzioną i odciętą od świata, dopóki gwałtem nie da się przełamać oporu ziomków i jej własnego. Gdyby jej było można udowodnić rzeczywiste przestępstwo, z całą pewnością skazanoby ją bez ceremonii na deportację w głąb państwa.

Biednej Henryce schodził więc w więzieniu dzień jeden podobny drugiemu wśród mąk tęsknoty za wolnością i wśród udręczeń duchowych. Korespondencya z matką była ograniczoną, z innemi osobami stanowczo zakazaną. Na życzenie dawano jej książki, lecz błahej tylko treści, która nie mogła jej zadowolić. Gazety nie wolno było pokazać jej nawet z daleka.

Brak ten zapełniała poniekąd gadatliwa dozorczyń. Od czasu, gdy się dowiedziała, że Henryka ma starą matkę ukochaną, ogarnęła ją prawdziwa litość nad biednym dziewczęciem. Chętnie byłaby jej przysłała z pomocą, gdyby jej nie przeszkadzało surowe poczucie obowiązku i obawa, że razem z mężem mogliby stracić urząd.

Za pośrednictwem tej kobiety dowiadywała się Henryka przez umiejętnie zadawane pytania, co się działo w Warszawie i w całej Polsce, i że wrzenie pomimo gwałtownych środków ze strony rządu rosyjskiego, nie tylko się nie uśmierzało, lecz przeciwnie wzmagало. Oczywiście pospolita i niewykształcona kobieta знаła te wszystkie rzeczy tylko z opowiadania i miejszała anegdotki z prawdą, zabarwiając całość jeszcze czysto rosyjskim pokostem.

A jednak Henryka swoim bystrym rozumem w tej mieszaninie umiała rozróżnić plewy od ziarna i tym sposobem dowiadywała się przynajmniej o wypadkach bieżących. Z tego powodu z dnia na dzień coraz to żywiej odzywało się w niej pragnienie zerwania kajdan, ciążących jej coraz bardziej, i poświęcenia się sprawie ojczyzny, która, jak słusznie przewidywała, zbliżała się coraz więcej do rozstrzygającej katastrofy. Dniem i nocą wymyślała rozmaite plany ucieczki, zdawało jej się jednak, że traci siłę ducha w smutnej samotności. Całemi miesiącami siedziała już w więzieniu. Lato nie przyniosło jej ani kwiatów, ani wonnego powietrza, ani złotych blasków słońca. Zbliżała się już ponura jesień, a dotąd jednego tylko dokonała dzieła, które mogło przynieść jej korzyść, z drugiej jednak strony narażało ją na niebezpieczeństwo, gdyby się sprawa wydała. Za pomocą kieszonkowego nożyka i przy bajecznej prawie cierpliwości, właściwej tylko więźniom wskutek palącej tęsknoty za wolnością, udało jej się złuzować gwoździe, któremi zabite było jedno skrzydło okna, tak dalece, że mogła je wyjąć z łatwością i znowu wsadzić w dawniejsze miejsce. Często, gdy podczas pięknych nocy napadała na nią niepoohamowana ochota oddechania świeżem powietrzem, otwierała okno pokryjomu, nie robiąc szelestu i siedziała przy niem całemi godzinami.

Szczęśliwym sposobem nikomu jeszcze na myśl nie przyszło zbadać, czy okno było w porządku.

Bardzo ważne odkrycie zrobiła także Henryka, gdy się przekonała, że uliczka pod oknem była dla ruchu publicznego otwartą, choć tylko w sposób bardzo ograniczony, że więc po obydwóch stronach prowadziła do miasta. Do tego wniosku doszła na podstawie spostrzeżenia, że czasami przechodzili pod jej oknem ludzie, którzy z pewnością nie należeli do personelu więziennego. Widok przechodniów, należących do warstw najniższych — ludzie z wyższych stanów omijali pewnie tę odludną i brudną uliczkę — stanowił czasami dla niej małą rozrywkę. Na zawiązanie z nimi jakichkolwiek stosunków nie mogła się nawet odważyć. Korzyści więc od nich spodziewać się nie mogła.

W taki sposób czas upływał wolno i smutnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTYDZIEWIĄTY.

Klub polityczny.

Kapitan Ignacy Gurowski odbył z swoimi rekrutami marsz długi i uciążliwy aż do brzegów Wołgi, z kąd dopiero na początku jesieni wrócił do swojego garnizonu.

Jasną jest rzeczą, że przez ten długi przeciąg czasu nie mógł odbierać listów ani od matki, ani od Henryki, utrzymującej z nim stałą korespondencję, gdyż dalszy kierunek drogi wskazywano mu za każdym razem dopiero wtenczas, gdy przeszedł granice nowej gubernii. Naprzód więc nigdy nie mógł z pewnością oznaczyć miejsca swojego pobytu. Z tego też powodu nie miał żadnego pojęcia o tem, co się przez ten czas działo w Turowicach. Nie wiedział nawet, jaki wzięły obrót w Polsce stosunki polityczne, które podczas jego wyjazdu układały się groźnie. Ponieważ wskutek zamierzanych reform carskich w całym państwie panowało pewne wzburzenie, wszystkie władze usilnie starały się o to, aby pewne wiadomości nie dostawały się do wschodnich prowincyi. Nawet dzienniki rzadko tylko podawały wiarogodne nowiny. Z góry wywierano na nie nacisk, aby ruch na zachodzie przedstawić jako pozbawiony większego znaczenia.

Ignacy dowiedział się tylko mniej więcej tyle:

Na początku roku instalowano w Warszawie nowego arcybiskupa Felińskiego, który duchowieństwu i narodowi zalecał spokój i pozamykane kościoły kazał znówu otworzyć. Dalej mianował car w czerwcu swojego młodszego brata, Wielkiego Księcia Konstantego namiestnikiem Królestwa Polskiego, obdarzając go obszernem pełnomocnictwem. Książę ten cieszył się z powodu wysokiego wykształcenia naukowego i z powodu umiarkowanego charakteru wielkiem poważaniem.

Będąc obrońcą wielu reform zbawiennych, szczególniej emancypacji włościan, był przeciwnikiem partyi staroruskiej. Przez ten wybór zrobiono więc ustępstwo Polakom, a przynajmniej stronnictwu umiarkowanemu. Oprócz tego powierzono kierownikowi tej partyi, hrabiemu Wielopolskiemu, rządy cywilne i wiceprezydenturę rady państwa.

Mimo to donosiły nawet rosyjskie gazety o krótko po sobie następujących zamachach w Warszawie, które wcale świadczyć nie mogły o zadowoleniu Polaków. Zamachy te przedstawiano jednak tylko jako wybryki nierozważnych fantastów, których cały naród z pogardą potępiał. Dnia 27-go czerwca dowodzący wojskami, generał hrabia Lüders, podczas spaceru w saskim ogrodzie niebezpiecznie został rannym w szczękę kulą z pistoletu, a napastnik uciekł. W kilka dni później, dnia 3-go lipca strzelił jakiś młody czeladnik krawiecki na korytarzu teatralnym z rewolweru do samego Wielkiego Księcia i zranił go lekko. W następnym miesiącu wykonano rozmaite zamachy na hrabiego Wielopolskiego, który, równie jak kilku członków rodziny, z tego powodu ciężko się chorował.

Nie zachodziły jednak same tylko tym podobne występki, które choćby najgorętszy nawet patriota musiał potępiać, które jednak świadczyły o wielkiem rozgoryczeniu, panującym w Polsce. To niezadowolenie okazało się także na drodze daleko więcej uprawnionej. Dwustu szlachty bowiem, na których czele stał ogólnie szanowany hrabia Zamojski, przedstawiło Wielkiemu Księciu adres, w którym gwałtownie dopominali się o reformy, odpowiadające prawom narodu, a szlachta podolska żądała od samego cara połączenia tej prowincyi z Królestwem Polskiem, za co jej wytoczono proces.

Te zwiastuny burzy ciężką troską napęłniły serce Ignacego. Gdyby z obowiązku Polaka kiedy był zmuszonym, przystąpić do jednej z dwóch partyi, przyznałby się podług swojego najlepszego zrozumienia do umiarkowanej, gdyż ufał zupełnie rzetelnym zamiarom cara i nigdy nie był marzycielem, choć mu nieraz krew gorąca cisnęła się do serca. Wychowanie więcej działa na człowieka, jak przyrodzony temperament. Z tych dwóch czynników tworzy się dopiero charakter. Ignacy całym sercem umiłował wszystko, co dobre i szlachetne, i do

tych celów dążył bez ustanku. Nie szedł jednak naprzód w szale zaślepienia, który często nawet najszlachetniejszych i najlepszych ludzi sprowadza z prawej drogi i tylko kierował się rozsądkiem i przezornością. Przyczyną tego było w każdym razie wychowanie w surowych formach wojskowych.

Z krótkiej rozmowy, którą, jak już wiemy, miał w sankach z Henryką, przysięgę wierności wojskowej, złożonej carowi, choć tylko z przymusu, nie uważał za bzdurstwo. Nie można było wątpić, że obecnie daleko jeszcze więcej, jak w wieku dziecięcym, kochał swoją ojczyznę. Nie zapominał nigdy, że ojciec jego krew wylewał, walcząc przeciwko tej samej chorągwi, pod którą syn służył. Sam byłby chętnie to samo uczynił. Rozsądek jednak nakazywał mu, pogodzić uczucia z położeniem, w jakie go losy wtrąciły. W ten sposób dają się wytłumaczyć jego zapatrywanie polityczne i boleść na widok drgawek kurczowych, które jeszcze raz wstrząsały ojczyzną, rwącą się znowu do starej, dawno już przebrzmiałej wielkości. Za żadną cenę nie chciałby walczyć przeciw własnym rodakom — cóż jednak miał czynić, gdyby go obowiązek i złożona przysięga do tego zmuszały?

Z tą w duszy rozterką, która w danych okolicznościach cięższą była jak kiedykolwiek, wrócił Ignacy do swojego garnizonu w Zytomierzu. Koledzy Polacy witali go z wielkim zapalem, rosyjscy spoglądali na niego z ukosa, gdyż jeszcze nie wiedzieli, jakie uczucia z sobą przynosi.

Pomiędzy oficerami tego samego pułku jeden szczególnie przywiązał się do niego, a Ignacy odpłacał mu się wzajemnością. Był nim porucznik Kralowski, Polak, równy mu wiekiem, którego rodzina podobne jak Ignacego przechodziła koleje.

Stefan Kralowski był na wskroś szlachetnym, lecz nieco ekscentrycznym młodzieńcem. Obowiązki żołnierza spełniał należycie, lecz przy wielu okolicznościach kładł główny nacisk na to, że był Polakiem. Z tego też powodu nie mógł sobie zjednać zupełnego zaufania przełożonych i w awansie pozostał w tyle po za swoim przyjacielem Ignacym, z którym równocześnie chodził do szkoły wojskowej. Choć go to bardzo gniewało i chociaż czasami wobec zaufanych gorzko się na to użalał, jednak nigdy nie okazywał niechęci Ignacemu, tylko zawsze pozostał mu równie życzliwym.

Zaledwie Ignacy w dniu swojego powrotu do garnizonu pooddawał przełożonym wojskowe raporty, pospieszył z odwiedzinami do swojego najlepszego przyjaciela.

Spotykamy więc obydwuch tego samego wieczoru w mieszkaniu Kralowskiego, siedzących obok siebie i żywo rozmawiających, choć tylko półszepem. Przeważnie mówił porucznik, Ignacy słuchał więcej. Na czołach obydwuch zawisły czarne chmury. Wniosek więc nietrudny, że przedmiot rozmowy nie był wesołym. Ignacy spoglądał przed siebie w zamyśleniu, lecz z rozwągą, piękne zaś modre oczy drugiego jaśniały żywym blaskiem, a świeże lica kraśniały rumieńcem.

Z właściwą sobie werwą opowiadał o ostatnich wypadkach warszawskich i przedstawiał je w świetle, wielce różniącym się od tego, w jakim obserwował je Ignacy z dalekiej odległości, opierając się głównie na nowinach gazeciarskich. Kralowskiemu również ani się nie śniło pochwalać zamachy na osoby, nie cieszące się ogólną sympatyą, ubolewał nawet nad temi wybrykami fanatycznego patryotyzmu, obawiając się, że w całej Europie rzucą złe światło na narodowe usiłowania Polaków. Z drugiej jednak strony wyrażał przekonanie, że główną przyczyną gwałtownych czynów, popełnionych przez nieoświecone i łatwo zapalne umysły, było nieznosne prześladowanie Moskali. Znienawidzeni ciemieńczy krwią i stryczkiem szafowali bez litości. Samo podejrzenie było wystarczającym powodem do aresztowania setek i tysięcy osób, do wysłania ludzi na Sybir, lub w żołdacy bez poprzedniego śledztwa. Nie brano względu na pleć i stanowisko społeczne. Pod nikłemi pozorami konfiskowano majątki prywatne, — jednym słowem w całym kraju panowała znowu najbrutalniejsza samowola, jak po nieszczęsnym roku 1831.

»Cóż w takich stosunkach znaczą dobre i tak zwane liberalne zamiary cara?« zawołał młody człowiek w najwyższym rozdrażnieniu. »Cóż może zdziałać tak szlachetny i wykształcony człowiek, jak wielki książę Konstanty, wobec podstępnych, surowych i nikczemnych kreatur, które go otaczają i wiecznie mu szepczą do ucha: »niedowierzać« i »mścić się krawo«? — A komuż ma dowierzać biedny i uciskany naród i komu zaufać, patrząc codziennie własnymi oczami na krwawe ofiary zemsty? Czy car Aleksander dotrzymał świętych obietnic, czy Mikołaj

nie podeptał ich nogami? Imię Konstantego jest dla Polski złowróżbnem a pospólstwo jest zabobonem!»

»Proszę Cię, Stefanie, uspokój się«, upominał go Ignacy, który z tego, co dopiero usłyszał, nie zdołał sobie jeszcze wytworzyć ostatecznego sądu, choć go słowa przyjaciela do głębi wzruszały. »Powiedz mi przedewszystkiem, jaką masz pewność, że wszystkie te wiadomości, od których włosy powstają na głowie, są prawdziwe i zupełnie wiarogodne. Przecież w mojej nieobecności miasta nie opuszczałeś.«

Porucznik w ten sposób nagle zagadnięty, zawahał się przez chwilę. Spojrzał na Ignacego badawczo, prawie podejrzliwie, a potem wolno wycedził:

»Nie wystarczy Ci moje przekonanie i moje słowo, że to wszystko jest szczerą prawdą?«

»Hm, wybacz mi, Stefanie! — czasami jesteś łatwowiernym i zapalonym.«

»Chcesz dowodów?«

»Życzę ich sobie.«

»W takim razie chodź ze mną dziś wieczorem.«

»Dziś wieczorem?« pytał się Ignacy zdumiony. »Kiedy — dokąd?«

»Mamy jeszcze czas do jedenastej przed północą. Wtedy zaprowadzę Cię w towarzystwo, gdzie więcej, jak potrzeba, dowiesz się o tych smutnych stosunkach.«

»Jakieś to dziwne i tajemnicze towarzystwo, które się zbiera krótko przed północą«, mówił Ignacy z zastanowieniem. »Wolno mi się zapytać, z jakich osób się składa?«

»Spotkasz tam niejednego kolegę z garnizonu«, odpowiedział Stefan z wahaniem. »Chodzimy tam jednak tylko w ubraniu cywilnem, — nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Jestto rodzaj klubu.«

Twarz Ignacego spoważniała jeszcze bardziej. Z obawą chwycił przyjaciela za rękę i powiedział:

»Wiesz dobrze, Stefanie, że nigdy nie byłbym zdolnym zdradzić przyjaciela, ani też ojczyzny. Bądź więc wobec mnie otwartym. Jakież ma znaczenie ten klub, tak zwany? — Wybacz szczeremu przyjacielowi, gdy Ci wyrażę obawę, że nie rozważnie dałeś się uwikłać w niepotrzebne przedsięwzięcia!

»O przedsięwzięciach wogóle nie ma mowy«, odparł Stefan, nieco zaambarasowany.

»Same pozory w obecnych czasach mogą już zaszkodzić. Dla czego zbiera się wasz klub w porze nocnej, jeżeli jego tendencje nie sprzeciwiają się prawu?«

»Kochany przyjacielu«, odpowiedział Stefan po krótkiej pauzie, — »nie chciałbym Cię namawiać, abyś przystąpił do naszego towarzystwa, choć nie brak tam ani jednego z naszych towarzyszy, w którego żyłach krąży krew polska. Oprócz tego znajdziesz tam wielu ludzi honorowych z stanu cywilnego. Wszyscy żalowali, że dotąd z powodu swej nieobecności nie mogłeś przystąpić do naszego grona. Wyznaję Ci otwarcie, że skoro tylko wróciłeś, dano mi polecenie, abym Cię wprowadził do naszego klubu. Jedynym celem naszych zebrań, które się odbywają dwa razy w tygodniu, jest dokładne informowanie się o wszystkim, co się dzieje w Warszawie i w guberniach zachodnich. Kilku bowiem naszych przyjaciół utrzymuje stałą korespondencją z wiarogodnymi obywatelami w kraju. Sądząc sprawiedliwie, niktby nam nie powinien brać za złe, że dolą nieszczęśliwych naszych braci się zajmujemy. Pojmiesz jednak łatwo, że omawianie spraw podobnych naraziłoby nas niechybnie na proces o zdradę stanu, szczególnie nas oficerów. Z tego powodu klub musi być tajnym i zmuszeni jesteśmy zbierać się w nocy.«

Ignacy wysłuchał Kralowskiego do końca, kiwając głową w milczeniu. Wreszcie szepnął półgłosem do siebie:

»Nosimy mundur carski.«

»Musimy go nosić«, odparł porucznik z goryczą. »Bez względu na ubranie serca nasze są i pozostaną polskimi.«

»A nasza przysięga?«

»Czyż knujemy spisek? Czy łamiemy przysięgę, okazując współczucie naszym braciom i troszcząc się o losy ukochanej ojczyzny?«

»Gdyby wasz klub rzeczywiście nie miał żadnego innego celu, jak tylko ten, o którym mi powiadasz, nie możnaby go w żadnym razie nazwać karygodnym. Nie wątpię jednak, że pójdziecie dalej, skoro się sposobność do tego nadarzy. Jestem również przekonany, że kto się pozwoli unieść prądowi, ten w nim utonie.«

»Kochany Ignacy, od Ciebie samego zależy, czy chcesz się z grona naszego wykluczyć, lub przeciwnie«, odpowiedział Stefan z urazą. »Jeżeli się boisz —«

»Nie mam obawy!« przerwał mu kapitan gwałtownie, — »dzisiejszej nocy pójdę razem z Tobą, lecz nie myśl, że dla tego, aby Ci pokazać, że się nie obawiam, lecz raczej dla tego, że chciałbym się przekonać na własne oczy i na własne uszy, co się u Was dzieje. Wiesz, że mam rozagę i krew zimną. Nie zwykłem opuszczać swoich przyjaciół, lecz wedle sił chciałbym im służyć radą i doświadczeniem.«

»Po tych słowach znowu Cię poznaję!« zawołał Stefan uradowany, gorąco ściskając przyjaciela za rękę. »Wszyscy na pewne liczyliśmy na Ciebie. Gdy zobaczysz i posłuchasz, możesz potem sądzić!«

Ignacy dobrze wiedział, jak niebezpieczną w Rosyi jest rzeczą, brać udział w tajnych stowarzyszeniach. Decydując się na krok podobny, nie czynił tego z obawy, aby rodacy nie mieli o nim fałszywego pojęcia, tylko głównie dla tego, że pragnął szczerze czuwać nad ich dobrem i że nie chciał pozwolić, aby gorący patryotyzm uniósł ich za daleko po za granice umiarkowania. W duszy sobie poprzysiągł, że do spisku za nic w świecie nie da się nakłonić. Liczył na to, że ciesząc się wielkiem poważaniem współziomków, zdoła swym spokojem położyć tamę wybujałym namiętnościom.

Przebrawszy się po cywilnemu, wyszli obydwaj z Stefanem w oznaczonej godzinie i szli obok siebie w milczeniu przez ciemne i bezładne uliczki miasta. Po drodze ogarnęło Ignacego jakieś poważne, prawie niemiłe nawet uczucie, choć o tem towarzyszowi nie wspominał ani słowem. Zdawało mu się, że po raz pierwszy opuścił drogę twardego obowiązku.

Żytomierz, w którym stał załogą już od lat kilku, znał doskonale. Nie przypominał sobie jednak, czy kiedykolwiek chodził po tych uliczkach, po których go obecnie prowadził Stefan, i w ciemności nie umiał się zorientować.

»Gdzież mnie to prowadzisz?« zapytał się wreszcie.

»Jesteśmy zaraz u celu, — ten ciemny i wysoki budynek po drugiej stronie jest policyjnym więzieniem.«

Hm«, mruknął Ignacy z mimowolnym uśmiechem,

»trzeba przyznać, że siedziba waszego tajnego towarzystwa znajduje się w dziwnym sąsiedztwie.«

Odważnym szczęście sprzyja. Zresztą przypadkiem nadarzył nam się lokal odpowiedni do naszych celów. Jestto własność starego i gorącego patryoty, który brał udział w walce z roku 1831. Jesteśmy pewni, że nas nie zdradzi a żadnemu szpiełowi policyjnemu nie przyśni się, wtykać nos w zapadłą prawie dziurę, o której istnieniu nikt w mieście nie ma najmniejszego pojęcia.«

Obydwaj doszli już do końca tego samego starego i wysokiego muru, który, jak sobie każdy z łatwością przypomni, zasłaniał widok z okna Henryki. Mur ten na parę set kroków długi odgraniczał miasto od szczerzego pola. Dawnemi czasy służył może do obrony, obecnie jednak był w stanie bliskim ruiny.

Może ze sto kroków przed więzieniem policyjnym, leżącym po drugiej stronie wąskiej uliczki, był wyłom szeroki, powstały wskutek przypadkowego zapadnięcia się muru. Gruzy i wielkie kamienie piętrzyły się w szczelinie, tamując przejście przez dziurę. Idąc jednak osobno i ostrożnie, można się było przecisnąć, choć z biedą.

Miejsce to wskazał Stefan przyjacielowi, sam idąc naprzód. Z powodu ciemności nie mógł Stefan rozeznaczyć miejsca, gdzie się znajdował. Widział tylko niewyraźnie odznaczające się zarysy drzew i kilku porozrzucanych domów. Idąc tak prawie pięć minut omackiem po nierównej drodze, na której wśród nocy nie trudno było o nieszczęśliwy wypadek, stanęli wreszcie przed jakimś domkiem mizernym.

Dom był dwa piętra wysoki, lecz wąski i robił wrażenie rudery. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkali w nim ludzie ubodzy, trudniący się, jak większa część sąsiadów, ogrodnictwem i hodowlą warzyw, których dostarczali miastu. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy już dawno spać się poukładali, gdyż przez zamknięte okiennice ani jedno nie błyszczało światelko, a w koło panowała głucha cisza. Nawet pies nie zaszczekał, gdy obydwaj młodzi przyjaciele nadeszli, choć mieszkańcy przedmieść bez podobnych stróżów obywać się nie zwykli.

»Zobaczmy najprzód, czy wszystko jest w porządku i czy jesteśmy pewni«, szepnął Stefan do towarzysza, idąc nieco w bok i spoglądając w górę na szczyt domu.

Z wąskiej szczeliny powiewała chusta, na którą niewtajemniczony z pewnością nie byłby zwrócił uwagi.

»Wszystko w porządku, możemy zapukać«, powiedział porucznik, zbliżając się do okiennicy na parterze.

Zapukał kilka razy po cichu i z przerwami.

Po upływie pół minuty odezwał się ktoś z wewnątrz zaszpanym głosem. Zdawało się, że głos pochodził od słabego starca.

»Któż tam i czego sobie życzycie w tak późnej godzinie?»

»Przyjaciół«, odpowiedział Kralowski.

»Przyjaciół? Jak się nazywa?»

»Zygmunt.«

»Zaraz otworzę«, odpowiedział ten sam głos, tym razem jednak silniej i pewniej.

Wkrótce potem słychać było lekki zgrzyt klucza w zamku i drzwi otworzyły się z wewnątrz ostrożnie. Ponieważ w sieni bardzo było ciemno, nie mógł Ignacy dostrzedz, kto drzwi otworzył. Stefan chwycił go za rękę i prowadził za sobą. Natychmiast drzwi znowu zamknięto.

»Stefan Kralowski i dobry przyjaciel«, szepnął porucznik do kogoś.

W tej chwili zabłysło światło z ślepej latarni, padające strumieniami na Ignacego, Stefana i częścią na tego, który latarnię miał w ręku. Był to nieco pochylony starzec z rzadkimi, siwymi włosami i z wąsem zawieszonym równego koloru. Choć w zaniedbanym ubraniu wyglądał niepozornie, natychmiast jednak podpadły Ignacemu bystre i płonące oczy, z których się przebijała niezłomna energia.

»Czy nasi przyjaciele są wszyscy na miejscu, Stasiu?« pytał się Stefan starca, poufale klepiąc go po ramieniu.

»Na pana tylko czekają, panie poruczniku.«

»Tem lepiej. Prowadzę z sobą kogoś, którego wszyscy powitają z radością. Poczciwy Stasiu, spamiętaj sobie nazwisko Ignacego Gurowskiego. Jestto jeden z najgorętszych patriotów i każdej chwili powinien mieć wstęp do Twojego domu.«

Starzec głęboko uklonił się Ignacemu i świecąc latarnią wchodził na górę po wąskich i spróchniałych schodach, które pod ciężarem osób uginały się i trzeszczały.

Wszystko w tym domu wyglądało biednie, lecz schludnie.

Na piętrze była mała i ciasna sionka, w której dwoje drzwi się znajdowały. Starzec do jednych zapukał i powtórzył hasło »Zygmunt«, poczem wkrótce otworzono.

Obaj przyjaciele weszli do wielkiego i jasno oświetlonego pokoju, w którym pełno było ludzi.

Opiszmy najprzód ten pokój, zanim przyjrzymy się towarzystwu, w którego kole Ignacy tak nagle i niespodziewanie się znalazł.

Mała salka, jeżeli ją tak nazwać można, była bardzo niską, ściany zaś i pułap belkowany miała z powodu starości i dymu zczerniałe. Po jednej stronie były w niej trzy okna, z zewnątrz zamknięte drewnianymi okiennicami, wewnątrz zaś tak ściśle kocami i derami zasłonięte, że w żaden sposób błysk światła przedostać się nie mógł na zewnątrz.

Dwa stoły drewniane z surowego materiału, długie, lecz wąskie stały wzdłuż ścian przeciwległych, zajmując prawie całą długość pokoju. Trzeci stół krótszy łączył w górnym końcu dwa dłuższe, wskutek czego utworzono tak zwaną podkowę.

Po obydwu stronach stołów stały ławki bez poręczy i zwyczajne stołki drewniane. Na stolach paliły się świece woskowe, oprawione w blaszane i pogięte lichtarze.

Innego umeblowania w tej salce nie było. Na pobielanych ścianach, z których tynk mocno poodpadał, wisiało tu i owdzie kilka sztychów kolorowanych, oprawionych w nędzne ramy i przedstawiających rozmaitych świętych. Główną ozdobą była wielka i ciemna litografia na głównej ścianie, przedstawiająca niebożczyka cara Mikołaja, konno i w kapeluszu z pióropuszem w takiej postawie, jak gdyby odbierał paradę. Obraz ten zabłąkał się tu tylko przypadkiem, lub go też zawieszono umyślnie dla zamydlenia oczu niepożądanym gościom.

Około stołu, ustawionego w podkowę, siedziało około czterdzieści do pięćdziesiąt osób. Wszyscy ubrani byli po cywilnemu i z pozoru należeli do wyższych stanów. Byli to po większej części młodzi ludzie, było jednak pomiędzy nimi także kilku siwych starców.

Zdawało się, że rozprawy tak zwanego klubu jeszcze się nie zaczęły, gdyż członkowie stali w bezładnych grupach, gdzie się komu podobało, a na stole nie widać było żadnego piwa.

W chwili, gdy Ignacy i Stefan Kralowski weszli do pokoju, oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku drzwiom. Pierwszy z nich poznał natychmiast kilku młodych swoich kolegów pułkowych i innych znajomych.

Zjawienie się Ignacego wywołało radosne zdumienie. Ponieważ wrócił do Żytomierza dopiero późno po południu, nie miał jeszcze czasu nikogo odwiedzić prócz najlepszego swego przyjaciela. Witano go więc ze wszystkich stron głośno. Jedni skoczyli z miejsca i ściskali go, drudzy zaś podawali mu rękę. Ogólnie powtarzano:

»Wiedzieliśmy, panie Gurowski, że gdy wrócisz, napewno przystąpisz do naszego klubu.«

Gdy się Ignacy serdecznie przywitał z obecnymi, powoli nastawała cisza, jeden zaś z starszych panów, Polak, choć wysoki ruski urzędnik, dał znak, że zagaja posiedzenie klubu.

Z początku miały rozprawy charakter parlamentarny. Jeżeli ktoś chciał przemawiać, musiał poprzednio zgłosić się do przewodniczącego, który kolejno udzielał głosu. Pierwszy mówca, kapitan z pułku Ignacego, przeczytał list, który przed kilku godzinami odebrał od innego oficera polskiego, stojącego załogą w Warszawie. Pismo było poufne, a sposób opisywania nosił na sobie cechę bezwarunkowej i bezstronnej prawdy. Podług jego sprawozdania wrzenie i niepokój coraz bardziej wzrastały, a rozgoryczenie wśród wszystkich klas społeczeństwa było niesłychane. Niezadowolenie podsyciała głównie rewolucyjna gazeta »Ruch«, która rozchodziła się w tysiącach egzemplarzy, której redaktorów jednak i drukarzy policja pomimo usilnych starań wypośrodkować nie zdołała. Codziennie odbywały się konfiskaty majątków i aresztowania, transport za transportem osądzonych winowajców, lub podejrzanych tylko osób, szedł na Sybir, lub do pułków Kaukaskich. Zakończenie tego prawdziwie wstrząsającego opisu było takie, że wszystkie objawy wskazują na blizki wybuch powstania.

Wiadomość tę przyjęto w milczeniu, lecz z zaszępieniem. Również na czole Ignacego osiadły ciemne chmury.

Po kolei więc jeden po drugim powstał i odczytywał sprawozdania, odebrane z Warszawy, lub też z innych stron Królestwa Polskiego. Zewsząd uskarżano się na brutalność i gwałty Moskali, zewsząd opisywano niedolę Polaków, widy-

czną z przykładów. Zebranie stawało się coraz to burzliwsze, twarze coraz to bardziej ponure i rozpalone. Niektóre wiadomości, szczególnie zdolne obrazić poczucie narodowe, wywoływały szmer oburzenia. Niejeden zaklął nawet głośno. Wreszcie zerwała się tak straszna burza gniewu, że zagłuszyła mówców. Przewodniczącemu udało się ją uśmierzyć jedynie wskutek napomnienia, że wszystko może się wydać. Autorami owych listów byli sami ludzie honorowi, czasami starzy i bardzo doświadczeni, którym nie można było czynić zarzutu fanatycznej zacieklności. Wszyscy wprawdzie oświadczały się otwarcie za stronnictwem narodowym, lub też nosili się z zamiarem przejścia do niej po wystąpieniu z umiarkowanej partyi reformy.

Ignacy przysłuchiwał się sprawozdaniom z tem mocnem przedsięwzięciem, że zachowa spokój i nie da się porwać ogólnemu uniesieniu. Z czasem jednak i jemu krew zaczęła się burzyć. Hamował się jednak, choć Stefan, siedzący obok niego, raz po raz gwałtownie ścisnął go za rękę i okiem palającem wpatrywał się w niego.

Z rzędu przyszła kolej na pismo, pochodzące z Lublina. Podług opisu i tu Moskale dopuszczali się gwałtów na osobach i rzeczach. Wyliczono cały szereg aresztowanych osób, choć niczem nie wykroczyły przeciwko prawu. Wymieniono nawet ich nazwiska. Na liście tej stało także:

»Panna Henryka Postojotówna, z Turowic pod Radzymiem, jedyna córka owdowiałej jenerałowej, aresztowana nagle przed dziewięciu miesiącami, ponieważ była podejrzaną o współudział w knowaniach rewolucyjnych. Bez sądowego śledztwa odwieziona do Żytomierza, gdzie w więzieniu policyjnym do tego czasu ma się jeszcze znajdować.«

Po tych słowach zdawało się, że piorun strzelił w Ignacego. Ku zdumieniu wszystkich, którzy oprócz Stefana nie byli dobrze obeznani z jego stosunkami rodzinnymi, skoczył z miejsca i poleciał do mówcy, chwytając go mocno za ramię.

»Przeczytaj pan raz jeszcze, proszę pana o to! wybełkotał, z czerwonego stając się bladym.

Mówca przeczytał jeszcze raz cały ustęp od początku do końca, będąc równie zdumionym, jak wszyscy obecni dziwnem zachowaniem się kapitana, znanego ogólnie z umiejętności panowania nad sobą.

»Henryka tu? Od dziewięciu miesięcy uwięziona?« zawołał Ignacy na pół tylko przytomny. »To być nie może!«

»Zaręczam panu jednak, że autor tego listu jest wiarogodnym człowiekiem«, odpowiedział mówca, młody dziedzic, nieco z urazą.

»Jakaż to dama? Czy ją znasz kapitanie?« pytano się zewsząd.

»To jest moja druga siostra!« zawołał Ignacy głosem, przenikającym wszystkich do głębi.

Rozległ się okrzyk ogólnego zdumienia.

»Opowiedz nam pan, opowiedz wszystko!« zawołało kilku. »Jesteśmy gotowi panu i tej pani dopomóc, o ile to tylko będzie w naszej możliwości!«

Lecz Ignacy wiadomością, którą co dopiero usłyszał, tak bardzo był wzburzony, że słowa wymówić nie mógł. Przyjaciela jego Stefan niemniej był rozdrażnionym, przewyciężył się jednak i jak mógł najlepiej, starał się zaspokoić ogólne współczucie i ciekawość.

»Proszę panów, nie przerywajcie swoich narad«, powiedział Ignacy, jakby co dopiero ze snu zbudzony, gdy przyjaciel jego wszystko już zebrany opowiedział. Głos jego odzyskał znowu dawną swą siłę, a w oczach migotały mu dziwne ogniki. »Dola jednostki niczem jest w porównaniu z interesami ogółu. Jestem panom niewymownie wdzięcznym za Wasze współczucie i za gotowość popierania mnie w przyszłości. Nie życzę sobie jednak, żeby się który z panów miał skompromitować i dla tego poproszę o pomoc tylko w największej potrzebie.«

Po tych słowach usiadł znowu na dawne miejsce. Ponieważ w głosie jego brzmiała stanowczość, niedozwalająca dalszych pytań lub uwag, zamilkli wszyscy z wyjątkiem mówcy, który po przerwie znowu zaczął czytać.

Stefan mówił prawdę, twierdząc, że o właściwym spisku przeciwko rządowi w tym klubie potajemnym nie było wcale mowy. Choć gorzko się uskarżano, i choć umysły były bardzo wzburzone, nie wspomniano jednak ani słowem o środkach obrony, jakich chwycić się trzeba. A jednak panowie, zabierając się do wyjścia, uścisnęli sobie dłonie mocniej, niż zwykli

i spoglądali na siebie dziwnymi oczami, w których wyraźnie czytało się słowa:

»Jak bracia stoimy ramię przy ramieniu aż do śmierci, — każdy z nas wie, co mu czynić wypadnie, gdy wybuchnie oczekiwane i nieuniknione powstanie.«

Ignacy tego wszystkiego wcale nie zauważył, gdyż chwilowo za bardzo zajęty był swojemi osobistemi sprawami. Ponieważ wszyscy to zrozumieli i nikt nie wątpił o jego patriotyzmie, nie pytano go się wcale o własne jego zdanie.

Powoli salka się wypróżniła. Stefan wziął przyjaciela pod ramię i wyprowadził go z domu, z którego członkowie klubu w pojedynkę lub parami wychodzili, rozpraszając się natychmiast na wszystkie strony.

»Co zrobisz?« pytał się porucznik.

»Jeżeli Henryka rzeczywiście jęczy w tem więzieniu, postaram się wejść z nią w porozumienie i uwolnić ją, gdyby sobie tego życzyła.«

»Dobrze, mam nadzieję, że w tem trudnem zadaniu wyznaczysz mi także jaką skromną rolę.«

»Zobaczmy«, odpowiedział Ignacy w zamyśleniu.

Była już godzina trzecia po północy, gdy obaj przyjaciele wracali znowu do miasta tą samą drogą, którą poprzednio przybyli.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY.

Wybawca.

W wielkim portalu więzienia policyjnego stała, jak inspektor Henryce bardzo słusznie powiedział, podwójna warta. Jedna składała się z około dziesięciu żandarmów i policyantów, którzy patrolowali wewnątrz budynku, druga zaś z około trzydziestu piechurów pod rozkazami porucznika. Ostatni stali na posterunku na podwórzu i na ulicy.

Dwa dni po owej nocy, w której klub potajemny odbywał swoje narady, miał objąć komendę odwachu w więzieniu policyjnym jakiś młody porucznik, który na ten sam wieczór miał naznaczoną schadzkę z jakąś piękną dziewczyną. Rozpacz jego nie знаła granic z powodu, że obowiązek służbowy popsuł mu zabawę. Młody i zarozumiały głuptaś opowiadał o swoim nieszczęściu wszystkim towarzyszom.

»E, cóż to za nieszczęście!« zauważył porucznik Kralowski.

»Oho, dobrze panu mówić, kolego! — Jeżeli dziś nie stawię się na schadzkę —«

»Dla czegoż nie miałby się pan stawić? Przecież pan nie pozwoli, aby dama na pana czekała?«

»Mój Boże jedyny, powiedziałem już panu, że jestem odkomenderowany na odwach w więzieniu policyjnym! Dostałbym się na dziesięć lat do fortecy, gdybym pokryjomu miał oddalić się z odwachu.«

»Rzecz jasna. Może pan jednak znajdzie jaką duszę miłosierną, która się zlituje nad pańskim nieszczęściem i zastąpi pana w tej fatalnej służbie.«

»A może pan mnie zastąpi?« pytał się młody trzpiot z niedowierzaniem.

»Czemuż nie miałbym tego uczynić? Na drugi raz pójdzie pan za mnie na odwach.«

»Panie Kralowski, na honor, jesteś pan dzielnym kolegą!«

»Wiem o tem, — zasłużyłem sobie już dawno na stopień kapitana.«

»Życzę tego panu z całego serca. Gdyby jednak tak było, nie mógłbyś pan dziś mnie zastąpić.«

»Prawdę powiedziawszy, jesteś pan trochę samolubnym. Mimo to słowa nie cofam, — pójdę za pana na odwach.«

Zawarto więc układ bez ceremonii. W samo południe porucznik Kralowski objął dowództwo odwachu w więzieniu policyjnym. Zanim to uczynił, pomówił kilka słów z swoim przyjacielem Ignacym, który od dwóch dni chodził jak lunatyk.

Dzień był jesienny ponury i dżdżysty. O piątej godzinie zapadał zmierzch szary, noce były ciemne, że oczy wykoł, a dzień stawał się dopiero o szóstej lub siódmej.

Utartym zwyczajem oddał inspektor dyżurnemu oficerowi listę odsiadających właśnie więzienie osób, którą należało podpisać na znak odpowiedzialności za to, gdyby kto uciekł. Obok nazwiska każdego więźnia stał numer jego celi. Porucznik Kralowski dosyć był roztroptym i w obecności inspektora pobieżnie tylko rzucił wzrokiem na listę, dla zadośćuczynienia formie, podobnie jak to czyniła większa część kolegów. Tym jednym jednak rzutem oka szukał i znalazł nazwisko Henryki Postowojtówny.

Później nieco zawiązał rozmowę z jakimś dozorcą więzienia, na pozór przypadkiem i w ten sposób dowiedział się z wiarogodnego źródła, w której mniej więcej części budynku leży cela tej pani, której numer z listy wyczytał.

Wiemy już, że cela więzienna Henryki leżała tuż ponad wielkim portalem, w którym znajdował się odwach. Tak zwany wielki portal był dawniej główną bramą więzienną. Ztąd jego nazwisko. Gdy przed latami przy odnawianiu więzienia poczyniono wielkie zmiany w rozkładzie budynku, zamurowano także główne wejście z ulicy, tej samej wąskiej uliczki, o której już kilka razy wspominaliśmy. Zamiast wielkiej bramy pozostawiono tylko małą furteczkę, zamkniętą dnem i nocą. Główne wejście znajdowało się od tego czasu w skrzydle przeciwniegiem więzienia, zbudowanego w dosyć regularny kwadrat.

Ponieważ przestrzeń pomiędzy jednym a drugim skrzydłem nie była wielką, odwach pozostał na dawnym miejscu, a furtkę w uliczce strzegła warta podwójna.

Przedewszystkiem zależało Ignacemu, nie mniej jak jego przyjacielowi, wtajemniczonemu we wszystkie sekrety, na tem, aby się z Henryką w jakikolwiekby sposób porozumieć. Obaj bowiem nie wiedzieli na pewno, czy dziewczyna wogóle chciałaby uciec z więzienia, ani też nie znali trudności, jakie przy podobnej próbie należało pokonać. Trzeba więc było przedewszystkiem dowiedzieć się, gdzie szukać Henryki. Odpowiedź na to pytanie była jedynym celem Kralowskiego, gdy z własnej woli zaciągał się na odwach.

Po południu zjawił się także Ignacy. Przyszedł w celu odwiedzenia przyjaciela i dla zabicia nudy, na którą Stefan przez całą dobę na odwachu był narażony. Takie odwiedziny były rzeczą zwyczajną, i nikt w nich nic złego podejrzawać nie mógł. Obydwaj przyjaciele byli więc sami i mieli czasu dosyć do omówienia planów działania.

Przystęp do Henryki przez korytarze zupełnie był wykluczony. Porozumieć się z nią, można było tylko z uliczki. Tu jednak na rogu więzienia stała z nabitą bronią straż wojskowa. Za dnia mieli żołnierze na cały front budynku widok otwarty, w nocy zaś podług otrzymanego rozkazu powinni byli patrolować po uliczce, chodząc tam i napowrót. Chociaż ulica, jak już powiedziano, otwartą była dla ruchu publicznego, nie można się było na niej zatrzymywać. Gdyby kto stanął i chciał rozmawiać z więźniami, byłby się naraził na zatarg z wartą, mającą nakaz wyraźny, aby na takie rzeczy nie pozwalając.

Oficer dyżurny nie tylko miał prawo, lecz także obowiązek wskutek otrzymanej instrukcyi raz po raz odbyć rondę wokół budynku tak we dnie, jak w nocy, aby się przekonać, czy ustawione posterunki czuwają. Z tego prawa skorzystał porucznik Kralowski i przekonał się, gdzie leży okno Henryki. Jej samej w oknie nie zobaczył. Nie znał jej wcale i nie wiedział, jakich użyć znaków, aby na siebie zwrócić uwagę uwięzionej.

Przy drugiej rondzie — a był to jeszcze dzień jasny — towarzyszył Ignacy, ubrany po wojskowemu, swojemu przyjacielowi. Podług obopólnej umowy stanął porucznik przed

wartą, mającą nakaz dozorowania uliczki w ten sposób, że żołnierze stracili ją z oka. Podczas gdy Stefan wdał się z wartą w rozmowę o sprawach służbowych, poszedł Ignacy, udając, jakby w tem wcale nie miał interesu, dalej i stanął prosto naprzeciw okna, jakie mu wskazał Kralowski. Stojąc wygwizdywał głośno piosenkę, chcąc na siebie zwrócić uwagę Henryki.

Manewr ten udał się nad spodziewanie. Biedna dziewczyna, której w więzieniu najmniejsza rozrywka sprawiać musiała przyjemność, i która z chęcią zwracała uwagę na każdą drobnostkę, widoczną z jej celi, natychmiast przystąpiła do okna.

Henryka od razu poznała swojego rówieśnika, który w nią utkwiał wzrok nieruchomy. Bładła bowiem i czerwieniła się i ręką zasłoniła czoło, jak gdyby się chciała przekonać, że nie śni, lecz widzi na jawie. Potem ruchem gwałtownym rzuciła się do okna, jak gdyby je chciała otworzyć. Nagle jednak rozmyśliła się. Dając znak Ignacemu, aby pozostał na miejscu, prędko odskoczyła od okna.

Serce Ignacego biło, jak młotem, zanim ją znowu zobaczył.

Stało się to zaledwie po upływie pół minuty. Wtedy zobaczył mimo oddalenia, jak Henryka drżącą ręką trzymała papier, na którym wielkimi głoskami napisała:

»Wróc — o dwunastej.«

Papier ten tak przycisnęła do szyby, że Ignacy z łatwością odczytał pismo, mając oko bystre.

Czego żądała, było jasnem. Ignacy tylko nie rozumiał powodu, dla którego miał stawić się na tem samem miejscu. W porze nocnej bowiem trudno było, dostrzedz jej okno, a trudniej jeszcze ją samą. Wiedział jednak, że Henryka odznaczała się nadzwyczajną przytomnością umysłu, z czego wnioskował, że plan swój już ułożyła.

Ponieważ zaczął się już obawiać, że z innych okien mógłby go kto dostrzedz, spuścił głowę ku ziemi i zwrócił się do przyjaciela, który właśnie nadchodził.

Ignacy natychmiast opowiedział Stefanowi, co się stało. Porucznik również nie mógł zrozumieć, co Henryka zamierzała. Obaj jednak zgodzili się na to, że życzenie jej spełnić należy.

Z wielką niecierpliwością oczekiwali młodzi towarzysze

nadejścia północy, gubiąc się w tysiącnych domysłach i knując plany najrozmaitsze, choć bezskuteczne. Nareszcie wybiła godzina pożądana. Obaj puścili się w drogę z tem postanowieniem, że tak samo sobie postąpią, jak za dnia podczas rondy.

Tak też się stało. Porucznik wdał się znowu z strażą w rozmowę, a Ignacy poszedł sobie naprzód. Było tak ciemno, że Henryka z okna nie mogła go dostrzedz. Począł więc znowu wygwizdywać tę samą piosenkę, którą już za dnia zwrócił jej uwagę na siebie.

W oknie jej równie było ciemno, jak na całym froncie ponurego budynku. Mimo to zdawało mu się, że gdy stanął na ulicy, posłyszał jakiś szelest daleki, poczem jakiś przedmiot z brzękiem upadł na bruk tuż obok niego. Pochylił się i szukał, coby to było. Nie bez mozołu w ciemnościach nocy ujrzał na ziemi coś świecącego. Sięgnąwszy ręką, przekonał się, że podniósł zwyczajny, mały kluczyk, do którego przywiązano skrawek papieru białego.

Tuż na miejscu nie mógł Ignacy przeczytać, co na papierze z pewnością było napisane. Z tego powodu w niemalym był kłopotcie. Jeszcze raz spojrzął na okno. W celi było ciemno i głucho.

Z tego wnioskował, że Henryka tej samej jeszcze nocy nie spodziewała się odpowiedzi od niego. Bez wątpienia napisała mu na kartce, czego sobie życzyła. Głęboko wzruszony schował do kieszeni drogą pismo i kluczyk, widocznie należący do kuferka podróżnego. Gdy Stefan nadszedł, pospieszyli obaj przyjaciele do izby na odwachu.

Drżącą ręką otworzył Ignacy liścik i czytał, co następuje:

»Drogi bracie Ignacy!

Pan Bóg zesłał Cię na mój ratunek. O tem ani na chwilę nie wątpię. Prawie od dziesięciu miesięcy jęczę już w więzieniu, do którego wtrącono mnie bez należytego śledztwa i wyroku, jedynie na mocy podejrzenia, że brałam udział w ruchu politycznym. Nie zdolną jestem wyrazić Ci, co wycierpiałam od czasu, gdy mnie przemocą oderwano od matki i całego świata. Obecnie żyję tylko jedną myślą, gorącym pragnieniem wolności. Jestem przygotowaną na wszystko, niczego się nie ulękne, byle tylko uciec.

Jakiś głos wewnętrzny powiada mi, że nie sam przypadek

sprowadził Cię pod moje okno. Przeczuję, że teraz dopiero dowiedziałeś się, gdzie jestem, i że braterskie Twoje serce nie zadowoli się jedyną pociechą, żeśmy się widzieli. Wiem, że starasz się o to, czynnie przyjść mi z pomocą.

Przedewszystkiem powinniśmy zawiązać z sobą korespondencję. Do tego celu widzę jedną tylko drogę. Widocznie Pan Bóg nam sprzyja. Szczęśliwym sposobem zdołałam po kilkomiesięcznej natężonej pracy otworzyć jedno skrzydło zamkniętego okna. Plan mój jest więc następujący. Przyjdź jutro punktualnie o północy. Wtedy na sznurku, jaki przypadkiem posiadam, spuszczę z okna jakiś ciężarek, do którego potem przymocujesz swoją odpowiedź. W podobny sposób zawsze będziemy mogli odbierać listy od siebie. Ponieważ jesteś oficerem, wiesz sam najlepiej, w jaki sposób omylić czujność straży. Zaklinam Cię jednak i błagam, abyś był ostrożnym, gdyż z jednej strony lękam się o Ciebie, z drugiej zaś czuję, że nie przeżyłabym tej chwili, gdyby mnie nadzieja zawiodła.

Po zobaczeniu się z tobą jestem obecnie tak rozdrażnioną i niezdolną do obmyślenia jakiegoś planu ucieczki, Radź więc sam i dopomóż mi. Jestem gotową odważyć się na wszystko. Wiesz, że mam dosyć sił i odwagi. Dalszy pobyt w tem strasznym więzieniu byłby dla mnie powolną śmiercią wśród najsroższych męczarni. Liczy na Ciebie i ufa Tobie.

Twoja siostra Henryka.

W najwyższem uniesieniu Ignacy bilecik do ust przycisnął, na co przyjaciel spoglądał z pewnem zadziwieniem. Może po raz pierwszy zaświtało mu w głowie, że przywiązanie Ignacego do Henryki ma głębszą jeszcze przyczynę od miłości braterskiej. Nic jednak o tem Ignacemu nie wspomniał, tylko zapytał go się zamyślon:

»Cóż dalej pocniemy?»

»Możebyśmy przekupili dozorcę i dozorczynię Henryki? — odpowiedział Ignacy. »W takim razie możeby nam się z łatwością udało w ubraniu żołnierskiem wyprowadzić ją przez odwach na wolność.«

»To się nam nie uda, drogi przyjacielu! Jestto myśl niewykonalna. O ile mi wiadomo, wszyscy urzędnicy w tem więzieniu policyjnym są zakutymi moskalami. Próba przekupienia ich mogłaby nam wyjść na złe, szczególnie, że nie rozporzą-

my zbyt wielkimi sumami. Trzeba i to wziąć pod rozwagę, że choćby nam się nawet udało przekupić dozorców, śledztwo z całą pewnością wykazałoby sposób, w jaki Henryka uciekła. Gdyby się wydało, że ją wyprowadzono przez odwach, komenderujący nim oficer musiałby dać głowę. Nie, kochany Ignacy przez korytarze do celi Twojej — siostry dostać się nie możemy. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak ucieczka przez okno.

»Co Ty myślisz, Stefanie? okno leży na drugim piętrze.

»Oho, dysyć jest znanych powieści prawdziwych i zmyślonych, w których przy ucieczkach sznur główną grał rolę.

»Jednakże kobieta — słaba dziewczyna! —

»Kochany przyjacielu, czyż nie opowiadałeś mi kiedyś, że przed kilku laty oboje z Henryką musieliście strasznie walczyć z wilkami?»

»Tak jest. Jakiż jednak związek ma przygoda z wilkami z obecnym naszym położeniem?»

»Związek jest taki, że mojem zdaniem dziewczyna bohaterska, zdolna z pistoletem w ręku spojrzeć w oczy spokojnie całej gromadzie dzikich drapieżców, i umiejąca, jak sam opowiadałeś, hasać jak kozak na najdzikszym koniu, taka się nie ulęknie i zejdzie parę łokci na dół po mocnej, choć bujającej się drabce, szczególnie gdy od tego zależeć będzie wolność i życie.«

Ignacy przez chwilę pogrążył się w zadumaniu a potem powiedział z namarszczonem czołem:

»Henryka nie zna ni strachu, ni lęku i nie cofnie się przed żadnem niebezpieczeństwem. Jakimże jednak sposobem chciałbyś jej posłać drabinkę ze sznurów, będąc sam tego zdania, że dozorczy przekupić się nie dadzą?»

»Ależ, kochany Ignacy«, odpowiedział porucznik Kralowski z tryumfującym uśmiechem, »jedno z dwojga, albo w tej chwili z wielkiego rozdrażnienia pomięszało Ci się w głowie, albo też wcale nie masz zdolności do przygód romantycznych. Drabinka, o którą wcale nie potrzebujesz się troszczyć, dojdzie do rąk Twojej siostry zupełnie na tej samej drodze, co list, który bez wątpienia jutrzejszej nocy będziesz chciał wysłać.«

Ignacy spoglądał przez chwilę na przyjaciela badawczo, potem skoczył i mocno go uściśnął.

»Stefanie!« zawołał z radością, — Ty jesteś moim najlepszym, moim jedynym przyjacielem. Spuszczam się zupełnie na Ciebie i nie wątpię, że Henryka będzie wyratowana! Kiedyż będziemy mogli Twój plan wykonać!»

»Na to będzie potrzeba kilka dni czasu. Ja zajmę się przygotowaniem drabinki, Ty zaś zechciej powiadomić pannę Henrykę o naszym planie, którego pomysł przypisz sam sobie, i dowiedz się, czy panna na plan ten się zgadza.

»Nie wątpię o tem, że się zgodzi.«

»Tem lepiej. Widzę już, jak ucieczka z więzienia się udaje. Ty potrzywasz drabinkę, ja zaś zabawię się z strażą, jak to dziś dwa razy już mi się udało. Wolałbym przebić ją pałaszem, aniżeli dozwolić, aby Wam stanęła na drodze. Dla tego musiny odczekać dnia, w którym będę miał komendę na odwachu. Nie wiem tylko, gdzie panna znajdzie schronienie, gdy ciemne mury więzienia pozostawi poza sobą. Jest bowiem rzeczą najpewniejszą w świecie, że przetrząsną całą okolicę, żeby ją tylko znowu pochwytać.«

Po rozpromienionem czołe Ignacego przeciągnęła znowu ciemna chmura troski.

»W każdym razie trzeba ją przemycić przez austryacką granicę, odległą od nas w prostym kierunku przynajmniej mil trzydzieści.«

»Pojadę z nią razem i bronić jej będę na śmierć i na życie!« dorzucił Ignacy z pospiechem.

Możesz bracie oszalać? — Bez względu na to, że będąc jej krewnym, najwięcej masz powodu do unikania pozoru nawet, jakobyś jej pomagał do ucieczki, zachodzi jeszcze ta okoliczność, że będąc oficerem, narażasz się więcej jak każdy inny. W podobnych przypadkach nie chodzi tylko o kulę, której żaden porządny człowiek się nie ulęknie, lecz o wstyd i degradacyę. Myślę, że wolałbyś raczej śmierć, aniżeli hańbę, gdyby Cię miano wysłać do kaukaskich pułków w żołdaku, i gdyby miano częstować Cię knutem, ile razy spodobałoby się to lada lajdakowi. Na to za nic w świecie nie zgodziłaby się Henryka. Zresztą jednemu daleko łatwiej zmylić poszlaki policyi, jak dwojgu. Jeżeli, jak powiadasz, Twoja siostra ma charakter mężki, obejdzie się z pewnością bez Twojej pomocy.

Nie, kochany Ignacy, Ty pozostaniesz na miejscu i będziesz udawał, że o niczem nie wiesz. Nie przyznasz się nawet, że cośkolwiek wiedział o jej pobycie w mieście. Musisz mi dać słowo honoru, że nie popełnisz głupstwa, w przeciwnym bowiem razie nic o tej sprawie wiedzieć nie chcę jedynie z względu na Twoje dobro i na naszą przyjaźń.»

»Cóż więc stanie się z Henryką?«

»Nad tem namyśliłmy się jeszcze. Idź teraz do domu i przygotuj list do niej na noc jutrzejszą. Skoro mnie zluzują z odwachu, przyjdę do Ciebie i towarzyszyć Ci będę jutro wieczorem.«

Po wymianie kilku słów rozstali się obaj przyjaciele.

Ignacy rzeczywiście nie był człowiekiem zdolnym do jakiegokolwiek intrygi — nawet w najlepszym tego słowa znaczeniu. Rozważny i oględny w załatwianiu spraw własnych, nie pokoił się i wahał powodowany współczuciem, szczególnie względem osób sercem mu bliskich. Wróciwszy do domu starał się wrócić do równowagi i napisał długi list do Henryki w którym jej donosił o planie, jaki z przyjacielem wspólnie ułożyli. Prosił ją także, aby mu wierzyła bezwzględnie i na następnej nocy doniosła, co postanowiła.

Niestrudzony w wynajdywaniu coraz to nowszych pomysłów Kralowski, gdy nazajutrz po południu odwiedził swojego przyjaciela, miał już całą wiązkę dalszych planów na przyszłość. Tak więc umyślił, gdyby się Henryka na to zgodziła posłać jej ubranie męskie z tego powodu, że ułatwiałoby schodzenie po drabinie. jak wogóle całą ucieczkę. Potem miał obaj z Ignacym odprowadzić Henrykę do starego ogrodnika Stasia, w którego domu odbywały się tajne posiedzenia klubu. U niego miała się panna ukrywać tak długo, dopókiby policja nie zaprzestała gwałtownego pościgu. Wtedy dopiero miało korzystać z stosownej chwili i przejść granicę anstryacką.

Ignacy zgadzał się na wszystko. Rzeczywiście wymógł Stefan na nim słowo honoru, że sam powstrzyma się od wszelkiego działania, ponieważ mógłby się narazić na największe niebezpieczeństwo.

List Ignacego doszedł następnej nocy szczęśliwie do Henryki. Jakiej straży i któremu żołnierzowi rosyjskiemu przyzwyczajonemu do niewolniczego posłuszeństwa, byłoby

przyszło na myśl, podejrzывать i zatrzymywać dwóch oficerów, ubranych w mundury? Któryżby żołnierz na to się odważył? — Henryka czuwała. Ignacy z łatwością spostrzegł sznurek, który zaopatrzony na końcu w ciężarek, wisiał z okna prostopadle. Za pomocą tego przewodnika list doszedł prędko po dług adresu.

W ten sam sposób odebrał Ignacy następnej nocy odpowiedź.

Henryka zgadzała się na wszystko. Nie obawiała się niczego, tylko brata usilnie prosiła, aby z dniem ucieczki nie zwlekał za długo.

Przez ten czas wielce pomysłowy i zręczny Stefan własnymi rękami związał drabinę, ponieważ żadnemu rzemieślnikowi w mieście nie dowierzał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Próba ucieczki.

W drugiej połowie października dzień był ponury i zimny. Od rana do wieczora padało bez ustanku. Potem noc zapadła, tak ciemna, że na pięć kroków nie było można odróżnić przechodniów na ulicy.

Czarne, ciężkie chmury pokrywały niebo, z których od czasu do czasu spadał deszcz krótki, lecz ulewny. Ostry wicher to świszczał, to jęczał na rogach ulic miasta Żytomierza a góra pędziła chmury przed sobą lotem błyskawicy, nie pozwalając im na długo zalewać ziemię strumieniami wody.

Kto nie miał pilnych interesów poza domem, zamykał drzwi i okna zawczasu. O dziewiątej godzinie wieczorem miasto, prawie nigdy nie ożywione, wyglądało jak wymarłe. Najgorzej działo się biednym strażom wojskowym. Deszcz bezustanny przesiąkał powoli przez grube, filcowe sukno szarych płaszczy, woda ściekała im z hełmów po grzbiecie i po twarzy, a ręce zdrętwiałe zdołały zaledwie utrzymać ciężkie i zimne muszkiety. Z tego powodu żołnierze po większej części pokryli się w budkach strażniczych, lub też biegali, jak niedźwiedzie w klatce, na wyznaczonem im stanowisku szybkim krokiem tam i napowrót.

Straże zlurowano o jedenastej w nocy, poczem czuwać musiały przez całe dwie godziny.

Zaraz po zlurowaniu straży szedł sobie uliczką po za więzieniem policyjnym jakiś biedak w wytartym ubraniu, widocznie jakiś robotnik. Zapewne po pracy dziennej zaprzął sobie głowę, gdyż szedł krokiem bardzo niepewnym. Pod ramieniem trzymał jakiś pakiet.

Skoro żołnierz stojący na straży posłyszał odgłos kroków, zaczął biedz jeszcze prędzej, chcąc przekonać się z bliska, kto nadchodzi, i stosownie do otrzymanej instrukcyi zaczął wołać na przybysza.

»Pytasz się braciszku, kim jestem i z kąd idę?« bełkotał podchmielony człowiek po rosyjsku. »Przez cały dzień pracowałem jak koń uczciwie. Myślę, że ani car, ani ty, braciszku, nie weźmiecie mi za złe, że wracając do domu, wstąpiłem do karczmy na kieliszek gorzałki.«

Na tę dowcipną uwagę żołnierz nic nie odpowiedział, tylko odwrócił się z dumą i zaczął znowu kroczyć poważnie.

»Braciszku!« wołał za nim podchmielony. »Powiedz mi tylko, czy przy takim psim powietrzu, porządny człowiek nie ma prawa wypić kieliszka gorzałki? Czy nie jesteś tego samego zdania, że warto rozgrzać się trochę na słocie?«

»Idź do diabła!« mruknął żołnierz. Chociaż mu ślina w ustach się zbierała. Złym był jedynie dla tego, że zazdrościł robotnikowi animuszu, jaki daje gorzałka.

Wiadomo ogólnie, że żołnierz rosyjski napitkiem nie gardzi.

»Kochany przyjacielu«, powiedział robotnik, siłąc się ustat na miejscu, choć mu to w jego stanie nie bardzo się udawało, i wydobywając sporą flaszkę z kieszeni zabrukanego kozucha. »Nie gniewaj się braciszku, możesz mi wierzyć, że ci dobrze życzę. Pociągnij zemną z flaszeczki, to się rozgrzejesz. Nic za to nie żądam. Odebrałem dziś tygodniówkę, warto więc napić się z tobą, bo lubię bardzo żołnierzy.«

»Idź sobie!« mruknął znowu żołnierz głosem łagodniejszym. »Wiadomo ci pewnie, że straży pić nie wolno.«

»Nie tak głośno, braciszku! Nikt nas tu nie widzi, ani nie słyszy! — Spróbuj tylko!«

Taczając się przy tych słowach, podał żołnierzowi flaszkę. Ten jednak poczęstunku nie przyjął, paniętny na instrukcję, tylko muszkiet coraz mocniej ścisnął rękami. Robotnik sam więc głowę w tył przechylił, do ust flaszkę przyłożył, pociągnął z niej kilka mocnych łyków, i wreszcie powiedział z uśmiechem:

»Jak to rozgrzewa! Możliwe się teraz założyć, że ciepło mi, jak w lecie! Dobranoc, braciszku! Chcesz marznąć, to rób, co ci się podoba!«

»Hej!« zawołał żołnierz po widocznej z sobą walce. »Co to za gorzółka?«

»Czysta i starka.«

»Daj mi spróbować, przyjacielu.«

»Z przyjemnością, tylko proszę cię, nie wypij wszystkiego od razu.«

Napomnienie nie zupełnie było zbytecznem, gdyż żołnierz służbista przypiąwszy się do fiaszy, nie odejmował jej od ust przez kilka sekund. Po napiciu się, otarł sobie wąsy.

»Dziękuję ci, braciszku!« powiedział bardzo przyjaźnie.

»Nie ma za co! Jeżeli chcesz, napij się jeszcze, kochany przyjacielu!«

Drugie pociągnięcie trwało jeszcze dłużej, jak pierwsze. Gdy wreszcie żołnierz fiaszę oddał z powrotem, robotnik schował ją do kieszeni w kożuchu, powiedział: »dobranoc« i pociągnął się dalej.

»Gdy straży znikł z oczu, co wśród panującej ciemności niebawem się stało, przestał się tacać i szedł krokiem pewnym. Potem przecisnął się przez szczelinę, o której już dawniej była mowa i ukrywając się za murem, zrzucił z siebie prędko kożuch barani. Gdyby jaki widz przypatrywał się tej scenie, miałby złudzenie, że jest rzeczywiście w teatrze. Nagle bowiem wyłonił się z dziury rosejski oficer w mundurze i uważnie spoglądał po ulicy.

W tym samym czasie szyldwach broń spuścił do nogi, ręką kilka razy przesunął hełm po głowie, jakby mu nagle zaciężył i wolnym krokiem skierował się do strażnicy.

Wlazszy do budki kilka razy napróżno się silił, nie mogąc snu spłoszyć z powiek. Potem broń w kąt postawił i zadowolony się, ciężko przykucnął. Po upływie pół minuty spał już jak zabity.

Rzeczą jest jasną, że nawet wielka doza czystej gorzałki nie mogłaby wywrzeć podobnego skutku. Z pewnością więc do napitku domieszano jakiegoś środka nasennego.

Była już prawie północ.

Znowu rozległ się odgłos kroków, zbliżających się z frontu więzienia do uliczki i do budki strażniczej. Był to oficer dyżurny, który rondę odbywał.

Gdy przyszedł do strażnicy, nie zdziwił się wcale, że zastał w niej żołnierza śpiącego, i nie zadawał sobie żadnej pracy, aby go zbudzić. Trzeba bowiem wiedzieć, że dyżur miał porucznik Kralowski, i że podług umowy tej właśnie nocy Henryka miała uciec z więzienia.

Porucznik z zadowoleniem skinął głową i gwizdnął nie za głośno na znak, że wszystko w porządku. Rozglądając się na wszystkie strony sam pozostał blisko strażnicy.

Na świst sygnału wyszedł oficer — nie potrzeba zapewne dodawać, że był nim Ignacy — z otworu w murze, trzymając w ręce pakiet, o którym już dawniej wspominaliśmy, i szybkim choć cichym krokiem zbliżył się do miejsca, ponad którem leżało okno Henryki. Przez chwilę czegoś szukając, macał po ciemnym murze. Wreszcie znalazł, czego szukał, sznurek z ciężarkiem. Z wielkim pośpiechem otworzył pakiet. Była w nim zwinięta drabinka, upleciona z cienkich, lecz mocnych dranic konopnych, arcydzieło Kralowskiego. Ignacy koniec drabinki prędko przywiązał do sznurka. Podczas gdy sam lekko nią potrząsał na dole, z góry pociągano ją na sznurku. W ten sposób drabinka powoli, lecz stale coraz bardziej szła w górę.

Cała ta czynność wymagała wiele przezorności, gdyż z jednej strony mogła się plecianka zaczepić i zaplątać o jaką cegłę wystającą z muru, z drugiej zaś strony wskutek silnego wiatru mogła uderzyć o jaką szybę w oknie dolnego piętra, przez co powstałby szelest mogący zwrócić na siebie uwagę obcych ludzi.

Z bijącym sercem wyczekiwał Ignacy końca niebezpiecznej sprawy.

Obaczmy teraz, co się działo z Henryką.

Opisywać niespodziewane szczęście, jakie ją spotkało, gdy zobaczyła Ignacego, byłoby zbyteczną. Otucha i nadzieja wstąpiła od razu w jej serce zwątpiałe. Przekonałiśmy się już z jej listów pisanych do Ignacego, że na pewne liczyła na jego pomoc. Cierpiała tak strasznie, że w żadnym sposobie nie mogła nieprzyjąć jego ofiary, do której mimo to namysłu byłaby gotową, gdyby ją losy postawiły w odmiennem położeniu.

Jakże szczęśliwą czuła się teraz, że korzystała z wolnego czasu i wolno odbijając zagwożdżone okno, umożliwiła sobie

przez to ucieczkę. Była to jedyna droga, na jakiej mogła nawiązać stosunki z światem pozawięziennym. Nadzieja, że tym sposobem jedynie może się wyratować, ziściła się dzięki usilnym zabiegom uwięzionej.

Wiemy już, w jaki sposób pocztę urządzono i utrzymywano. Łatwo też sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością Henryka codzień oczekiwała północy. Na wszystkie plany Ignacego zgadzała się chętnie i była gotową, gdyby jej się ucieczka udała, przejść przez granicę austriacką. Przypominała sobie z opowiadań matki, że w Bukareszcie na Multanach miała krewnych dalekich. Ponieważ nie miała innego schronienia, — o powrocie do domu marzyć nawet nie mogła — nie pozostawało jej nic innego, jak odszukać swoich krewnych, nie zrażając się daleką podróżą. Będąc za granicą chciała oczekiwać, jak się stosunki ułożą w Polsce, lub też odwołać się do carskiej łaski.

Henryka odznaczała się zawsze silną wolą i mężką odwagą. Obydwa przymioty spotęgowały się w niej wskutek doświadczenia, jakiego nabrała. Była tylko być wolną, nie cofnęłaby się przed żadnem niebezpieczeństwem. Rozmyślenia w samotnej celi spotęgowały w niej miłość ojczyzny i nienawiść do Moskwy. Teraz dopiero jasno pojmowała, na jakie męki narażali się nieszczęśliwi rodacy, którzy padali ofiarą rosyjskiej samowoli.

Już w nocy, poprzedzającej ucieczkę otrzymała od Ignacego paczkę z ubraniem męzkim, które starannie ukryła w łóżku. Rewizyi w celu obawiać się nie potrzebowała. Czuwać nad nią miała obowiązek tylko dozorczyni. Pocziwej kobiecie, która z czasem przywiązała się do Henryki, wcale na myśl nie przyszło, aby powierzona jej pieczy dziewczyna chciała z więzienia uciekać. Szczególnie od czasu, gdy Henryka zobaczyła się z Ignacym i nowa nadzieja wstąpiła w jej serce, udawała przed łatwowierną kobietą wielką skrucę za dawne przewinienia. Takie udawanie nakazywał prosty rozsądek.

Nieskończenie wolno mijały jej chwile aż do godziny, wyznaczonej na ucieczkę. Przez cały wieczór bojaźliwie wpatrywała się w skrawek nieba, widoczny z jej okna. Ciemne chmury, ciężarne ulewą i wycie wichrów sprawiały jej radość. Któż noc mogła bardziej jej sprzyjać w dopięciu zamiaru?

O jedenastej godzinie, gdy już nie potrzebowała obawiać się odwiedzin dozorczyni, przebrała się po męzku. Bez namysłu obcięła sobie piękne, czarne włosy i spaliła je w piecu. Pozostała reszta włosów puklami spadała jej na szyję. W ubraniu męzkim podobną była do młodego i pięknego studenta. Po skończeniu toalety usiadła przy oknie i bez ustanku wpatrywała się w noc ciemną, której wzrokiem przeniknąć nie zdołała. Równocześnie uchem chwytala najdrobniejsze szmery, jakie do niej dochodziły.

Zegarka jej nie zabrano. Z niecierpliwością więc przypatrywała się mechanicznym poruszeniom wskazówek. Gdy północ się zbliżała, powyjmowała znowu gwoździe, po cichu otworzyła okno i ostrożnie spuściła sznur z ciężarkiem. Potem wyteżyła słuch z zapartym oddechem, przyczem jej serce biło tak gwałtownie, jakby jej piersi rozsadzić chciało.

Z powodu dosyć znacznej odległości, rozmowy pijanego robotnika z szyldwachem nie dośłyszała, szczególnie że Ignacy tłumił głos w sobie, nie chcąc zwracać uwagi obcych osób w więzieniu. Natychmiast jednak usłyszała świst Kralowskiego, poczem wkrótce poczuła poruszenie się sznurka, jaki trzymała w ręce.

Jak już wyżej powiedziano, ostrożnie ciągnęła za sznurek, aby się wskutek przyczepionego doń ciężaru nie zerwał. Gdyby to się stało, ucieczka byłaby daremną nie tylko tej nocy, lecz może na zawsze, jeżeli za dnia ujrzano drabinkę wiszącą na dworze.

Udało się jednak pierwsze niebezpieczeństwo pokonać. Drżącą ręką chwyciła za nieocenioną drabinkę. Henryka była w tej chwili tak rozdrażniona, że musiała trochę odetchnąć, zanim była zdolną, przymocować sznury. Musiała to czynić ostrożnie i z wielką rozwagą. Gdyby bowiem linka nie wytrzymała ciężaru jej ciała, byłaby niechybnie spadła na bruk z znacznej wysokości i rozbila się na miejscu.

Łóżko stojące tuż przy oknie najcięższym było sprzętem w celi. Linkę przyczepioną do górnego końca drabinki okręciła kilka razy około nogi łóżka i przywiązała oprócz tego jeszcze do ramy okna. Podług wszelkiego obliczenia była linka dostatecznie przymocowaną.

Po tych przygotowaniach pozostawiła Henryka na stole kilka dukatów, które przeznaczyła swojej dozorczyńi jako wynagrodzenie za doznane usługi i przystąpiła do wykonania ucieczki.

Smukła jej kibić, przywykła do ćwiczeń cielesnych, przecisnęła się nie bez trudu przez wązki otwór w oknie, przyczem trzeba było unikać wszelkiego szelestu. Tak więc stanęła, trzymając się rękami obramowania okna, na chwiejącej się na wszystkie strony drabinie, chociaż Ignacy ze wszystkich sił starał się ją na dole przytrzymać.

Mimo woli dziewczyna przez chwilę zadrżała. Widząc jednak, że pośpiech konieczny, zbierała całą przytomność umysłu i siłę woli. Szczęśliwym trafem tak było ciemno, że nie widziała przepaści, rozwartej pod sobą. Tym sposobem uniknęła niebezpiecznego zawrotu głowy. Potem schodziła bardzo powoli, szukając nogami cienkich i wiotkich wiązań poprzecznych, służących za szczeble, zanim na nie stąpiła. Kilka razy wicher szarpnął drabinką tak gwałtownie, że Henryka byłaby straciła równowagę. Wtedy dziewczyna zamykała oczy i tem mocniej przyczepiała się do sznurów.

Droga wydawała jej się długa, jak wieczność. A jednak, zanim się jeszcze tego mogła spodziewać, posłyszała głos Ignacego, który jej szeptał:

»Kochana Henryko, tylko kilka stopni jeszcze, a będziesz w moich ramionach. Ostrożnie!«

Wkrótce rzeczywiście poczuła, że ktoś ją pochwycił i postawił na ziemi. Na pół przytomna upadła bratu na piersi, który w szalonej radości usta jej pokrywał gorącymi pocałunkami.

»Wybawiona!« powiedział wreszcie z westchnieniem.

»Dzięki Ci, dzięki! drogi Ignacy! — Przyznaję Ci się otwarcie, że po raz pierwszy w życiu ogarnął mnie strach okropny.«

»Spieszcie się i uchodźcie ztąd!« nalegał ktoś trzecim głosem stłumionym.

Henryka spojrzała wystraszona, natychmiast jednak przypomniała sobie przyjaciela, o którym pisał jej Ignacy, i podała mu rękę, którą Stefan z galanterią pocałował.

»Teraz muszę narobić hałasu, aby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenie«, powiedział potem z pośpiechem: »Podczas rondy znalazłem straż śpiącą na posterunku i drabinkę na murze, która, mówiąc nawiasem, wiatrem kołysana sprawia szelest niepotrzebny. Z żołnierzem będzie bieda. Nie ma na to rady. Każdy musi przyznać, że w służbie mocno zawinił. Uchodźmy wreszcie! Postaram się o to, aby wysłane patrole poszły w przeciwnym kierunku. Ignacy, przecież droga do domu Stasia dobrze ci wiadoma?«

»Znakomicie!«

»Za kilka minut możecie stanąć na miejscu. Na Wasze przyjęcie wszystko już przygotowane. Życzę pani szczęśliwej drogi! Do widzenia, bracie! Nie zatrzymuj się długo, gdyż mogliby Cię podejrzewać i szukać w Twoim mieszkaniu. Wtedy koniecznie powinienes być w łóżku.«

Po tych słowach skierował się porucznik znowu do strażnicy, a Ignacy pociągnął siostrę, która zupełnie już odzyskała przytomność, za sobą do wyłomu w murze.

W tem miejscu wciągnął znowu kozuch na siebie, który zdjął poprzednio, ponieważ mu się zdawało, że w razie spotkania się z patrolem lub sztyldwachem mundur go obroni. Po przebraniu się pospieszyli oboje tą samą drogą, którą, jak wiemy, Stefan i Ignacy już raz odbyli.

Tymczasem porucznik Kralowski głośno wołał na sztyldwach zaspány i trząsł go za ramię. Gdy to nie pomagało, zaczął krzyczeć i grozić, szarpiąc żołnierzem gwałtownie. Nareszcie zbudził się biedak, ręką pocierał zaspane oczy, mechanicznie sięgał po muszkiet i ze strachu byłby prawie zapadł się w ziemię, gdy wróciwszy do przytomności, spostrzegł przed sobą groźnego oficera. Oblany potokiem złorzeczeń, i z obawy przed karą surową, upadł nieszczęśliwy przed Kralowskim na kolana, prosząc go o łaskę.

»Cóż to znaczy?« zagadnął porucznik żołnierza, gdy wiatrem kołysana drabinka o mur uderzała z łoskotem. »Chodź zemną natychmiast!«

»Uciekł jakiś więzień!« zawołał po chwili grzmiącym głosem, pokazując żołnierzowi koniec drabinki, którą trzymał w ręce. »To jest twoja wina, nieszczęsny chłopie! Podczas

gdy spałeś na posterunku, nie bacząc na służbę, wszyscy więźniowie mogli pucieć.

Porucznik udając strasznie oburzonego, narobił wielkiego hałasu. Żołnierz drżąc cały, podług rozkazu musiał dać sygnał, zwołujący w podobnych przypadkach patrol z odwachu. Wkrótce potem przybiegła komenda krokiem przyspieszonym.

Wszystko, co żyło w więzieniu, wskutek alarmu zerwało się na nogi. Porucznik rozkazał natychmiast zdumiałego żołnierza zluźnić z posterunku i zaprowadzić go do aresztu. Potem wysłał patrol do miasta z rozkazem aresztowania wszystkich osób podejrzanych, kręcących się w pobliżu więzienia, sam zaś pobiegł na odwach.

Jednym z pierwszych, którego z wystraszoną miną spotkał na podwórzu, był inspektor. Zbudzony piekielnym hałasem ze snu smacznego, nic dobrego sobie nie wróżył.

»Uciekł jakiś więzień!« krzyczał Kralowski, co słysząc drudzy, chórem mu zawtórowali.

»Gdzie? kto?« wybełkotał inspektor blady śmiertelnie, chwytając oficera za ramię kurczowym uściskiem.

»Zkądże mam wiedzieć, kto uciekł! spostrzegłem tylko drabinkę, wiszącą z okna na górnym piętrze.«

»A szyldwach?«

»Spała kanalia, pewnie był pijany.«

Inspektorowi spadł ciężar z serca. Skoro szyldwach usnął, odpowiedzialnem było wojsko jedynie. Dowiedziawszy się na prędce, o jakim oknie mówił porucznik, pobiegł pędem do skrzydła więzienia, w którym owo okno leżało.

Za pięć minut dowiedział się już na pewne, że uciekła panna Postowojtówna, dziwnym sposobem zostawiając na miejscu całą swoją garderobę.

Tymczasem porucznik Kralowski, udając zrozpaczonego, choć osobiście wielkiej odpowiedzialności obawiać się nie potrzebował, wysłał patrole na wszystkie strony z wyjątkiem okolicy, leżącej po za murem. Porozsyłał także przepisane raporty do innych miejskich odwachów i do komendantury. Czyniąc to, unikał zarzutu, jaki go później mógł spotkać, że w jakikolwiek sposób nie spełnił obowiązku.

Policja z swojej strony porozsyłała także żandarmów

pieszo i konno z rozkazem ścigania zbiega po wszystkich ulicach, leżących na końcu miasta.

Cóż działo się tymczasem z Henryką i jej towarzyszem?

Oboje idąc spiesznym krokiem, nie wdawali się w rozmowę, nie chcąc zdradzić się głosem. Ignacy nadto musiał bardzo uważać, aby w ciemności nie zbłądzić z drogi i przeprowadzić Henrykę szczęśliwie przez wszystkie przeszkody bez narażenia jej na nieszczęście.

»W tym oto domu znajdziesz tymczasem pewne schronienie!« szepnął do niej wreszcie po kilku minutach uciążliwej przeprawy.

Z pobliskiego miasta dochodził do ich uszu hałas, bez wątpienia pochodzący z zaalarmowanego więzienia policyjnego. Ignacemu zaczęło już podpadać, że hałas był za blizkim. Ten objaw tłumaczył sobie jednak zjawiskiem, że ucho w porze nocnej łatwo się myli w ocenianiu odległości, szczególnie że wiatr dął właśnie od strony miasta.

»Czas największy, abyśmy się schronili«, powiedziała Henryka.

»Za pół minuty będziemy bezpieczni.«

Dom, do którego Ignacy prowadził Henrykę, stał tuż przed nimi. Kapitan nagle się zmieszał. Po krótkiej chwili jedną ręką przysłaniając oczy, a drugą ściskając gwałtownie ramię Henryki, powiedział głosem pełnym rozpacz:

»Zabłądziliśmy, — ten dom nie należy do starego Stasia!«

»Gdzież więc jesteście?« pytało się dziewczę ze strachem.

»Nieszczęsny zbłądziłem z drogi. Jak mi Bóg miły, nie wiem, gdzie jesteście.«

»Uspokój się tylko, Ignacy, i nie oddawaj się rozpacz«, upominała go Henryka, choć sama drżała z strachu. »Rozważ tylko spokojnie, czy się jeszcze nie zorientujesz. Nikt nas jeszcze nie goni.«

»Zaraz to się stanie«, powiedział nieszczęśliwy młodzieniec z westchnieniem. »Sam jestem winien wszystkiemu, za mało zwracałem uwagi na drogę! Miły Boże, tegobym nie przeżył, gdyby Cię schwytano i znowu wtrącono do więzienia!«

Henryka cicho westchnęła.

»Szukajmy drogi«, powiedziała stanowczo,

»Gdzie?« Zupełnie nie wiem, w jakim kierunku przy-

szliśmy. W tej okolicy, pełnej ogrodów i płotów przy takiej ciemnocie nawet na dziesięć króków nic poznać nie można.

»To rzecz obojętna. Nie mamy innego wyboru, jak iść naprzód na chybi trafi«, mówiła Henryka, nie tracąc rozwagi. »Pozwól, że sama się namyszę, w którym kierunku przyszlismy.«

Więcej licząc na ślepy traf, aby tylko Ignacego pocieszyć, jak z własnego przekonania dodała po krótkiej pauzie:

»W tej tam stronie musi leżeć miasto.«

Oboje zaczęli znowu wędrówkę od nowa. Raz po raz przeskakiwali przez niskie płoty, przechodzili przez zagony i głębokie bruzdy w ogrodach i broczyli po kolana w rowach pełnych wody. Ignacy złorzeczył sam sobie, Henryka jednak wciąż go upominała, aby nie tracił rozwagi.

Wreszcie ostatnie domy zniknęły w ciemnościach, nie było widać ani jednego. Oboje nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie i jak daleko zaszli od miasta.

»Zdaje mi się, że tuż przed nami leży bity gościniec«, szepnęła po chwili dziewczyna, wpatrując się w przestrzeń okiem sokolem.

Tak było rzeczywiście, gdyż postąpiwszy kilka kroków naprzód, ujrzeni przed sobą dwa długie rzędy drzew, stojących w regularnych od siebie odstępach.

W tej samej chwili rozległ się z blizka wyraźny tentent kopyt końskich. Konie biegły klusem po szosie.

»Na miłość Boską spokojnie!« szepnęła Henryka do brata. »Rzućmy się na ziemię!«

Oboje byli tuż przy szosie, na której stały drzewa w dwóch rzędach. Jeźdźcy zbliżali się coraz bardziej. Było ich dwóch. Słyszał było wyraźne brzęczenie szabli. Byli to bez wątpienia konni żandarmi, którzy ścigali więźnia.

Przejeżdżali obok nich w odległości nie większej nad piętnaście kroków. Z powodu głębokiej ciemności nie można było poznać mundurów. Słyszano jednak wyraźnie, jak wymawiali nazwisko Postojotówna i kilka innych wyrazów po rosyjsku. Omyłka była więc wykluczona. Chociaż nie było obawy, aby ich żandarmi spostrzegli, zdradzić ich mogło jednak rzenie, parskanie, lub też przestrach koni, których delikatny zmysł powonienia i słuchu ogólnie jest znany.

Naraz obaj żandarmi nagle tuż przy nich stanęli, a jeden

z nich skoczył z konia na ziemię. Straszny lęk ogarnął leżących przy drodze.

Ignacy chwycił za pałasz, który miał przy boku. Henryka widząc ruch jego, jedną ręką go powstrzymała, a drugą zacisnęła mu usta.

»Muszę popręć mocniej przyciągnąć«, mówił żandarm po rosyjsku do towarzysza, siedzącego na koniu. »Moja kobyłka ma ten brzydki zwyczaj, że w stajni zawsze się nadyma, gdy ją chcę osiodłać.«

»Owszem, trzeba nam potem ostro pędzić naprzód«, odpowiedział drugi.

»No, zbiegła wałęsa się pewnie jeszcze w bliższej okolicy, gdyż co dopiero uciekła. Byłoby szaleństwem z jej strony, gdyby szła prosto po szosie i pozwoliła nam się w ciemności pochwycić. Brr, co za noc!«

»Mniej chodzi o to, abyśmy ją pochwycili, jak o to, abyśmy zaalarmowali wszystkie wsie pobliskie«, odpowiedział znowu drugi żandarm. »Chłopi kląć będą, co niemiara, gdy ich przy tem powietrzu wypędzimy z łóżek.«

Żandarm skoczył znowu na konia, poczem obaj klusem ruszyli naprzód.

Ignacy i Henryka zapanowali w sobie oddech, nie tracąc ani słowa z podsłuchanej rozmowy. Dopiero gdy jeźdźcy byli już daleko, podnieśli się znowu.

»Nie znasz tej szosy?« zapytała się Henryka.

»Nie może być inna, jak tylko prowadząca do Kijowa. Myślę, że jako tako uda mi się zorientować. W każdym razie musimy wracać, gdyż uszlismy wiele za daleko.«

Po krótkiej chwili zamigotało samotne światelko.

»Może to miasto?« pytała się Henryka zafrasowana.

»Nie miasto leży w przeciwnym kierunku. Światelko pochodzi z jakiegoś domu w ogrodach.«

»W takim razie idźmy prosto ku niemu.«

Po upływie dziesięciu minut i po przezwyciężeniu rozmaitych przeszkód spostrzegli przed sobą znowu jakiś domek, ten sam, w którym na parterze błyszczało światelko. Okiennice były otwarte.

Oto jest dom starego Stasia! zawołał nagle Ignacy z radością.

»Pocziwy starowina nie mogąc nas się doczekać, światelkiem wskazywał nam drogę, abyśmy nie zblądzili.«

Tym razem Ignacy nie omylił się. Natychmiast podszedł do jednej z zamkniętych okiennic i zapukał. W tej samej chwili światelko w izbie zagasło.

»Któż tam?« zapytał się jakiś starzec słabym głosem.

»Przyjacieli!«

»Jak się nazywa?«

»Zygmunt!«

W kilka sekund później otworzyły się drzwi domu, a Ignacy z Henryką weszli do sieni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.

Skutki ucieczki.

Ignacy od czasu owego pierwszego posiedzenia tajnego klubu jeszcze kilka razy brał udział w naradach, których przebieg niewiele się różnił od siebie. Wtedy też osobiście zapytał się starego ogrodnika, czyby nie zechciał na jakiś czas przyjąć do siebie zbiegłą z więzienia Henrykę, na co starzec natychmiast się zgodził. Kralowski opowiadał mu bowiem, że Henryka jest zasłużoną patriotką, która cierpi prześladowanie za ojczyznę. Starzec znał więc kapitana Gurowskiego doskonale.

»Wyżyłem o państwo strachu, co niemiara«, powiedział ogrodnik, skoro znowu za przybyłymi drzwiami zamknął, — »ponieważ nie przyszlście zaraz po północy, zdawało mi się, że wam się przydarzyło jakie nieszczęście.«

»Tak było prawie, stary przyjacielu«, odpowiedział Ignacy, który teraz dopiero swobodnie zaczął oddychać. — »Byłem tak dalece nieostrożnym, że zblądziłem z drogi, wskutek czego bylibyśmy dostali się w ręce żandarmów, którzy nas ścigają.«

»Nic dziwnego. W nocy tak ciemnej jak dzisiejsza, trudno znaleźć drogę do mojego domu. Kto po niej nie chodził sto razy, zblądzi na pewne. Obawając się tego, zapaliłem światło, które Was miało zaprowadzić do celu. Byłoby lepiej, gdybyśmy się pod tym względem byli w pierw porozumieli.«

»No dzięki Bogu, że bez szwanku jesteście na miejscu!« mówił starzec dalej, przypatrując się Henryce z boku ciekawie i z latarką w ręku prowadząc gości do pokoju na parterze.

»Panie Stasiu, przedstawiam Ci swoją siostrę«, powiedział Ignacy, biorąc Henrykę za rękę. — »Ten zaś czcigodny starzec,

kochana Henryko, jest tym patryotą, który ci ofiaruje swój dom aż do czasu, gdy bez wielkiej obawy będziesz mogła wyjechać. Ufam mu pod każdym względem.»

»Narażasz się pan dla mnie na niebezpieczeństwo«, powiedziała Henryka, podając rękę starcowi z powagą, lecz grzecznie, — »a ja nie będę miała sposobu, wywdzięczyć się za to.

»O, proszę w ten sposób nie mówić«, odpowiedział starzec, podaną sobie rękę do ust unosząc, i spoglądając z zadowoleniem na przebraną dziewczynę. »Któryż Polak prawdziwy nie musiałby się wstydzić, gdyby chciał odmówić gościny od ważnej i pięknej damie i siostrze tak dzielnego oficera, jakim jest kapitan Gurowski? Proszę się w tym biednym domku rozgościć, jak u siebie i jak długo pani tylko zechce. Przy sięgam, że Moskale doszliby do pani tylko po moim trupie.

»Zacny człowiek!« powiedziała Henryka wzruszona. Także Ignacy pocziwemu starcowi gorąco ścisnął ręce.

Po tem przywitaniu zaprowadził gospodarz gości do pokoju, jaki przygotował dla Henryki. Pokoik leżał na górnym piętrze obok salki, w której odbywały się posiedzenia klubu. Więcej już izb na całym piętrze nie było. Pokoik Henryki choć szczupły, przyjemne robił wrażenie. Przez zamknięte okiennice i zapuszczone story żadne ciekawe oko przedrzeć się nie zdołało. Pocziwy ogrodnik, chcąc godnie przyjąć gości, poznał wszystkie najlepsze sprzęty, jakie miał w domu, i po ustawiał w izbie. Z pewną więc dumą otwierał drzwi i ucieszył się niemało, gdy na twarzach Henryki i Ignacego wyczytał wyraz zadowolenia.

Wprawdzie izdebka nie mogła sobie rościć pretensyi do komfortu i elegancji, w porównaniu jednak do smutnej celi więziennej, którą Henryka co dopiero opuściła, sprawiał pokoik wrażenie prawdziwego buduaru damskiego.

W pierwszej chwili dziewczyna zapomniała o tem, że i nadal pozostaje więźniem i że nikt o jej obecności w tym domu dowiedzieć się nie powinien.

Sprzęty, jakimi pocziwy pan Staś pokoik przystroił, składały się z kanapy, skórą obciągniętej i nieco już spróchniałej, z fotelu, z wzorzystego kobierca, którego pstre barwy dawno już wypływały, i z rozmaitych innych drobnostek, przy-

jemnych dla oka, które dla biednego człowieka prawdziwym były skarbem. Nad łóżkiem, zasłanem czystą pościelą, wisiał na ścianie krucyfiks z hebanu z figurą Zbawiciela, irzeźbioną z kości słoniowej.

»Staralem się pani dogodzić jak najlepiej«, mówił starzec, wzruszając ramionami. — »W moim domu niema nic lepszego.«

Henryce oczywiście wszystko bardzo się podobało i za wszystko dziękowała starcowi serdecznie.

Stary pan Staś mieszkał w tym domu sam jeden. Utrzymywał tylko jednego pacholka, który wychodowane w ogrodzie warzywa wózkem woził na targ do miasta. Robotnik jednak nie mieszkał i nie spał u chlebowawcy. Z opowiadania porucznika Kralowskiego wiadomo już, że starzec był niegdyś żołnierzem i że brał udział w rewolucyi z roku 1830 i 1831. Tułacza bezdomnego i bez rodziny losy przywiodły potem do Żytomierza, gdzie z ogrodnictwa skromnie się utrzymywał. Władzom rosyjskim nie wydawał się podejrzanym, i wcale na niego nie zwracano uwagi. Pochodziło to ztąd, że wobec ludzi udawał starca, wiekiem złamanego, którego cały świat nic nie obchodził, choć serce miał młode i pełne gorącego patryotyzmu. Jeden z dawniejszych jego oficerów, który go znał i cenił, polecił go członkom klubu, od których pobierał małe dochody, choć tego nie wymagał.

W słusznem poczuciu taktu, starzec wkrótce pozostawił Ignacego i Henrykę samych, przypuszczając, że oboje młodzi wiele jeszcze mają sobie do powiedzenia.

Po wyjściu Stasia rodzeństwo jeszcze raz padło sobie w ramiona, a Henryka, której Ignacy nigdy jeszcze nie widział płaczącej, w nadmiarze uczuć wybuchnęła głośnym płaczem. Na prośbę brata prędko jednak łzy osuszyła, poczem rozpoczęła się pogawędka do samego rana. Wreszcie dziewczyna wystraszona, pierwsza przypominała sobie, o co Kralowski brata upominał.

»Idź już do domu«, nalegała, — »pamiętaj o radzie najlepszego Twojego przyjaciela, który od dziś dnia jest także moim.«

»O, Stefan bardzo jest bojaźliwy!« odpowiedział Ignacy z uśmiechem.

Henryka jednak nie ustępowała, tylko wciąż prosiła, aby

poszedł do domu. Wreszcie Ignacy pożegnał się, obiecując, że jeszcze tego samego dnia wieczorem powróci.

Do domu wrócił szczęśliwie, rozebrał się i położył.

Była już prawie czwarta godzina rano. Pomimo znużenia, jakie nim oświadczyło, nie mógł Ignacy zasnąć. W wyobraźni wciąż mu się przesuwaly wszystkie sceny ostatniej nocy. Oprócz tego inne jeszcze myśli kotłowały mu w głowie.

Nie było wątpliwości, że wykroczył przeciwko obowiązkom oficera i że pod pewnym względem złamał już przysięgę złożoną carowi. Była nawet chwila, że na szosie do Kijowa miał zamiar dobyć pałasza na owych żandarmów, będących urzędnikami cara i działających w jego imieniu. — Wszystko to uczynił z łatwo zrozumiałych względów na siostrę, ową dziewczynę, która tak bliską była jego sercu. Ta okoliczność uniewinniała go poniekąd, nie robił więc sobie wyrzutów sumienia.

W Ignacym wielka zaszła zmiana już od owej nocy, gdy po raz pierwszy wziął udział w posiedzeniu tajnego klubu Skargi, jakie tam usłyszał na rzady rosyjskie i opis strasznej niedoli współziomków wywarły na nim głębokie wrażenie.

Wiadomość o uwięzieniu Henryki wstrząsnęła nim jeszcze bardziej, a w duszy zerwała się burza wątpliwości. Czyż będąc prawym Polakiem, całem sercem przywiązany do drogiej ojczyzny, miał jeszcze dłużej wysługiwać się wrogiemu rządowi i stać się ślepego narzędziem, lub też prędzej, lub później złamać złożoną przysięgę? — Nigdy nie był serdecznie przywiązany do cara, obecnie jednak ostygł dla niego zupełnie. Chorągwi, po którą służył, za znak swój odtąd już nie uznawał.

Mógł już poprosić o dymisyę, gdyż czas służby, do której się wskutek odebranego wychowania w instytucjach wojskowych prawnie zobowiązał, dawno już minął. Człowiek takiego charakteru i z takim wykształceniem nie mógł w świecie zżyć się bez względu na rodzaj obranego zawodu. Wątpić jednak należało, czy dana mu będzie sposobność skorzystania z swych praw i czy dostanie dymisyę honorową, gdyż przyczynę takiej prośby każdy mógł łatwo odgadnąć. Gdyby zażądał zwolnienia z służby, posłanoby go natychmiast do jakiego pułku na Kaukaz, gdzieby mógł czekać całemi latami na odwołanie, będąc narażonym na srogie prześladowanie i poniżenie.

Podczas gdy Ignacy, leżąc w łóżku i nie śpiąc, nad tem wszystkiem się zastanawiał, naraz otworzyły się drzwi z łokotem i do pokoju wszedł major, Moskał rodowity, z którym Ignacy nigdy nie mógł się zgodzić, w towarzystwie adjutanta. Obaj byli w pełnem umundurowaniu.

»Kapitanie Gurowski«, powiedział pierwszy bez ogródki i z widocznym uśmiechem szyderskim, — »co dopiero odebrałem rozkaz od pana komendanta miasta, abym pana aresztował.«

Ignacy zbladł mimo woli, częścią z przerażenia, częścią z złości wskutek bezwzględного postępowania swojego przełożonego. Major spoglądał na adjutanta znacząco.

»Czy mogłbym się zapytać, kapitanie, gdzie pan dzisiejszej nocy przebywał?«

»W tym pokoju i w swoim łóżku«, odpowiedział Ignacy krótko z tajonym uporem w duszy.

»A więc panu niewiadomo, że panna Postowojtówna uciekła tej nocy z więzienia policyjnego?«

»Kto?« zapytał się Ignacy, doskonale udając zdumionego. Major tryumfująco powtórzył nazwisko i dodał.

»Myślę, że znasz pan tę damę.«

»Widzę, że zaszło jakieś nieporozumienie«, odpowiedział Ignacy z wielkim spokojem. — »Znam tylko jedną damę tego nazwiska, moją drugą siostrę, która w żaden sposób nie mogła znajdować się w tutejszem więzieniu.«

Major spoglądał na adjutanta nieco zbity z tropu.

»A więc pan nie miałby wiedzieć — «

»Proszę mi pozwolić, panie majorze, że się ubiorę«, powiedział Ignacy, zachowując tę samą zimną krew, co poprzednio. — »Potem poproszę pana o wytłumaczenie, z jakiego powodu zestawiasz pan nazwisko mojej siostry razem z miejscem pobytu przestępców.«

»O, mamy także przestępstwa polityczne — «

»Siostra moja znajduje się u swojej matki w dobrach Turowickich w gubernii lubelskiej. Jeżeli zachodzi omyłka wskutek przekręcenia nazwiska, w takim razie jestem zmuszonym ten błąd nazwać co najmniej nierozwagą.«

Kapitan Gurowski znanym był ogólnie jako bardzo stanowczy i odważny oficer. Wstając i ubierając się miał tak

groźne oczy, że majorowi zbitemu z tropu pewnością siebie Ignacego, zaczęło robić się gorąco.

»No, kapitanie«, odpowiedział major w tonie o wiele łagodniejszym, — »spełniam jedynie dane mi przez komendanta miasta polecenie. Ubolewam, że obowiązek nakazuje mi pana aresztować.«

»Zaraz będę do usług pańskich i pana komendanta miasta, panie majorze.«

Skoro Ignacy ubrał się w mundur, wyszedł z majorem, który po drodze stawał się coraz grzeczniejszym. Major nie omieszkiał nawet kilkakrotnie wyrazić przekonanie, że cała sprawa polega na nieporozumieniu, i że komendant z pewnością wypuści Ignacego z aresztu natychmiast. Od niego też dowiedział się Ignacy rzeczy, o których dawno już wiedział, lecz znakomicie udawał zdumionego.

Komendant miasta, generał, był grubijaninem i nieukiem, i żołnierzem starej szkoły. Na Ignacego wpadł z furją, hałasował i wygrażał się. Kapitan, choć od lat młodzieńczych przyzwyczajony do surowej karności, pasował się z sobą, chcąc zachować granice umiarkowania. Spokój jego wywarł jednak na generale wielkie wrażenie.

Podejrzenie ciężące na Ignacym opierało się na bardzo kruchych nogach. Henryka Postowojtówna, jego druga siostra, od przeszło dziesięciu miesięcy uwięzioną była w Żytomierzu, kapitan, brat jej drugi stał tamże załogą, — uciekła w nocy, widocznie za pomocą osób trzecich, — a więc nikt inny, tylko on ucieczkę jej ułatwił. Innego powodu do podejrzenia nie było, gdyż Ignacy był bardzo ostrożnym i tak cichutko w nocy z domu się wysunął, a rano wrócił, że służący i wszyscy domownicy byliby na to przysięgli, że noc spokojnie spędził w swoim łóżku.

Oprócz tego sam generałowi przedstawiał, że dłużej jak dziesięć miesięcy z domu nie otrzymał żadnego listu, że więc wcale o uwięzieniu Henryki wiedzieć nie mógł, tem mniej jeszcze o tem, że miała się znajdować w więzieniu żytomierskim. Jednem słowem rolę swoją, choć do udawania musiał się zmuszać, grał tak doskonale, że generał czuł się zniechęconym wydany poprzednio rozkaz aresztowania znieść z powodu braku dostatecznych dowodów. Pokryjomu jednak

zgrzytał zębami, gdyż miał to moralne przekonanie, że kapitan, choćby nawet nie brał udziału w tej sprawie, jednak o niej wiedział.

Kralowski również miał długie przesłuchy, przyczem okazał tyle sztuki udawania, do czego z natury już więcej miał zdolności, jak Gurowski, że świetnie się wywinął. Tym razem cała odpowiedzialność spadła na biednego, zaspanego szyldwachę, na co też podług obowiązujących przepisów wojskowych zupełnie zasłużył.

Takim więc sposobem cała sprawa pod względem wojskowym była załatwioną. Policji tylko nakazano, aby zbiega śledziła i przetrząsnęła całą okolicę. Wszystkie jednak zabiegi pozostały bez skutku, gdyż zmyślni szpicle policyjni przypadkiem nie zwrócili uwagi na dom starego ogrodnika Stasia, który uchodził za jednego z najlepszych i najwierniejszych poddanych cara.

Henryka żyła u ogrodnika w spokoju. Oprócz utraty wolności dręczyła ją tylko ta jedna troska, że nie mogła się odważyć na wysłanie uspokajającego listu do matki. Ignacy również nie mógł tego uczynić, tylko zachowywać się musiał z największą ostrożnością, gdyż nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że go pokryjomu śledzono jako podejrzanego. Nie chcąc zdradzić, gdzie się Henryka ukrywała, zmuszonym był zaniechać przez czas dłuższy wszelkich odwiedzin w domu starego Stasia. Za to Kralowski zobowiązał się pośredniczyć w korespondencji między bratem a siostrą. Tym sposobem porucznik i Henryka, która względem niego poczuwała się do wielkiej wdzięczności, stali się dobrymi znajomymi chociaż o czemś więcej, jak o życzliwej przyjaźni nie było u nich mowy.

W ten sposób minęły dwa do trzech tygodni. Policja zaniechała dalszego śledztwa, a raczej powierzyła je władzom w gubernii lubelskiej, gdyż przypuszczano, że tam Henryka znowu się zjawi. W Żytomierzu z pewnością mało kto myślał o pannie Postowojtównie. Zdawało się więc, że nadszedł czas, aby Henryka wyjechała do Bukaresztu. Przy tym zamiarze stale obstawała, a Ignacy lepszej rady udzielić jej nie mógł.

Ignacy nie zważając na własną osobę, chętnie byłby Henrykę odprowadził przynajmniej do granicy austriackiej. Posłuchał jednak napomnień Kralowskiego i dziewczyny samej

i przyznał wreszcie, że było to rzeczą niemożliwą. Za to obmyślano plan inny. Stary Staś bowiem, który z własnej woli ofiarował się na towarzysza i rzeczywiście dosyć jeszcze był silnym, aby się puścić w podróż daleką, opowiadał ludziom, że za granicą, w Galicyi odziedziczył spadek, który miał zamiar odebrać osobiście. W tym też celu dostał paszport. Nie dziwnego, że zgrzybiałemu starcowi, za jakiego wobec świata uchodził, potrzebnym był w drodze pachołek. Dla tego w paszporcie takiego również wyszczególniono. Tej roli miała się podjąć Henryka w odpowiednim przebraniu.

Dla brata i siostry pożegnanie wcale nie było łatwem, gdyż samo przez się narzucało się pytanie, gdzie i kiedy znowu się zobaczą. Konieczność jednak zmuszała do rozłąki, choć z ciężkiem sercem rozstawali się z sobą.

Patrząc na młodego wiejskiego chłopaka, powożącego lekkie sanki starego Stasia, nie łatwo byłby się kto domyślił przebranej dziewczyny. Po drodze też nigdzie nie doznali żadnych trudności, na granicy paszport wystarczał zupełnie i już dnia następnego była Henryka na terytorium austriackiem zupełnie pewną siebie. Natychmiast ubrała się znowu w suknie kobiece, a ponieważ miała poddostatkiem pieniędzy, których przysłała jej do więzienia jenerałowa, wyjechała bezwłocznie do Bukaresztu, pożegnawszy się poprzednio czule z starcem, który w żaden sposób nie dał się namówić do przyjęcia jakiego pieniężnego datku.

Stary Staś wracał bez towarzysza. Na granicy tłumaczył się, że pachołek zachorował i przez jakiś czas musi pozostać na miejscu. Wreszcie szczęśliwie wrócił do Żytomierza, przywożąc dla Ignacego dobre wieści o losach Henryki.

Wspominaliśmy już, że Ignacy po powrocie do Żytomierza czuł się na swoim stanowisku nieszczęśliwszym, niż kiedykolwiek. Nieprzyjemności, jakie wskutek ucieczki Henryki miał z przełożonymi, spotęgowały to niezadowolenie. Co raz to więcej pragnął z służby skwitować, szczególnie że po dług wiadomości, jakich mu w tajnym klubie dostarczano, nabrał przekonania, że wkrótce trzeba będzie walczyć z bronią w rękę przeciwko własnym współpracownikom.

Ignacy wciąż jeszcze był na zebraniach klubu, szczególnie od czasu, gdy się przekonał, że sprawy traktowane

z umiarkowaniem. Z posiedzeń wynosił coraz to większą złość na rządy rosyjskie i coraz to większe niezadowolenie z własnego losu.

Stosunki w Warszawie były coraz niepewniejsze. Tajna polska prasa, której nie można było zmusić do milczenia, wyrażała się z każdym dniem coraz to śmieiej, otwarciej i rewolucyjniej. Utworzył się nawet formalny tajny komitet, którego członków nikt nie znał, który jednak wydawał odezwy do współziomków w wspomnianem już powyżej piśmie „Ruch”. Zamieszczone w odezwach żądania chętnie wykonywano. Wciąż jeszcze wydarzały się wybryki i zamachy na władze wykonawcze, świadczące o ogólnem rozgoryczeniu. Aresztowania, konfiskaty i zsyłki były jak dawniej na porządku dziennym. Wielki książe, w którym pokładano wielkie nadzieje, odgrywał w tych sprawach, zapewne z musu, rolę dosyć obojętną i nie umiał sobie w żaden sposób zaskarbić przywiązania polskiej ludności.

Wtem nagle nadszedł rozkaz, że pułk piechoty, w którym służyli Ignacy i Kralowski, czempredziej ma wyruszyć do Warszawy. Wzmacniano tamtejszą załogę.

Uczucia, z jakimi oficerowie ten rozkaz przyjęli, były rozmaite. Moskale cieszyli się nietylko nadzieją większego i lepszego garnizonu, lecz także z sposobności, że Polakom buntownikom będą mogli pokazać swoją przewagę. Większa część Polaków, n. p. Kralowski, rada była z tego, że znowu się dostanie w koło własnych braci. Niektórzy z nich, jak Ignacy, zatrwożyli się pokusą, na jaką ich narażano, gdyż przewidywali z tego najgorsze następstwa.

Pułk wykonał rozkaz natychmiast w marszach pospiesznych. Zaraz po pierwszym styczniu miał bowiem stanąć w Warszawie.

Wskutek niespodziewanej zmiany Ignacy postanowił sobie stanowczo, że usilnie starać się będzie o spadek, jaki mu zapisała matka chrzestna, s. p. pani Dzierżwińska. Z jednej strony termin, po którym znaczny ten majątek miał dostać się kościółowi, dobiegał do kresu, z drugiej zaś strony teraz dopiero Ignacy zaczął cenić wartość majątku, ponieważ tylko z jego pomocą mógł wymódz dymisyę i zapewnić sobie przyszłość.

ROZDZIAŁ TRZYDZIELSTY CZWARTY.

Ksiądz i oficer.

Około nowego roku (1863) cała Warszawa znowu była bardzo wzburzoną. Policya wysłedziła bowiem siedzibę tajnej drukarni »Ruchu« i wskutek tego aresztowała wielką liczbę najzasłużeńszych obywateli. Mimo to wyszedł nazajutrz nowy numer tego pisma, którego rząd niezmiernie się obawiał.

W tym samym czasie pułk Ignacego stanął rzeczywiście w stolicy, nad którą ciążyła duszna atmosfera, gdyż obustronnie nikt nie mógł wątpić, że katastrofa była blizką. Opowiadano sobie ogólnie, że z Petersburga nadeszły ostre rozkazy, rozchodziły się nawet wieści, że odbędzie się znowu gwałtowna branka rekrutów na wielką stopę, przez co kraj chciano pozabawić zdolnej do boju młodzieży.

Któżby z naszych czytelników nie słyszał jeszcze o osławionych w Polsce brankach rekrutów, których wysyłano potem do rosyjskich pułków w głąb Rosyi? Odbływały się one wskutek ukazów carskich regularnie po upływie lat kilku po cząwszy od panowania cara Mikołaja.

Rozkaz carski, dotyczący pewnej gubernii, lub też pewnego obwodu, najczęściej jednak kilku naraz, otrzymywały władze miejscowe potajemnie. Rosycy urzędnicy układali potem również potajemnie listy wszystkich młodych ludzi, wiekiem i budową ciała zdolnych do wojskowej służby. Nie trzeba zapewne dodawać, że nienawiść osobista i łapówki w takich okolicznościach wielką odgrywały rolę. Spisy wybrańców syłano do władz wojskowych, które się o nie więcej troszczyły.

Po załatwieniu tych formalności nagle ni ztąd ni zowąd

wpadało wojsko do wsi i miast, których młodzież przeznaczono na zsyłkę do pułków moskiewskich, i zabierano rekrutów gwałtem z domu zwykle w porze nocnej, gdy mieszkańcy, nie przezuwając nic złego, spoczywali pogrążeni we śnie. Drobne oddziały pod wodzą poruczników i podoficerów napadały potem gwałtem na domy, zamieszkane przez wybranych rekrutów, wywłóczyły nieszczęsną młodzież przemocą z łóżek i z objęć rodziców i krewnych, jednych i drugich traktując kolbami, jeżeli najmniejszy śmieli stawić opór.

W tak bezlitośny sposób napadniętą młodzież posyłano potem do koszar, skąd ją secinami i tysiącami transportowano na wschód daleki. Wcieleni do pułków moskiewskich rekruci spędzali w nich więcej jak pół życia, skazani na liche wyżywienie i podłe obejście. Zmuszano ich potem do walki za sprawy nietylko obojętne, lecz wprost nawet wstrętne. W razie oporu knutem na śmierć zabijano. Stanowisko prostego rosyjskiego żołnierza nie jest podług pojęć świata cywilizowanego stanowiskiem honorowem. Żaden z nich o dosłużeniu się wyższej rangi nawet marzyć nie może. Biedni rekruci, wydarci na zawsze z łona rodziny, spędzają w szynelu lat dwadzieścia lub więcej w niedostatku i w pogardzie. Jeżeli przez ten czas nie ulegną chorobie, lub nie padną od kuli, wracają do domów starcami osiwiłymi, kalekami, wycieńczonymi na ciele i duszy i żebrakami, skazanymi na śmierć powolną przy nędznej bardzo pensyi.

Łatwo więc sobie wyobrazić, jak znienawidzonymi są takie branki i jak łatwo zdolne doprowadzić naród do ostatniej rozpacz. Jak wobec tego można było jeszcze mówić o ludzkich i postępowych zamiarach cara Aleksandra, choćby tylko raz jedyny nakazał w Polsce taką brankę, pozostaje jedną z wielu zagadek, których nasze społeczeństwo oświecone niezdolne jest rozwiązać. Cnotliwy Europejczyk, oburzony niewolą murzynów, miałby większe pole do zastosowania swych uczuć, gdyby się dobrze obejrzał w swoim najbliższem sąsiedztwie.

Wiadomo, że car Mikołaj po rewolucyi z roku 1830 i 1831 zbudował na krańcu północno-zachodnim Warszawy, na lewym brzegu Wisły twierdzę przeciwko buntowniczu miastu, tak zwaną cytadelę, na której ustawione armaty grożą stolicy ruiną i zniszczeniem i której więzienia zdolne pomieścić tysiące

uwięzionych. W tym forcie, zaopatrzonym w rozliczne koszary, zakwaterowano pułk Ignacego, oficerom jednak pozwolono każdego czasu, jeżeli służba nie stała na przeszkodzie, wychodzić na miasto.

Już podczas marszu napisał kapitan list do swojej matki i do pani jenerałowej. Ostrożnie, lecz dosyć wyraźnie dał paniom do zrozumienia, że Henryka szczęśliwie uszła z więzienia w Żytomierzu, że udała się za granicę i że niewątpliwie sama wkrótce doniesie, co się z nią dzieje. Oprócz tego pisał do matki, że ma zamiar niezłomny, skorzystać z pobytu w Warszawie i poszukiwać praw swoich do spadku, pozostawionego przez panią Dzierwińską. Prosił więc matkę, aby mu przysłała wszystkie papiery i notatki, dotyczące się spadku.

Gdy Ignacy z pułkiem przybył do Warszawy, zastał już listy z odpowiedzią od pań z Turowic. Pani Gurowska zastosowała się do życzeń syna. Nie posiadając jednak prawomocnych dokumentów, posłała mu tylko wykazy i dowody, jakie przy dawniejszych swoich poszukiwaniach zdołał zebrać w tej sprawie ś. p. jenerał. Pani jenerałowa powoli przyzwyczaiła się do nieszczęścia, jakie na nią spadło, żyjąc jednakże w ciągłym podrażnieniu, chorowała więcej jak kiedykolwiek. Sama zwątpiwszy już o pomyślnej odpowiedzi na prośbę o łaskę monarszą, podaną już przed kilku miesiącami w imieniu córki, zgadzała się zupełnie na postanowienie Henryki, szczególnie że skutek był bardzo szczęśliwy.

Majątek pani Dzierwińskiej wcale nie był nieznacznym. Gdyby nim sąd stosownie do woli spadkodawczyni należycie zarządzał, wskutek dopisywanych do kapitału procentów, byłby powinien wynosić jeszcze raz tyle.

Opierając się na wiadomościach, odebranych od matki, zabrał się Ignacy natychmiast do wyjaśnienia sprawy. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy w sądzie z początku nikt o podobnym depozycie nic wiedzieć nie chciał. Dopiero po dłuższem szukaniu i szperaniu dano mu odpowiedź, że ksiądz rzymsko-katolicki Bonawentura, który pod imieniem Anazyusza przeszedł na prawosławie i obecnie w Warszawie zajmuje wysokie stanowisko w hierarchii kościelnej, prawomocnymi dokumentami dowiódł swego prawa do posiadania tego spadku i że go też rzeczywiście już dawno odebrał.

W owym też czasie sąd wzywał w pismach publicznych wpięć naznaczonego przez panią Dzierwińską spadkobiercę, aby się zgłosił i uzasadnił swoje pretensje do spadku przeciwko żądaniom księdza. Ogłoszenia te sądowe zapewne nigdy nie doszły do wiadomości jenerała. W każdym razie działa się wiele rzeczy niewytłomaczonych, przyczem główną rolę odgrywały znowu łapówki. Urzędnicy jednak, którzy wtedy z tą sprawą mieli do czynienia, częścią dawno już ustąpili z służby, częścią urzędowali w dalekich stronach państwa. W każdym razie trudno było pociągnąć ich do odpowiedzialności.

To, czego się Ignacy dowiedział, było dla niego bardzo niemilą niespodzianką. Będąc z zawodu żołnierzem, mało obeznanym z sprawami sądowymi, postanowił natychmiast zaciągnąć rady adwokata, ponieważ odpowiedź sądowa była dla niego niezrozumiałą i zagmatwaną. Wiedział tylko tyle, że ksiądz go haniebnie oszukał. Stratę majątku odczuwał obecnie tem dotkliwiej, im więcej dawniej go lekceważył.

Kralowski, który od Ignacego dowiedział się, jak sprawa stoi, pochwalał zupełnie zamiar przyjaciela.

Adwokat, do którego obaj udali się po radę, kiwał głową na znak powątpiewania. Pierwszem pytaniem, które każdemu musiało się nasuwać, było, dla czego Ignacy, wiedząc dobrze o zapisie, czekał tak długo i nie starał się o niego.

Chociaż czytelnikom znanym już jest powód takiego postępowania, odświeżymy go sobie jeszcze raz w pamięci. Zaraz po śmierci pani Dzierwińskiej nie mogła Walerya reklamować pretensji do spadku na korzyść swojego niepełnoletniego syna, gdyż oboje byli skazańcami. Ten powód wystarczał do wydziedziczenia ich z wszelkiego majątku. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że rząd rosyjski byłby w takim razie uważał spadek za łup pożądany i albo go skonfiskował, albo też przekazał kościołowi, gdyby tenże w osobie ojca Bonawentury rościł sobie pretensje do pozostałości po śp. pani Dzierwińskiej. Później, gdy ogłoszono carską amnestye, obawiał się jenerał czynić starania, któreby go zawiklały w długoletni proces i pozbawiły nadto zaufania rządu. Po jego śmierci było dla Waleryi rzeczą niebezpieczną, rozpoczynać walkę z potężnym i pozbawionym sumienia duchownym, któremu przypisywała całą swą niedolę. Majątku, o który chodziło, syn jej

chwilowo nie potrzebował. Zdawało się nawet, że depozyt był zapewnionym, jeżeli sąd nad nim czuwał.

Ignacy miał wpięrow zapewnić sobie stanowisko w świecie, miał zdobyć sobie niezależność, a potem dopiero, będąc w możności stawienia oporu intrygom nieprzyjaciół, dopominać się o swoje słuszne prawo. Ta chwila nadeszła teraz właśnie. Nikomu jednak na myśl nie przyszło, że w tak długim okresie czasu miał podstęp wziąć górę nad prawem.

Adwokat, któremu sprawę powierzono, natychmiast wdrożył bardzo ściśle śledztwo, którego wynik był następujący:

Wkrótce po przejściu na prawosławie, przedłożył przechrzcony ojciec Anastazy sądowi ostatnią wolę pani Dzierwińskiej. Dokument ten był zaopatrzony w późniejszą datę od testamentu, złożonego w sądzie, pochodził z ostatniego czasu przed śmiercią niebożczki, unieważniał testament zupełnie, podając za jedynego spadkobiercę ojca Anastazego. Rozporządzenie takie niebożczki powinno było w każdym wzbudzić powątpiewanie o autentyczności, ponieważ pani Dzierwińska znaną była jako gorliwa katoliczka i na schyłku życia zerwała wszelkie stosunki z księdzem odstępcą. Miano jednak dowód czarno na białem, poświadczony nadto przez sądownie zatwierdzonego rejenta i poparty świadectwem wiarogodnych ludzi. Pop Anastazy zeznał bezczelnie, że niebożczkę dręczyły prawdopodobnie wyrzuty sumienia, że kazała go zawołać, czyniąc go z własnej woli jedynym spadkobiercą. Świadkowie przysięgli na korzyść popa.

Sąd formalnie wywiązał się z swojej powinności. Zawezwano niepełnoletniego Ignacego Gurowskiego, lub też jego opiekunów, ażeby wdrożyli proces, gdyby to uważali za potrzebne. Na termin oznaczony nikt się nie stawił, a ojciec Anastazy, czyli Bonawentura zgarnął do kieszeni piękne kapitały bez wszelkich trudności.

Tak się miała sprawa. Gdy poproszony przez Ignacego adwokat przebieg jej zbadał bez wszelkich mozołów, kiwał znowu głową, ruszał ramionami i powiedział:

»Pana kapitana oszukano haniebnie. Nie wątpię, że owa ostatnia wola spadkodawczyni jest sfalszowaną. Dostarcz mi jednak pan na to dowodów. Bez nich obecnie żadnego procesu wdrożyć nie można«.

Gdy Ignacy usłyszał to smutne oświadczenie, zawrzała w nim krew gwałtownie, szczególnie, że w ostatnim czasie w ciągłym był rozdrażnieniu. Z opowiadań matki przypomniał sobie dobrze ohydne sprawki ojca Bonawentury, na których wspomnienie zrywała mu się w duszy nienawiść śmiertelna do popa. Ten wróg bezczelny drwił sobie teraz ze świata, tryumfował i płał się w rozkoszach używając majątku, jaki skradł wdowie i sierocie, doszedłszy do niego podstępem i zbrodnią.

Tym wynikiem swych zabiegów, jak wogóle wszystkimi wydarzeniami ostatnich czasów Ignacy do najwyższego stopnia wzburzony, jeszcze raz starał się zachować rozwagę, choć go tym razem zapalczywy i zawsze porywczy przyjaciel Stefan popychał do czynów gwałtownych. Postanowił więc sam z popem się rozmówić i prośbą lub groźbą zmusić go może do pojednania.

Ojciec Anastazy należał do najpierwszych dygnitarzy ruskiej cerkwi w Warszawie. O jego moralności i godności kapłańskiej krążyły po mieście rozmaite pogłoski. Wszyscy wiedzieli, że był bardzo bogaty i że używał dozwolonych rozkoszy życia otwarcie, niedozwolonych zaś może pokryjomu.

Własnością jego była na ulicy miodowej piękna kamienica, którą ozdobił i opatrzył wszelkim możliwym zbytkiem, odpowiednim do swojego stanu. Tam też udał się Ignacy, postanowiwszy sobie zachować spokój i rozwagę, lecz zarazem upominać się także z całą stanowczością praw swoich, jakie mu wydarła zbrodnia oczywista. Ponieważ się obawiał, że pop go nie przyjmie, skoro usłyszy nazwisko Gurowskiego, nie podał go służącemu, który mu drzwi otworzył, tylko mu rozkazał zameldować oficera, który przychodzi w sprawach służbowych. Wpuszczono go natychmiast.

Ojciec Anastazy przyjął go w pokoju, na którego ścianach pełno było pstrych obrazów świętych, oprawnych w ramy złote i wysadzanych drogiemi kamieniami, jakich w cerkwiach niemało się spotyka. Eleganckie biurko, na którym stał cały rząd pięknie oprawnych książek kościelnych, mała kanapka bez poręczy, przed którą stał stolik okrągły i kilka fotelików stanowiły resztę umeblowania. Pop umyślnie urządził ten pokój do przyjęcia bardzo skromnie. Kto częściej bywał u niego, wiedział

bardzo dobrze, że ta skromność ze zbytkiem innych pokoi w rażącym była rozdzwieku.

Gdy Ignacy wchodził do pokoju, podniósł się ojciec Anastazy z krzesła stojącego przed biurkiem, na którym leżała otwarta biblia w drogocennej oprawie.

Kapitan widział się z tym człowiekiem, którego podług opowiadań matki musiał nienawidzić, w życiu po raz pierwszy. Walerya z łatwo zrozumiałych powodów nie opowiadała nawet wszystkiego, n. p. o tem, że dawniejszy ksiądz Bonawentura prześladował ją grzesznymi oświadczeniami.

Pop miał około lat sześćdziesiąt trzy, robił jednak wrażenie daleko młodszego. Postawę miał wspaniałą i silną i trzymał się zupełnie prosto i mocno. Wzięcie miał obecnie więcej pewne siebie i nie okazywał dawniejszej pokory, wiedząc że stanowisko, jakie zajmował, nie łatwo da się zachwiać. Przytył znacznie, choć go to wcale nie szpeciło. Z twarzy były mu rumieńce zdrowia. Ciemne włosy zwyczajem ruskich popów talami spadały mu na ramiona. Zaledwie poznać w nich było można kilka srebrnych nitek. Oczy świeciły mu się dawnym jeszcze blaskiem. Utkwił je w wchodzącego, jak gdyby chciał zbadać jego zamiary, zanim jeszcze słowo do siebie przemówił.

Ubrany był w czarną, obszerną suknię, jaką noszą księża prawosławni. Biodra miał spięte pasem skórzanym, na głowie nie miał przykrycia.

Gdyby Ignacy nie był tego człowieka z duszy nienawidził i nim pogardzał, mógłby się jego postacią zachwycić.

Ojciec Anastazy przywitał młodego człowieka skinieniem głowy, wyrażającym powagę i grzeczność. Wdzięcznym ruchem ręki poprosił gościa, aby zajął miejsce na fotelu, sam zaś usiadł na kanapie, chcąc pokazać, że nawet w własnym domu należy mu się pierwszeństwo. Mogłoby się zdawać, że zimny i badawczy wzrok oficera zaniepokoił go nieco, gdyż oczy spuścił ku ziemi. — Nieczyste sumienie zawsze bierze górę nad siłą woli.

»Proszę mi wybaczyć, czcigodny ojcze«, zaczął Ignacy, gdy usiadł na fotelu, — »że kazałem się zameldować pod zmyślnym pozorem. Przychodzę do Waszej Wielebności nie

z powodu służby, lecz w sprawie prywatnej, o której służącemu nie chciałem wspominać.«

Ksiądz spojrział zdumiony, w ciemnych jego oczach zatliły się dziwne jakieś ogniki niepokoju, jednak nic nie odpowiedział.

»Nazwisko moje z pewnością jest Waszej Wielebności znane, choć osobiście nigdy się z sobą nie spotkalismy«, mówił Ignacy dalej.

»Nie domyślam się naprawdę, z kim mam zaszczyt rozmawiać«, odpowiedział ksiądz, którego niepokój wskutek dziwnie poważnego zachowania się gościa coraz więcej stawał się widocznym.

»Jestem kapitan Ignacy Gurowski«, przedstawił się oficer z naciskiem w głosie.

Po twarzy ojca Anastazego przebiegły błyskawiczne drgawki. W wymownych jego oczach malował się strach i nienawiść. Ksiądz jednak umiał niesłuchanie panować nad sobą, gdyż już za chwilę wyraz twarzy wystraszonego, którego mniej bystre oko, jak Ignacego, wcale nie byłoby dostrzegło, zmienił się nagle. Zaraz potem przemówił ksiądz z miną najspokojniejszą, jak człowiek, który zbiera myśli i dawne wspomnienia:

»Gurowski? — Nazwisko jest mi rzeczywiście znane, musi to być jednak bardzo już dawno, kiedy je usłyszałem.«

»Może Wasza Wielebność przypomni sobie lepiej nazwisko pani Dzierżwińskiej?«

»Tak jest. Mam wszelki powód o niem nie zapominać«, odpowiedział ksiądz z krwią najzimniejszą, poczem prędko dodał:

»Pani Dzierżwińska miała przyjaciółkę nazwiskiem Gurowska, — teraz to sobie dobrze przypominam. Z pewnością jesteś pan jej synem? — Tak, tak, imię mu było Ignacy.«

»Jam jest tym Ignacym, któremu moja matka chrzestna, ta sama pani Dzierżwińska w testamencie zapisała swój majątek«, powiedział oficer siłąc się na spokój.

Bardzo słusznie. Testament ten jednak pani Dzierżwińska kilka dni przed śmiercią znowu zmieniła.«

»Powiadano mi, że na korzyść Waszej Wielebności«, powiedział Ignacy, wzrokiem przeszywając księdza.

Na ojcu Anastazym wzrok ten badawczy i oskarżający

nie zrobił żadnego wrażenia. Na spokojnej jego twarzy zawiła lekki uśmiech, gdy odpowiedział:

»Pojmuję to i rozumiem, że najlepszymi przyjaciółmi być nie możemy, gdyż zawód, jaki pana spotkał, zawsze jest gorzkim i uprzedza do każdego, kto mimo woli i bez własnej winy tego zawodu stał się poniekąd przyczyną. Czegoż pan chcesz? Pani Dzierżwińska była niezaprzeczenie aż do ostatniej chwili zgonu panią swojej woli i swojego majątku. Od wielu lat obdarzała mnie swoim zaufaniem, o które też ze względu na jej zbawienie zawsze się starałem. Choć pani ta pobożna i cnotliwa przez jakiś czas źle mnie oceniała, wiedziałem jednak naprzód, że odzyskam jej przyjaźń prędzej czy później, w każdym zaś razie w ostatnich chwilach życia, w których Pan Bóg Wszechmogący wyraźniej, jak kiedykolwiek do nas się odzywa. Odkąd jestem osobą duchowną, nigdy się nie starałem o dobra doczesne, lub o pieniądze —«

Ojciec Anastazy mówiąc te słowa, zrobił minę świętoszka, zdolną wyprowadzić w pole wszystkich innych oprócz Ignacego, który z opowiadań matki znał przeszłość księdza. Potem popokornie wpatrzony w ziemię, mówił dalej:

»Przyjmując po dłuższem wahaniu ten dowód przyjaźni dawniejszej mojej klientki, nie uczyniłem tego w celu osobistego z bogaceniem się, tylko częścią dla tego, że nie chciałem konającej ostatnich chwil życia zatruwać, częścią zaś dla tego, że będąc sługą kościoła, uważałem za obowiązek, przysłużenia się temuż wedle możliwości.

»Mówiono mi«, przerwał Ignacy podstępem popowi, siłąc się na spokój, — »że pani Dzierżwińska, gorąca zwolenniczka kościoła rzymsko-katolickiego, majątek swój zapisała temuż kościołowi dawno przed śmiercią.«

»Bardzo słusznie. Później jednak zmieniła swój testament.«

»W każdym razie nie na korzyść kościoła, który dla niej był zupełnie obcym«, odpowiedział Ignacy nieco ostrzej, ponieważ oburzał go beczelny spokój popa.

Ojciec Anastazy pojął od razy, że miał do czynienia z zaciętym nieprzyjacielem, który mu nie dowierzał i na wskroś go przenikał. Z nieugiętym zacięciem utkwiał więc w kapitana wzrok prawie groźny.

Spojrzenie to świadczyło wymownie, że gotów był walczyć na śmierć i na życie.

»Kapitanie«, wycodził potem z wolna, lecz dobitnie, — »pojmuję, że chcesz mnie pan pociągnąć do odpowiedzialności za to, że nadzieje pańskie obróciły się w niwecz. Wobec tego nie odwołuję się na suknię duchowną, którą noszę i która powinna mnie obronić przed wszelkiem podejrzeniem, tylko radzę panu, abys poprostu odwołał się do sądu. Dla czegoś pan ze swojemi pretensjami nie wystąpił prędzej, jeżeli je pan uważał za słuszne? O jakie prawa chcesz się pan jeszcze teraz upominać?«

Ojciec Anastazy mówił bardzo głośno, a krew Ignacego z tego powodu coraz więcej się burzyła.

»Najprzód chciałbym Waszej Wielbności odpowiedzieć na pierwsze pytanie«, odpowiedział drżącym z gniewu głosem. »W tym czasie, kiedy ksiądz spadek odbierał, byłem jeszcze niepełnoletnim dzieckiem.«

»Lecz matka pańska, dobra przyjaciółka pani Dzierżwińskiej?«

»Wasza Wielbność zaś«, mówił Ignacy dalej, nie zważając na popa, — »postarałeś się o to, że niewinne dziecko i matka jego, która jedna tylko mogła praw jego bronić, prawie wymazani zostali z listy żyjących. Czcigodny księże, nie zawahałeś się popełnić na dwóch osobach zabójstwa moralnego, które równie łatwo mogło zamienić się w fizyczne, wysyłając swoje ofiary na pustynię Syberyi w tym jedynie zamiarze, aby ztamtąd już więcej nie wróciły.«

Przy tem ciężkiem oskarżeniu, które bezwzględnie spadło na głowę beczelnego popa, oczy Ignacego zapalały płomieniem gniewu. Przestał na chwilę mówić, chcąc odczekać wrażenia, jakie słowa jego wywarły na księdzu.

Ojciec Anastazy był błądy śmiertelnie, przez co żar jego czarnych oczu tem więcej się uwydatniał. Miał ochotę rzucić się na śmiałego przeciwnika i zadławić go. Zdolność panowania nad sobą jeszcze go jednak nie opuściła. Po krótkiej więc, lecz widocznej z sobą walce powiedział bardzo łagodnie:

»Obwiniasz mnie pan o straszne rzeczy. Czy możesz pan je udowodnić?«

»Z pewnością, świadectwem matki.«

»Czy żyje jeszcze?« zapytał się ksiądz, błędąc coraz bardziej.

»Tak jest, ztąd niedaleko.«

»Gdzie?« zagadnął ojciec Anastazy nagle.

Zapęd ten i dziwnie błyszczące oczy księdza podpadły Ignacemu i przypomniały mu szczęśliwym sposobem, że lepiej będzie, jeżeli pobytu matki nie zdradzi. Chociaż bowiem nie mogła wystąpić przeciwko popu przed sądem, mogła jednak bardzo szkodzić mu na opinii. Z obawy przed tem, byłby się ojciec Anastazy może nie cofnął przed nową zbrodnią. Dla tego odpowiedział wymijająco:

»Plan Waszej Wielbności jednak się nie udał. Pan Bóg zlitował się nad niewinną sierotą i wdową i za pomocą szlachetnych ludzi wrócił ich znowu do świata i życia. Otóż staję przed Wami i żądam podwójnego rachunku.«

»Obwiniasz mnie pan więc o to, że z mojej przyczyny pan i pańska matka zostaliście zesłani na Sybir«, odpowiedział ojciec Anastazy, odzyskawszy znowu spokój zupełnie. »To nie jest prawdą, oszukano pana.«

»Kto, moja matka?«

»Matka pańska była wtedy w każdym razie w błędzie, którybym nawet teraz jeszcze chętnie wyświecił, gdybym mógł z nią się rozmówić. Zapewne opowiadała panu, że ukryła się w pawilonie, leżącym w ogrodzie pani Dzierżwińskiej, obawiając się utraty dziecka podobnie, jak się to działo z innymi rodzicami.«

»Matka moja obawiała się waszej zemsty i denuncyacji, przerwał księdzu Ignacy.

Ojciec wzruszył tylko ramionami i mówił dalej:

»Były to czasy, w których pani Dzierżwińska i matka pańska źle mnie rozumiały. Podsuwano mi myśli, których nigdy nie miałem, prawdopodobnie dla tego, że pani Dzierżwińska sama to czuła, że przez unieważnienie pierwszego testamentu wyrządziła mi niezasłużoną krzywdę.«

Pod tym względem Ignacy rzeczywiście niedostatecznie był pointormowany, gdyż, jak już powiedziano, matka jego nie chciała wyznać dziecku, jak ją ksiądz napastował.

»Milczałem i wcale nie protestowałem przeciwko temu«, mówił Ojciec Anastazy dalej. O skrytce matki pańskiej wie-

działem dobrze, nigdy jeszcze na myśl mi nie przyszło, aby ją zdradzić.«

»Przecież Wasza Wielbność sam sprowadziłeś siepaczy!« zawołał Ignacy, oburzony beczelnem kłamstwem. »Nie byłeś to sam obecnym przy aresztowaniu mojej matki?«

Ojciec skinął ręką przecząco.

»Przypadkiem«, mówił, — »dowiedziałem się o zamiarze aresztowania Waleryi Gurowskiej i jej dziecka, a raczej wprost zażądano odemnie, abym wyjawiał miejsce jej pobytu. Odmówiłem żądaniu i bezzwłocznie pobiegłem do pawilonu, aby ostrzedz nieszczęśliwą. Przyszedłem za późno i dla tego byłem świadkiem jej aresztowania. W pojęciu matki pańskiej pozory mnie obwiniają. Proszę pana raz jeszcze wskazać mi miejsce jej zamieszkania, abym się mógł wytłomaczyć.«

Ignacemu ani się nie śniło, słowom księdza dowierzać. Zamiast więc odpowiedzi zrobił taką minę, po której nie trudno było poznać, co myślał.

»Zdawało mi się, żeście oboje przepadli i zginęli«, mówił ksiądz dalej, nie zważając na Ignacego, — »i dla tego nie miałem powodu sprzeciwiać się ostatnim życzeniom spadkodawczyni. Pani Dzierżwińskiej nie narzucałem się wcale. Sama kazała mnie krótko przed śmiercią zawezwać i wyraziła żal szczerzy dodając, że po raz wtóry unieważniła testament z tą różnicą, że majątku nie zapisała kościołowi, tylko mnie osobiście, chcąc mi w ten sposób dać szczególniejszy dowód swego zaufania. Protokół dotyczący tej ostatniej woli spisany został podług wymagań prawnych przez rejenta w obecności świadków. Później sąd nie miał żadnego powodu do protestu. A teraz pytam się pana raz jeszcze: jakież prawo chcesz pan sobie rościć?«

Ojciec Anastazy zrobił minę tryumfującą i nieco szyderczą.

»Podam wniosek do sądu o rewizję testamentu, odpowiedział Ignacy zimno.

»A więc pan wątpisz o jego autentyczności?«

»Ze względu na stanowisko Waszej Wielbności żałuję bardzo, że zmuszonym jestem odpowiedzieć potakująco.

Ksiądz zerwał się, mając błyskawice w oczach. Ignacy

uczynił to samo. Obaj patrzeli na siebie wzrokiem śmiertelnej nienawiści.

»Na ten proces poczekam spokojnie«, powiedział ojciec Anastazy po krótkiej chwili. »Strzeż się jednak, młodzieńcze. Odważasz się na hazard, którego pożałujesz.«

»Nie boję się groźby«, odpowiedział Ignacy dumnie.

»Pomyśl pan, że kościół mnie broni.«

»Mnie broni prawo.«

Ksiądz uklonił się lekkim i dumnym skinieniem głowy. Ignacy odpowiedział tak samo, poczem się rozstali.

Gdy Ignacy wychodził z domu, z całego postępowania ojca Anastazego wyniósł to niezłomne przekonanie, że pop był skończonym łotrem i oszustem. Nie ludził się wcale pod względem trudności, na jakie napotkał w tym kraju i przy swoim stanowisku, jeżeli wystąpi przeciwko wysoko postawionemu słudze panującego kościoła. Znał także niebezpieczeństwo, na jakie się narażał. Mimo to mocno sobie postanowił użyć wszystkich środków, aby zdemaskować nikczemnego księdza.

Na dworze już zmierzchało. Było to wieczorem 14-go stycznia, który dla Warszawy i całej Polski miał szczególne znaczenie.

Ignacy spieszył się, aby na czas zdążyć do cytadeli, której bramy wcześniej już zamykano. Gdy stanął na miejscu, największemu swojemu zdumieniu zobaczył większą część wojska stojącą pod bronią.

»Co to znaczy?« zapytał się Stefana, gdy połączył się z pułkiem.

»Obawiam się, że nic dobrego«, odpowiedział porucznik z twarzą zachmurzoną. »Chodzą pogłoski, że w nocy odbędzie się w Warszawie branka rekrutów przemocą.«

»Na Boga jedyne!« zawołał Ignacy wystraszony. »Przy obecnem rozburzeniu narodu może to pociągnąć za sobą jak najgorsze skutki.«

Porucznik w milczeniu wzruszył ramionami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY.

Branka.

Cała Warszawa spoczywała pogrążona w śnie głębokim. Nagle zebrały się na publicznych placach i przy odwachach wielkie masy wojska, do którego przyłączyło się mnóstwo urzędników policyjnych i żandarmów. Około godziny pierwszej po północy wojsko wyruszyło pojedynczemi oddziałami, maszerując jednostajnie miarowym krokiem, którego echo głucho dudniło po bruku. W rozmaitych stronach miasta obsadzono wyloty ulic, które kordonem odcięto. Hulaki i zapracowani aż do późnej nocy kupcy z niemałym strachem zobaczyli od razu wszędzie błyszczące bagnety, starając się ujść co żywo. Co za znaczenie miało to niezwykle zjawisko, wiedzieli wszyscy: rozpoczęła się branka, której oddawna już się obawiano.

Rzeczywiście tej samej nocy gwałtem miano zabrać dwa tysiące młodzieży poprzednio już postawionej na tajnych listach i należącej do stanów rozmaitych, aby ją zmusić do służby wojskowej dla Jegomości cara Wszechrosyi. Porwanych od ognisk domowych miano wysłać do pułków załogujących w głębi Rosyi. Po jakimś czasie miało miasto w ten sam sposób stawić jeszcze osiem tysięcy rekrutów. Taka sama branka miała odbyć się mniej więcej w tym samym czasie w całym Królestwie Polskiem. Nie potrzeba zapewne dodawać, że rząd miał głównie ten zamiar na celu, aby przez wycofanie najlepszych sił młodzieńczych osłabić żywioły rewolucyjne.

Pułk, w którym służyli Ignacy i Stefan, wysłano również w tym samym celu do miasta. Gdy się obaj oficerowie dowiedzieli, jaką powinność mieli do spełnienia, zacisnęli zęby tak samo, jak może niejeden inny oficer i żołnierz, żelazne

jednak więzy obowiązku nakazywały im milczenie i posłuszeństwo.

Przypadek zrzucił, że dwie kompanie, w których służyli obaj przyjaciele, ustawiono razem na placu Krasińskich, zanim się zaczęła właściwa utarczka. Noc była przejmująca. Nawet najsurowsi żołnierze odczuwali ją niemile. Szeregi bez rozkazu zachowywały ponure milczenie. Głos komendy brzmiał głucho. Komu chętka przyszła do rozmowy, szeptał tylko z cicha.

Stefan podszedł do Ignacego, który w milczeniu i z ponurym wzrokiem stał oparty na pałaszu, i poklepał go lekko po ramieniu.

»Co myślisz o dzisiejszej nocy, bracie«, szepnął mu do ucha, — »i o roli, jaką w niej odgrywamy?«

»Myślę, że będzie wyrokiem śmierci na rządy rosyjskie w Polsce i w całej Europie ucywilizowanej. Myślę także, że musimy słuchać«, odpowiedział Ignacy.

»Czy całe miasto powstanie?«

»Jestto rzeczą prawie niemożliwą wobec przemocy wojska, szczególnie że do walki nikt nieprzygotowany.«

»Zdaje mi się, że na odpowiedź naszych współpracowników nie długo trzeba będzie poczekać. Już dziś gotów jestem o bruk swój pałasz roztrzaskać.«

»Aby Cię jutro rozstrzelano?«

»Wiem o tem, że takby się stało.«

»Dla tego milczmy i słuchajmy, ponieważ nic zmienić nie zdołamy.«

Zjawił się na placu jakiś generał konno w otoczeniu kilku adiutantów i zawezwał do siebie wyższych oficerów, którym udzielał instrukcji. Potem rozpoczęła się czynność. Porozdzielano i powysyłano na rozmaite ulice małe oddziały wojska pod dowództwem oficerów i w towarzystwie urzędników policyjnych, które miały wpadać do domów i zabierać rekrutów. Dowódcy otrzymali rozkaz, aby w razie konieczności wybranców aresztowali jakiego mężczyznę z koła krewnych, ojca lub brata i przyprowadzili ich do szeregów jako zakładników. Nakazano bezwzględna surowość, nikogo nie miano oszczędzać.

Nieszczęśliwym trafem także kapitan Gurowski otrzymał taką wstrętą komendę. Porucznikowi Kralowskiemu lepiej się

udało, gdyż pozostał na placu przy swojej kompanii, która miała mieć dozór nad pochwytanymi rekrutami i obowiązek odstawienia ich później do cytadeli.

Z wielkim wstrętem zabrał się Ignacy do spełnienia rozkazu. Policyjant dodany mu do boku poprowadził go do jakiegoś domu, którego tylne wyjście także osaczono. Po zastukaniu do drzwi zawołano:

»W imieniu cara! otworzyć!«

Trwało dobrą chwilę, zanim ze snu zbudzeni i przerażeni mieszkańcy zdołali rozkaz wykonać. Surowi żołnierze zaczęli się niecierpliwić a oficer z trudem tylko utrzymywał ich w karbach. Nie wszędzie postępowano sobie z równą względnością. Żołnierze w podobny sposób do służby zaciągnięci, ucztowali pewien rodzaj dzikiego zadowolenia, że nadarzyła im się sposobność zgotowania innym równego losu, jaki sami od lat już znosili.

Skoro drzwi otworzono, wpadli z hałasem do domu. Urzędnik policyjny, mając w ręce listę, wiedział już dokładnie, gdzie braniec mieszkał. Z łoskotem biegano po schodach, bez pozwolenia wdzierano się do mieszkań i znajdowano zwykle bezbronną ofiarę w łóżku.

»Jesteś carskim żołnierzem!« powiadano. »Ubieraj się i chodź z nami.«

Oporu, ani nawet zapytań nie dozwolano. Kto natychmiast nie usłuchał, poczuł na własnym ciele szarpnięcia silnych pięści. Gwałtem wyrzuconym z łóżka nie pozwalano nawet jako tako się odziać.

»Car ubiera swoich żołdatów w mundury,« mawiali policyjanci z szyderstwem, — »o resztę swojej chudoby możesz się później postarać.«

Nieszczęśliwi rekruci zwykle głowy tracili i stawali się biernym narzędziem w rękach napastników. Przed branką młodzi ludzie tysiąc razy zapewniali: »Niema nic gorszego, jak być ruskim żołdatem, śmierć jest sto razy lepszą!« — Mimo to, gdy ich zabierano, większa część padła w niemą rozpacz. Słuchała, później dopiero wybuchając gwałtownie. Mała tylko garstka zdobywała się na opór bezskuteczny. Takich wiązano raczono kolbami. Inni popadali znowu w szalony humor, pochodzący z rozpacz, lub też w rodzaj obłąkania, gdyż po

drodze głośno śpiewali zakazane pieśni narodowe: »Jeszcze Polska nie zginęła«, lub też »Boże, coś Polskę.«

Takie sceny zdolne już były wstrząsnąć sercem każdego człowieka. Mimo to zachodziły jeszcze gorsze, na których wspomnienie krew ścina się w żyłach. Niejeden młody człowiek pozostawił w domu rodziców, rodzeństwo, lub narzeczoną, z którymi wskutek branki rozłączał się może na zawsze. Po większej części nie trzeba było przynajmniej patrzeć żalosnymi oczyma na takie straszne sceny pożegnania z drogiemi osobami. Zdarzało się jednak, że gwałtem wydzierano niejednego syna, pociechę i jedyną podporę rodziców, z objąć sędziwego ojca i kochającej matki. Niejedna żona z rozpaczyny rwała sobie włosy i kamieniała z przerażenia, gdy jej zabierano męża. Działy się tak straszne rzeczy, jakie w wyobraźni trudno sobie przedstawić! — To wszystko działo się na rozkaz dobrotliwego i miłościwego władcy, którego cała Europa wynosiła pod niebiosy z powodu liberalnych zamiarów.

Taka nieszczęsna komenda¹ chodziła od domu do domu. Dowódzca jej, kapitan Gurowski, blady był śmiertelnie. Choć dawniej swojemu popędliwemu przyjacielowi dobre i rozsądne dawał rady, obecnie jednak coraz częściej się wahał i skłonny był się stawać do uważania jego pojęć za prawdę. Teraz jemu samemu przychodziła chętka, wiaść pałasz i połamać go w kawały. Czyżby tym czynem przysłużył się społeczeństwu lub jednostce?

Ignacy spełniał surowe rozkazy łagodnie, gdzie i o ile mógł to pogodzić z swoim obowiązkiem wojskowym. Nieszczęśliwych pocieszał, mówiąc do nich po polsku, i radził im, aby znosili, czego odmienić nie mogą. Wlewając otuchę w serca zrozpaczonych, sam w prawdziwość słów swoich nie wierzył. Przedewszystkiem utrzymywał w korbach podwładnych i surowych swoich żołnierzy, którzy po cichu szeptali sobie do ucha: »To także Polak.«

Jak słusznie przewidziano, wielu przeznaczonych do poboru otrzymało na czas ostrzeżenie, lub też zdołało umknąć w ostatniej chwili. Łóżka ich były puste. Wydane instrukcje były tak wyrazne, że oficerowie od nich odstąpić nie śmieli. W takich razach nakazano aresztować jakiego krewnego w miejsce zbiegłego, pod tym względem postępował Ignacy z możliwą względnością

Zabierał tylko starców niezdolnych do służby wojskowej, których oczywiście jak najprędzej trzeba było uwalniać. Nic dziwnego, że słuchali go z chęcią, gdy się po cichu dowiedzieli od niego, co się z nimi stanie. Jednym z ostatnich branców był młody żydek z ulicy Miodowej, nazwiskiem Mojżesz Lipman, kupiec okreśny, którego podejrzewała policja o rozszerzanie zakazanych pism ulotnych. Przestępstwa tego nie można mu było jednak udowodnić.

Żydzi żenią się w Rosyi zwykle bardzo wcześnie. Również Lipman ożenił się dopiero przed kilku miesiącami z młodą żydóweczką. Oboje kochali się bardzo.

Widok młodej kobiety, ubranej tylko w szlafroczek, był nad wyraz wstrząsającym, gdy jej męża chciano zabierać i wiązać. Upadła na kolana przed kapitanem, który podług jej mniemania miał moc rozporządzania losami jej męża. Ścisłała oficera za kolana, potem rwała sobie z głowy długie i czarne jak kruk włosy. Łzy gorące spływały po bladej i kurczowo drgającej twarzy, a prośby rozpaczliwe i gorzkie skargi wydzierały jej się z ust bezustannie.

W obec znacznej liczby świadków, patrzących na nią zimno, lub z szyderczym tryumfem, przyznawała się w rozpacz, że nosi dziecko pod sercem, bezbronną i opuszczoną sierotę, gdyby jej męża miano zabrać na zawsze.

Młody żydek był pięknym mężczyzną o twarzy wyrazistej i inteligentnej. Wskutek przerażenia i strachu jednak prawie skamieniał. W oczach jego widniała tylko niewysłowna rozpacz. Spoglądał na żonę żalosnie, nie próbując stawic najmniejszego oporu.

Widok tej pary małżonków sprawiał głębokie wrażenie. Nie potrzeba było być wielkim znawcą ludzi, aby zrozumieć, że ich rozłączenie pociągnie za sobą śmierć trojga istot z pewnością.

Branka, którą kierował Ignacy, była uwieńczoną dotąd jak najpomyślniejszym rezultatem, gdyż mało tylko branców zdołało mu umknąć. Ponieważ wszystkie czyny ludzkie zwykle osądzają po skutkach, mógł więc kapitan zapewne liczyć na pochwałę z strony swoich przełożonych.

Smutny obowiązek, jaki tej nocy miał do spełnienia, wzburzał w nim nie tylko wstręt nieprzewycięzony, lecz także najżywsze współczucie. Widok, jakiego teraz był świadkiem,

rozzewnił go do reszty. Nie zdając sobie z tego sprawy, nabrał przekonania, że biedny żydek Mojżesz Lipman nie może rozłączyć się z żoną i dzieckiem.

Sam jeszcze nie wiedział, w jaki sposób dotrzyma przyrzeczenia, bez namysłu jednak schylił się nagle do wyrzekającej u stóp jego kobiety i szepnął jej do ucha:

»Uspokój się, męża twojego uwolnię.«

Młoda i piękna kobieta wzniosła ku niemu oczy łez pełne, w których widniały równocześnie obawa i nadzieja. Po tem spojrzeniu nie byłby jej zawiódł za nic w świecie, choćby to własnem życiem miał przypłacić. Jeszcze raz skinął na nią na znak, że słowa dotrzyma. Potem nieszczęśliwa podniosła się z ziemi, potoczyła się do łóżka i rzuciła się na nie z głośnem łkaniem.

»Żyda wiązać nie trzeba,« zawołał kapitan surowym głosem do żołnierzy, którzy właśnie zamierzali nie opierającemu się wcale człowiekowi związać ręce na plecach. »Widzicie sami, że nie stawia żadnego oporu!«

»Pożegnaj się z żoną,« powiedział potem tym samym głosem do Lipmana.

Żyd usłuchał rozkazu. Tym manewrem chciał Ignacy uwolnić go od żołnierzy. Sam działał pod chwilowem natchnieniem.

Oboje małżonkowie uścisknęli się czule.

»On cię wybawi, on mi to przyrzekł,« szeptała młoda żona do męża. »Ty nie będziesz żołnierzem.«

»Kto?« pytał się Mojżesz niedowierzając.

»Oficer. Proszę cię, polegaj na nim bezwzględnie.«

Rekrut spojrział na Ignacego wzrokiem pytającym, jakby mu nie dowierzał. W tej chwili kapitan przystąpił do niego, położył mu rękę na ramieniu i powiedział ostro:

»Naprzód! — już dosyć tych czułości!«

Biedna kobieta nie zawodziła już tak rzewnie, a żyd wyszedł bez oporu, chociaż sądząc po tępych wyrazie twarzy wcale jeszcze nie oddawał się żadnej nadziei.

»Trzymaj się wciąż przy moim boku,« szepnął mu Ignacy.

Przed domem na ciemnej ulicy stali już otoczeni przez żołnierzy pochwytni branczy, których część była powiązana. Jedni z nich wyrzekali z cicha i płakali, drudzy zaś głowę dumnie wznosili do góry. Chociaż z powodu dobijania się do

domów i wywłóczenia opornych dosyć było hałasu i śpiący po domach z pewnością ze snu się ocknęli, nikt jednak nie otworzył ani drzwi, ni okna widocznie z obawy, że tym sposobem zwróconoby na siebie uwagę żołnierzy. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie jedno oko podglądało, nie jedno ucho podsłuchiwało skrycie i nie jedno serce biło ze strachu i współczucia.

O kilka domów dalej miał być zabranym ostatni rekrut na przestrzeni ulicy, wydzielonej Ignacemu. Do tego czasu podług instrukcyi kapitan zawsze w własnej osobie udawał się do domów, pozostawiając na ulicy straż nad brancami staremu kapralowi. Tym razem jednak inaczej rozporządził. Wymawiając się, że mu nie dobrze, — rzeczywiście była to prawda szczerą — rozkazał podoficerowi objąć komendę, sam zaś pozostał na dworze.

Skoro drzwi domu się otworzyły, powstał w nim, jak zwykle, nagle wielki hałas, a stojący na ulicy całą swoją uwagę zwrócili w stronę domu. Żołnierze półgłosem dowcipkowali.

Jak już powiedziano, egipskie ciemności panowały na ulicy. Żołnierze otoczyli branców ciasnem kołem, po za które oczywiście nikt inny nie miał przystępu, jak tylko oficer. Ignacy zbliżył się do miejsca, gdzie stał Mojżesz Lipman. Chociaż do tego żadnego nie było powodu, ni ztąd ni zowąd odezwał się kapitan nagle i głośno po rosyjsku:

»Zdaje się, że kapral napotkał w domu na zacięty opór. Wejdźcie i zobaczcie, co się tam dzieje.«

Przy tych słowach skinął na trzech lub czterech w pobliżu stojących żołnierzy, którzy natychmiast rozkaz wykonali. Wskutek ich odejścia powstała luka w kordonie wojska. W tej samej chwili kapitan schwycił żyda za ramię, pociągnął ku sobie i wepchnął do ciemnej bramy, znajdującej się tuż za nimi.

»Nie wychodź ztąd, dopóki nie odmaszerujemy,« szepnął mu do ucha — »a potem zmykaj co żywo. Strzeż się jednak wracać do domu.«

»Jehowa wynagrodzi Tobie, przezacny panie, litość nad Mojżeszem Lipmanem, jego żoną i dzieckiem. Wolno mi się dowiedzieć pańskiego nazwiska?«

Ostatnie pytanie było bardzo usilne, a Ignacy obawiał się każdej dłuższej zwłoki. Odpowiedział więc bez namysłu:

»Kapitan Gurowski, — teraz jednak milcz, jeżeli chcesz być wolnym.«

Przy tych słowach wepchnął żyda w kąt jeszcze ciemniejszy, poczem wrócił do swoich żołnierzy i do reszty brańców. To wszystko działo się z taką błyskawiczną szybkością i tak pokryjomu, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

Wreszcie przywleczono ostatniego brańca, młodego studenta uniwersytetu, który bronił się rozpaczliwie, przy czem go lekko raniono. Na komendę oficera ruszył potem cały smutny konwoj z powrotem na plac Krasińskich.

Plac ten był widownią scen strasznych, tem groźniejszych, że je pokrywały grube cienie nocy. Większa część oddziałów powróciła już z łupem na miejsce. Brańców pospędzano w jedną gromadę i ustawiono na środku obszernego placu. Jedni z nieszczęśliwych brańców leżeli na mokrym bruku zawodząc w niebogłosy, ofiary strasznej rozpacz, drudzy rozpluwając się we łzach ściskali się nawzajem, inni jeszcze patrząc dzikim wzrokiem, szarpali wściekle więzy, jakie ich krępowały. Z pomieszanego wrzasku tłumów raz po raz wyrwały się przekleństwa na Moskali, lub też płynęła rzewna melodia chórem śpiewanych pieśni narodowych. Oficerowie i żołnierze, chcąc zapobiedz hałasom, rozsypali się w tłumie i groźbami, przekleństwem, lub też uderzeniem kolby zmuszali brańców do spokoju. Skutek był taki, że co chwilę z gromady dolatywał jęk bólu.

Rzędami ustawione wojsko utworzyło wielki czworobok wokoło kupy jeńców. Między wojskiem a brańcami stał generał w otoczeniu oficerów sztabowych. Humor miał kwaśny, gdyż wysłane oddziały wojska mniej więcej połowę tylko sprowadziły pomieszczonych na listach rekrutów. Reszta uciekła bez śladu. Z drugiej strony odebrano także już raport, że na prędcie zebrane gromady młodzieży wyszły z miasta w wielkiej części zbrojno, śpiewając: »Boże, coś Polskę.« Opuścili oni Warszawę przez bramy, których dziwnym sposobem nie zamknięto, lub też przez stare wały.

Każdy nowo przybyły dowódzca oddziału zdawał generałowi raport. Stosownie do tego, czy treść jego była pomyślna, lub też przeciwnie, generał mniej lub więcej był zadowolony, nie szczędząc czasami gorzkich wymówek i groźby. Gdy Ignacy

ustawił swoich brańców podług listy, brakowało żyda Mojżesza Lipmana.

»Przecieśmy go aresztowali,« mruknął stary kapral drapiąc się za uchem.

»Przekłête żydzisko pewnie uciekło,« kwaśno odpowiedział Ignacy.

Na tem się skończyło. Postanowiono tylko zaraportować, że żyda w domu nie było. W raporcie miano także powiedzieć, że nie można było przyprowadzić zakładnika, ponieważ Lipman nie miał męzkich krewnych, tylko mieszkał z żoną. Kapral zrobił minę bardzo niepewną, nie śmiał jednakże głośno powiedzieć, że jeniec mógł uciec jedynie w tym czasie, gdy kapitan w własnej osobie przy żydzie pozostał. Żdziwienie kaprała było tem większe, ponieważ wiedział na pewne, że kapitan miał wzrok bystry, przed którym nic ukryć się nie mogło.

Zresztą generał był z raportu Ignacego wyjątkowo zadowolony. Kapitan miał bowiem podczas swojej wycieczki więcej szczęścia, jak którykolwiek z kolegów. Nie obyło się więc bez pochwały, a generał mniemał, że mniejsza o żyda.

Gdy nieszczęśliwych rekrutów wojsko odprowadzało do cytadeli, Warszawa sprawiała jeszcze na pozór wrażenie spokojnego miasta. Brańców osadzono w kazematach, przed któremi ustawiono strażę z nabitą bronią. Na drugi dzień zrobiono przegląd i uwzględniono kilka reklamacyj, ponieważ się wykażało, że przy brance zaszyły rzeczywiście pomyłki, n. p. z obco-krajowcami. Po krótkim czasie wysłano wszystkich pod silną strażą wojskową w głąb Rosyi, nie pozwalając nawet krewnym pożegnać się z nimi.

Ilu z tych europejskich niewolników wróciło do ojczyzny?

Co się stało z Mojżeszem Lipmanem, Ignacy oczywiście się nie dowiedział, choć z drugiej strony również nie słyszał, żeby żyda po raz wtóry schwytano. Zapewne ukrywał się u którego z swoich współwyznawców, lub też przyłączył się do jakiej gromady, która wśród owej strasznej nocy opuszczała miasto, chroniąc się w lasach pobliskich.

Ignacy obawiał się odwiedzić żonę Lipmana, choć bardzo był ciekawy, co się z żydem stało. Taka wizyta zwróciłaby na siebie uwagę i wzbudziła podejrzenie, że kapitan przyczynił się do ucieczki Mojżesza. Z całej tej tajemnicy zwierzył się

tylko przed swoim przyjacielem Stefanem, który mniej wieciej dał taką odpowiedź:

»Naraziłeś się na wielkie niebezpieczeństwo, kochany przyjacielu. Będąc w Twoim miejscu, prawdopodobnie również nie byłbym sobie inaczej postąpił. Obawiam się raczej, że byłbym może uwolnił jeszcze więcej, jak jednego.«

Po brance cała Warszawa zadrżała z oburzenia. Nie wybuchło wprawdzie powstanie ogólne, jak w listopadzie roku 1830, gdyż z góry można było przewidzieć, że udać się nie może z powodu przepelnienia miasta rosyjskimi wojskami. Nie było najmniejszej wątpliwości, że walka z przemożnym wrogiem źle skończyłaby się musiała. Lud jednak miał postawę groźną, zachowując ponure milczenie. Czuć było w powietrzu, że burza nadchodzi.

Był to dopiero początek dramatu. Wszyscy przeczuwali, że ponieważ pierwsza branka wypadła dla rządu niepomyślnie, nastąpi druga na jeszcze większą skalę. Potem miała przyjść kolej na prowincye. Wypadki warszawskie lotem błyskawicy rozniosły się po kraju. Zadawano więc sobie pytanie, co się dzieć będzie w innych miejscowościach i co zrobią zbiegowie, ukrywający się w lasach.

Odpowiedź na to pytanie wkrótce nadeszła, choć rozmaicie zabarwiona przez rosyjskie organa rządowe i przez tajne pisma narodowe.

Zbiegowie warszawscy udali się po większej części na północ do wielkich lasów nasielskich. Opowiadano sobie, że w okolicy miasteczka Sierocka utworzyły się dwa oddziały, w sile czterystu do pięciuset chłopów. Również na wschód od Warszawy, na drodze do Mińska miał się lud gromadzić. Rząd postąpił sobie bardzo roztropnie, nie urządzając branki wśród włościan, których chciał pozyskać na swoją stronę, co mu się także po większej części udało. W sferach rządowych dobrze wiedziano, że pierwiastku rewolucyjnego nie należało szukać wśród wieśniaków, obojętnych dla sprawy narodowej, tylko w stanach wyższych, wykształcenijszych i uświadomionych. Dla tego też mieli paść ofiarą mieszczaństwo i szlachta. Z tego powodu tak zwane oddziały powstańcze składały się przeważnie z szlachty, z rzemieślników miejskich i z urzędników, lub służących dworskich.

Nie miały one dotąd żadnego planu stałego, prócz burzenia torów kolejowych i zrywania drutów telegraficznych, przez co chciało Warszawę odciąć od świata i mieszkańcom stolicy ułatwić powstanie.

Z Warszawy wysłano na prawy brzeg Wisły silne komendy wojskowe w zamiarze stłumienia nieporządków, którym dotąd nie przypisywano jeszcze większego znaczenia. Wskutek tego przyszło do licznych utarczek, w których oczywiście okazała się przewaga wojsk regularnych nad powstańcami, źle uzbrojonymi i pozbawionymi dowódców. Wielu z młodzieży pochwymano i aresztowano.

Powstańcy szukali odwetu. Zmuszeni koniecznością zabierali w mniejszych miasteczkach kasy rządowe, napadali na wozy pocztowe i pociągi kolei i powiesili kilku najbardziej znienawidzonych rosyjskich urzędników. Wszystkie te operacje nosiły na sobie piętno wypraw łupieżkich bez stałego programu i celu, chociaż rząd moskiewski starał się o to usilnie, aby je w oczach świata przedstawić jako oddawna już przygotowane powstanie całego narodu, chcąc tym sposobem zrzucić z siebie odpowiedzialność za niesłychane gwałty i okrucieństwa.

O powstaniu jednak mowy być nie mogło. Rozpacz tylko i obawa przed branką popychała nieszczęśliwych ludzi do życia awanturniczego, ponieważ nie mogli się zająć cichą pracą zawodową. Któżby im wziął za złe, że bronili wolności i własnego życia?

Ignacy i Stefan wcale tego nie żalowali, że ich nie przyłączono do komend, wysłanych na pościg nieszczęśliwych rodaków. Obaj pozostali jeszcze w cytadeli warszawskiej.

Pojąć nie trudno, że Ignacy w takiej zawierusze, która wszystkimi umysłami wstrząsnęła do głębi, nie miał sposobności wytoczenia procesu ojcu Anastazemu. Odłożył on tę sprawę do czasów spokojniejszych, chociaż mało było widoków, że spokój rychło nastąpi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY.

Tajna agentka.

Na pierwszym piętrze domu, należącego do najwytworniejszych w dzielnicy Saint-Germain w Paryżu, mieszkała owdowała baronowa Rosenberg. Mąż jej zmarły przed laty, był rosyjskim pułkownikiem przy gwardyi. Po jego śmierci bogata i bezdzietna wdowa, długi czas żyjąca na dworze petersburskim, wyjechała za pozwoleniem carskiem do Paryża, podając za powód brak zdrowia.

W Paryżu przez zimę prowadziła dom otwarty i bywała w towarzystwach najświetniejszych, szczególnie zaś w rosyjskiem poselstwie, gdzie ją wielką czcią otaczano. Latem wyjeżdżała do wód w południowej Francyi i Sabaudyi.

Baronowa Rosenberg urodziła się Niemką. Mąż jej również zaliczał się do tego narodu. Oboje jednak z czasem uchodzili za zmoskwiczonych. Nieboszczyk baron i pułkownik zażywał u cara Mikołaja wielkiego poważania, ponieważ był dzielnym żołnierzem, raz po raz skutecznie używanym do misyj dyplomatycznych.

Pani baronowa miała na początku roku 1863 około lat pięćdziesiąt, należała jednak wciąż jeszcze do wielkiego świata, ponieważ była damą wytworną i pełną wdzięku. Rysy jej regularne świadczyły o dawniejszej pierwszorzędnej piękności. Ubierała się gustownie i odznaczała się nie tylko bystrością umysłu, lecz także skromnością i taktem w postępowaniu.

Pewnego razu, około połowy stycznia przed południem siedziała pani Rosenberg w towarzystwie gościa w swoim salonie, urządzonem wspaniale, a nawet zbyt kownie.

Miała na sobie czarną aksamitną suknię, wysoko pod szyję zapiętą, mało biżuterii, lecz za to najpiękniejsze brukselskie koronki na kołnierzu i rękawach. Na ciemno-blond włosach, gładko zaczesanych spoczywał lekki koronkowy czepek, a delikatne białe rączki bawiły się od niechcenia wachlarzem z kości słoniowej. Z twarzy jej oczywiście nie wiała świeżość i młodość, nie było jednak na niej ani jednej zmarszczki. Oczy jej niebieskie dziwnym sposobem wyrażały łagodność i siłę woli równocześnie. Podczas rozmowy zmieniając szybko grę twarzy, wydawała się raz potulną, to znowu energiczną, tak że trudno było oznaczyć jej charakter.

Gość był starszym już panem, ubranym po cywilnemu, lecz wytwornie. Na szyi i piersiach miał kilka wysokich orderów, przeważnie rosyjskich. Twarz jego wyrażała inteligencyę, a siwawe już wąsy nosiły na sobie piętno wojskowe. Był to jeden z najpierwszych radzców legacyjnych przy rosyjskiej ambasadzie w Paryżu.

»To są smutne wiadomości, jakich mi pan udzielasz, panie hrabio«, mówiła baronowa, na której twarzy widniało szczere współczucie. »Proszę mi wybaczyć, że nie zupełnie stłumić w sobie mogę pewnego rodzaju litosć nad tym niešťęśliwym polskim narodem, który dłużej już jak pół wieku walczy ostatnimi siłami.«

»Cóż my na to poradzimy?« odpowiedział hrabia, wzruszając ramiona. »Całemu światu wiadomo, że car nasz najmiłościwszy miał jak najlepsze zamiary i życzył sobie, aby Polacy pogodzili się wreszcie z losem, na jaki polityka Europy ich skazała. Nie trzeba także zapominać, że naród ten do samorządu nie jest zdolnym. Zresztą sami sobie winni!«

»Jestto bardzo dawne zagadnienie polityczne, nad którem nie będziemy się bliżej zastanawiali, odpowiedziała pani baronowa krótko, poczem zaraz dodała z wdzięcznym uśmiechem:

»Mam nadzieję, że mnie pan hrabia dobrze rozumie. Roszczę sobie pretensyę, aby mnie uważano za dobrą Rosyankę, ceniącą ponad wszystko interesy carskie. Właśnie ze względu na te interesy zapytuję pana: dla czego właśnie teraz, gdy całe Królestwo tak bardzo jest wzburzone, urządzono brankę rekrutów, wiedząc o tem dobrze, że w każdym razie przyczyni się to do tem większego rozgoryczenia umysłów?«

»Łaskawa pani«, odpowiedział hrabia, tak samo wzruszając ramionami, jak przedtem, — wiadomo, że wzruszanie ramionami jest ulubionym ruchem dyplomatów — »nasz car potrzebuje żołnierzy. Zresztą jasno jest jak na dłoni, że branka przepisana prawami państwa, miała rewolucyjnym elementom w Polsce zadać cios śmiertelny —«

»Zdaje się, że zamiary chybiły celu«, przerwała mu baronowa z minką nieco złośliwą, — »gdyż jak pan sam powiada, połowa rekrutów uciekła.«

»Cóż to szkodzi? — Car może wymagać posłuszeństwa, a Polacy pouczeni doświadczeniem przekonają się, że opór w takich razach jest śmieszny.«

»Czyż można tylko panować, siejąc strach i zgrozę, nie kierując się względnością?« pytała się baronowa, widocznie wzruszona.

»Ten buntowniczy naród drży tylko przed siłą. Trzeba go zgnieść wszelkimi środkami, ogniem i mieczem, jak niedawno tak trafnie powiedział nasz potężny car.«

Baronowa ukradkiem rzuciła na gościa wzrok pełen pogardy. Ukryła go jednak starannie, zasłaniając go wachlerzem. Po krótkiej pauzie powiedziała wesoło:

»Nie ulega żadnej wątpliwości, że w obecnych czasach wszelka próba powstania niema żadnego sensu i że prędko się skończy. Z osobistych względów jest mi to bardzo na rękę, gdyż teraz właśnie muszę koniecznie wyjechać do Warszawy. Byłoby dla mnie rzeczą fatalną, gdybym się dostała w wir walki.«

»Łaskawa pani chce jechać do Warszawy — w takich czasach właśnie?« pytał się hrabia zdumiony.

»Konieczność zmusza mnie do tego, gdyż, jak panu zapewne wiadomo, posiadam w Warszawie kamienicę, którą postanowiłam sprzedać. Nie chcąc przy tem interesie mieć za wielkiej straty, trzeba mi go załatwić osobiście. To też, gdy mi dziś służący zameldował łaskawe odwiedziny pana hrabiego, postanowiłam natychmiast zawiadomić pana o moim zamiarze i poprosić o pomoc w celu jak najprędzszego uzyskania paszportów. Nowiny, o jakich się od pana hrabiego dowiedziałam, tak mnie przestraszyły, że o swojej prośbie zupełnie zapomniałam.«

»Łaskawej pani służę bardzo chętnie, pozwalam sobie jednak zwrócić na to uwagę, że ta podróż jest niebezpieczną.«

»Dla czego? — Czyby dla tego, że po kraju krąży gromadka opornych rekrutów?«

»Jest rzeczą pewną, że w wielu miejscach zburzono tory kolejowe i że popełniono morderstwa okrutne«, mówił hrabia z miną bardzo niepewną.

»O, ja się nie obawiam«, odpowiedziała baronowa z uśmiechem. — »Cóżby żądać można odemnie, słabej kobiety, jadącej w sprawach prywatnych?«

»Wszyscy wiedzą o Pani, że jesteś wierną sługą cara.«

»Czyż pan hrabia rzeczywiście przypisuje tak wielkie znaczenie temu tak zwanemu powstaniu? — Przecież pan przed chwilą dopiero wyraził przekonanie, że nasze dzielne wojska stłumią je w dni kilka. — Jestem jak najpewniejszą, że gdy wrócę do Królestwa, głodem i mrozem nękanii tułacze sami dobrowolnie zgłoszą się do władzy, albo ich też wojsko pochwyta. Jak już powiedziałam, z względów pieniężnych podróż moja tak jest konieczną, że jej ani o dzień opóźnić nie mogę. Powtarzam więc swoją prośbę, abys pan hrabia moje paszporty jak najprędzej kazał zaawizować.«

Radzca legacyjny pozwolił sobie jeszcze na kilka uwag, z których wynikało jasno, że rozruchom w Królestwie większe przypisywał znaczenie, jak to chciał przyznać z początku. Baronowa jednak nie łatwo dała się zbić z toru, tylko dowodziła, że przesadnym pogłoskom za wiele daje się wiary.

»Nie mam odwagi dłużej się pani sprzeciwiać«, powiedział wreszcie pan hrabia. — »Paszporty jutro będą gotowe. Z pewnością pani baronowa nie pojedzie sama?«

»Zabiorę tylko damę do towarzystwa i starego sługę.«

»Czy mogłbym sobie zapisać nazwiska tych osób?« zapytał się hrabia, wyjmując z kieszeni elegancki notatnik.

»Panna Teresa Gurowska.«

»Czy Polka?«

»Tak jest, tylko że bardzo wiarogodna i pewna. Będąc małym dzieckiem opuściła ojczyznę i dotąd jej jeszcze nie widziała. Zresztą jestto osoba spokojna.«

»O, polecenie pani zupełnie mi wystarcza!«

Baronowa dostarczyła radcy legacyjnemu wszelkich wyjaśnień, jakich tylko zażądał. Potem hrabia przyobiecał, że paszporty sam przyniesie nazajutrz, aby się przy tej sposobności pożegnać. Wreszcie odszedł, polecając się na pół ceremonialnie, na pół poufale.

Hrabia miał zapewne powody przysłużyć się baronowej i żałować jej wyjazdu z Paryża pomimo obietnicy, że prędko chciała wracać. Chociaż bowiem należał do rodziny znakomitej w kraju, nie posiadał jednak dostatecznego majątku. Nie miał więc innego zamiaru, jak starać się o rękę i majątek nieco podstarzałej już baronowej. Na pozór wydawało się, że baronowa takim zamiarom wcale nie była przeciwną, gdyż z całego grona znajomych jedynemu hrabiemu robiła to ustępstwo, że go przyjmowała o każdej dnia porze. W stosunkach prywatnych często zasięgała jego rady, wdawała się z nim w polityczne rozmowy, przyczem zdradzała wielką bystrość umysłu i znajomość świata i od czasu do czasu dawała mu do zrozumienia, że pomimo starszego już wieku, pozhawionego wszelkich złudzeń, możeby przystała na powtórny związek małżeński, gdyby w nim upatrzyła jakieś dla siebie korzyści. Hrabia byłby się już dawno formalnie oświadczył, gdyby się nie obawiał, że przy tej sposobności musiałby wyjawić, w jak ciężkich był kłopotach finansowych.

Było rzeczą niewątpliwą, że baronowa przy swoim sprycie zamiary hrabiego przenikała. Okoliczność, że ta dama energiczna i obyta w świecie wobec zapędów biednego hrabiego nie zupełnie okazywała się przystępną, była dla każdego nieuprzedzonego niezbitym dowodem, że go zwodziła, ponieważ mniej cenił jej osobę, jak jej majątek. Dziś także zaledwie hrabia wyszedł z pokoju, całując rączki z szacunkiem, przemknął się po jej twarzy uśmiech szyderczy a nawet wprost nieprzyjazny. Potem podeszła do drzwi drugich i otworzywszy je, zawołała głośno:

»Tereso!«

Natychmiast wstała od krosienek stojących przy oknie jakaś dama, o wiele młodsza od baronowej i zbliżyła się do niej. Z całej postaci wiał urok młodej dziewczyny, chociaż z pewnością przekroczyła już trzydziestkę. Ubrana w czarną suknię jedwabną..

Towarzyszki pani domu nie trzeba będzie zapewne opisywać, ponieważ ją już znamy. Dodajemy tylko, że po wychowance starego, polskiego sierżanta przesunęły się lata, nie pozostawiając po sobie zbyt widocznych śladów.

Oczywiście nie była już Teresa piękną ponętą i olśniewającą, jak za lat młodzieńczych. Straszne cierpienia, jakie ją w życiu spotkały, widoczne były w rysach jej twarzy, choć nie tak wyraźnie jak wtedy, gdy ją Roman porzucił. Czas, najlepszy lekarz i doradca, pogodził ją z dołą nieśczęsną. Jedna jeszcze zmiana podpadała każdemu, kto ją znał oddawna. Piękne, niebieskie jej oczy nic nie straciły z dawniejszej słodyczy, nabrały jednak wyrazu dziwnie stanowczego.

Gdy Teresa się zbliżyła, baronowa rozwarła ramiona i przycisnęła ją do piersi gwałtownie.

»Jutro wyjedziemy do Warszawy, kochane, drogie dziecko«, mówiła. — »Hrabia naopowiadał mi rozmaitych historyjek, oddawna nam już znanych, najważniejsza jednak, że przyrzekł wystarać nam się o paszporty. Nie cieszysz się, że wrócisz do ojczyzny, i że dla niej działać będziesz mogła, co równie dla Ciebie, jak dla mnie świętym jest obowiązkiem? Raduj się, kochana Tereso! Za dwa lub trzy dni staniemy na miejscu ważnych wypadków, tam, dokąd nas serce oddawna już ciągnie i gdzie nam się otwiera obszerne pole pracy. Na Twojej twarzy, jak widzę, ciąży jakaś chmura. Cóż to ma znaczyć?«

»Łaskawa pani, odwagi nie straciłam i cieszę się na naszą podróż niewymownie«, odpowiedziała Teresa, przyjmując pieszczoty baronowej skromnie i bojaźliwie, — »myślałam tylko o pożegnaniu z moim opiekunem.«

»O tego lwa starego miema żadnego kłopotu. O ile go poznałam, pojedzie wkrótce za nami. Pomimo podeszłego wieku jest krzepki i silny, a w zdrowem ciele pewnie zdrowy duch się mieści.«

»Wyraził się już nawet, że razem z panem Mierosławskim wybierze się do Królestwa, skoro powstanie przyjmie szersze rozmiary.«

»O tem wątpić nie można«, odpowiedziała baronowa stanowczo. »Jeżeli się nie mylę, my właśnie przewieziemy bardzo ważne polecenia do tajnego komitetu w Warszawie.

Teraz, kochane dziecko, daję Ci aż do wieczora swobodę, gdyż bez wątpienia chciałabyś przed wyjazdem z swoim opiekunem o wielu rzeczach pogawędzić. Wieczorem wróc jednak na pewne, gdyż razem odbierzemy instrukcye i papiery.»

Teresa pocałowała baronowę w rękę. Nie uczyniła tego z uniżonością, jak sługa, tylko serdecznie, jak córka kochająca. Baronowa złożyła pocałunek na czole dziewczyny, poczem się obie rozstały. Teresa przebrała się prędko w swoim pokoju, zeszła po schodach i wsiadła do eleganckiego powozu, który na rozkaz baronowej po nią zajechał.

Drzwiczki powozu otworzył jej służący z kapeluszem w rękę, z uszanowaniem czekając na rozkazy. Teresa podała mu oddawna nam już znane mieszkanie starego fechtmistrza w dzielnicy łacińskiej, poczem powóz rażno potoczył się do celu, jadąc ulicami pełnymi przelotniów.

Chociaż powóz z herbem baronowskim na drzwiczkach i siedzącymi na koźle woźnicą i sługą w liberyi był w biednej dzielnicy łacińskiej zjawiskiem nieco niezwykłym, sąsiedzi starego Chłapowskiego przyzwyczaili się jednak do tego widoku, gdyż dama w powozie siedząca przyjeżdżała z rzadkimi tylko wyjątkami codziennie w odwiedziny do starca. Ciekawe kumoszki, jeżeli nie znały panienki z dawniejszych czasów, dowiedziały się wkrótce, jaki stosunek łączył dziewczynę z fechtmistrem.

My także cofnąć się musimy pamięcią wstecz, chcąc poznać losy Chłapowskiego i jego córki od czasu, gdy Stanisław Borowski tak nagle opuścił swoich przyjaciół w Paryżu.

Stary fechtmistrz wcale się nie domyślał, że w jego nieobecności Stanisław oświadczył się Teresie. Z tego powodu list pożegnalny młodzieńca sprawił starca w niemałe zdumienie. Chociaż pismo Stanisława tchnęło wielką serdecznością, Chłapowski się krzywił i nie był z niego zadowolony. Gdy list przeczytał wychowance i spostrzegł, że zbladła i że ją niepokój ogarnął, zaczął tem więcej się dziwić, a nawet obawiać. Z początku podejrzewał Teresę, że zapłonęła uczuciem do młodego Polaka i że się powtórnie zawiodła. Gdy wskutek tego zaczął się gorzko wyrażać o Stanisławie, dziewczyna wyznała szczerą prawdę.

»A teraz żałujesz, biedne dziecko, coś uczyniła?» pyta

się sierżant z głową smutnie zwieszoną, widząc, jak najświętsze marzenia w puch się rozwiewały.

»O nie, drogi ojciec. Postanowienie moje, jak już powiedziałam Stanisławowi, jest niezłomne.«

Stary Chłapowski westchnął pokryjому. Od tego czasu jednak unikał rozmowy z Teresą o młodym człowieku, gdyż się przekonał, że dziewczynie sprawia przykrość. Do dawniejszego swojego przyjaciela, Stanisława, także nie pisał, a za nic w świecie nie dałby się nakłonić, aby miał korzystać w jakikolwiek sposób z ofiarowanej mu pomocy. Stanisław nie dawał o sobie żadnej wiadomości jedynie dla tego, że kochając Teresę, wszelka z nią korespondencya raniła go boleśnie, i że się obawiał wspominać o skutkach pojedynku pod Czarnem Piątkowem.

Lata więc znowu mijały, nie przynosząc żadnej zmiany w życiu Chłapowskiego i Teresy. Zdrowie i umysł starca nie zmieniły się wcale, tylko coraz to większa siwizna zdradzała wiek podeszły. Z uśmiechem nieraz powtarzał, że kiedy był młodym, cyganicha dobrze mu wróżyła, przepowiadając długie życie i że nie umrze śmiercią naturalną, tylko polegnie jak prawy żołnierz, czego też z duszy sobie życzył. Taka mowa nie wzbudzała w nikim ani wątpliwości, ani też szyderstwa, kto własnymi oczami patrzył na wyniosłą postać i wzrok pełen ognia starego wojaka, lub też miał sposobność przyglądać się na sali, z jaką siłą i wprawą władał pałaszem. Przy tym zawodzie, który mu zawsze jeszcze dostarczał potrzebnych środków do życia, obstawał Chłapowski wiernie.

Przed mniej więcej czterema latami Teresa poznała się przypadkiem z baronową Rosenberg w publicznych ogrodach cesarskich. Było to przy sposobności, gdy dziewczyna nieznamomej sobie damie oddała małą przysługę. Z tego zawiązała się rozmowa, a baronowa tak sobie upodobała skromne, a jednak pełne godności zachowanie się Teresy, że ją zaprosiła do siebie. Baronowa szukała wtedy właśnie damy do towarzystwa i po kilku już dniach znajomości prosiła Teresę, czyby tego stanowiska pod bardzo korzystnymi warunkami przyjąć nie chciała.

Chłapowski w skrytości ducha może nieraz sobie myślał, że nagła śmierć go spotka i dla tego stanowczo radził wycho-

wance, która do baronowej wielkie powzięła zaufanie, aby nie odrzucała nadarzającej się sposobności zapewnienia sobie losu. Takim więc sposobem dostała się Teresa do domu baronowej, mniej w roli sługi, jak przyjaciółki.

Przyjemny ten stosunek stawał się z czasem coraz serdeczniejszym i poufalszym. Od dawna już obie kobiety nie miały żadnej tajemnicy wobec siebie. Baronowa dowiedziała się o całej przeszłości i o losach Teresy. Poznawszy dostatecznie jej poglądy i charakter, zwierzyła się wobec dziewczyny z swoich własnych tajemnic. Teresa dowiedziawszy się o nich, nie mało była zdumioną.

Chociaż bowiem baronowa Rosenberg uchodziła wobec świata za bardzo gorliwą zwolenniczkę rządu carskiego, od dawnych już lat stała w ścisłych i tajemnych stosunkach równie z polską emigracją, jak z rosyjską partią reformy, żyjącą w państwie, jak też poza jego granicami. Większa część tej partii wydalona z kraju za panowania cara Mikołaja, nie zupełnie kontentowała się postępowymi zmianami nowego cara. Polacy i rosyjscy rewolucyoniści porozumiewali się z sobą już od trzeciego dziesiątka przeszłego wieku. Do rzeczywistego połączenia się z sobą nigdy jednak nie przyszło, ponieważ w chwili stanowczej przeszkadzała temu wzajemna nieufność.

Jedyną przyczyną, dla której baronowa brała udział w tajnych knowaniach, było mocne przywiązanie do wszystkiego, co swoim bystrym i szlachetnym umysłem uznała za słuszne i sprawiedliwe. Może w jej postępowaniu było też nieco próżności, od której żadna kobieta, szczególnie jeżeli w świecie zdobyć sobie może znaczenie, wolną nigdy nie jest. W każdym razie cel miała szlachetny i bezinteresowny. Pierwszą pobudką do spiskowania było straszne prześladowanie Polaków po rewolucji z roku 1831, na które, będąc jeszcze młodą kobietą, patrzyła z najwyższym oburzeniem. Potem pozwoliła się unieść prądowi wypadków coraz to dalej, szczególnie od czasu, gdy została wdową i panią swej woli. Gdy car Aleksander wystąpił z reformą, zaczęła przez czas krótki skłaniać się ku niemu. Wkrótce jednak zmieniła swe zdanie, widząc, że o zmianie na lepsze nie myślano poważnie, i że drobne ulgi na nic się nie zdadzą, jeżeli cały system polityczny pozostanie niezachwianym. Od czasu gdy rząd moskiewski zaczął bez

przyczyny prześladować Polaków, pojednała się znowu z swą partią, której niejednokrotnie znaczne oddawała przysługi, kryjąc się zręcznie pod maską, szczególnie zaś przez swoją znajomość z hrabią i radcą legacyjnym, którego w salonie poznaliśmy już rano. Wobec takich okoliczności wątpić nie można, że baronowej nigdy na myśl nie przyszło oddać rękę hrabiemu, i że go tylko łudziła nadzieją w tym celu, aby w zaufaniu dowiedzieć się od niego ważnych i jemu tylko dostępnych wiadomości rządowych. Biedny hrabia nie domyślał się wcale, jak nieszczęsną i niebezpieczną rolę kazała mu odgrywać sprytna kobieta.

Żywej i ambitnej kobiecie własna rola wcale nie wystarczała i dla tego oddawna już osobiście wybierała się do Polski. Zamiar swój przyspieszyła znacznie wskutek niespodziewanego wybuchu powstania.

Baronowa również oddawna już wybrała sobie Tereskę na towarzyszkę po ciernistej drodze, na której kroczyła. Udało jej się łatwo dla swoich celów pozyskać dziewczynę, gdyż w sercu Teresy po wygaśnięciu w niem płomienia miłości panowała pustka, którą zapęłnić mogła tylko inna wielka idea. Ideałem stała się szczególnie wskutek podszeptów starszej przyjaciółki, ojczyzna. Poświęcić się dla niej było jedynem jej pragnieniem i jedyną rozkoszą.

Stary Chłapowski wcale się nie dziwił, gdy wychowanka w ten sposób z całą stanowczością do niego przemawiała. Ostatnie wypadki w Polsce jego samego tak wzburzyły, że myślał tylko o tem, jakby się tam dostać. Chociaż obawiał się o Teresę, którą równie kochał, jak dawniej, nie śmiał jej jednak hamować w patryotycznym zapale, boby to uważał za niezgodne z własnymi uczuciami. Wiedział bardzo dobrze, że to już ostatnie powstanie, którego się doczekał. Dla tego koniecznie chciał w niem wziąć udział. Zresztą Mierosławski i inne wysokie osobistości z emigracji zapewniali go, że tym razem rewolucya inaczej się uda, jak mała ruchawka w Pożnańskiem.

Chłapowski jednak nie spodziewał się, że katastrofa tak prędko nastąpi, jak było w rzeczywistości. Nawet właściwych kierowników powstania wypadki zaskoczyły z nienacka. Branka rekrutów spowodowała wybuch.

W mieszkaniu starego fechtmistrza nic się nie zmieniło; wszystko było, jak za dawnych czasów. Nawet pokój Teresy był nietknięty, choć w nim już dawno nie mieszkała.

Starzec, zobaczywszy, że powóz zajechał, wyszedł na spotkanie wychowanki rażno i z wesołym uśmiechem na ustach i przycisnął ją do serca po ojcowsku.

»Kochany ojczy, mówiło dziewczę z pośpiechem, »pani baronowa powiedziała mi co dopiero, że już jutro musimy wyjechać z Paryża do Warszawy, gdyż nadeszły bardzo ważne wiadomości. W nocy z dnia 14-go na 15-go b. m. odbyła się w Warszawie branka rekrutów. Wiele młodzieży zdołało umknąć, a większa część kraju znajduje się pod bronią.«

Chłapowski słysząc te słowa, skoczył i krzyknął z błyskawicą w oczach.

»A więc to prawda? Więć znowu w Polsce się biją?«

»Już wczoraj o tych wypadkach mieliśmy tajemne wiadomości, które poselstwo rosyjskie potwierdza najzupełniej. Wprawdzie nie zaszły jeszcze większe utarczki między powstańcami a wojskiem, lecz wkrótce należy ich się spodziewać.«

»A Ty chcesz z baronową pojechać?«

»Chcę. Jakżebym w tej chwili mogła cofnąć przyrzeczenie, jakie już dawno złożyłam? — Odkąd kości rzucono, czuję w sobie odwagę niezłomną. Jak mi baronowa powiedziała, otrzymamy dziś wieczorem od tutejszego tajnego komitetu ważne polecenie do komitetu warszawskiego. Skoro tylko paszporty będą jutro gotowe, nie tracąc czasu, wyjedziemy natychmiast.«

»Niech Ci Pan Bóg błogosławi, drogie, kochane dziecko!« powiedział starzec, całując Teresę czule w czoło. »Gdybym to mógł z Tobą pojechać!«

»Nie wątpię, kochany ojczy, że wkrótce za mną połączysz.«

»Tak jest. Natychmiast rozpocznę przygotowania i jeszcze zobaczę się z panem Mierosławskim. Dopiero teraz w tak stanowczej chwili odczuwam cały ciężar rozłąki z Tobą. Wybierasz się w drogę, pełną niebezpieczeństw, ja zaś nie chciałbym stracić Cię z oczu ani na chwilę.«

Teresa gorąco i ze łzami w oczach uściśnęła rękę opiekuna.

Starzec przez chwilę zadumał się głęboko, potem zapytał się nagle, jakby mu nowa myśl zaświtała w głowie:

»Któż oprócz Ciebie pojedzie jeszcze z baronową?«

»Tylko stary sługa, o ile słyszałam.«

»A paszport będzie także wystawiony na jego nazwisko?«

»Bez wątpienia.«

»Najdroższa Tereso, musisz z baronową o tem pomówić. Chciałbym zastąpić miejsce służącego.«

»Ty?« zapytało się dziewczę z najwyższym zdumieniem.

»Tak jest. Czemuż nie miałbym tego uczynić? Czyż może nadarzyć się lepsza sposobność powrotu do ojczyzny w sposób niepodejrzany? Ty i baronowa nie znajdziecie lepszego sługi i towarzysza odemnie. A więc przedłożysz jej moje życzenie? Sam Cię odprowadzę i w razie potrzeby poproszę baronową na kolanach, aby się na moją prośbę zgodziła.«

Starzec wpadł w najwyższe uniesienie, z którego tryskała wola niezłomna. Chociaż Teresa robiła mu rozmaite przedstawienia, nie zważał na nie, tylko uporczywie obstawał przy powziętym zamiarze. Dziewczyna nie stawiała ojcu trudności dla tego, że tego rodzaju podróż do Polski uważała za niebezpieczniejszą lub wogóle niewykonalną, tylko dla tego, że zewnętrzny stosunek Chłapowskiego do baronowej i niej samej nie był po jej myśli.

W pół godziny później stary sierżant włożył na siebie najlepsze ubranie i wsiadł z Teresą do powozu, który wrócił do domu baronowej.

Baronowa знаła Chłapowskiego oddawna i okazywała mu zawsze szczególniejszy szacunek.

Zdziwiła się niemało, gdy sierżant przedłożył jej swą prośbę, lecz po dłuższem wahaniu zgodziła się na nią, wzruszona jego błaganiem.

»A więc dobrze, panie Chłapowski,« mówiła z uśmiechem, »przyjmuję pana do służby i nie wkładam na pana ciężkich obowiązków, lecz za to wymagam bezwzględного posłuszeństwa, abyś pan siebie i nas może nie naraził na niebezpieczeństwo. O starym żołnierzu musi pan przez ten czas zupełnie zapomnieć.«

»Przyrzekam to łaskawej pani«, odpowiedział starzec z rozpromienionem z radości obliczem, całując ją w rękę, — »mam nadzieję, że mnie pani znowu zwolni ze służby, skoro mi się nadarzy sposobność chwycenia za broń za wolność ojczyzny. Dopóki to się nie stanie, będę czuwał nad panią i nad moją ukochaną Teresą, z którą nie potrzebuję się teraz rozłączać, jak prawdziwy ojciec.«

»A więc zacznijmy przygotowywać się do podróży, gdyż my kobiety mamy dziś jeszcze ważne sprawy do załatwienia«, powiedziała baronowa.

Sierżant pożegnał się i pobiegł do swojego mieszkania, aby zapakować mały tłumoczek. Nie miał już czasu widzieć się i pożegnać z żadnym z znajomych, tylko w celu uwiadomienia swoich uczniów przylepił do drzwi kartkę papieru, na której wielkimi literami wypisał:

»Lekcyi szermierki na czas nieograniczony udzielać nie będę, gdyż wyjechałem do Polski!«

Słowa te dziwnem echem odezwały się w sercach młodzieży, która nazajutrz daremnie szukała swojego starego nauczyciela. Wszyscy już teraz dowiedzieli się z ogólnych pogłosek, że w Królestwie Polskiem zaszły bardzo ważne i pełne znaczenia wypadki. Jeżeli niektórzy jeszcze się wahali, co czynić należało, przykład starca-bohatera z czwartego pułku wskazał im wnet drogę.

Czyż młodzież mogłaby nie wstąpić w ślady starca siedmiodziesięcio-pięcioletniego? Po nagłym wyjeździe Chłapowskiego większa część młodych ludzi od razu zniknęła z Paryża.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZOSTY.

Wtajemniczenie i podróż.

»Nadszedł dziś dla nas wieczór bardzo poważny, kochane moje dziecko«, mówiła baronowa do Teresy, gdy stary Chłapowski wyszedł i gdy obie siedziały przy obiedzie. — »Trzeba Cię choć trochę przygotować na to, co zobaczysz i usłyszysz i czego od Ciebie żądać się będzie. Chociaż nie obawiam się o to, że w ostatniej chwili mogłabyś się złęknać i cofnąć przed powierzonym Ci zadaniem, życzyłabym sobie jednak z drugiej strony, żebyś naprzód wiedziała o wszystkim i w krytycznej chwili nie zadrżała, boby Ci to za złe policzono.«

Baronowa mówiąc te słowa w tonie bardzo uroczystym, przyciągnęła do siebie Teresę na kanapę i patrzyła jej w oczy czule i serdecznie, trzymając jej ręce w swych własnych.

Chociaż starsza przyjaciółka dotąd przed młodszą nie ukrywała własnych swych czynów i dążeń, i chociaż Teresa wiedziała, że w Paryżu i w wielu innych miejscowościach kontynentu istniały rozgałęzione związki rewolucyjne, które na pozor przynajmniej głosiły hasła przywrócenia stanu prawnego bądź to wszystkich narodowości, lub też tylko swą własnej, nie miała jednak dotąd należytego pojęcia o istocie i sposobie działania tej propagandy, gdyż o tem baronowa zawsze zachowywała milczenie, czasami tylko zdradzając się półsłówkiem.

Teresa odgadła, że obecnie ma się dowiedzieć o tych tajemnicach i z tego powodu nie mogła się pozbyć skrytego niepokoju.

Wpadając w coraz to wyższy zapał, świadczący o wielkiem przejęciu się sprawą, mówiła baronowa z werwą młodzieńczą najprzód o celach tajnych polskich związków za gra-

nicą w ogóle, potem o ich usiłowaniach dotychczasowych i wyznała wreszcie Teresie, że za pośrednictwem tak zwanego tajnego komitetu narodowego w Warszawie dierży w swej dłoni nici daleko i szeroko rozgałęzionego sprzysiężenia, które miało spowodować wybuch daleko później, lecz z powodu zarządzeń rosyjskiego rządu zaraz musiało zabrać się do czynu. Tego samego jeszcze wieczoru miało się odbyć zebranie członków najwybitniejszych, na którym miano postanowić ostateczne wskazówki dla kierowników ruchu w Królestwie Polskiem. Rozkazy te miały obie panie, będąc niepodjeżranymi, przewieźć do Warszawy. Baronowa miała polecenie pozyskania dla siebie przystępu do dworu Wielkiego Księcia, ponieważ w ten sposób mogła Polakom oddać wielkie usługi, Teresa zaś, za którą baronowa poręczyła, miała być użytą w roli agentki i pośredniczki.

Ponieważ sprawa była ważną i ponieważ często się zdarzało, że szpiegi rosyjskie pod wszelkimi postaciami wciskaly się do tajnych towarzystw, miała młoda dziewczyna ręczyć sama za siebie, składając uroczystą przysięgę, którą od niej miano odebrać jeszcze tego samego wieczoru. Baronowa zaznajomiła ją z wszelkimi formami, jakie przy składaniu przysięgi są w zwyczaju i jakie na każdą kobietę sprawiają głębokie wrażenie. Potem zapytała się ją raz jeszcze, wpatrując się w nią uporczywie, czy ma dosyć siły do podjęcia się tak świętych i tak ważnych obowiązków razem z skutkami, pełnymi niebezpieczeństw.

Teresa podczas długiej mowy baronowej bladła coraz bardziej. Gdy starsza towarzyska wreszcie mówić przestała, odpowiedziała jej Teresa natychmiast tonem bardzo stanowczym:

»Żadaną odemnie przysięgę złożę bez obawy, gdyż jestem pewną, że jej święcie dotrzymam, choćbym ją miała własnym życiem okupić.«

Baronowa uściśnęła dziewczynę serdecznie i zawołała z zapalem:

»Będziemy się wspierały w doli i niedoli i pozostaniemy nierozłącznymi przyjaciółkami bez względu na to, czy tryumfować będzie święte prawo Twojego narodu i całej ludzkości, za którą walczę, lub też przemoc brutalna! Jestem dumna,

mogę Cię dziś wieczorem wprowadzić jako moją przyjaciółkę do naszego tajnego zgromadzenia, a teraz żądam od Ciebie stanowczo, abyś od dziś już przemawiała do mnie przez »ty« i zrobiła wyjątek tylko w takich razach, gdzieby to w naszym trudnem posłannictwie mogło wzbudzić podejrzenie pod względem naszego osobistego stosunku.

Skromna dziewczyna na takie żądanie nie chciała się zgodzić, baronowa jednak tak uparcie obstawała przy swoim żądaniu, że wreszcie Teresa musiała jej ustąpić.

Teresa na obowiązki swoje zapatrywała się bardzo poważnie. Dowiodła tego, że będąc katoliczką — baronowa była ewangeliczką — wyraziła zamiar wyświadczenia się, zanimby złożyła uroczystą przysięgę. Baronowa uwzględniła te skrupuły sumienia i poleciła jej księdza, rodem Polaka, który należał do związku tajnego, przed którym więc młoda penitentka swobodnie mogła się wynurzyć.

Do głębi wzruszona wróciła Teresa po spowiedzi wieczorem do domu. Błogosławieństwo księdza utwierdziło ją w zamiarach i ukojiło niepokój duszy.

Było już późno wieczorem, gdy w towarzystwie starszej swojej przyjaciółki jechała na miejsce zborne członków towarzystwa. Obie panie ubrane były skromnie, lecz wytwornie.

Zebranie odbywało się tym razem pod pozorem towarzyskiego wieczoru, w mieszkaniu znakomitego polskiego emigranta. Obecnych było tylko osób około trzydzieści, pomiędzy niemi także dam kilka i ten sam ksiądz w sutanie, u którego Teresa przed wieczorem się spowiadała. Pod każdym względem panował nastrój poważny i uroczysty.

Baronową witano jak dawną znajomą i wyróżniano ją przed innymi, ponieważ dziś właśnie była bohaterką wieczoru. Ten sam szacunek okazywano także Teresie, której uroda wszystkim się podobała, gdy ją baronowa przedstawiła towarzystwu nie jako swoją towarzyszkę, tylko przyjaciółkę.

Chociaż panienka nigdy nie bywała w wielkich towarzystwach, a nawet w domu baronowej mało udzielała się gościom, wcale jednak nie okazywała nieśmiałości i tego zakłopotania, które są skutkiem braku dobrego wychowania i pewności siebie. Formy towarzyskie znała doskonale, a wrodzony takt nie pozwalał jej zapomnieć choćby o najdrobniejszych względach

uprzejmości. Występ jej sprawił więc na wszystkich bardzo miłe wrażenie, z którego to powodu baronowa miała sposobność usłyszeć niejednen komplement. Na rozmowę prywatną nie tracono czasu, gdyż okoliczności wymagały prędkiego i poważnego działania.

Jakiś wielki dostojnik, którego piersi zdobiło mnóstwo orderów, zagaił narady, których szczegółów nie będziemy podawali, gdyż wiemy już wszyscy, o co chodziło, wskutek jakich wiadomości trzeba było powziąć uchwały ostateczne. Przewodniczący w krótkich słowach streścił przebieg ostatnich wypadków wśród naprężonej uwagi słuchaczy. Niejednokrotnie powoływał się także na dawniej już zapadłe postanowienia, czego Teresa oczywiście po raz pierwszy dopiero się dowiedziała. Potem występował jeden mówca po drugim z ognistymi mowami, które w całym zgromadzeniu wywoływały zapal niesłuchany.

Teresa, nigdy jeszcze nie będąc w podobnem położeniu z początku przysłuchiwała się mowom z wielką uwagą. Gdy jednak ożywione rozprawy dłużej się przeciągnęły, zaczęła się miewać i uczuwać pewną trwogę, gdyż to jedno jasno rozumiała, że uchwały tego szczupłego grona miały niesłychane znaczenia dla doli całego narodu, który był jej własnym.

Północ już minęła, gdy rozprawy zbliżały się do końca. Uchwały zapadły jednomyślnie przy małej tylko opozycji. Na wszystkich twarzach malowało się głębokie wzruszenie, gdy przewodniczący z powagą i uroczystością ogłosił, że postanowiono za pośrednictwem tajnego komitetu narodowego w Warszawie wydać rozkaz, aby ludność Królestwa Polskiego zbrojnie powstała przeciwko rządowi rosyjskiemu.

Potem zasiadło kilku sekretarzy i wypełniało przygotowane już cyfrowane instrukcje. Tymczasem miało się odbyć zaprzysiężenie Teresy, jak jej baronowa mówiła.

Dziewczyna zbierała całą siłę woli i przypominała sobie w pamięci zapadłe uchwały. Tym sposobem udało jej się szczęśliwie, pozornie przynajmniej ukryć wewnętrzne wzburzenie. Poprowadzono ją przez kilka pokoi do jakiejś kapliczki domowej, dokąd oprócz księdza i baronowej towarzyszyło jej tylko kilka osób w roli świadków. Ksiądz miał krótką przemowę, w której zaznaczył, że Teresa z własnej woli podjęła

się misyi, połączonej z wielkimi niebezpieczeństwami. Wyraziwszy jej także wdzięczność, na jaką sobie za chętną ofiarę dla ojczyzny zasłużyła, skinął na nią, aby ukłękła przed nim na małym kłęczniku. Sam zaś wziął krucyfiks do ręki i wystósował do niej następujące zapytanie:

»Tereso Gurowska, czy wstępujesz do tego świętego miejsca z czystym sercem i bez grzechu, któregooby Ci Kościół nie mógł odpuścić? Czy bez podstępów i zdrady chcesz przystąpić do związku, którego chcesz zostać członkiem?«

»Z grzechów całego żywota wypowiadałam się dziś przed Tobą, ojcze duchowny, a przez usta Twoje Pan Bóg mi je odpuścił«, odpowiedziała pokornie kłęcząca, której sumienie z całą pewnością nie obciążała żadna większa wina. »Dusza moja w tej chwili jest czystą.«

»Czy masz mocną wolę przysłużyć się ojczyźnie, naszej wspólnej matce Polsce, według najlepszej wiedzy, z wszystkich sił ciała i ducha, bez obawy o narażenie się na niebezpieczeństwa i utratę życia, posłuszna rozkazom i wskazówkom, jakie odtąd odbierzesz od członków naszego towarzystwa lub też innych przełożonych?«

»Mam.«

»Przyrzekasz, że nie zdradzisz nawet pod groźbą tortur, niewoli lub śmierci niechybnej, nazwiska żadnej z tych osób, które dziś w tem miejscu widziałas lub też później poznasz walczących za świętą sprawę ojczyzny?«

»Przyrzekam, mój ojcze.«

»W takim razie połóż rękę na krucyfiksie i powtórz za mną słowo za słowem przysięgę na dowód, że ślubu dotrzymasz.«

Dziewczyna była posłuszną i pewnym głosem powtarzała słowa przysięgi, gdyż podczas tej uroczystej ceremonii ogarnął ją zapal niezwykły. Wreszcie gorąco ucałowała podany jej krucyfiks i przyjęła błogosławieństwo kapłańskie.

Wszyscy obecni byli do łez wzruszeni, gdyż lepiej jeszcze jak sama Teresa wiedzieli, na jakie niebezpieczeństwa narażała się ta dziewczyna młoda, piękna i szlachetna. Niejednen mężczyzna, choćby nawet najodważniejszy, byłby się cofnął przed niemi. Gdy Teresa po odebraniu błogosławieństwa z kłęcznika powstała, uściskała najprzód baronową, a potem resztę dam

obecnych. Więcej wzruszona, jakby to chciała okazać, wróciła dziewczyna do sali.

Tymczasem wykonczono listy, podpisane przez główne osoby. Baronowa i Teresa odebrały równobrzmiące egzemplarze z podaniem dokładnych adresów, pod jakimi miały je oddać w Warszawie. Nadto polecono Teresie, aby się zastosowała do rozkazów baronowej, dopóki jej nie poruczone samodzielnego zadania. Wreszcie pożegnali się wszyscy serdecznie, przyczem wyjeżdżającym paniom życzone szczęśliwej podróży.

Nazajutrz przed południem stawiał się radzca legacyjny osobiście z paszportami u baronowej, usiłując przy pożegnaniu wydobyć z niej słówko nadziei dla własnych życzeń. Przewrotna kobieta kazała mu czekać, nie wiążąc się żadną obietnicą.

Około południa zajechał przed bramę powóz, który miał zawieść podróżnych na dworzec. Cała służba niemało była zdumioną, gdy zaufany i początkowo do podróży upatrzony stary sługa otrzymał rozkaz, aby pozostał w domu, i gdy w jego miejscu zjawiał się zupełnie nieznajomy mężczyzna w liberyi. Stary powiernik byłby się niechybnie na takie upokorzenie oburzył, gdyby go przedtem baronowa w poufnej rozmowie zupełnie nie ułagodziła. Wierny sługa milczał, jak grób i nikomu nie zdradził, co mu baronowa powiedziała.

Łatwo sobie wyobrazić, że podróżni, będąc w posiadaniu legalnych paszportów, ani w Francyi, ani w Niemczech nie natrafili na żadne trudności. Baronowa jechała pospiesznie pociągami, nie zatrzymując się nigdzie. W Prusach, które już wtedy stanowczo skłaniały się na stronę Moskwy i na granicy Królestwa Polskiego poddano wszystkie paszporty dokładnej rewizyi i nie znaleziono oczywiście nic podejrzanego. Pełno tu już krążyło pogłosek o powstaniu, któremu bądź to bardzo wielkie, lub też żadnego nie przypisywano znaczenia. Wiadomości były jeszcze bardzo sprzeczne, gdyż władze rosyjskie, łudząc się nadzieją, że stłumią rozruchy w zarodku, starały się o to usilnie, aby żadne wieści nie dostały się poza granicę.

Mimo to opowiadali sobie podróżni, że zbiegli rekruci gromadzili się na drodze do Mińska pod Sierockiem i przeciw nim wysłano już wojsko. Na granicy więcej się

jeszcze dowiedziano. Chodziły bowiem już wieści, że w wielu miejscach pozrywano druty telegraficzne i zburzono tory kolejowe i że zaszły już utarczki wojska z powstańcami.

Tem wszystkiem baronowa nie pozwoliła się zrazić. Uśmiechała się tylko, udawała odważną, zaręczała, że band rozbójniczych wcale się nie boi i twierdziła, że carskie wojska wkrótce zaprowadzą porządek. Jechała przez Bydgoszcz wprost do Warszawy, nie zatrzymując się nigdzie.

Obie panie siedziały w wagonie pierwszej klasy. Ponieważ Chłapowski miał r.a. sobie liberyę, musiał jechać oddzielnie, na każdym jednak przystanku przychodził i za każdym razem rolę służącego odgrywał tak znakomicie, że baronową i Teresę pobudzał do śmiechu. Zresztą starzec czuł się zdrowym i był w dobrym humorze.

Z jakim uczuciem powitał ziemię rodzinną, tego baronowa i Teresa dostrzedz nie mogły. Na pierwszej jednak stacyi za granicą świeciły mu się oczy dwa razy jaśniej, jak przedtem. Baronowa wciąż zachowywała spokój wymuszony, gdyż w jej oddziale siedziało jeszcze więcej podróżnych, którzy na nią patrzeli badawczo. Teresa jednak daremnie usiłowała łzy stłumić, myśląc o przeszłości i o tem, co będzie.

Pociąg miał do Warszawy tylko kilka mil jeszcze drogi. Naraz oznajmiono na pewnej stacyi podróżnym, że dalej jechać nie można, gdyż powstańcy w nocy pozrywali szyny na torze do następnej stacyi. Ponieważ w okolicy włóczyły się zbrojne gromady, nie można było połączenia skutecznie przędzej, dopóki wojsko nie nadeszło. Urzędnicy mówili, że zanim to nastąpi, przejdzie najmniej kilka godzin czasu.

Podróżni powysiadali z wagonów, po większej części klnąc na powstańców, obawiając się jednak zarazem, — że buntownikom mogłoby przyjść na myśl, złożyć wizytę na dworcu. Nawet baronowa gniewała się, ponieważ wskutek przerwania jazdy opóźniła się podróż, wskutek czego nie mogła dosyć prędko przewieźć powierzonych jej ważnych papierów. Zła była w duszy na powstańców, że tym razem okazali się gorliwymi nie w porę. Poradziła sobie jednak w inny sposób.

Nie będziemy tracili ani chwili czasu, mówiła do Teresy, — wezmę ekstrapocztę. Powstańców tak samo nie potrzebujemy się obawiać, jak wojska.

Urzednicy pocztowi stanowczo radzili odważnej kobiecie, aby się nie narażała na niechybne niebezpieczeństwo i lepiej pozostała na miejscu. Pani Rosenberg wybuchnęła jednak głośnym śmiechem, twierdząc, że z włóczęgami da sobie radę, ponieważ nie ma przy sobie ani kosztowności, ani też większej sumy pieniędzy. Zamówiła więc ekstrapczętę.

Reszta podróżnych wkrótce dowiedziała się o zamiarze dzielnej kobiety, której odwaga wzbudzała podziw ogólny. Nikt jednak nie miał ochoty pójść za jej przykładem. Tylko jakiś pan okazały, w wytwornym ubraniu cywilnem, przypatrzywszy jej się przez chwilę, podszedł ku niej i przedstawił się, mówiąc, że nazywa się Czerkasów i że jest naczelnikiem biura w kancelaryi Wielkiego Księcia i namiestnika. Potem poprosił baronowę, aby jej mógł towarzyszyć, gdyż jak twierdził, bardzo mu było pilno jechać do Warszawy.

Chociaż ta prośba nie bardzo była baronowej na rękę, nie śmiała jednak odmówić. Nowy więc znajomy wsiał razem z panią Rosenberg i Teresą do ekstrapczęty. Na koźle usadowił się obok pocztyliona Chłapowski. Gdy powóz ruszył, pozostała na miejscu reszta podróżnych wzruszała ramionami, nie wróżąc nic dobrego.

W karecie pocztowej zawiązała się wkrótce rozmowa o rzeczach potocznych, trzymająca się ściśle granic form towarzyskich. Szef kancelaryi, Moskał, był wprawdzie człowiekiem wykształconym, lecz zarozumiałym i dumnym. Z lekceważeniem wyrażał się o nierozsądnym oporze Polaków przeciwko rozporządzeniom wszechwładnego rządu i opowiadał z wielkiem zadowoleniem, że wraca właśnie z jakiejś miejscowości, gdzie kazał wykonać wyrok sądu wojennego i powiesić kilku polskich zbrodniarzy, którym udowodniono, że zamordowali rosyjskich urzędników.

Ta wiadomość, dająca niespodziewanie przedsmak okrucieństw wojny, a przynajmniej rewolucyi, wstrząsnęła paniami do głębi. Nie przeczuwały jeszcze, że za chwilę własnymi oczami patrzeć będą na podobne sceny.

W odludnej okolicy lesistej nagle powóz się zatrzymał.

Otoczyli go jacyś jeźdźcy, w których na pierwszy rzut oka poznać było można powstańców. Część z nich siedziała na dobrych koniach, była porządnie ubrana, nieźle uzbrojona,

a nawet zamaskowaną. Większa część jednak była pieszo, wyglądała mizernie i była zaopatrzoną tylko w lance, lub też w stare, polskie kosy.

Na ten widok, nie bardzo pocieszający, w starym Chłapowskim serce się zaśmiało, gdyż od dawnego czasu zobaczył znowu pierwszych uzbrojonych Polaków. Chociaż do powstańców przemówił w mowie ojczystej i choć ich zapewniał, że jest przyjacielem, nic to nie pomogło. Najbliżsi jeźdźcy groźnym tonem rozkazali pocztylionowi stanąć i wymierzili na niego i na Chłapowskiego lufy rewolwerów. Chociaż stary sierżant wcale się nie przeląkł, wołał jednak milczeć, przypominawszy sobie, że baronowej wcale na tem nie zależało, aby ją publicznie nazywano przyjaciółką Polaków. Postanowił więc rokowania z powstańcami pozostawić jej samej.

Baronowa rzeczywiście niczego się nie obawiała, gdyż przekonała się na pierwszy rzut oka, że nie ma do czynienia z zwykłymi zbrodniarzami. Myśl tę szepnęła do ucha wystraszonej towarzyszce, chcąc ją uspokoić. Gdy obie panie przypadkiem spojrzały na Czerkasową, spostrzegły, że błąd był śmiertelnie. Taki wygląd wcale nie licował z pogardą i dumą, z jaką ten pan wyrażał się o powstańcach.

W mgnieniu oka jeden z jeźdźców, który widocznie miał komendę, zażądał od pocztyliona karty, na której w Rosyi zapisuje się nazwiska podróżnych. Drugi zaś, również z rewolwerem w ręku stanął na czatach przy drzwiczkach powozu, ukłoniwszy się poprzednio damom bardzo elegancko.

„Pani baronowa Rosenberg“, czytał głośno pierwszy jeździec, — „panna Teresa Gurowska, jej towarzyszka, — pan Czerkasow —“

„A więc go mamy! — To właśnie ten ptaszek, którego szukamy!“ krzyknął sam do siebie głosem, w którym brzmiało nieco dzikiego tryumfu.

W tej samej chwili powtórzyło mnóstwo groźnych głosów:

„Czerkasow! — Gdzież jest ten nędznik, który w Chełmie podpisał wyrok śmierci na naszych braci?“

Wymieniony po nazwisku błąd był jak marmur i dzwonił zębami. Zakutał się w futro, jak gdyby chciał się ukryć i przykucnął w kącie powozu.

«Czy pan jesteś Czerkasowem, naczelnikiem biura w kancelaryi Wielkiego Księcia?» zapytał się naczelnik oddziału, który z otwartą kartą pocztową w ręku podjechał do drugich drzwiczek powozu. Oczy jego sypały iskry na nieszczęśliwego, któremu kurecz usta zacisnął. Może też się obawiał odpowiedzieć, nie chcąc swej zguby przyspieszyć. Kobiety także drżały z przerażenia.

«Jesteś, zbój!» zawołał jeździec. Potem odwróciwszy się do dam, uklonił im się poważnie i grzecznie, mówiąc:

«Nie mamy powodu pani baronowej, ani jej towarzysze przeszkadzać w dalszej podróży. Nie chcemy też paniom sprawiać przykrości, gdyż nie jesteśmy zbójami i nie prowadzimy wojny z spokojnymi podróżnymi, tem mniej z kobietami. Jesteśmy jednak w posiadaniu prawomocnego i przez komitet narodowy podpisanego wyroku, który mamy wykonać na tym nędzniku. Ponieważ panie z pewnością nie chciałyby być świadkami egzekucyi, upraszam więc uprzejmie, aby zechciały łaskawie wysiąść na kilka minut.»

Podczas gdy te słowa mówił naczelnik, podnosiła się coraz większa wrzawa w tłumie powstańców, cisnących się do powozu. Jakiś pan, widocznie z sfer wyższych, prędko skoczył z konia, otworzył drzwiczki i z głębokim ukłonem podał baronowej rękę przy wysiadaniu. Pani Rosenberg wysiadła bez oporu, a Teresa uczyniła to samo.

Zaledwie wyszły z powozu, napadli na niego powstańcy. Towarzysz baronowej obie panie, którym wszyscy ustępowali z drogi, pociągnął za sobą, mówiąc:

«Proszę panie, aby się nie odwracały. Tego, co się stanie za naszymi plecami, nie znoszą słabe nerwy.»

Prawie w tej samej chwili huk strzału zagłuszył wrzawę ludzkich głosów. Potem wyrwał się okrzyk z piersi całej gromady.

Baronowa zbladła, usiłowała jednak panować nad sobą. Teresa oparła się na ramieniu towarzysza, gdyż była bliską omdlenia.

«Co znaczy ten strzał?» szepnęła baronowa.

«To znaczy, że wykonano wyrok na nędzniku, który na to zupełnie sobie zasłużył», odpowiedział młody Polak spokojnie. — «Miano go powiesić. Ponieważ jednak wzbraniał

się wysiąść, zrobiono z nim proces jeszcze krótszy. Rodzaj śmierci jest nam obojętny. Co panie widziały, mogą opowiedzieć w Warszawie.»

Damy tak były wzruszone, że nie mogły wymówić ani słowa. Nie odwracając się, pozwoliły się poprowadzić jeszcze kawał drogi. Potem przyszedł do nich naczelnik powstańców i przeproszał je uprzejmie, że był zmuszonym przeszkodzić im w podróży. Tłumaczył się tylko, że miał surowe instrukcje i oświadczył, że dalszej drodze nic już nie przeszkadza.

Stary Chłapowski zsiadł z kozła równocześnie, gdy panie wyszły z powozu i towarzyszył im, nie natrafiając nigdzie na opór. Czoło miał zachmurzone a usta mocno zacisnął, postępując za przykładem baronowej.

Podróżni wsiedli znów do powozu, którego poduszki splamiły ślady krwi świeżej. Czerkasow zniknął. Chłapowski później zaręczał, że widział jego trupa, leżącego przy drodze. Naczelnik powstańców rozkazał pocztylionowi, aby ruszył z Bogiem, uklonił się damom a powóz potoczył się dalej. Teresa łkając, padła w ramiona baronowej. Po tem zajściu okropnem nie zauważono aż do samej Warszawy żadnego powstańca. Stary sierżant na najbliższej stacyi, gdzie konie zmieniono, powiedział, kiwając głową, do baronowej, że ta egzekucya na krótkim toporzystku wcale mu się nie podobała, choćby nawet na nią Moskał zasłużył.

W każdym razie wygląda na zabójstwo», mówił, — «za takie uważać je będzie prawdopodobnie świat cały.»

Baronowa skinęła tylko głową, gdyż była do głębi wzruszoną i smutną.

Przy rogatek warszawskich paszporty dokładnie zrewidowano, nie znaleziono jednak nic nieprawidłowego. Pocztylion z wielkim zapalem opowiadał, co się stało po drodze. Damy zapytane o to, potwierdziły opowiadanie woźnicy, a wieść o zamordowaniu Czerkasowa rozniosła się lotem błyskawicy po mieście. Wiadomość ta sprawiła na urzędnikach moskiewskich przygnębiające wrażenie, twarze publiczności jednak jaśniały źle maskowaną radością i zadowoleniem.

Baronowa, jak już powiedzieliśmy, posiadała w Warszawie własną, piękną i wielką kamienicę, której wcale nie miała zamiaru sprzedać, chociaż tak ludziom mówiła. O swoim

przybyciu doniosła telegraficznie. Wszystko więc na jej przyjęcie było już gotowe.

O zmierzchu podróżni stanęli w polskiej stolicy. W godzinę później, gdy wszyscy domownicy z wyjątkiem Chłapowskiego myśleli, że panie zmęczone udały się już na spoczynek, wyszła baronowa z Teresą w skromnem ubraniu tylnymi drzwiami na miasto i idąc obok siebie pospiesznym krokiem w milczeniu, kierowały się w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Znosiły powierzone im papiery, które równie jak w całej podróży ukrywały przy sobie starannie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY.

Rada wojenna u Wielkiego Księcia.

Wieczorem dnia 24-go stycznia zgromadził koło siebie namiestnik, Wielki Książę Konstanty, wyższych rosyjskich oficerów i adjutantów w Warszawie w pałacu królewskim, który zamieszkiwał, na radę wojenną.

Jenerał Korff, przyboczny adjutant cara i głównodowodzący wojskami załogującymi w Warszawie, czytał właśnie podpisaną nazwiskiem Frankowskiego odezwę tajnego polskiego komitetu narodowego. Koniec tej odezwy brzmiał, jak następuje:

»Każdy dowód braku przywiązania dla świętej sprawy, a nawet braku poświęcenia się w imieniu surowego, choć sprawiedliwego trybunału prześladowanej ojczyzny będziemy ścigali i jak najsurowiej karali. Zaraz w pierwszym dniu powstania, w pierwszej chwili rozpoczętej walki uznaje komitet narodowy wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, stanu i pochodzenia za wolnych i równych obywateli kraju. Grunta i ziemie, które dotąd lud wiejski posiadał na podstawie prawnej czynszu lub robocizny pozostaną odtąd nienaruszalną jego własnością i stałą spuścizną. Poszkodowani przez to dziedzice włości otrzymają wynagrodzenie z skarbu narodowego. Wszyscy chałupnicy i wyrobnicy, którzy wstąpią do szeregów obrońców ojczyzny i rodziny poległych na polu walki i chwały otrzymają działy z dóbr, odzyskanych na wrogu. Do broni! Do broni więc narody Polski, Litwy i Rusi! Godzina wspólnej wolności wybiła, a sztandary z orłem, pogonią i archaniołem powiewają ponad dobytymi naszymi pałacami!«

Głuche milczenie zapanowało po przeczytaniu tej proklamacji, którą co dopiero odebrano, w wielkiej i jasno oświe-

conej sali, w której zebrało się około trzydziestu oficerów w świetnych i paradnych mundurach. Jedni siedzieli, drudzy zaś stali około wielkiego, zielonem suknem pokrytego stołu, na którym leżały rozłożone mapy i papiery. Przy górnym i wyższym końcu stołu siedział w fotelu Wielki Książę i razem namiestnik Królestwa Polskiego, Konstanty Mikołajewicz, brat młodszy panującego cara, piękny mężczyzna o rysach inteligentnych, liczący wtedy niespełna lat trzydzieści sześć. Na twarzy jego malowała się zwykle dobroduszość i pomimo całej wzniosłości pewien odcień melancholii. Dziś jednak osiadła na jego czole ciężka chmura bólu, wzruszenia i troski o przyszłość.

W jego otoczeniu było równie wiele młodych, pięknych i dumą szlachetną owianych postaci, jak starych i osiwiałych wojowników, których marsowe twarze i długie brody świadczyły o ciętości wojskowej. Na wszystkich znać było, że nie lekceważyli sobie znaczenia wypadków, dla których obecnie się zebrali. Mało kto tylko miał minę zuchwałą.

«Jestto otwarte wypowiedzenie wojny, które nam śmie w twarz rzucać ten niewysledzony dotąd tajny komitet narodowy», przemówił Wielki Książę po długiej chwili ogólnego milczenia. — Że ta proklamacya wywarła na wielką część zaslepionego narodu wielkie wrażenie, na to dowodem są panom wszystkim zapewne wiadome wypadki z dni ostatnich. Niepomysłnych wiadomości z prowincyi mamy coraz więcej. Cośmy z początku uważali za mało znaczący opór kilku set zbuntowanych rekrutów, nabiera coraz więcej cechy dobrze obmyślanego i przygotowanego ogólnego powstania. Trzeba nam o tem pamiętać, że czeka nas ciężka walka. Wszystkie linie telegraficzne, nawet połączenie z Petersburgiem, są poprzerywane, tory kolejowe są w wielu miejscach zburzone, pociągi i wozy pocztowe narażone są na napady. Na drodze żelaznej z Warszawy do Petersburga spalono most na Bugu. Jest rzeczą udowodnioną, że noc z dnia 22-go na 23-ci, a więc przedwczorajsza, stać się miała dla wojsk naszych nocą Bartłomieją. Choć czujność naszych dzielnych oficerów i żołnierzy odwróciła największe nieszczęście, ponieśliśmy jednak bardzo znaczne straty. Szef sztabu generalnego wygotował już krótki spis wiadomości, jakie w tej sprawie nadeszły i odnośne ra-

porty panom przeczyta. Prawie co godzinę dochodzą mnie wieści coraz to smutniejsze.

Wielki Książę skinął na szefa sztabu, który wstał i rozpoczął wykład, z którego tylko co najważniejsze ustępy przytaczamy:

»W Płocku zaczępiono wojsko zaraz po północy przy biciu w dzwony i huku strzałów na alarm, poczem załoga wymaszerowała na rynek. Gdy zamiar spalenia koszar się nie udał, powstańcy musieli się cofnąć nad ranem, po naszej stronie padło jednak trzech żołnierzy. Rebelanci uciekli do pobliskiego lasu, zabierając z sobą zabitych i rannych, wojsko zaś puściło się w pogoń za nimi, przyczem padł pułkownik Kosljanikow. Pięćdziesięciu powstańców wzięto w niewolę. — W Płońsku zaczępiono o tym samym czasie trzecią kompanię Murowskiego pułku piechoty. Napad udaremniono, jednak z stratą dwudziestu rannych i kilku zabitych. We wsi Jedlinie pod Radomiem napadli powstańcy na baraki czwartej kompanii Zasnurskiego batalionu nr. 2 i odebrali żołnierzom broń i amunicję. — W Bodzentyniu napadli powstańcy wśród bicia w dzwony na śpiących oficerów i żołnierzy. Szyldwachy i jednego oficera zabito. Na sygnał alarmowy zebrała się kompania strzelców i bez przeszkody pomaszerowała do pobliskich Kielc. — Zaczepiono dalej dowódcę pierwszego batalionu, pułku mohylewskiego w Szydłowie. Batalion wyruszył z miasta i dopiero nazajutrz do niego powrócił. Straty wynoszą czterech zabitych, siedmiu rannych i ośmiu zaginionych. — W gubernii lubelskiej napadli powstańcy na park artylerii w Lubartowie, musieli jednak się cofnąć. Kilku oficerów i żołnierzy jest rannych. — Napadnięto również na ruchomy park w Kodni. Dowódcę jego wzięli powstańcy w niewolę. — Przy napadzie na miasteczko Radzyń poległo pięciu żołnierzy a siedmiu raniono. Pomiędzy rannymi znajduje się generał-major Kannabich i oberstlejtant artylerii. — We wsi Stocku pod Siedlcami zabito siedmiu żołnierzy a dziesięciu raniono. — W Łukowie napadło na dwie kompanie Kostromskiego pułku piechoty trzystu powstańców pieszych i pięćdziesięciu jeźdźców. —

Przy wyliczaniu tych wieści niepomysłnych powstał między oficerami wielki niepokój, którego wybuch powstrzymywały

tylko karność wojskowa i wzgląd na Wielkiego Księcia, który tak mówił dalej:

»Z Warszawy i z wszystkich innych fortec wysłałem już komendy wojskowe na miejsca najbardziej zagrożone. Bez wątpienia okaże się potrzeba dalszych jeszcze wysyłek wojska na wielką skalę. Przekonuję się z obawą, że będziemy zmuszeni Warszawę prawie ogołocić. Posłałem więc rozkaz litewskiemu korpusowi gwardyi, aby w marszach pospiesznych przybył nam na pomoc. W ten sposób wzmocnimy się o pięćdziesiąt tysięcy chłopów. Wiadomo pewnie panom, że obecnie nie posiadamy w całym Królestwie więcej, jak osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Przedkładam panom jeszcze rozkaz, jaki co dopiero wydałem dla armii.«

Na skinienie czytał szef sztabu jeneralnego dalej:

»Na najwyższy rozkaz najmiłościwszego cara jegomości, rozporządzam, aby powstańców, schwytanych z bronią w rękę, stawiono natychmiast na miejscu zbrodni przed sądem wojennym. Wyroki śmierci na nich zapadłe należy przedłożyć celem ostatecznego potwierdzenia i wykonania dowódzcom wojennym sześciu okręgów wojskowych Królestwa, mianowicie: w Warszawie, Lublinie, Radomiu, Kaliszu, Płocku i Augustowie.«

»W przekonaniu, że tylko bezwzględna surowość zdoła dalszemu postępowi tego ruchu rewolucyjnego zagrozić«, mówił Wielki Książę dalej, — »i w zupełnem porozumieniu się z zamiarami i otrzymanymi wskazówkami od mojego carskiego brata i pana, postanowiłem dalej zniesiony pod koniec zeszłego roku stan oblężenia w całym Królestwie, od dziś dnia przywrócić w całej rozciągłości. Dekret odnośny już podpisałem. Prezydent policyi w Warszawie, oberstlejtant Muchanow, postara się o to, aby wydano odpowiednie stanowisko wojennemu rozporządzenia i aby nie zakłócano spokoju publicznego. Pod względem wojskowym nie pozostaje nam nic więcej, jak tylko naradzić się wspólnie nad sposobem operacji wojennych i która z nich byłaby najodpowiedniejszą do najszybszego stłumienia powstania. Taki jest cel dzisiejszego naszego zebrania, panowie. Rad waszych wysłucham i zbadam je po kolei.«

Wywiązała się więc dłuższa dyskusja wojskowa, w której objawiały się zdania najrozmaitsze. Nie mamy zamiaru przytaczać bliższych o tem szczegółów, podamy tylko powziętą

uchwałę. Jak już Wielki Książę sam zaznaczył, wojska załogujące w Królestwie nie wystarczały na większe bitwy w wolnem polu, ponieważ należało w fortcach i głównych miejscowościach trzymać w pogotowiu znaczne siły zbrojne. Zresztą powstańcy sami prowadzili wojnę podjazdową, to znaczy, że zamierzali walczyć w małych oddziałach, przerzucając się z miejsca na miejsce i nie wdając się w ważne rozprawy. Z tego powodu można też było wysłać jedynie małe ruchome kolumny, mające zadanie trzymać się w obrębie większych miejscowości i załogujących w nich mas wojska. Zamiarem powstańców było widocznie odciąć Warszawę od związku z Petersburgiem, Moskwą, austriacką i pruską granicą. Chciano tym sposobem zapewne zyskać na czasie, powstanie przygotować należycie a potem w samej Warszawie zadać cios Moskalam. Rządowi musiało więc przedewszystkiem zależeć na tem, aby jak najprędzej przywrócić i utrzymać prawidłowy ruch pociągów i połączenie telegraficzne. W tym celu miały być wysłane dwa korpusy wojska na prawy i lewy brzeg Wisły pod dowództwem generałów Samukina i Korffa, aby podług otrzymanych wskazówek operowały w okolicy Warszawy. Ten sam rozkaz otrzymali naczelnicy wojskowi wszystkich gubernii. Na razie więc nie ułożono daleko sięgających planów wojennych, ponieważ powstańcom nie udało się jeszcze zebrać gdziekolwiek większych sił zbrojnych.

Tej samej jeszcze nocy miały obydwie korpusy wyruszyć z Warszawy a generałowie, adjutanci i ordonansi rozpieczętowali się na wszystkie strony, roznosząc rozkazy i rozporządzenia. Wielki Książę, któremu przypisywano łagodne i szlachetne usposobienie, który nawet u Polaków nie był w nienawiści, nakazał odkomenderowanym generałom wobec powstańców postępować z bezwzględną surowością. Łatwo jednak było po nim poznać, że musiał się przewycięzać. Wobec ściślejszego grona powierników wyraził się nawet wkrótce po radzie wojennej, że natychmiast po zgnieceniu powstania poprosi carskiego brata o ogólną amnestję.

Niedługo potem odwiedził Wielkiego Księcia prezydent policyi. Wspólnie ułożono przepisy, które podajemy poniżej, aby wykazać jak uciemiężoną była stolica, choć w ostatnim czasie zachowała się zupełnie spokojnie. Nic dziwnego, że

takie rozporządzenia policyjne przyczyniły się do ogólnego rozgoryczenia.

Zakazano więc zbierać się i chodzić po ulicach więcej jak trzem osobom razem, zakazano również zbiegowiska przy pożarach i przemarszu wojska. Wszystkie domy prywatne i publiczne lokale pierwszego rzędu miały być zamykane już o dziesiątej wieczorem, podrzędniejsze gospody nawet o godzinie szóstej. Po dziesiątej nie wolno było nikomu wychodzić z domu bez palącej się latarni, a od jedenastej aż do dnia brzasku nie wolno było wogóle wychodzić nikomu. Każdy gospodarz zobowiązany był pod karą grzywny, w przeciągu dwudziestu czterech godzin zameldować nowych lokatorów.

Wieczorem skończyły się urzędowe czynności namiestnika. Pozostały tylko jeszcze prywatne audyencye bądź to osób, z którymi Wielki Książę sam chciał się rozmówić, bądź też innych, które w ciągu dnia o posłuchanie prosiły. Do pierwszych należała baronowa Rosenberg. Łatwo sobie wyobrazić, jaki powód nakłonił Wielkiego Księcia do zawezwania baronowej. Było nim straszne nieszczęście, jakie przed kilku dniami spotkało w podróży szefa kancelaryi Czerkasowa, jednego z największych ulubieńców i najbliższych podwładnych namiestnika.

Wielki Książę poznał baronową osobiście na dworze petersburskim i nieraz sprawiało mu przyjemność rozmawiać z nią przy sposobności, gdyż była bardzo rozumną i pełną jeszcze wdzięków. Później o niej zapomniął i nigdy zapewne nie byłby jej sobie przypomniał, gdyby całe miasto, mówiąc o śmierci Czerkasowa, nie wspomniało jej nazwiska. Wielki Książę kazał więc baronową poprosić, aby mu osobiście opowiedziała o tem nieszczęściu. Pani Rosenberg z największą ochotą skorzystała z zaproszenia, gdyż niczego sobie goręcej nie życzyła, jak wstępu na dwór Wielkiego Księcia bez wzbudzenia jakichkolwiek podejrzeń.

Ze papiery, powierzone baronowej i Teresie oddane zostały pod właściwym adresem, ztąd już poznać można, że tajny komitet narodowy natychmiast dał hasło do powstania, wydane w Paryżu.

Baronowa wyszła tego wieczoru w towarzystwie Teresy

Panna jednak została w przedpokoju, gdy panią Rosenberg zawezwano przed księcia.

Namiestnik wyszedł na spotkanie baronowej aż na próg sali, witał się z nią bardzo przyjaźnie i tłumaczył się, że nie mógł odwiedzić jej w mieszkaniu, ponieważ miał wiele pracy, poprosiwszy gościa, aby zajął miejsce na kanapie, sam usiadł na fotelu, z wielką uprzejmością, która była cechą jego charakteru, wspominał o dawnej znajomości na dworze carskiego ojca i z zajęciem wypytywał się o powód, dla czego obecnie baronowa przyjechała do Warszawy. W ten sposób zwróciła się rozmowa na niepokoje w Królestwie i na straszną przygodę baronowej w podróży, co Wielkiego księcia właściwie najbardziej interesowało.

Pani Rosenberg zachowywała się podczas całej rozmowy z najwyższym taktem i opowiadając szczerą prawdę o zabójstwie Czerkasowa, czego była świadkiem, nie potrzebowała oburzenia udawać, gdyż czuła je rzeczywiście, choć przyjaciele jej w Warszawie przyznawali, że rozkaz stracenia wydał komitet narodowy, i choć sama czuła w duszy, że taki okrutny środek był koniecznością, spowodowaną nieznośnymi stosunkami. Rozumie się, że z takimi myślami nie zdradziła się wobec księcia, któremu ani na myśl nie przyszło, powątpiewać o jej szczerze rosyjskiem usposobieniu.

Śmierć naczelnika kancelaryi ciężko go zmartwiła i z wielką goryczą wyrażał się o postępkach Polaków.

»Proszę mi wierzyć, pani baronowo«, wspomniawszy w rozmowie, — »że przyszedłem z najlepszymi zamiarami i z tą mocną nadzieją, że mi się uda pojednać mieszkańców Królestwa z rządami mojego brata, cara i pana. Gorzko zawiodłem się jednak nawet pod względem własnej osoby!« — Temi słowami napomynał o nieudanym na siebie zamachu. »Mimo to dziś nawet jeszcze mam szczerę współczucie dla wielkich mas ludu, szczególnie zaś dla zaślepionej młodzieży, która występuje przeciwko nam z bronią w ręku. Będę jej bronił, gdzie i jak tylko będzie to możliwe. Co się zaś tyczy przywódców tego szalonego powstania, którzy z dumy osobistej i dla własnej korzyści prowadzą naród na zgubę, będą nieubłagani. Jestem gotów na mocy udzielonej mi władzy, ukarać ich bez litości i bez względu na stan, płeć i wiek.

Choć taka surowość sprzeciwia się mojemu usposobieniu, uważam sobie jednak za święty obowiązek, nie ustąpić ze względu na dobro powszechne. Biada tym ludziom, którzy przyczynili się do wojny i do krwi rozlewu!»

Oczy Wielkiego Księcia zapłonęły dziwnymi blaskami. Gdy wzrok jego przypadkiem padł na obok siedzącego gościa, baronowa musiała się zmuszać, żeby się nie zmięszać.

»Wasza Mość cesarska będzie zawsze umiała pogodzić łagodność z surowością, gdy okaże się tego potrzeba«, odpowiedziała bardzo wzruszona.

Ksiądz w każdym razie nie zauważył jej pomieszania, tylko z lekka pogładził ręką czoło pofałdowane, poczem znowu zaczął rozmawiać z dawniejszą swobodą. Przepraszał też baronową, że nie może natychmiast przedstawić jej swojej małżonki, — rodem księżniczki Sachsen-Altenburg — tłumacząc się, że ma jeszcze kilka koniecznych posłuchań. Również wyraził życzenie, aby baronowa bywała na dworze, którego tak samo, jak dawniej w Petersburgu, będzie prawdziwą ozdobą.

Pani Rosenberg uszczęśliwiona rozmową, wstała i pożegnała się z Wielkim Księciem. Namiestnik bardzo był dla niej łaskawym, urzeczywistniły się więc jej pragnienia.

Tymczasem siedziała Teresa w przedpokoju, przeznaczonym na poczekalnię dla osób proszących o posłuchanie, na małej kanapce, ustawionej w framudze okna. Od sali Wielkiego Księcia oddzielał pokój ten tylko jeszcze drugi, w którym zwykle przebywali adjutanci i szambelani. Oprócz odzwierneego, ubranego w wspianą liberyę, który na rozkaz adjutanta głośno wywoływał nazwisko osoby, mającej wejść do sali namiestnika, było w poczekalni jeszcze więcej ludzi. Byli to sami mężczyźni, wojskowi i cywilni. Badawcze wzroki, jakie czasami na dziewczynę rzucali, były jej trochę nie mile. Nikt jednak nie ośmielił się do niej przemówić.

Zaledwie baronowa zawiadana do Wielkiego Księcia wyszła z poczekalni, otworzyły się drzwi na nowo i do przedpokoju wszedł mężczyzna, który swoją postawą a więcej jeszcze podpadającym i Teresie, zupełnie nieznanem ubraniem wyróżniał się od innych. Obecni kłaniali mu się nisko i z wielkim szacunkiem, na co przybyły odpowiadał skinieniem głowy, wyrażającym dziwnym sposobem wyniosłość i pokorę równo-

czeńie. Teresa uważała go za wysokiego dostojnika kościoła prawosławnego.

Nasi czytelnicy poznaliby w nim od razu ojca Anastazego, lecz Teresa nie słyszała nigdy ani tego imienia, ani też imienia Bonawentury.

Pop miał znowu na sobie czarną długą sutannę, jak dawniej w swoim domu. Tym razem jednak przewiązał biodra szerokim pasem z czarnego aksamitu, wyhaftowanym bogato złotem i jedwabiem i wysadzanego drogiemi kamieniami. Na piersiach wisiał mu wielki krzyż złoty, misternej roboty w formie greckiej. Na głowie, z której mu na ramiona spadały długie włosy, miał wysoką czapkę z czarnego aksamitu, szerszą ku górze, jak dołem i ozdobioną z przodu również krzyżem złotym.

Niezwyczajnie to ubranie uwydatniało wyniosłą postać księdza, któremu trzeba było przyznać, że był pięknym mężczyzną.

Obecność damy w pokoju uszła zapewne uwagi ojca Anastazego, bo wcale na nią nie spojrział, tylko przystąpił do jakiegoś rosyjskiego generała, który stał oparty w niszy okna naprzeciwko Teresy. Gdy się obaj wzajemnie i na pozór przyjaźnie przywitali, zaczęli z sobą rozmawiać. Mówili tak cicho, że dziewczyna ani słowa zrozumieć nie mogła.

Podczas gdy Teresa z ukrytą ciekawością przypatrywała się księdzu, pop spojrział na nią przypadkiem. W mgnieniu oka tak zdumiał i tak mu się twarz zmieniła, że Teresa musiała to zauważyć i przestraszyła się.

Księdzu słowo, które chciał właśnie wymówić, zamarło na ustach. Żrenice mu się rozwarły szeroko. Błądź śmiertelnie, iskrzącym wzrokiem przeszywał siedzącą mu naprzeciw dziewczynę. Widok Teresy wprawiał go widocznie w niezwykle i nie mile zdumienie.

Wskutek tego dziwnego i zupełnie niezrozumiałego postępowania dziewczyna zmięszała się, spłoszyła i spojrziała na stronę. Z ciekawości jednak jeszcze raz ukradkiem wzrokiem rzuciła na księdza.

Za chwilę ksiądz się opamiętał i zapanował nad sobą, groźnym wzrokiem jednak wciąż jeszcze badawczo przypatry-

wał się dziewczynie. Potem przemówił kilka słów pośpiesznie do jenerała, który natychmiast także spojrział na Teresę.

Z ruchów i gry twarzy obu panów odgadywała dziewczyna treść ich rozmowy i rzeczywiście nie myliła się wcale.

Nagle zdumienie i przerwa w mowie popa podpadły jenerałowi, który spojrział na księdza wzrokiem zdziwionym i pytającym.

»Znasz pan tę panią tam siedzącą?« pytał się ojciec Anastazy z pewną gwałtownością.

»Nie, nie znam jej wcale, zdaje mi się jednak, mój ojczu że ty znalazłeś dawną znajomą.«

»To być nie może!« mruknął pop przez zaciśnięte zęby. »Jestto tylko ładzące podobieństwo. Dama, o której myślę, powinna już być bliską starości.«

»Dama z przeciwka z pewnością taką nie jest«, mówił jenerał z uśmiechem, — »gdyż mojem zdaniem nie ma więcej, jak lat trzydzieści.«

»Więc któż to? Jak się tu dostała?« pytał się pop z widocznym zmieszaniem.

»Nie mogę ojcu dać bliższych objaśnień. Wiem tylko, że jest damą do towarzystwa pani baronowej Rosenberg, która właśnie ma posłuchanie u księcia jegomości.«

»A pani baronowa Rosenberg?«

»Jest wdową po carskim pułkowniku gwardyi, zmarłym już przed latami. Jest bardzo bogatą, długi czas mieszkała w Paryżu, niedawno zaś z niewiadomych mi powodów wróciła do Warszawy. Jestto ta sama dama, która, jak to już ojcu zapewne wiadomo, miała w drodze to nieszczęście, że była świadkiem śmierci Czerkasowa. Bez wątpienia w tej sprawie ma obecnie posłuchanie u Wielkiego Księcia.«

Ojciec Anastazy milczał i wciąż jeszcze z uwagą przypatrywał się Teresie, nie zważając wcale na widoczne zmieszanie dziewczyny.

»Znasz pan mieszkanie tej pani Rosenberg, panie jenerale?« zapytał się pop po chwili.

»Ma własny dom na senatorskiej. Wskaże go ojcu każdy. A więc ta pani interesuje ojca?«

»Wcale nie, — zaciekawia mnie tylko jej towarzyska

z powodu wielkiego podobieństwa do innej osoby. Jestem rzeczywiście zdumiony i zciekawiony.«

»A więc nawet tak godny i święty człowiek jak ojciec, nie może pozbyć się tych drobnych, ludzkich słabostek?« pytał się jenerał. Chcąc jednak dać dowód, że również jest ciekawym, mówił dalej:

»Z jakiej to przyczyny, mój ojczu, przyszedłeś tu, jeżeli wolno mi się zapytać, i znajdujesz się w przedpokoju księcia jegomości?«

»Przepraszam pana jenerała, jeżeli odpowiedź na to pytanie z ważnych powodów odłożę na później«, odpowiedział pop z znaczącym uśmiechem.

»To mnie się należy przeprosić czcigodnego ojca!«

W tej samej chwili otworzył portyer drzwi sąsiedniego pokoju, z którego wyszła baronowa. Pani Rosenberg dumna i poważna, kłaniając się na prawo i na lewo lekkim skinieniem głowy, skierowała się prosto ku Teresie. Za chwilę zawołał odzwiertny donośnym głosem:

»Jegomość Wielki Książę życzy sobie mówić z czcigodnym ojcem Anastazym.«

»Jestto baronowa?« pytał się pop po cichu jenerała, pośpieszając na zawołanie odzwiertnego.

»Tak jest.«

»Jest wierną poddanną cara i dobrą Rosyanką?«

»Któżby o tem wątpił?« odpowiedział jenerał, trochę zdziwiony takim pytaniem.

Pop udając się do pokoju Wielkiego Księcia, przechodził tuż obok dam. Kłaniając im się z wielkim szacunkiem, rzucił jeszcze raz przelotne, lecz przeszywające spojrzenie. Panie na ukłon odpowiedziały skinieniem głowy, a baronowa zarzucając na siebie futerko, szepnęła do swojej towarzyszki:

»Piękny i okazały ksiądz, nieprawda?«

Teresa w milczeniu skinęła głową. Pop sprawiał na niej niemiłe wrażenie, z którego sama nie umiała sobie zdac sprawy.

Obie wyszły z pokoju, wsiadły przed pałacem do powozu i pojechały do domu. Baronowa powtórzyła Teresie prawie każde słowo, które zamieniła z Wielkim Księciem, wyraziła zamiar, że jak najprędzej każe się przedstawić u dworu

a o popie nie wspomniała już ani słowem. Widocznie był on także baronowej zupełnie nieznany.

Tymczasem wszedł ojciec Anastazy do pokoju namiestnika. Nie zdejmując czapki, z złożonymi na piersiach rękami i z miną bardzo pokorną uklonił się przed Księciem, który gościa przyjął z szacunkiem, należącym się osobie duchownej, prosząc go, aby usiadł. Tym razem zajął Wielki Książę opróżnione przez baronową miejsce na kanapie, a pop usiadł w fotelu.

Książę znał popa doskonale, który w hierarchii kościelnej wybitnie zajmował stanowisko.

»Czcigodny ojcze, kazałeś mnie prosić o tajemną rozmowę,« przemówił książę, na którego twarzy bystry spostrzegacz łatwo mógł wyczytać, że więcej okazywał szacunku dla sukni, jak dla osoby popa. — »Ponieważ ojcu bez wątpienia wiadomo, że właśnie teraz obarczony jestem mnóstwem spraw nagłych i ważnych, nie wątpię, że Wasza Wielebność ma pilny interes, nie cierpiący zwłoki.«

Ta trochę zimna przemowa nie bardzo się podobała ojcu Anastazemu, gdyż nagle spochmurniał. Zapanował jednak nad niemiłym uczuciem i odpowiedział w tonie łagodnym:

»Wasza carska Wysokość najpokorniejszego sługę zaszczyca takim zaufaniem, że nigdy nie odważyłbym się go zawieść. W dzisiejszych, niepewnych stosunkach nabiera niejaka rzecz, na którąby w innych okolicznościach nie zważano, wielkiego znaczenia dla wiernych sług cara. Noga, która zawsze usuwa śniegu grudkę, mającą się stoczyć po soku lodowca, nie dopuszcza, aby lawina śmierci i zniszczenia nie niosła w dolinie.«

Przy tem porównaniu, które kazało domyślać się rzeczy ważnej, spojrzawszy Wielki Książę z zdumieniem, nie mógł się jednak powstrzymać od lekkiego uśmiechu, gdy powiedział w tonie nieco szyderczym:

»Zdaje mi się, ojcze, żeś wykrył groźne sprzysiężenie.«

»Tego twierdzić nie ośmielam się, carska Wysokość. Sprawa jednak, o której uważam sobie za obowiązek pomówić, mogłaby mieć skutki, których doniosłości trudno mi przewidzieć. Wasza carska Wysokość zapewne wcale nie przypuszcza, że w tutejszym garnizonie, który carowi złożył przysięgę wierność,

mógłby znaleźć się choć jeden, sprzyjający niecnym buntownikom, burzącym pokój państwa.«

Przy tych słowach Wielki Książę gwałtownie zawołał:

»A więc o to chodzi! Ma ojciec dowody? Proszę o nie, a zaręczam, że zdrajcę surowo ukarzę.«

»Dowody mam w rękę, miłościwy panie!« odpowiedział pop z tryumfem. »Dowiedziałem się przypadkiem, że oficer nawet — oczywiście narodowości polskiej — popełnił tę zbrodnię.«

»Oficer?« zawołał książę bardzo wzburzony. »Strzeż się ojcze oskarżać niewinnie, choćbyś nie wiedzieć jakie miał w tem zamiary! — Gdzież jest ten oficer? Jak się nazywa? O co go ojciec oskarża?«

Wielki Książę mówił głosem tak groźnym, a błyszczące oczy rzucały takie gromy, że pop zbladł mimo woli. Opał się jednak prędko i odpowiedział wolno i dobitnie:

»Oficer ten należy do załogi warszawskiej w stopniu kapitana pułku xxx. Nazywa się Ignacy Gurowski i wiem z największą pewnością, że w nocy z 14-go na 15-go b. m. umyślnie pozwolił uciec zabranemu już rekrutowi.«

Wielki Książę skoczył z kanapy i prędkim krokiem szedł ku drzwiom, prawdopodobnie w tym celu, aby dyżurnemu adiutantowi dać rozkaz natychmiastowego aresztowania ciężko obwinionego oficera. Nagle jednak stanął na środku pokoju, jak gdyby inna myśl przyszła mu do głowy i odwrócił się do popa, który wstał również.

»Proszę mi powiedzieć krótko i wyraźnie, co ojciec wie o całej tej sprawie«, rozkazał książę dosyć ostro.

»Wasza cesarska Wysokość«, zaczął pop, widocznie na tę mowę dobrze przygotowany, opowiadać z wielkim spokojem, »przypomina sobie bez wątpienia, że dom mój stoi na Miódowej, niedaleko Krasińskich. W blizkiem sąsiedztwie na drugiej stronie ulicy mieszkał biedny żydek, nazwiskiem Mojżesz Lipman, którego z powodu podejrzenia, że rozszerzał pisma rewolucyjne, cichaczem przeznaczono na rekruta i którego też rzeczywiście w wspomnianej już nocy pochwyciono. Człowiek ten przed rokiem już ożenił się z młodą zydoweczką. Lipmanowa musiała bardzo kochać męża, gdyż nazajutrz po brance biegła po ulicy jak szalona i w stanie na pół przy-

tomnym wygadywała dziwne rzeczy, wskutek czego powstało zbiegowisko. Tej niezrozumiałej dla mnie scenie przypatrywałem się z okna. Ponieważ przypadkiem nie zjawił się żaden urzędnik policyjny, któryby szaloną kobietę usunął na stronę, i ponieważ z wielkiego wzburzenia umysłów wskutek branki obawiałem się ogólnych zaburzeń, kazałem ją przywołać do siebie. Żydówka dała się do tego namówić, zapewne w nadziei, że jej w biedzie pomogę. Na zapytanie, opowiadała mi wśród łez, rozpacz i wśród gorzkiej skargi, że w nocy żołnierze porwali jej męża z łóżka i uprowadzili w żołdacy. Dowodzący oficer, widocznie wzruszony jej bólem i widząc, że dziecko nosiła pod sercem, miał jej, jak mówiła, przyrzec po cichu, że uwolni jej męża. Tymczasem Lipmann nad ranem jeszcze nie wrócił, wskutek czego kobieta podejrzewała oficera, że nikczemnie ją zawiódł. Ja sam myślałem, że oficer chciał tylko niewiastę na chwilę uspokoić, że jednak spełnił swój obowiązek. Pocieszyłem więc Lipmanową jak mogłem i posłałem ją z powrotem do domu. Zdaje mi się, że pozyskałem jej zaufanie. Później o całej tej sprawie zapomniałem. Przed kilku jednak dniami przypadkiem spotkałem tę samą Żydówkę. Wobec nie-szczęścia, jakie ją spotkało, dziwnie była spokojną i zajętą pakowaniem rzeczy na wóz, stojący przed domem. Gdy się do niej zbliżyłem, przełękała się. Z początku powiadała, że zamierza przenieść się do swoich rodziców, mieszkających w innej dzielnicy miasta. Wreszcie jednak po usilnem naleganiu z mojej strony przyznała się, że mąż jej z pomocą owego oficera uciekł szczęśliwie i mieszka w okolicy Piotrkowa, i że samą przenosi się do niego. Chcąc mieć świadka przeciwko występniemu oficerowi, kazałem ją natychmiast aresztować. Dalsze z mojej strony dochodzenia wykazały, że Żyd Lipmann w niepojęty sposób rzeczywiście uciekł żołnierzom i że oddziałem dowodził kapitan Ignacy Gurowski z pułku xxx. rodowity Polak.

Podczas tego opowiadania czoło Wielkiego Księcia pokryło się głębokimi bruzdami a w grze rysów twarzy odzwierciedlały się sprzeczne uczucia. Gdy pop przestał mówić, chodził namiestnik po pokoju wielkimi krokami, jak gdyby się namyślał, co począć dalej.

Nagle zatrzymał się przed popem i zapytał prędko:

»W którym areszcie siedzi żydówka«

»W więzieniu policyjnym, carska Wysokości, dokąd ją zaraz odprowadzono. Mojem zdaniem łatwo na niej wymódrz całkowite zeznanie.«

»Czy ojciec ma jeszcze jaką inną skargę na kapitana Gurowskiego?«

»Nie, carska Wysokości«, odpowiedział pop, nie umiając ukryć zdumienia z powodu dziwnego zachowania się księcia.

»Nie chciałbym wogóle występować w roli oskarżyciela. Będąc wiernym poddanym cara, chciałem tylko na to zwrócić uwagę, że —«

»Dobrze, dobrze!« przerwał mu książę zimny, jak lód. »Spełniłeś obowiązek, za co dziękuję. Ja także wypełnię swój obowiązek.«

Po tych słowach Wielki Książę lekko skinął głową na pożegnanie i ruchem ręki dał do zrozumienia, że posłuchanie się skończyło.

Ojciec Anastazy teraz dopiero zrozumiał, że Wielki Książę sprawę pojmował inaczej, jakby pop sobie życzył. Przyczyny takiego postępowania pop nie odgadnął, nie śmiał jednak sprzeciwiać się ani słowem, tylko wyszedł z sali, pokornie się kłaniając.

Namiestnik rzucił za popem wzrok pełen pogardy. — Anastazemu nigdy nie okazywał szacunku, ponieważ wiedział, że zmienił wiarę — i wzięwszy kartkę papieru, na prędce skreślił te słowa:

»Aresztowaną przed kilku dniami żonę żyda Mojżesza Lipmanna rozkazuję wypuścić natychmiast z więzienia policyjnego. Rozkazuję dalej, wydać jej całe mienie i zaopatrzyć ją w paszport, wystawiony do tej miejscowości w Królestwie, jaką sama wskaże.«

Warszawa, dnia 24-go stycznia 1863.

Konstanty.

»Proszę to pismo przesłać do więzienia policyjnego!« rozkazał krótko adjutantowi, który na zawezwanie wszedł do pokoju.

Na drugi dzień podczas parady przyzywał Wielki Książę do siebie komendanta pułku xxx i dowiadywał się o kapitana Gurowskiego.

Pułkownik myśląc, że książę chce kapitana szczególnie odznaczyć, wyrażał się o nim z wielkiem uznaniem. Nie mało jednak się zdziwił, gdy Wielki Książę na pochwały tak odpowiedział:

»Polecam panu, abyś na tego oficera miał baczne oko. Będę się cieszył, jeżeli pan nie znajdziesz powodu do skargi na niego. Gdyby jednak było inaczej, każ go pan natychmiast aresztować i wprost mnie o tem zawiadomić.«

Przy tych słowach rękę przyłożył do chelmu, odwrócił się szybko i pozostawił na miejscu oniemiałego z zdumienia pułkownika, który słów księcia nie rozumiał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY OSMY.

Langiewicz.

W ostatnich dniach stycznia powstanie w Królestwie Polskiem zupełnie inny przyjęło charakter. Podczas gdy dotąd bowiem nieliczne bandy, zupełnie rozluźnione i złe tylko lub też wcale nie uzbrojone, błąkały się po kraju bez jasno wytkniętego celu i bez jednolitego dowództwa, poprzestając tylko na tem, że w celu uzyskania środków na broń niezbędną, zabierały kasy rządowe i zmuszały obywateli ziemskich i podróżnych do składania danin, tu i owdzie mszcząc się na prześladowcach, w końcu stycznia te garstki zbierały się w większe oddziały, poddając się pod komendę dzwódców, znających się na sztuce wojennej i umiejących wkrótce zdobyć sobie imię i znaczenie. Luźne gromady, zebrane w regularne i większe oddziały powzięły od razu jednolity i jasno oznaczony plan operacyjny.

Powstańcy głównie skierowali uwagę na koleje żelazne idzielnice nadgraniczne. Po opanowaniu kolei można było udaremnić wysyłkę nowych wojsk z głębi Rosyi do Warszawy i do innych większych miast Królestwa, posiadanie pasu nadgranicznego umożliwiało przesyłkę broni i dostarczenie nowych zaciągów. Chociaż bowiem rząd tymczasowy w swoich odezwach szczególny kładł nacisk na to, że powstanie skierowane było tylko przeciw Rosyi, a nie przeciw Austrii lub Prusom, mnóstwo jednak obywateli z pod zaboru austriackiego i pruskiego, powodowanych miłością ojczyzny, pospieszyło walczącym rodakom na pomoc.

Sasiednie Prusy bez wahania i w sposób niedwuznaczny oświadczyły się za Rosyą. Innego obrotu sprawy nie można

się było nawet spodziewać, gdyż w państwie tem wola monarchy o wiele więcej znaczyła, jak opinia publiczna. Jenerał pruski Alvensleben zawarł z polecenia króla w Petersburgu konwencyę, skierowaną przeciwko powstańcom, która miała być wprawdzie zachowaną w tajemnicy, która jednakże nie-
długo wyszła na jaw częścią przez pogłoski, częścią też przez czyny.

Konwencya ta orzekała, że Prusy udaremnią w swoim kraju wszelkie zasilki wojska i wysiłki broni dla Polaków, i że rozbroją, pojmą w niewolę lub wydadzą Moskwie wszystkich powstańców, zmuszonych w walce przejść przez granicę. — W ten sposób obchodzono się z osobami, które nawet nie przekroczyły jeszcze granicy, tylko okazały zamiar, że chcą wziąć udział w walce. Pruskie wojska miały w razie potrzeby pomagać Moskalom na terytorium rosyjskiem, Moskalom zaś miało być dozwołonem, ścigać Polaków nawet poza pruską granicę.

Do współuczestnictwa w tej konwencyi zaproszono także Austryę, która jednak z wielką godnością na to nie przystała.

Wielki krzyk grozy i oburzenia rozległ się po całej Europie wskutek tego układu. Nawet pruska izba posłów nie zgadzała się na niego, a rozmaite pruskie giełdy kupieckie zakładały przeciwko niemu protesty. Opinia publiczna i prasa angielska równie jak francuska uważały ten układ za sprzeciwiający się prawom narodów, a gabinety tych państw wysłały do Berlina noty, wprawdzie nie grożące, lecz po przyjacielsku odradzające od tej konwencyi. Dodajemy zaraz w tem miejscu, że Prusy mimo to przez jakiś czas ściśle się trzymały warunków, zawartych w układzie, o czem także jeszcze później pomówimy i że dopiero później ustąpiły, chociaż tylko pozornie pod naciskiem opinii całej Europy. Nawet rosyjski poseł w Londynie miał pewne względy na tę opinię, oświadczając, że konwencya nie wyszła z strony rządu rosyjskiego, tylko pruskiego.

Anglia i Francya milczały tak samo, jak w roku 1830 i 1831. Wzajemna zazdrość nie dozwalała im wystąpić zgodnie i stanowczo. Opuściły więc biednych Polaków, których nadzieję podtrzymywały tylko czcze rozprawy.

Krótko powiedziawszy: Prusy wystąpiły przeciwko Po-

lakom otwarciu i wrogo i na tem stanowisku pozostały nawet po skończeniu się walki. Anglia i Francya zdradziły wprost Polaków. Jedna tylko Austrya, oświadczwszy swą neutralność, zachowała się z taką godnością, że według naszego sądu nie-miarodawczego zasłużyła sobie na wdzięczność ze strony nie-szczęśliwych Polaków.

Na początku lutego powstanie rozszerzyło się po całym Królestwie. Nosiło jednak już w sobie zarodek śmierci, ponieważ nie wszystkie stany wzięły w niem udział. Stan włościański ciemny, nieoświecony i pozbawiony zupełnie miłości ojczyzny, pomimo wszelkich obietnic nietylko nie wziął się do broni, lecz nawet po większej części wystąpił wrogo przeciwko powstańcom. Magnatów strach ogarnął i uciekli za granicę. Tylko niższa szlachta z służbą i mieszczenie powstali. Zapal narodowy zatoczył daleko mniejsze koła, jak podczas dawniejszych rewolucyi.

Byłoby rzeczą prawie niewykonalną, gdybyśmy chcieli zapoznać czytelników z wszystkimi miejscowościami, gdzie Polacy powstali. Musimy więc poprzestać na krótkim przeglądzie, zanim nam się przedstawia obrazy wielkich bitew, w których wezmą udział także bohaterzy nasi. Przegląd ten jednak jest niezbędnym dla lepszego zrozumienia ówczesnych stosunków.

W północnej części gubernii lubelskiej, w pobliżu kolei prowadzącej z Warszawy do Petersburga, leży miasto Węgrów.

Pod dowództwem naczelników, ukrywających się pod przezwiskiem Sokoła i Muchy, miasto i okolicę zajęły liczne oddziały powstańców. Zamiarem ich było, odciąć na wszelki sposób komunikację z Petersburgiem, co dla Moskali ciężkim było ciosem. Przeciwko powstańcom w Węgrowie skierowano więc najprzód kroki nieprzyjacielskie.

Z wielką masą piechoty, konnicy i z sześciu działami wyruszyli Moskale 6-go lutego na miasto Węgrów, położone w lesistej okolicy i zajęte przez powstańców pod dowództwem Sokoła. Już w nocy poprzedniej rozpoczęła się walka, która nie osiągnęła jednak poważniejszych skutków. Dopiero nad ranem 6-go lutego zaczęli Moskale prażyć ogniem armatnim Polaków, wysuwających się z lasów. Wskutek tego wycofali się powstaniecy z miasta w kierunku wschodnim, pozostawiając na miejscu tylko około dwustu szlacheckiej młodzieży, która ob-

sadziła wejście do miasta. Ponieważ Moskale z wielką siłą pchali się naprzód, przyszło do walki zaciętej, w której Polacy okazali się zupełnie godni męstwa i sławy swych przodków, rzucając się z wielkim zamachem na działa moskiewskie, przy czem prawie wszyscy padli pod gradem kartaczy nieprzyjacielskich.

Tymczasem miasto stało w płomieniach. Rosyjska piechota wzięła je szturmem, przyczem powstańcy stracili około 150 zabitych i mnóstwo rannych. Wskutek tego poświęcenia się garstki bohaterów ocalał główny oddział i zajął drogę do Litwy.

Już przedtem, dnia 1-go lutego zaczęła moskiewska kolumna pod wodzą pułkownika hrabiego Nostica powstańców pod Białą, na wschód od Warszawy, blisko Bugu, musiała jednak się cofnąć. Po tej potyczce Polacy również wkroczyli na Litwę i pobili zastępujących im drogę Moskali pod wodzą generała Maniukina. Po tem zwycięstwie Polacy wzmocnili się znacznie nowymi zaciągami.

Na północ i zachód od Warszawy Polakom mniej szczęście sprzyjało. Rosyjskie kolumny rozproszyły prawie wszystkie oddziały. Tak samo działo się na południowy zachód od stolicy, gdzie zaszło kilka potyczek. O wiele więcej powodzenia miało powstanie w gubernii radomskiej i w ziemi Krakowskiej pod zaborem moskiewskim.

W tej części kraju ukazał się na widowni dowódzca, posiadający bezprzecnie wielkie zdolności wojskowe, którego imię dla powstania wkrótce osiągnąć miało wielkie znaczenie.

Przy końcu stycznia ukazała się bowiem w Szydłowcu, miasteczku położonem w województwie sandomierskiem na północnym krańcu okolicy, pokrytej lesistemi pagórkami i głębokimi jarami, odezwa, podpisana przez Maryana Langiewicza, w której tenże wzywał wszystkich obywateli zdolnych do wojska, do stawienia się do szeregów, donosząc, że z polecenia rządu narodowego ma pełnomocnictwo do utworzenia siły zbrojnej w całej okolicy.

O Langiewiczu podajemy następujące wiarogodne wiadomości: Urodził się 5-go sierpnia 1827 roku w Krotoszynie, w Wielkiem Księstwie Poznańskim. Ojciec jego był lekarzem i umarł wkrótce po urodzeniu się syna. Wychowanie odebrał

imię Maryan od matki. W roku 1848 udał się na uniwersytet do Wiednia i Pragi, gdzie głównie słuchał matematyki i języków słowiańskich. Później przyjął miejsce nauczyciela domowego u jakiegoś obywatela ziemskiego, studiował potem dwa lata w Berlinie i służył wojskowo przy gwardyi artylerji w stopniu bombardjera. Podczas mobilizacyi w roku 1859 zaciągnięty znowu na czas krótki do wojska, wypełniał obowiązki oficera. Potem przyjął miejsce nauczyciela przy szkole wojskowej Mierosławskiego w Paryżu, w następnym jednak już roku udał się do Włoch, gdzie będąc adjutantem generała Milbitza, brał udział w wyprawie Garibaldiego. Po ukończeniu się tej kampanii został znowu nauczycielem nauk tyczących się artylerji przy polskiej szkole wojskowej w Cuneo. Gdy niepokoje w Królestwie Polskiem stawały się coraz groźniejsze, mieszkał częścią w Warszawie, gdzie żył w ścisłych stosunkach z kierownikami ruchu, częścią też posłował w Londynie z polecenia komitetu narodowego. Na pierwszą wiadomość o rzeczywistym wybuchu powstania pospieszył na wskazane mu stanowisko w Sandomierskiem. Polecono mu opanować wielki gościniec, prowadzący z Radomia do Krakowa, zadanie, które mu bardzo ułatwiała górzysta okolica i posiłki w ludziach i w broni, jakie otrzymywał przez bliską polską granicę.

Na południowym zachodzie oddziału, jaki się szybko około niego gromadził, oddzielony rzeczką Nidą, a więc w części województwa Krakowskiego pod zaborem moskiewskim, operował inny dosyć znaczny oddział pod dowództwem Kurowskiego, a na wschód od niego, w Lubelskiem, trzeci oddział pod Frankowskim, tak, że wszystkie trzy razem mogły opanować całe południe Królestwa, gdyby im się udało w ciągłym pozostawać związku.

Cały ten pas kraju łukiem okalało z północy pięć głównych garnizonów moskiewskich, z których część była twierdzami, mianowicie Kielce, Radom, Iwanogród, Lublin i Zamość. Plan, jaki się Moskałom narzucał sam przez się, polegał na tem, aby nie dopuścić do połączenia się trzech oddziałów powstańczych i wyprzeć je na południe, za granicę galicyjską.

Szkic ten jest koniecznym potrzebnym dla naszych czytelników w celu dokładnego zrozumienia walk następnych,

które na początku roku 1863 miały dla losów Polski znaczenie pierwszorzędne.

Powstańcy zajmowali się głównie ćwiczeniami wojskowymi i dopełnieniem uzbrojenia, przy sposobności jednak robiąc wycieczki na południe, napadali na znajdujące się jeszcze w pobliżu załogi wojskowe, opanowywali główne trakty i tory kolejowe, zabierali na komorach granicznych kasy państwowe, zawieszali na nich polskie orły i ustanawiali polskich urzędników, którzy narodowi składać musieli przysięgę wierności. Po większej części szczęście im sprzyjało. Nie wzbudzałoby ogólnego interesu, gdybyśmy opisywali wszystkie te małe wyprawy wojenne. Wspomnimy więc tylko po krótko o napadzie na graniczną stację kolejową w Sosnowcu, w pobliżu Katowic na Górnym Śląsku, ponieważ udał się znakomicie.

W kasie rządowej w Sosnowcu była znaczna suma pieniędzy. Silny oddział wojska, liczący około pięćset chłopów, strzegł tego skarbu. Dnia 7-go lutego rano obsadzili Moskale dworzec kolejowy, ponieważ nadeszła wiadomość, że naczelnik powstańców Kurowski chce napaść na Sosnowiec.

Rzeczywiście około czwartej godziny rano wpadł, dysząc z łoskotem, z błyskawiczną szybkością jadący pociąg z północy na dworzec.

Polacy z bronią w rękę, — ilu ich było, nie wiadomo na pewno, liczba ich jednak w żadnym razie nie przewyższała Moskali, — wyskoczyli z wagonów i natychmiast rzucili się na wroga. Zawrzała walka zacięta. Zdawało się przez chwilę, że powstańcy ulegną. Tymczasem urzędnicy kolejowi, Polacy, uzbroiwszy się na prędko, napadli na Moskali z tyłu. Wzięci we dwa ognie musieli coprędzej cofnąć się na stronę pruską, przyczem stracili piętnastu zabitych i około pięćdziesięciu rannych. Polacy zabrali kasę, w której znaleźli 63,000 rubli srebrnych, zatrzymali się w Sosnowcu tylko kilka godzin i znowu odjechali koleją. Moskale wrócili potem na dawne stanowisko.

Tak działo się zwykle przy wszystkich małych napadach i potyczkach. Ponieważ wypadki odgrywały się na austriackiej i pruskiej granicy, zachowanie się obydwóch mocarstw bardzo wielkie miało znaczenie.

Austria zachowywała ścisłą neutralność. Wojsko, stojące na granicy miało rozkaz, aby tak samo rozbrajało Moskali,

Polaków, gdyby przekroczyli granicę. Ujętych w niewolę, miano odstawić do ściśle oznaczonych miejscowości. Prusy wysłały na granicę ogromne masy wojska, zawarły wzmiarkowaną już konwencję i trzymały jej się ściśle.

Pułkownikowi, księciu Bagracyonowi udało się wreszcie Kielec opanować dolinę Nidy, przez co odcięto Kurowskiego od Langiewicza, który z tego powodu musiał się cofnąć dalej na południe, do Wąchocka, miasteczka położonego w górach, gdzie główny obóz założył. O dwie mile na zachód odległy Suchedniów, gdzie były wielkie kuźnie, zaopatrzył również w załogę. Tam kazał kuć kosy, ponieważ oddział jego, liczący już około 5000 chłopów, po większej części lepszej broni jeszcze nie miał.

Drugiego lutego biedne miasteczko Wąchock dziwnie wojowniczy i ruchliwy przedstawiało widok. Wyloty ulic i wsie okoliczne opatrzone strażami, a barwny tłum ludzi, tłoczących się wszędzie, sprawiał wrażenie maskarady. Wśród mnóstwa strojów górował szary, nieposyty kozuch owczy wieśniaków i małomieszczań. Uzbrojenie tych ludzi składało się poważnie z wyprostowanej kosy lub starej flinty. Na głowie nosili po większej części czapki baranie. Obuwie mieli zniszczone, gdyż większa ich część tygodniami już błąkała się po górach i lasach i odbyła wielkie marsze, byle tylko dotrzeć do oddziału Langiewicza. Tacy ludzie pieszo lub na małych, grzybiastych, chudych i obłożonych koniach stali na straży, lub też przechadzali się po ulicach miasteczka.

Była także młodzież lepiej uzbrojona i ubrana, często robiąca jeszcze wrażenie uczniów szkolnych. Znalazł się także ten i ów w mundurze. Wszyscy jednak mieli postawy śmiałe i miny pewne siebie. Szlachta, odgrywająca rolę oficerów, ubrana była po większej części fantastycznie. Na głowie nosiła zwykle konfederatkę, rogatą, czerwoną i czarnym barankiem obszytą czapkę.

Tak zwany generał Langiewicz miał swoją kwaterę w aptece, która należała do nielicznych murowanych domów w miasteczku. Nad drzwiami wisiało godło z białym orłem. Tu wrzało życie najgwarniejsze. Straż stała przed drzwiami. Na parterze urządzono odwach i pokój dla adjutantów. W dziedzińcu tam strzelców Zielińskiego, w zielonych mundurach,

Żuawi Francuza Rochebruna, ubrani podobnie, jak znani oficerowie francuzcy, wchodzili wciąż do domu i znowu wychodzili, sztyldwachy luzowano regularnie, a ulani na dzielnych koniach i z długimi lancami o chorągiewkach biało-czerwonych w pełnym galopie przywozili raporty z okolicy lub też zabierali z sobą rozkazy.

Mieszkanie dowódcy tego barwnego i dopiero organizującego się oddziału było na pierwszym piętrze. Naczelnik siedział w pokoju skromnie, lecz gustownie urządzonej. Położył mapę, studiował pilnie. Od czasu do czasu robił sobie zapiski w notatniku, leżącym obok niego.

Maryan Langiewicz — jak już powiedziano, liczący wówczas około lat trzydzieści pięć — był niskiego wzrostu i na pierwszy rzut oka nie zdradzał nic nadzwyczajnego. Na pięknej jego twarzy spoczywał wielki i poważny spokój. Czoło wyniosłe i szerokie świadczyło o zimnej prawie rozwadze. Kto go nigdy nie widział w stanie rozdrażnienia, nie byłby nigdy uwierzył, że z małych nieco i ciemnych oczu mógł rzucić błyskawice. Nie uwierzyłby także, że ten człowiek zwykle bardzo milczący, który jednak umiał wydawać do współrodaków chwytające za serca odezwy, czarował wdziękiem swego głosu i wzbudzał zapal żołnierzy w obozie. Gdy do nich przemówił, znosili trudy z ochotą i spoglądali w przyszłość okiem pełnym nadziei i otuchy. Nie mało się już biedacy nacierpieli, choć właściwa walka jeszcze się nie zaczęła. Naczelnik jednak świecił zawsze najlepszym przykładem, nie pozwalając sobie na spoczynek. Był on godnym uczniem włoskiego bohatera narodowego Garibaldiego.

Jenerał ubrany był w skromną, na piersiach szamerowaną czarną kurtkę, na którą w polu zwykle zarzucał krótki kożuszek równego koloru. Jeźdźcem był znakomitym, a gdy szedł pieszo, zaledwie było poznać, że nieco kulał. Wygląd wojskowy nadawały mu silne i trochę ryżawe wąsy, które w górę zakręcał, przez co twarz się dzieliła na dwie, równe prawie części.

Podczas gdy jenerał pracował nad wykonaniem planu operacyjnego, — tak się zdawało koniecznie — czoło jego pokryło się bruzdami a z twarzy biła troska o przyszłość i głębia zaduma. Czyż mógł zapomnieć na chwilę, jak ciężka

odpowiedzialność wziął na swoje barki. Wiedział on dobrze, jak nierówną będzie walka formującego się dopiero oddziału powstańców z regularnem wojskiem i że tę przepaść wyrównać należy własną dzielnością. Twarz jego nagle się jednak wypogodziła, a nawet rozjaśniła, gdy ktoś do drzwi zapukał i zaproszony wszedł do pokoju.

Przybyły był oficerem. Choć wygląd miał prawie chłopięcy, występował jednak z wielką pewnością siebie. Sądząc po zachowaniu się oficera i po przyjaznym uśmiechu, igrającym na ustach jenerała, przypuszczać należało, że pierwszy cieszył się zaufaniem drugiego. Do podpadająco niskiej i wątej figury oficera przylegał krótki i szamerowany mundurek z ciemnego sukna, jak ulany. Z pod szeroko odwiniętego kołnierza koszuli wyglądała biała i delikatna szyja. Na piersiach wisiał krucyfiks, sztucznie oprawiony w srebro i kość słoniową. Konfederatka zdobna w czaple pióro, zasadzona na ciemnych, długich włosach nadawała delikatnej i trochę bladej twarzy z ognistemi oczami jakiś wyraz dziwnej słodyczy i odwagi. Na wargach oficera nie było ani śladu meszku. Śmiało można się było założyć, że choć młodzieniec miał rączkę drobną, dobrze jednak umiał władać pałaszem, wiszącym przy boku, i rewolwerem, którego kolba groźnie wyglądała z po szerokiego pasa skórzanego. Taka pewność i taka odwaga biła z postaci oficera.

Zdawało się zresztą, że młody oficer spieszył się, wróciwszy gdzieś z drogi. Nie zdążył bowiem zdjąć z ramion szerokiego płaszcza z białego sukna, spiętego na prawem ramieniu trochę zalotnie piękną agrafą, ani też kazać wyczyścić długich butów, zbloconych wskutek szybkiej jazdy.

»Żałoga w Suchedniowie otrzymała pańskie rozkazy, jenerale«, raportował młodzieniec, zachowując postawę zupełnie wojskową »a komendant kazał mi donieść, że w ciągu popołudnia zauważono na drodze do Kielc niezwykle mnóstwo drobnych, moskiewskich patroli wywiadowczych, które jednak na wszelki sposób starały się uniknąć wszelkiego spotkania z naszymi. Z tego możnaby zapewne wnioskować, że żałoga Kielecka chce na nas urządzać wyprawę.«

»Spodziewałem się tego już od dwóch dni«, odpowiedział

Maryan Langiewicz z zupełnym spokojem, »przygotowaliśmy się już na przyjęcie gości.«

»A toś się spędził, poruczniku«, dodał z dziwnym uśmiechem i ręką wskazał na krzesło, stojące obok tego, z którego wstał przy wejściu młodzieńca, idąc mu naprzeciw, — »Pewnie chcesz spocząć.«

»O, panie jenerale, wciąż jeszcze nie wierzysz w moje siły i wytrwałość!« odpowiedział młodzieniec w tonie prawie smutnym.

»Co za myśl dziwaczna! Czyż nie wiem, jak się poświęcasz? Czyż nie starasz się o to poruczniku usilnie, i nie dajesz bezustannie dowodów swej dzielności, na jaką tylko stary i wypróbowany żołnierz zdobyć się może?« pytał się Langiewicz szybko i z wielką powagą, powtarzając ruch zapraszający ręką do zajęcia miejsca z taką uprzejmością, która w porównaniu jego wysokiego stanowiska z stopniem porucznika, podpadając rzuciła się w oczy.

Młodzieniec usiadł, skinąwszy głową. Lekki rumieniec skraślił mu lica. Utkwiwszy skromnie wzrok w ziemię, powiedział:

»Wiem, że mało tylko przysłużyć się mogę ojczyźnie. Co jednak w mojej jest mocy, to czynię z całego serca.«

»A imię pańskie będzie jaśniało między pierwszymi naszej epoki. Dopóki jeszcze jeden Polak pożyje, będzie je wspominał z wdzięcznością«, odpowiedział Langiewicz z głębokim przekonaniem w głosie.

Dowiedzmy się teraz, jakim sposobem dostał się naczelnikowi powstania ten adjutant, który wobec pierwszego zajmował tak niezwykle stanowisko.

Zaledwie Langiewicz przybył do Szydłowa i wydał odezwę do mieszkańców gubernii zdolnych do wojska z rozkazem, aby się około niego zgromadzili, zgłosił się do niego młody człowiek, należący widocznie do wyższego stanu. Zapytany o nazwisko, nie chciał go wymienić. Langiewicz, który wtenczas za wiele miał do czynienia i z tego powodu nie mógł z każdym ochotnikiem osobiście rozmawiać, kazał młodzieńcowi powiedzieć, aby udał się do jednego z zamianowanych już poddowódców. Ochotnik kazał jednak Langiewiczowi odpowiedzieć, że musi koniecznie widzieć się z nim samym.

Jenerał trochę skwaszony, kazał młodzieńca przywołać. Za pierwszym jednak spojrzeniem powziął sympatyę do młodego ochotnika, z którego twarzy biła wielka nieśmiałość i zapal młodzieńczy. Wzruszała go myśl, że delikatne chłopię, bez wątplenia wypieszczony synek zamożnych rodziców, zgłaszał się dobrowolnie, chcąc stanąć w szeregach obrońców ojczyzny. Nie mógł się jednak powstrzymać od lekkiego uśmiechu na widok wątłej postaci chłopczyny. Postanowił więc dziecko namówić, aby wróciło do rodziców.

W tym samym pokoju było jeszcze kilka podkomendnych, którzy zapewne tak samo myśleli, jak ich naczelnik.

»Zkąd pan przychodzi i czego pan sobie życzy odemnie?« pytał się jenerał przyjaźnie młodzieńca, widocznie spłoszonego obecnością tylu osób.

»Przyjeżdżam wpłost z Bukaresztu na Wołoszy, w zamiarze walczenia za ojczyznę«, brzmiała odpowiedź.

»Z Bukaresztu?« zawołał Langiewicz z zdumieniem i prawie z niedowierzaniem. »To droga daleka, więcej jak mil sto dwadzieścia!«

»Odbyłem ją w dziesięciu dniach, pocztą, koleją i pieszo, skoro tylko się dowiedziałem, że bracia moi chwycili za broń przeciwko Moskalom ciemieżcom.«

»Z pewnością masz pan krewnych w Bukareszcie. Czy oni zgodzili się na pańskie zamiary?«

»Nie mam żadnych krewnych, przynajmniej w Bukareszcie. Jestem zupełnie niezależny. Moskale trzymali mnie dziesięć miesięcy w więzieniu w Żytomierzu, zkąd uciekłem do Bukaresztu.«

»Jakie to wszystko dziwne«, mówił jenerał, patrząc na wyrostka badawczo, który coraz to więcej nabierał śmiałości, lecz bez podejrzliwości. »Nie chciałbyś pan wymienić mi swego nazwiska i objaśnić mnie bliżej o swoich stosunkach?«

Na te słowa młodzieniec zmieszał się nieco i spłoszył. Patrząc bojaźliwie i z ukosa na resztę obecnych, powiedział:

»Panie jenerale, czyż dobra wola nie wystarcza, abym mógł służyć pod pańską chorągwią? — Nie mam wprawdzie żadnego powodu robienia tajemnic — «

»A więc dobrze, zaufaj mi pan zupełnie, abym mógł osądzić, czy i pod jakimi warunkami mógłbym się zgodzić

na pańskie życzenia. Jestem gotów, rozmówić się z panem w cztery oczy.»

Przy tych słowach otworzył drzwi do bocznego pokoju i skinął na młodzieńca, aby poszedł za nim. Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, spojrzał Langiewicz bystro na stojącego obok towarzysza, i wskazując ręką na krzesło, powiedział z uśmiechem:

»Łaskawa pani, proszę zająć miejsce!«

Wten sposób zagadnięty młodzieniec otworzył ciemne oczy i wznosił je na generała. W spojrzeniu widniało mniej zdumienia i strachu, jak dumy i pewności siebie.

»A więc pan generał poznał, że się przebrałam?«

»Domyślam się tego.«

»W takim razie powtarzam raz jeszcze, że wszystko, co o sobie mówiłam, polega na prawdzie i że się nazywam Henryką Postowojtówną.«

»Córka generałowej?« zawołał Langiewicz zdumiony, powtarzając nazwisko. »Nieraz już słyszałem o nieszczęściu, jakie panią spotkało.«

»Nieszczęście moje skończy się«, rzekła młoda dziewczyna z jasnym błyskiem w ciemnych oczach, »jeżeli mi pozwolisz, panie generale, do twego korpusu się przyłączyć. Od najmłodszych lat pragnęłam krew własną poświęcić Ojczyźnie. Skłonności i wychowanie czynią mnie zdolną, pragnienia w czyn zamienić. Postanowienie moje dziwnem ci się wydaje, panie generale, ale rozważ tylko, gdzież mogę być bezpieczniejszą, jak w twoim, panie, obozie? Niepokonana tęsknota zmusiła mnie, wrócić do ojczyzny, z której mnie Moskale wypędzili. Z twojej strony, panie generale, byłoby to okrucieństwem, gdybyś mi odmówił schronienia, jakie tylko służąc pod bronią w wojsku narodowem znaleźć mogę.«

Generał zdawał się być zakłopotanym i zapewne dla tego tylko, aby zyskać na czasie i móżd się namyślić, co ma czynić, zapytał:

»Jakim sposobem zdołałaś pani przejść napowrót granice Królestwa?«

»Bardzo prostym«, odpowiedziała Henryka, która już zwykłą pewnością siebie najzupełniej odzyskała. »Będąc w tem przebraniu, pod którem nikt się płci mojej nie domyślał, przy-

łączyłam się w Krakowie do gromadki młodych ludzi, którzy chyłkiem przeszli granicę. Na szczęście nikt nas nie zatrzymał i wszystkim nam po kilku dość uciążliwych dziennych i nocnych marszach, w których poczciwi patryoci wspomagali nas furmankami i żywnością, udało się szczęśliwie dojść do celu i stawić pod Twoje, panie generale, rozkazy. Teraz od Ciebie zależy panie generale, czy mnie wreszcie zapewnisz, że moje trudy nie były daremne.«

»Pańska wielkoduszność wprawia mnie w zachwyt«, odpowiedział generał, całując z uszanowaniem rękę Henryki. — »Nie mam już odwagi, sprzeciwiać się pani.«

Rozmowa, jaką oboje przez dłuższy czas z sobą toczyli, naradzając się nad niezwykle stanowiskiem, jakie damę z dobrem wychowaniem czekało w obozie, skończyła się na tem, że Langiewicz wrócił z młodzieńcem znów do pierwszego pokoju, w którym oficerowie z niecierpliwością czekali na dowódcę, i że im przedstawił swego adjutanta, porucznika Postowojtow. Ponieważ jednak oboje słusznie przewidzieli, że płeć Henryki nie da się długo utrzymać w tajemnicy, sami postarali się o to, że już nazajutrz każdy w obozie znał koleje damy oraz powody, dla których przystała do powstańców.

Z początku wszyscy na nią patrzeli z wielką ciekawością. Byli i tacy, którzy patrząc na wątłą figurę odzianą w mundur wojenny, uśmiechali się złośliwie i z niedowierzaniem. W wzroku jednak Henryki tyle było powagi, że nakazywał wszystkim szacunek, którego jej nikt, przynajmniej na pozor, nie śmiał odmówić. Szczególniej generał zachowywał się wobec niej z najwyższą uprzejmością. W rozkazie dziennym ogłosił ją porucznikiem i swoim przybocznym adjutantem, nazywając ją otwarcie dziewczyną orleańską Polaków.

Czy była godną tego zaszczytu, na to nie było jeszcze dowodów. Gdy jednak w kilka dni po przyjęciu jej do korpusu, oddział Langiewicza wskutek wzmiankowanych już operacji Moskali musiał się cofnąć do Wąchocka i Suchedniowa, i gdy Henryka po raz pierwszy przy tym marszu dosiadłszy konia, dowiodła, że jeździ znakomicie i że gorąco pragnie poświęcić się dla ojczyzny, wtedy pozyskała ogólną sympatyę.

Odważna dziewczyna, którą jedynie czysty entuzjazm narodowy spowodował do zaparcia się płci swojej i do prze-

kroczenia wytkniętych nią granic, nawet u niedowiarków i do wciwnisiów wzbudziła szacunek i podziw.

W tak niedostatecznie zorganizowanej i lichu uzbrojonej gromadzie ludu, jaką był oddział Langiewicza, tylko gorąca miłość ojczyzny, posunięta aż do fanatyzmu mogła jako tako wyrównać te braki. Słusznie więc postępował dowódzca, jeżeli nie gardził żadnym środkiem, który prowadził do tego celu. Jasną jest rzeczą, że widok kobiety walczącej na czele i znoszącej trudy i niewygody wojenne bez szemrania, potężnym jest bodźcem dla mężczyzn. Dawniejsze i późniejsze wojny dostarczają wiele podobnych przykładów.

Langiewicz byłby więc sobie postąpił nierozsądnie, gdyby na życzenie panny Postowojtówny się nie zgodził. Cóżby w takim razie miała uczynić biedna dziewczyna? Musiałaby wśród wielkich niebezpieczeństw albo opuścić ojczyznę, lub też przebiec się do innego oddziału.

Wiemy więc już teraz, jakim sposobem żeński adjutant dostał się do obozu polskiego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY.

Potyczka pod Wąchockiem.

Załoga Suchedniowa słusznie przewidywała, że Moskale od strony Kielc wkrótce nadciągną. Już nazajutrz, 3-go lutego, opuściły miasto dwie kompanie piechoty i szwadron jazdy pod dowództwem pułkownika i wyruszyły przeciwko tej osadzie, mającej z powodu kuźnic i fabryk dosyć wielkie znaczenie.

W Suchedniowie nie było więcej Polaków, niż sto trzydzieści chłopów. Z powodu szczupłej liczby musieli się więc cofnąć przed przemożną siłą regularnego wojska po krótkiej obronie. Langiewicz jednak otrzymał już raport o zbliżaniu się Moskali i zabierając z sobą znaczny oddział powstańców, wyruszył z głównego obozu.

Tymczasem Moskale, pewni siebie, że stanowcze odnieśli zwycięstwo, starodawnym swoim zwyczajem pohulali sobie z bezbronnymi mieszkańcami zajętej osady i w iście barbarzyński sposób brali jeńców, łupili i palili domy, pastwiąc się okrutnie.

Naraz jednak powstańcy, przez Moskali ścigani, murem stanęli pod lasem. Liczba ich w oczach wzrastała. Z wszystkich stron wypadając, ogniem prażyli i kosami siekli struchlałego wroga. Moskale musieli się cofnąć w popłochu, zostawiając mnóstwo zabitych i rannych, a nawet jeńców na miejscu. Suchedniów musiano czemprowadzić opuścić, a wojsko zupełnie pobite, wróciło do Kielc z powrotem.

Była to pierwsza, choć nie bardzo ważna potyczka oddziału Langiewicza, która znakomicie przyczyniła się do podniesienia ducha i zapału wśród powstańców. Ze dowódzca spełni swój obowiązek, o tem nikt nie wątpił. Sprawiedliwość jednak nakazywała, także pannie Postowojtównie oddać tę po-

chwałę, że wśród walki okazała spokój i odwagę prawdziwie mężką i że wśród największego ognia nieprzyjacielskiego zimno i bez lęku roznosiła rozkazy jenerała z jednego miejsca na drugie.

Zresztą pomyślna ta potyczka była tylko wstępem do innej, ważniejszej. Tego samego bowiem dnia jeszcze otrzymał Langiewicz wiadomość, że dwie wielkie kolumny nieprzyjacielskie idą na Wąchock, jedna z Kielc, druga zaś z Radomia. Ponieważ nie znał dokładnie ich siły, postanowił zaczekać na atak w miasteczku, jako tako już zabarykadowanym.

W pobliżu Wąchocka leży kilka wiosek, a przed samem miasteczkiem wieś Mialica, przy której stanęła kompania polskich strzelców w zasadzce. Inne oddziały zajęły lasy i jary przed Wąchockiem i ulice miejskie.

Kolumny moskiewskie maszerując z północy i z zachodu połączyły się z sobą z dwóch stron i równocześnie poszły do ataku. Jakiś szwadron dragonów postąpił sobie bardzo nierozważnie, zapędzając się aż pod Mialicę. Ukryci w zasadzce strzelcy rozpoczęli bowiem ogień z broni ręcznej tak morderczy, że położyli trupem mnóstwo żołnierzy i koni, poczem dragoni w najwyższym popłochu poszli w rozsypkę.

Na ten widok wszyscy powstańcy wypadli z głośnym okrzykiem z lasów i jarów i rzucili się na moskiewską piechotę i armaty. Artylerya przypuściła Polaków blisko do siebie i przyjęła ich potem ogniem kartaczowym. Powstańcy nie mogli się ostać. Przerzedzone szeregi musiały się znowu cofnąć do lasu. Byli to prawie wyłącznie kosynierzy. Główne siły pozostały dla obrony miasta przy Langiewiczu.

Moskale utorowawszy sobie drogę, rzucili się na miasto z wielkim naporem. Pięć wiosek pobliskich, umyślnie podpalonych przez kozaków lub też przypadkiem zajętych od strażów armatnich, stało już w płomieniach. Równy los spotkał teraz miasto, którego bronili Polacy z wielką zaciekłością i odwagą iście bohaterską. Ulica po ulicy i dom po domu broniły się do ostatka. Powstancy nie opuszczali domów prędzej, dopóki płonące ponad ich głowami dachy nie groziły zawaleniem. W wielu miejscach spalili się też rzeczywiście.

Morze ognia, spowite w czarne chmury dymu przelewało się ponad całem miastem. W końcu trzy tylko domy zostały

nietknięte, kościół, apteka i mieszkanie doktora. Mieszkańcy już rano uciekli do lasów, rzadko jednak komu udało się zabrać chudobę. Stracili więc prawie wszystko, gdyż czego nie zniszczyły płomienie, wzięli z całą pewnością żołdaci moskiewscy, jeżeli tylko jaką taką przedstawiało wartość.

Kartacze i moskiewskie karabiny, — powstańcom często robiono zarzut, że strzelali grubym śrutem i innymi niezwykłymi nabojami, co się łatwo tłumaczy brakiem innej amunicji, — bagnety, pałasze i kosy straszne zniszczenie rozsiały po obydwuch stronach. Oprócz trupów było mnóstwo ciężko rannych. Przy obustronnem rozgoryczeniu rzadko tylko dawano z jednej lub drugiej strony pardon.

Sami Moskale przyznawali się później, że stracili około trzysta poległych i przechwalali się, że powstańcy mieli ich około tysiąca. Liczba ta w każdym razie jest za wysoką. Potyczka pod Wąchockiem była jednak bardzo krwawą i w historii powstania zawsze mieć będzie wielkie znaczenie.

Langiewicz kierował bitwą z wielką rozważą i z wielkim spokojem, nie obawiając się narażać osobiście na niebezpieczeństwo. Dopiero gdy doszedł do przekonania, że palącego się miasta dłużej utrzymać nie można, nakazał odwrót na drodze prowadzącej w kierunku południowo-wschodnim do miasta Opatowa. Polacy cofali się w możliwym porządku.

Henryka była nie tylko świadkiem tej krwawej rzezi, lecz brała w niej także czynny udział. Podczas tej walki dała więcej jeszcze dowodów mężkiego ducha, jak dnia poprzedniego, gdyż tym razem niebezpieczeństwo daleko było większe. Już sam widok scen okrutnych zdolnym był wstrząsnąć do głębi nawet sercem bardzo zahartowanym. Dziewczyna z pewnością nie była pozbawioną uczuć niewieścich, poddała się jednak twardej konieczności i nie okazywała po sobie wzruszenia, ponieważ wiedziała, że każdy objaw serdeczności poczytanoby jej za trwogę. Zamiaru dopięła. W gorącym ogniu i w gęstym kul gradzie nie zmrużyła nawet oka ani też nie zbladła. Za to im walka stawiała się zacieklejszą, im więcej strasznych obrazów przesuwano jej się przed oczami, tem większą zionęła zemstą do nieprzyjaciela, co zresztą u wszystkich żołnierzy wśród bitwy się zdarza. Przez jakiś czas nawet łagodniejsze uczucia w jej sercu zamarły.

W dniu tym niejednokrotnie musiała konno torować sobie drogę wśród walczących, chcąc przewieźć rozkazy jenerała. Moskalom, gdy nie jedną za nią posyłali kulkę i nie jedno pchnięcie bagnetu na nią wymierzali, z pewnością się nie śniło, że ten młodziutki oficer z błyszczącym okiem, z twarzą od prochu i dymu zczerniałą i z rewolwerem w ręce był przebraną dziewczyną.

Langiewicz podczas bitwy widocznie sam o tem zapomniał, gdyż wcale Henryki więcej nie oszczędzał, jak innych adjutantów. Dopiero gdy odwrót zupełnie był już zapewniony i gdy Moskale pościg tylko udawali, podał dziewczynie rękę i w krótkich, lecz pełnych uznania słowach wyraził jej swą wdzięczność za znakomite usługi.

Jak już powiedziano, oddział polski nie poniósł tak strasznej klęski, jak moskiewskie źródła o tem głosiły. Langiewicz cofając się po drodze, wiodącej do Opatowa, miasta około osiem mil odległego, nie trzymał jej się stale, tylko zboczył na prawo, w okolicę górzystą, poprzerynaną dzikimi jarami. Na Łysej górze, w klasztorze Świętego Krzyża, tak zwanego od kościoła, w którym przechowuje się święte relikwie, kawałki drzewa i gwoździe, rozłożył jenerał główny swój obóz.

Łysa góra, czyli polska Szwajcarya, przedstawia teren dla wojny podjazdowej bardzo odpowiedni. Góry i doliny, zasiane wielkimi skałami i lasem gęstym pokryte, zmieniają się tam bez ustanku.

O powstaniu tych skalnych rumowisk opowiadają sobie Polacy dawną legendę. Piękna księżniczka z domu królewskiego miała z szatanem zawiązać stosunek miłosny i drwić sobie z przepowiedzianego potopu. Za karę szalone burze nawiedziły okolicę i pogrzebały ją pod skałami.

Na południe od tych gór, których kończyny sięgają aż Wisły, kraj jest bardzo żyzny i gęsto zaludniony. Na krańcach tego malowniczego krajobrazu widnieją sine szczyty Tatr. Daleko na północ, aż pod sam Radom również kraj jest górzysty, a na zachód ku Kielcom sterczą dzikie pagóry porośnięte jałowcem, po których rzadkie tylko prowadzą ścieżki.

Sam klasztor leży na najwyższym szczycie. Starożytne budowle otoczone murami, ponad któremi wznoszą się wieże wysokie, nadają się do obrony. Dla zabezpieczenia wschodu,

gdzie przystęp był dosyć otwarty, opatrzył Langiewicz w załogę Słupię, miasteczko o milę na wschód położone, w nadziei nowych posiłków i w celu lepszego wyćwiczenia wojska.

Podczas gdy Kurowski z swoim oddziałem w południowo-zachodniej części gubernii Radomskiej, ten sam cel miał na oku, zbliżał się Frankowski, naczelnik powstania w Lubelskiem, coraz więcej do Wisły, chcąc z Langiewiczem utrzymać połączenie. Wypędziwszy Moskali z Sandomierza i Zawichostu, zajął oba miasta. Kilka dni później wrócił jednak nieprzyjaciół z wielką siłą zbrojną, pobił Polaków na głowę, rozbił ich w puch i odzyskał napowrót utracone miasta.

Wskutek klęski Frankowskiego mogli Moskale tem swobodniej zająć się Langiewiczem. Już 11-go lutego wyruszyła znowu kolumna moskiewska, zaopatrzona w kilka armat z Kielc przeciwko klasztorowi Świętego Krzyża. Polacy zabarykadowani bronili się, utrzymując gęsty ogień z broni ręcznej. Prażąc nieprzyjaciela z okien i z strzelnic w murze wykutych, zmusili go, pomimo że miał armaty przy sobie, po południu do odwrotu na Wąchock.

Szpiegów polskim dowódcom nie brakowało. W tak małej wojnie rzecz to bardzo ważna. Przez szpiega dowiedział się też Langiewicz, że podczas walki około klasztoru nadciągnęła bardzo silna kolumna moskiewska z Radomia do Wąchocka. Jenerał nie wątpiąc o tem, że nieprzyjaciół wzmocniony posiłkami, nazajutrz napad powtórzy, opuścił w nocy po cichu klasztor i z całym oddziałem zwrócił się ku południowi, chcąc być bliżej granicy.

Gdy Moskale przyszli pod klasztor, gniazdo było już puste, gdyż zakonnicy również się wynieśli. Ponieważ z braku łupu Moskale nie mogli zaspokoić swej chuci do grabieży, zemścili się w ten sposób, że zatoczyli działa i zburzyli stare mury.

Tymczasem bardzo już uszczuplony oddział Langiewicza wszedł w największym porządku do Staszowa, miasteczka około trzech mil odległego od granicy, które z powodu górzystego położenia doskonale nadaje się do wojskowej obrony. Gdy Langiewicz szedł przez jakie miasto, oddział jego ustawiał się zawsze na rynku lub przed kościołem, gdzie kapelan wojskowy miał przemowę i śpiewał uroczyste Tedeum.

Urządzenie takie miało swój cel praktyczny, jak wogóle wszystko, co czynił generał. W ten sposób bowiem wpadał naród w zapal. Wiele młodzieży i dzielnych mężów zgłaszało się na ochotników. Po złożeniu przysięgi i po rozdaniu broni, poświęconej przez księdza, nowe zaciągi przyłączano do oddziału.

Langiewicz rozłożył się obozem na wzgórzach pod Staszowem. Gdy go Moskale 17-go lutego dopędzili i zaczęli, ponieśli sromotną klęskę. Przysłuchajmy się teraz jego charakterystycznej proklamacyi do polskiego wojska, jak sam swój oddział nazywał, wydanej jeszcze tego samego wieczoru po bitwie.

•Towarzysze broni!

Pięćdziesięciu kozaków, szwadron dragonów, rota piechoty i rota strzelców odważyło się napaść na nasz obóz. Starym zwyczajem walcząc podstępem i okrucieństwem, zapalili ci barbarzyńcy przed rozpoczęciem walki nasze miasto, narażając tysiące rodzin, kryjących się po lasach i polach, na zmarznięcie i śmierć głodową.

Towarzysze broni! Odwaga wasza obroniła miasto i zmusiła wroga do sromotnej ucieczki. Od kilku dni dopiero władacie bronią a jednak równacie się starym i w boju osiwałym wojownikom odwagą, spokojem, karnością, poświęceniem się i strachem, jakiegoście napędzili Moskalom. Pod miastami Jednią, Szydłowcem, Bodzentynem, Suchedniowem, Baranią Górą, Wąchockiem, Świętym Krzyżem i Staszowem okryci łachmanami, zgłodniałi, zziębnięci i ciągłemi marszami, lub też biwakami wyczerpani, okryliście się, towarzysze broni, w przeciągu dni dwudziestu siedmiu nieśmiertelną chwałą.

Kraj, posiadający takich żołnierzy musi być wolnym i potężnym. Towarzysze broni! Ojczyzna i historia ludzkości o Was nie zapomną!

Staszów, dnia 17-go lutego 1863.

Maryan Langiewicz.

Langiewicz nie przesadzał, wspominając o trudach wojny żołnierzy. Wytrwałość Polaków zasługiwała rzeczywiście na tem większe uznanie, jeżeli się zważy, że przeważna część

oddziału rekrutowała się z młodzieży, pochodzącej z domów zamożnych, nieprzywykłej do niewygód i niezahartowanej na trudy obozowe wśród ostrej zimy. Wspinając się po skałach i błaząc po lasach, po długich i uciążliwych marszach nie znajdując innego pośłania, jak świętą ziemię, pokrytą mokrym śniegiem, lichy odziani i wyżywieni, wystawieni na ciągłe zaczepki nieprzyjaciela pod każdym względem przemożnego i nieznanego litości, wciąż zagrożeni kulą, bagnetem lub strykiem, ludzie ci wierni pozostali przysiędze, złożonej na krzyż i na pałasze i z całym zaufaniem szli za wodzem, którego konieczność zmuszała wciąż do owrotu.

Trzeba przyznać, że pochwała, jaką ich odznaczył, była zasłużoną i że sam na nią zasługiwał.

Jeżeli czasami, co nie często się zdarzało, nadchodziły chwile, w których całe rotę ogarniała niechęć lub znudzenie, wtedy Langiewicz za przykład stawiał Henrykę, albo też posyłał ją samą z rozkazem w tym celu, aby żołnierze patrząc na bohaterską i niestrudzoną dziewczynę, o tem pamiętali, że żadna ofiara dla ojczyzny nie może być za wielką. Takie lekarstwo zawsze okazało się skutecznym. Zwykle w takich razach zaczynało się śpiewać jaki z ukochanych hymnów narodowych. Zapalne słowa i rzewna melodia pieśni pokrzepiały zwykle zwątpione siły żołnierzy. Przy dźwięku tych pieśni, szczególnie hymnu »Boże, coś Polskę«, odprawiano nabożeństwo w obozie, z temi pieśniami rzucali się kosynierzy na rosyjskie armaty, urywane ich słowa brzmiały nawet jeszcze na ustach dogorywających rannych, pozostawionych na polu boju.

Z rannymi najgorzej się działo. Towarzysze broni nie zawsze mogli zabierać ich z sobą, a chociaż i to się udało, nie było najczęściej ani szpitali, ani lekarstw, ani lekarskiej pomocy. Wśród ostrej zimy niezaopatrzone rany stawały się przyczyną zgorzeli, wskutek czego prawie wszyscy ranni umierali. Pozostawionych na polu boju, jeżeli nie zginęli marnie, dobijali Moskale, lub też zabierali w niewolę, dręcząc na śmierć powoli. Do najszczęśliwszych zaliczali się jeszcze tacy, których kozacy po ścisłym zrabowaniu wieszali na dzewach. Dowiedziona jest rzeczą, że zdarzały się wypadki, w których władze rosyjskie nie pozwalały nawet chłopom pochować poległych.

W takich razach trupy gniły na wolnem powietrzu. W późniejszym czasie Wilno było świadkiem sroższych jeszcze okrucieństw, popełnianych na trupach.

Langiewicz, cofając się z swoim oddziałem na południe, miał widocznie zamiar połączenia się z Kurowskim, któremu dotąd szczęście dosyć sprzyjało. Wojsko Kurowskiego, liczące kilka tysięcy chłopów razem z żuawami i ułanami, stało w trzech obozach na granicy prusko-austriackiej, w Dąbrowie, Olkusz i Ojcowie. On to wykonał szczęśliwy napad na stację kolei w Sosnowcu, o czym już dawniej wspominaliśmy.

Pułkownik, książę Bagracyon, mając polecenie, aby oddziałom Kurowskiego i Langiewicza nie pozwolił się połączyć, opanował w tym celu dolinę Nidy i z wielką masą wojska wkroczył do Miechowa, miasteczka położonego kilka mil na północ od Krakowa. Ponieważ Moskale byli tak blisko, musiał Kurowski wszystkie swe siły zgromadzić w Ojcowie, uroczej i zamożnej osadzie górskiej, o dwie mile odległej od Miechowa.

Przeciwko załodze polskiej w Ojcowie wysłał książę Bagracyon dwie silne kolumny, mające osaczyć Polaków. Gdy Kurowski dowiedział się o tem dosyć wcześnie, porozumiał się z Langiewiczem w Staszowie i doniósł mu o swoich planach. Postanowił uprzedzić Moskale, zniszczyć pozostawioną załogę w Miechowie, przejść przez Nidę i połączyć się z Langiewiczem.

Plan był znakomity i byłby się udał z pewnością, gdyby załoga w Miechowie mniej była silną i czujną.

Dnia 16-go lutego opuścili Polacy w sile trzech tysięcy chłopów w trzech oddziałach obóz pod Ojcowem. Jeden z tych oddziałów natrafił na Moskale i poszedł w rozsypkę. Dwa drugie oddziały pod dowództwem samego Kurowskiego, składające się z trzystu jeźdźców, czterystu Żuawów i tysiąca pięć set kosynierów, zrobiły w nocy marsz forsowny na miasteczko, nadkładając sześć mil drogi i nazajutrz rano stanęły przed Miechovem.

Przeważna część mieszkańców opuściła miasto. Załoga w niem stojąca wynosiła osiemset strzelców i trzysta kozaków. Dość wcześnie zaalarmowani zajęli domy, rynek i klasztor poblizki.

Z wielką brawurą szli Polacy naprzód. Kilka razy rze-

czywiście dotarli aż na rynek, zawsze jednak z wielkimi stratami musieli się cofnąć, prażeni gęstym ogniem z klasztoru. Po trzygodzinnej zaciętej walce Polacy zaprzestali bitwy, mając dwustu zabitych i wielu rannych i ujętych w niewolę. Poza miastem kozacy napadli na nich z boku i rozproszyli zupełnie. Jedna część uciekała do granicy, druga cofała się w kierunku wschodnim, chcąc się połączyć z Langiewiczem. Co się stało z samym Kurowskim, z początku nikt nie wiedział. Mówiono, że się z rozpaczry zastrzelił.

Tymczasem przyszedł książę Bagracyon do Ojcowia. Gdy w nim powstańców nie zastał, rozkazał żołnierzom mieszkańców i pozostałych rannych wymordować, osadę zaś spalić.

Takim sposobem z trzech oddziałów, jakie się na południu Królestwa zebrały, pozostał tylko jeden pod wodzą Langiewicza. Ku niemu też skierowały się oczy wszystkich Polaków z trwogą o przyszłość.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY.

Przestępstwo oficera.

Ignacy Gurowski nie miał najmniejszego pojęcia o tem, co dnia 24-go stycznia wieczorem zaszło w gabinecie Wielkiego Księcia, ani o tem, jaką instrukcyę wydał tenże pułkownikowi kapitana w czasie parady.

Pułkownik nie zdradził ani słówkiem przed nikim rozmowy z Księciem, wiedział bowiem doskonale, że najłżejsza przestroga, udzielona Gurowskiemu, uniemożliwiłaby ścisłą nad nim kontrolę. Wreszcie polecenie, dane mu przez Wielkiego Księcia, nasuwało sposobność otrzymania sówitej nagrody w razie pomyślnego wywiązania się z zadania. Ułożył więc za pomocą rosyjskich oficerów i podoficerów cały system szpiegostwa, i to nie tylko przeciw Ignacemu, ale także przeciwko jego przyjacielowi, porucznikowi Kralowskiemu. Szczęściem, że tak Ignacy, jak przyjaciel jego Stefan, wiedzieli doskonale, że każdy krok, zdradzający ich udział w powstaniu, narażał ich na największe niebezpieczeństwo. Dowodem, że mieli słuszność, były następujące wypadki:

Dnia 5-go lutego rosyjscy oficerowie Frankowicz, Grekowski, podchorąży Gregowski i Udinowski, wszyscy rodzeni Polacy, którzy przeszli do powstańców, zostali rozstrzelani w warszawskiej cytadeli. Wszyscy ci młodzi ludzie byli osobistymi przyjaciółmi Ignacego i Stefana, a służba wojskowa zmusiła tych ostatnich być świadkami spełnionego wyroku. W Piotrkowie także rosyjski oficer wraz z kilku Polakami, pomiędzy którymi znajdował się jeden ksiądz, zostali rozstrzelani.

Wyliczyć wszystkie w Królestwie Polskiem wyroki wojenne-sądowe, wykonywane kulą i stryczkami, byłoby niepodod-

bięństwem, gdyż zachodziły całemi masami tak w rozmaitych większych miastach, jako i fortecach. Wspomnimy tylko jeszcze o straceniu Kazimierza Wolskiego, który z Włoch przybył, spiesząc ojczyźnie na pomoc i o rosyjskim oficerze Markiewiczzu, straconym w Modlinie, ponieważ obydwa cieszyli się wśród swoich rodaków ogólnym szacunkiem i miłością.

Było to dnia 27-go stycznia, kiedy Ignacy, otulony płaszczem, szedł z cytadeli do miasta, gdzie w jakimś lokalu miał się spotkać z kilkoma przyjaciółmi.

Gdy się znajdował na wielkim, wolnym placu w północnej części miasta, zdawało mu się, że jakaś kobieta w ubogim, mieszczańskim stroju śledzi go, postępując za nim krok w krok. Do rozpoznania jakby już kiedyś widzianej twarzy przeszkadzały mu tak zapadły już mrok, jak i wielka chustka, w którą sobie owa kobieta głowę owinęła. Kiedy minawszy plac wchodził na uliczkę, wiodącą do staromiejskiego rynku, zauważył znowu tę samą kobietę, która zbliżyła się nagle do niego i cichuteńko w polskim języku, ale z mocno żydowskim akcentem prosiła go o datek. Ignacy stanął i mechanicznie sięgnął po pieniądze, gdyż bił się z myślami, gdzie i kiedy głos ten już słyszał.

Gdy już woreczek z pieniędzmi wyciągnął, zatrzymała mu nagle kobieta rękę i rzekła szeptem:

»Prawda, że się nie mylę? Pan jesteś tym oficerem, który w czasie nocnej branki rekrutów aresztował żyda Mojzesza Lipmanna?»

»Kto jesteś, kobieto?« zapytał, niemile bardzo tem przypomnieniem zdziwiony, gdyż bał się nieprzyjemnych następstw tego zdarzenia.

»Jestem Sara Lipmann, wielmożny panie, małżonka przez Ciebie uratowanego męża«, szepiała kobieta, całując pokornie zwyczajem polskim, koniec płaszcza kapitana. »Dziękuję Ci, dzięki tysiącne za łaskę, memu mężowi wyświadczoną.«

»Dobrze, już dobrze moja kobieto«, odpowiedział Ignacy, chcąc się jak najprędzej uwolnić od żydówki. »To niebezpiecznie takie rzeczy opowiadać na ulicy. Tu macie mały datek i idźcie swoją drogą.«

»O nie panie, ja nie potrzebuję pieniędzy. Ja tylko szukałam pozoru, aby z Wami mówić i upewnić się, że pan jeste-

wybawcą naszym, co mu Bóg niech nagrodzi. Ponieważ wiedziałam, iż pan mieszka w cytadeli, oczekiwałam pana na placu. »Ale czegoż chcecie odemnie kobieto?« przerwał Ignacy zniecierpliwiony. »Jeżeli odemnie chcecie się dowiedzieć, gdzie się wasz mąż znajduje, to zapewniam Was, że nie mam o tem najmniejszego pojęcia.«

»Nie wielmożny panie, ja wiem, że mój mąż bezpieczny i że znajduje się w okolicy Piotrkowa. Panu jednak muszę zrobić wyznanie, które kamieniem ciąży na mojem sumieniu, i gdybym Cię panie wcześniej była znalazła, byłabym już dawno opuściła Warszawę, aby się z mężem połączyć. To wyznanie jest niesłychanie ważne, panie oficerze.«

Kobieta błagała tak natarczywie, a drżenie jej głosu zdradzało takie wzruszenie, że Ignacy czuł się zaniepokojonym. Czyżba ta kobieta chciała go w sidła zawikłać, i w jakie? Czy też rzeczywiście przejętą była taką wdzięcznością, że chciała mu jakąś wielką przysługę wyświadczyć? Niezdecydowany namyslał się, co ma zrobić.

»Błagam Cię, panie, chodź ze mną w cienie tych drzew«, mówiła kobieta, wskazując na aleję, oddaloną od nich o kilka kroków. Tam nikt nas nie podsłucha, a przyrzekam panu, że go długo nie zatrzymam. Nie miałabym ani chwili spokoju, gdybym pana nie ostrzegła.«

»Niech i tak będzie!« pomyślał Ignacy. Ta kobieta byłaby potworem, gdyby właśnie mnie zdradzić miała. Prawda jednak z oczu jej patrzy. Wreszcie jestem uzbrojony.«

Położył mimowolnie rękę na szabli i poszedł za żydówką na oznaczone miejsce.

Ku najwyższemu zdumieniu Ignacego, kobieta padła mu do nóg, a objawszy jego kolana, zaczęła wśród kurczowego łkania opowiadać:

»Przebac mi, panie, ale boję się, że za Twoje dobrodziejstwo naraziłam Cię na wielkie niebezpieczeństwo. Bóg mi jednak świadkiem, że nie miałam złych zamiarów i że źle sobie postąpiłam tylko dla tego, ponieważ byłam w stanie prawie zupełnego obłądu.«

»Nic was nie rozumiem, kobieto«, odrzekł Ignacy, stając się nad sobą zapanować, gdyż łzy i narzekania żydówki przerażały go. »Jeżeli się nie uspokoicie i nie uwierzicie

szybko Waszej tajemnicy, to łatwo bardzo może nam ktoś przeszkodzić, a kto wie, czy drugi raz znajdzie się sposobność do podobnej rozmowy.«

»To prawda, ale wpierv przyrzecz mi pan, że przebacysz mi czyn, który popełniłam z rozpacz, myśląc, że straciłam męża.«

»Przyrzekłem wam przecież wówczas, że go uwolnię.«

»Przebac mi, panie, ten brak zaufania! Gdy Mojżesz z braskiem dnia nie wrócił do domu, byłam przekonana, żeś mnie pan zawiódł, spełniwszy swój okrutny obowiązek.«

»Nie damę nigdy przyrzeczenia, jeżeli go spełnić nie jestem w stanie«, odpowiedział Ignacy z godnością.

»Zobaczysz, do jakiego nierozważnego kroku popchnęły mnie ból i rozpacz.«

»Kiedy już jasny dzień nastał, wypadłam na ulicę, rwiąc sobie włosy, w bezładnych słowach wywodziłam skargi o to, co się w nocy stało.«

»Hm«, odrzekł Ignacy, »było to w każdym razie niedorzecznością z Waszej strony, choć boleść Waszą pojmuję. No, ale nazwiska mego zdradzić nie mogliście. Ludzie więc równie jak Wy mogli sądzić, że Waszego męża do cytadeli odstawić kazałem.«

»Tak też było. Ale ja popełniłam coś jeszcze gorszego. O strasznych skutkach mego czynu dowiedziałam się właśnie.«

»Cóż takiego?« pytał Ignacy niespokojnie.

»Rosyjski ksiądz, przed którego domem w oblakaniu biegłam, zauważył mnie, kazał do siebie zawołać i — «

»Znacie nazwisko tego popa?«

»Później dowiedziałam się o niem. Nazywa się ojciec Anastazy.«

»Nieszczęsna! coś uczyniła?« zawołał Ignacy przerażony, podnosząc gwałtownie kobietę, która dotąd jeszcze u nóg jego klęczała. »Czy wiesz, że ten zły człowiek jest może największym moim nieprzyjacielem na kuli ziemskiej?«

»Boże ojców naszych! Musi to być prawdą, gdyż względem mnie tylko nie byłby sobie tak ohydnie postąpił.«

»Mów prędko! Co on uczynił? co się dalej stało?«

Łkajac na nowo i błagając wciąż o przebaczenie, opo-

wiała Sara Lipmann wszystko, co o donosie popa u Wielkiego Księcia wiedzano.

W więzieniu policyjnym starano się za pomocą strasznych grób i haniebnego traktowania zmusić ją do wyjawienia bliższych okoliczności i do zdradzenia nazwiska oficera. Ona jednak poznaawszy już, jakie nieszczęście sprowadził jej język, uparcie milczała.

Nagle oznajmiono jej dnia 25-go stycznia w sposób jak najgrzeczniejszy, że jest wolną, i że jej wydadzą paszport, dokąd tylko ~~zechce~~. Paszport ten ~~kazała sobie~~ wystawić do Piotrkowa.

Było to prawdziwą zagadką, którą napróżno tak Sara Lipmann, jak Ignacy starali się rozwiązać, kto się nimi obojgiem zajął. W każdym razie musiała to być osobistość nadzwyczaj wpływowa. Czy się wogóle dowiedziano nazwiska oficera, który o swoim zapomniał obowiązku? — Wypośrodkować tego, nie było przecież rzeczą trudną. — A może umyślnie całą tę sprawę przytłumiono?

Widział teraz jasno kapitan Gurowski, na jakie niebezpieczeństwo naraziła go jego litość i gadulstwo żydówki. Jakkolwiek czuł się bardzo zaniepokojonym, nie pozostawało mu nic innego, jak spokojnie odczekać przyszłości. Na wszelki jednak przypadek postanowił zwierzyć się swemu przyjacielowi.

W krótkich słowach powiedział żydówce, co myślał. Zapewnił ją dalej, że jej wszystko przebacza i radził, aby jak najprędzej opuściła miasto, choćby tylko dla tego, żeby nie być zmuszona ~~świadczyć~~ przeciwko niemu. Następnie pożegnał kobietę i prędko udał się do miasta, gdzie miał nadzieję spotkać Kralowskiego i w sprawę go wtajemniczyć.

Po drodze przyszła mu myśl do głowy, czyby nie odzyskać popa i zmusić do dania pewnych w tej sprawie wyjaśnień. Wkrótce jednak plan ten porzucił, ponieważ złe mógł za sobą pociągnąć następstwa. Ojciec Anastazy uchodził bowiem za człowieka, na którego groźby nie wiele miały wpływu.

Stefan, którego Ignacy rzeczywiście w godzinę później spotkał, nie mógł mu także wyjaśnić tajemnicy, dla czego żydówkę nagle z więzienia uwolniono i ~~zaniechano wszelkich~~ względem Gurowskiego dochodzeń.

Obydwaj przyjaciele obawiali się, czy za tem wszystkim

nie kryje się pop Anastazy, który mając w ręku niebezpieczną broń przeciw Ignacemu, mógł go tym sposobem odstraszyć od wytoczenia niemiłego bardzo procesu. W takim razie żydówka musiałaby należeć do spisku. Wierzyć się jednak nie chciało, żeby była zdolną do zdrady wobec dobroczyńcy. Taka szczerą prawdą z oczu jej tryskała.

Po namyśle Stefan również doszedł do tego przekonania, że chwilowo przeciwko księdzu nic przedsięwziąć nie było można.

Ze podobne okoliczności obrzydzały Ignacemu służbę wojskową, dziwić się nie można. Obaj przyjaciele z natężoną uwagą śledzili swych przełożonych, chcąc się przekonać, czy w ich postępowaniu nie zajdzie jaka zmiana. Żadnego jednak śladu nieufności wykryć nie zdołali.

Tak upłynął prawie cały miesiąc: Ignacy i Stefan, podobnie jak wielu innych równie myślących ludzi, z bólem serca śledzili przebieg powstania, w którym krew polska lała się strumieniami bez widocznego skutku. Obydwaj obawiali się także, aby nie byli zmuszeni walczyć przeciwko własnym współbraciom. Z tego to powodu Ignacy wyraził życzenie, na którego spełnienie nie bardzo mógł liczyć, aby pułk jego wysłano z powrotem w głąb Rosyi.

Nagle w drugiej połowie lutego przyszedł rozkaz, że właśnie ten sam pułk miał wyruszyć koleją żelazną na północny zachód Królestwa, gdzie powstanie przybrało na nowo groźny charakter.

Tam bowiem ukazał się znany oddawna, ale nie mający szczęścia w swoich wyprawach rewolucjonista, Ludwik Mierosławski i objął w gubernii Płockiej naczelne dowództwo.

Dnia 17-go lutego, pomiędzy Toruniem a Strzelnem przeszedł podobno granicę pruską, zdziwił się jednak strasznie, znalazłszy na oznaczonym miejscu zaledwie trzysta złe uzbrojonych ludzi. — Jak Mierosławski opowiadał, zapewniano go w Paryżu, iż dziesięć tysięcy ludzi oczekuje w Polsce jego przybycia. «Skoro jednak tu przybyłem», oświadczył, «obejmuję dowództwo choćby nad tą garstką, ale w szczęśliwą przyszłość nie wierzę.»

I nie mylił się, gdyż już w pięć dni później po dwugodzinnej walce w pobliżu pruskiej granicy, został ~~on~~ maly

oddział kompletnie zniesiony, przyczem padło więcej jak sto ludzi. Zresztą urządził się Mierosławski podobnie jak Garibaldi często w swoich włoskich wyprawach. Kazał bowiem żołnierzom rozproszyć się i nazajutrz zebrać się znowu pod Nową-
wsią nad jeziorem Gopiem. Za znak, pod którym miano się poznać, służyła karta, na której po jednej stronie umieszczoną była pieczęć, (krzyż i podkowa) a po drugiej wypisana dewiza: »Pomagaj i walcz za Ojczyznę!«

W tym czasie pułk Ignacego przybył do Kutna. Z tego tylko jeden batalion, w którym jednak nie znajdował się Stefan, został natychmiast wysłany koleją do Włocławka, gdyż w tej stronie właśnie chciano powstańcom zadać cios śmiertelny. Gurowski z tym oddziałem pójść musiał.

Przyjaciele rozstawali się z sobą ze łzami w oczach. Jakkolwiek ból swój ukrywali przed ludźmi i nawet nie mówili z sobą o nim, czuli jednak, że nad ich losem nieszczęście zawisło. Już po drodze z Warszawy do Kutna przedstawiały się ich oczom straszne obrazy zniszczenia wskutek okrucieństw Moskali. Widziano wszędzie popalone chaty i wsie całe; z pojmanymi powstańcami, których przeważna część była ranna, obchodzono się po łajdacku. Jeden z rosyjskich generałów posunął się nawet tak daleko, że na głowę każdego z powstańców naznaczył cenę pięciu rubli.

Posłuszny rozkazowi Mierosławskiego, zgromadził się znowu rozproszony oddział dnia 23-go na oznaczonym miejscu i połączył się z oddziałem dowódcy Mielęckiego. Moskale mieli o tych ruchach dokładne wiadomości. Ze wszystkich stron więc otoczyli powstańców, którzy nagle zaskoczeni, nie myśleli nawet o poważnej obronie, tylko rzucili się do ucieczki przez jedyną, wolną jeszcze drogę, w stronę jeziora Gopla, na którym promy i łodzie stały w pogotowiu. Polacy liczyli na to, że w razie potrzeby uda im się schronić na terytorium pruskie, leżące na drugim brzegu jeziora. Próżne nadzieje, ponieważ Prusacy nie wahali się ani chwili, wydawać nie szczęśliwych naszych braci Moskałom.

Zaczęła się więc istna naganka. Polacy, po większej części pruscy poddani, którzy po kryjomu przeszli granicę, uciekali jak spłoszona zwierzyna. Piechota po większej części dopadła do łodzi, na których chwilowe znalazła schronienie.

Jeźdźcy zaś częścią uciekali wzdłuż brzegu jeziora, częścią starali się je przepłynąć, przyczem wielu utonęło.

Nad pochwytanymi pastwiła się rosyjska piechota i koczactwo bez litości. Kluto bagnetem, kolbami rozbijano czaszki, nie zważając na najgorętsze prośby i błagania nieszczęśliwych, którzy ze strachu broń odrzucali. A byli to po większej części gimnazyści i synowie obywateli ziemskich, którym, gdy szli na wojnę, bądź to z patryotyzmu, bądź to z chęci użycia przygód niezwykłych, ani się nie śniło, że zginą tak wcześnie i marnie, którzy nawet nie mieli należytego pojęcia, co to wojna znaczy. Trzeba było widzieć własnymi oczami te twarze młode, prawie jeszcze dziecięce, ze strachu przed śmiercią wykrzywione i blade. Widok tych biednych dzieci najmniej nawet tklivym sercom byłby przywołał na pamięć nieszczęśliwe matki. Inne one pieśni swym synom nad kołyską śpiewały. Czyż mogły się kiedy spodziewać, że ich jedyne pociechy padną ofiarą dzikiego żołdactwa i że ich trupy nie pogrzebane śnieżny całun pokryje? Może w tej samej chwili, gdy rozbastwione katy krwawą rzeź wyprawiały, modliły się biedne matki gorąco do Pana Boga, aby im wrócił synów i przywiódł ich znowu na łono rodziny. Takie myśli byłyby do głębi wzruszyły każdego człowieka. Ale serca rosyjskiego żołdactwa nie znały litości. Z piekielnym śmiechem drwili sobie ze strachu śmiertelnego i gorących prośb nieszczęśliwych. Jak podle zbóje zatapiali zimne żelazo w gorące serca chłopców, leżących im pod nogami.

W tej utarczce, w której Moskale nieskończenie mniej stracili ludzi, jak powstańcy, brała także udział kompania kapitana Gurowskiego. Nie ulega wątpliwości, że przełożony Ignacego, który bitwą kierował, z całym rozmysłem wyznaczył mu taki posterunek, że nieprzyjacielskie starcie się z powstańcami było nieuniknione.

Tak więc stanął Ignacy po raz pierwszy w otwartym polu przeciw braciom swoim. Przyznać trzeba, iż rzeczywistość stokroć była gorszą, niż ją sobie nasz kapitan wyobrażał. Sam własną swoją osobą miał przyczynić się do tego, aby nieszczęśliwych, którzy z rozpaczą walczyli o swoje prawa najświętsze, osaczono i aby żaden z nich uciec nie zdołał. Potem miał być ich katem.

Wielka burza uczuc szalała mu w piersiach, a najdziksze myśli wirowały mu w głowie.

Czyby nie udać chorego i tym sposobem uchylić się od okrutnego obowiązku służby? Ale taki postępek wykazywałby jasno, że Gurowski nie chciał walczyć przeciwko współbraciom. O jakże sobie życzył w tej chwili, aby kula polska trafiła go i uczyniła niezdolnym do walki. — Przyszła mu nawet przez chwilę rozpaczliwa myśl do głowy, aby wyrwać żołnierzowi muszkiet i skierować go przeciwko samemu sobie.

Lecz w tej chwili właśnie dano sygnał zaczepny, a krwawe, okrutne sceny, o których już mówiliśmy, następowały tak szybko jedna po drugiej, że nie było czasu myśli nawet zebrać.

Ignacy wydawał rozkazy mechanicznie, widział przy tem, że naczelnik, który siedząc na koniu znajdował się w pobliżu, pilną na niego zwracał uwagę. Poznał teraz Gurowski, że ten człowiek mu nie dowierza i umyślnie wystawia go na próbę. Błysła mu nawet myśl, czy to wszystko nie stoi w związku z ucieczką żyda, Mojżesza Lipmanna.

Zanadto dobrze znał Ignacy prawa wojskowe, aby nie wiedzieć, że każde wykroczenie przeciw otrzymanemu rozkazowi, sprowadzało na niego śmierć lub cięższą jeszcze do zniesienia karę. Zrozpaczony przeklinał w duszy los, który go uczynił ślepem narzędziem despotyzmu i machinalnie czynił, co mu było nakazanem.

Po pierwszym jednak strzale, wymierzonym na Polaków przez jednego z żołnierzy, serce mu się kurczowo ścisnęło, zbladł jak trup i odtąd działał już tylko jak we śnie, poddając się zupełnie bezmyślnie rozpacz.

Żołnierze Gurowskiego byli prawie bez wyjątku rodowitymi Moskalami i zaciętymi nieprzyjaciołmi Polaków, swego jednak kapitana kochali, gdyż obchodził się z nimi przyjaźniej i więcej po ludzku, niż inni oficerowie z swoimi poddanymi. A wreszcie walczyli już dawniej pod jego dowództwem i podziwiali jego przeczność, stanowczość i osobistą odwagę. Z biegiem czasu zapomnieli prawie o tem, że Gurowski był Polakiem.

Dziś jednak nie poznawali swego kapitana. Ociągał się z wydawaniem rozkazów i wstrzymywał ich w zapędzie, choć każdy z nich ograniczonym swoim rozumem pojmował, że na-

deszła stosowna chwila rzucenia się na znienawidzonych powstańców. Wydawało się, że obawia się o zdrowie i życie żołnierzy, sam bowiem wystawiał się umyślnie na największe niebezpieczeństwo, czego doświadczony dowódzca czynić nie powinien.

Pułkownik kilka razy przysyłał swego adjutanta z napomnieniem, aby kapitan szybciej posuwał się naprzód.

Potem nastąpiła ucieczka powstańców i straszna rzeź nad brzegiem jeziora.

Moskale widząc, że kilku z nich padło zabitych i rannych, wstrzymać się więcej nie dali. Ignacego porwał wir ogólny. Patrzył na sceny dzikich mordów, a strzały i wycie żołdactwa ogłuszyły go prawie. Byłby w tej chwili skierował najchętniej broń przeciwko tym, którzy podobny do jego nosili mundur.

Ale przysięga? A następstwa tego nierozważnego kroku, któryby nawet jego współrodakom nie przyniósł żadnej korzyści?

Jakiś człowiek półmundurowany starał się mały oddział jeźdźców, rozproszonych przez kozaków na nowo zebrać i do walki poprowadzić, aby tym sposobem zakryć odwrót reszty swoich ziomków. Nawet nieprzyjacieli przyznać musiał, że człowiek ten okazał się bohaterem, gdyż siedząc na doskonałym koniu, mógł dawno już wycofać się z niebezpieczeństwa.

Ignacy z najwyższem zajęciem obserwował owego człowieka.

Dzielny powstaniec zebrał około dwudziestu najodważniejszych jeźdźców i rzucił się z nimi na kozaków i rosyjską piechotę.

Moskale zachwiali się, ale żołnierze z kompanii Ignacego otoczyli pierścieniem atakujących i nie czekając rozkazu dowódcy, dali ognia.

Bohaterzy częścią padli od strzałów, częścią poszli w rozsypek.

Nawet ich dowódzca spadł z konia. Zdawało się jednak, że nie był raniony, gdyż usiłował wydostać się z pod przyniatającego go konia. Zanim jednak zdołał się wyswobodzić, już kilku żołnierzy moskiewskich z bagnetami było przy nim.

Polak nie żądał pardonu a Moskale nie znali litości.

Teraz przyskoczył także Ignacy i mógł się dobrze bohaterowi przypatrzeć. Był to piękny, po wojskowemu wygła-

dający człowiek, lat około czterdziestu. Pomimo że leżał na ziemi a krew sączyła mu z rany na głowie, bronił się jeszcze szablą jak szalenciec.

Gurowski, nie zdając sobie sprawy z tego co czyni a ulegając jakby natchnieniu, rozkazującym głosem odwołał żołnierzy od nieszczęśliwej ofiary. Moskale stanęli jak wryci i niepewni, czy słuchać tak niespodziewanego rozkazu. Karność wojskowa jednak zwyciężyła.

Ten moment wystarczył Polakowi, aby się z pod konia wydostać i powstać na nogi.

»Dzięki kapitanie! Nie zapomnę nigdy Twej wspaniałości. Może się jeszcze kiedy spotkamy!« zawołał do Ignacego po polsku. Po tych słowach rzucił się Polak z spadzistego brzegu w fale jeziora Gopła.

Na chwilę zmartwieli Moskale na widok tej błyskawicznie prędko rozgrywającej się sceny. Gdy jednak poznali, że powstaniec jest znakomitym pływakiem i że z pewnością uda mu się dopłynąć do drugiego brzegu, zaczęli zemstę swoją dziękami objawiać wykrzykami, a niekórzy nawet wymierzili broń na uciekającego.

»Stój! Nie strzelać do tego walecznego męża!« zawołał kapitan, wytrącając szablą muszkiet z ręki żołnierza.

»Nie wstydzicie się strzelać do bezbronnego?«

Ignacy nie zastanowił się nad skutkami swego czynu, które niestety aż nadto prędko dały mu się uczuć.

Chciało nieszczęście, iż całe to zajście nie uszło uwagi pułownika. Zaczerwieniony z gniewu przyskoczył do Ignacego.

»Co się tu stało?« wrzasnął na bledniejącego oficera.

»Czemu tego psa nie pozwoliłeś pan zastrzelić?«

Zanim Ignacy zdołał odpowiedzieć, wydał pułownik rozkaz żołnierzom, aby kilka kul za uciekającym posłali.

Ci naturalnie spełnili gorliwie rozkaz, posyłając kilka strzałów za niedaleko jeszcze znajdującym się pływakiem. Ten jednak zniknął pod wodą i długą chwilę nie było go widać.

Pułownik tymczasem zwrócił się znowu do Ignacego i podniesionym głosem zapytał:

»Odpowiedz mi pan, dla czego obroniłeś człowieka, który na litosć pod żadnym nie zasługiwał względem? Cy pan z nim coś łączy? Czy znasz go pan?«

Daję słowo panu pułownikowi, że człowiek ów jest mi zupełnie nieznany«, odpowiedział Ignacy, jak tylko mógł najspokojniej. — »Uszanowałem tylko odwagę tego człowieka i pod wpływem tego uczucia działałem, nie zastanawiając się bliżej nad tem, co robię.«

Z rozniewanego stał się pułownik szyderczym.

»A więc masz pan wiele współczucia, panie Gurowski, dla tych przek.... powstańców«, mówił dalej. »Może to już nie pierwszy raz okazujesz im pan współczucie? Zdaje mi się, że wogóle podczas tej utarczki nie postępowałeś pan dość energicznie, jak panu obowiązek nakazywał.«

»Temu nie mogę rzeczywiście zaprzeczyć«, odpowiedział Gurowski z pewnym odcieniem zaciętości.

»Oho! Odpowiesz pan za te słowa, jak wogóle za całe swoje dzisiejsze postępowanie«, mówił pułownik zgrzytając zębami. »Z wysokiego miejsca polecono mi, baczna na pana zwracać uwagę. Teraz rozumiem to polecenie. Jesteś aresztowany, kapitanie Gurowski i proszę szablę swoją oddać memu adjutantowi.«

Ignacy strasznie był wzburzony. Rzucił wzrokiem na głębie jeziora, jakby miał ochotę iść za przykładem owego Polaka, którego kule jednak nie trafiły. Ale pułownik odgadłszy myśl Gurowskiego, skinął na adjutanta, który, zeskocząwszy z konia, uchwycił kapitana za rękę. Żołnierze otoczyli go kołem i zdawali się być gotowymi do spełnienia każdego rozkazu. Wszelki opór pogorszyłby tylko położenie, dla tego też Ignacy spokojnie oddał szablę. Ta poniżająca wobec podległych mu żołnierzy scena, jak również przeswiadczenie, iż czeka go długie śledztwo i surowa kara, podziałały na niego tak przygnębiająco, że nie był w stanie ani słówka przemówić. Szedł więc apatycznie za adjutantem, który go na rozkaz pułownika prowadził do głównego sztabu.

Oficerowie i żołnierze, około których przechodzono, patrzyli zdumieni i wzrokiem pytali, co się stało. Adjutant odpowiadał im wzruszeniem ramion, dającem wiele do myślenia.

Po drodze słyszał Ignacy, jak mu w twarz rzucano wyrazy: »to Polak, to zdrajca!« Na te słowa dumnie wznosił głowę i mówił:

»Tak, jestem Polakiem, ale nie zdrajcą. Przysięgi nie zламаłem, postąpiłem tylko, jak mi sumienie i ludzkość nakazywały.«

Będąc już aresztowanym, towarzyszył wojsku w powrocie do Włocławka. Ztąd odesłał go pułkownik pod silną straż do Kutna, przedstawiając naturalnie sprawę w bardzo czarnych kolorach. W Kutnie miał Ignacy tak długo pozostać w więzieniu, ażby go książę nie stawiał w Warszawie lub gdzieindziej przed sąd wojenny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY.

U Wielkiego Księcia i na zgromadzeniu tajnego rządu narodowego.

Dnia 3-go marca wieczorem jaśniały okna królewskiego pałacu w Warszawie, rzucając snopy światła na plac Zygmuntowski.

W środku tego placu wznosi się wśród strumieni wodotrysku wysoka kolumna z statuą króla polskiego Zygmunta III, którego rzeźbiarz z mieczem i krzyżem w ręku przedstawił.

W tym zamku mieszkał w owe czasy Wielki Książę — Namiestnik.

Dla czegoż to wtedy, gdy cały kraj polski okryty był smutkiem i żałobą, w komnatach zamku świetne wyprawiano festyny? — Było to przyjęcie urzędowe. Wiedziało o tem całe miasto.

Była to rocznica wstąpienia na tron Aleksandra II-go, który objął tron po Mikołaju, zmarłym dnia 2-go marca 1856 r. Dzień taki musiał być w całym państwie uroczystością obywatelską. W pierwszych latach uczestniczyli Polacy w tych uroczystościach, gdy od nowego rządu spodziewano się więcej sprawiedliwości. Tym razem jednak władze miejskie, nawet członkowie Rady Państwa uchylili się od obowiązku składania życzeń bratu cesarstwu, jako przedstawicielowi rządu. Miasto pogrążone było w posępnem milczeniu, zamek tylko jaśniał światłem, a błyszczące karety zwoziły zaproszonych gości. Między nimi nie było jednak takich, których lud nazywał Polakami i synami ojczyzny. Ci bowiem pod rozmaitemi pozorami, zdradzającymi jednak rzeczywistą przyczynę, zaproszeń nie przyjęli.

Ten festyn jedno jeszcze miał znaczenie. W tym samym

iniu Wielki Książę zamianowanym został głównodowodzącym wojskami w Królestwie, do których dołączono oddział gwardji litewskiej. Tym to połączonym wojskom car rozkazał i pompatycznie światu obwieścił, aby w przeciągu dni dziesięciu powstanie w Królestwie stłumił.

W kraju tymczasem wcale spokojnie nie wyglądało. Mięrosławski wojował jeszcze, choć nieszczęśliwie, w okolicach Kalisza i Płocka, Langiewicz zaś z większem powodzeniem w Radomskim i Lubelskim. W rozmaitych innych miejscowościach trzymały się jeszcze małe oddziały, a w reszcie zabórów wrzało straszliwie. Jakkolwiek Warszawa względnie spokojnie się zachowywała, wydawano jednak wyjątkowe i ostre przepisy policyjne. W razie najmniejszych zaburzeń, każdy dom, z któregooby strzelano do wojska, miał być doszczętnie zburzony. Ludność była przygnębiona. Handel i przemysł ustaly. Tajemnego rządu narodowego wykryć nie zdołano. Pojawiały się nawet co chwila zakazane odezwy i pisma, które z gorączkową ciekawością rozchwytywano. Choć dawno już przekonano się, że każda pomyślna dla Polaków z placu boju nadeszła wiadomość była przesadzoną, z drugiej strony jednak i pisma rosyjskie nie wielkują odznaczały się sumiennością. — Wszystkim miło jest wierzyć w to, czego się pragnie.

Sala przyjęć w królewskim pałacu czarodziejskim jaśniała przepychem. Wojskowi w odświętnych mundurach tworzyli szpaler, liczna wygalonowana służba roznosiła drogie napoje, muzyka z pułku gwardji przygrywała, a piękność i bogate stroje dam z najwyższego towarzystwa rywalizowały z świetnymi mundurami mężczyzn. Wogóle widziało się tu tylko uniformy, a czarne cywilne ubranie było rzadkością.

Z pomiędzy wszystkich jeden tylko Wielki Książę miał czoło chmurne, bo nawet podczas festynu nie był wolnym od zajęć. Kilka razy przez wieczór zbliżał się do niego adjutant, składając mu po cichu raporty. Książę wtedy krótkie wydawał rozkazy i opuszczał na chwilę towarzystwo, aby na ważne odpowiedzieć depesze.

Wogóle jednak starał się Książę być jaknajprzyjemniejszym gospodarzem. Również małżonka jego, Aleksandra, urodzona księżniczka Sasko-Altenburska, odznaczała się godnością, wdziękiem i uprzejmością. Patrząc na tę dostojną parę, naby-

wało się przekonania, że nie od nich chyba pochodził ucisk nieszczęśliwych Polaków.

Ponieważ Polki z najpierwszych domów nie przyjęły zaproszenia, a wielu rosyjskich dygnitarzy i oficerów wysłało swe rodziny z powodu burzliwych czasów z Warszawy do Petersburga lub za granicę, kółko dam było podpadająco małe. Wśród nich wyróżniała się, nietylę młodością i pięknnością, ile taktem, wdziękiem i kosztowną a gustowną bardzo toaletą owdowiała baronowa Rosenberg.

Stosownie do życzenia Wielkiego Księcia poprosiła baronowa wkrótce po swoim przyjeździe do Warszawy jego małżonkę o posłuchanie i zaraz po pierwszej rozmowie tak dalece umiała pozyskać sympatyę, że ją dostojna ta pani nietylko dopuściła do towarzystwa dworskiego, lecz ją nawet w podpadający sposób wyróżniała. Baronowa przyjmowała względy księżnej pani z taką godnością, a zarazem z taką uprzejmością dla drugich, że nikomu nawet się nie marzyło zazdrościć jej łaski, jaka na nią spadła, a tem mniej jeszcze zaprzeczać jej prawa do względów księżnej. Baronowa zresztą zaletami umysłu i serca tak górowała ponad resztą otoczenia, że w razie walki z całą pewnością odniosłaby zwycięstwo.

Z podziwienia godną łatwością zdobyła sobie w towarzystwie dworskiem zaszczytne stanowisko. Z osób najwybitniejszych nie było ani jednej, z którąby nie stała na stopie bardzo przyjaznej. Politycznych jej przekonań nikt nie podejrywał, uchodziła bowiem za gorącą zwolenniczkę cara. Nie uważano jej wprawdzie za nieprzyjaciółkę Polaków, nikt jej jednak o to nie posądzał, żeby się w jakikolwiek sposób interesowała dążeniami narodu polskiego.

Właśnie siedziała baronowa na małym taburecie obok kawy, na której spoczywała wielka księżna, przypatrując się tańcom. Obie panie same bez świadków żywą toczyły ze sobą rozmowę, gdyż dama dworska, pełniąca w owym dniu służbę przy księżnej, na wyraźne życzenie swej pani brała udział w tańcach. Baronowa i księżna rozmawiały po niemiecku.

Księżna uskarżała się na niewdzięczność ludzką, mówiąc w te słowa: »Oboje z małżonkiem moim przyszliśmy do Warszawy w najlepszym zamiarze zachowania pokoju. Z bolem serca jednak przekonujemy się, że nawet w własnym zamku

otoczeni jesteście szpiegami, podsłuchującymi każde nasze słówko, aby je potem przekręcić złośliwie i podać do ogólnej wiadomości. Nie chciałabym się chwalić, twierdząc jednak stanowczo, że podkładem mojego charakteru jest wiara do ludzi i że cierpię niesłuchanie, jeżeli się na kimkolwiek zawodzę. Jakież to przynębiające sprawia wrażenie myśl, że trzeba się strzedz i że dowierzać nie można nietylko żadnej pokojówce i żadnemu lokajowi, lecz nawet wysoko postawionym osobom, które oprócz pobieranego żołdu wciąż od nas doznają dobrodziejstw. Mówiąc między nami, kochana pani baronowo, proszę mi wierzyć i o tem nie wątpić, że obecnie, w tej właśnie chwili, znajdują się w naszych salonach ludzie, którzy ukrywając się pod maską życzliwości i prawiąc najuniżeńsze komplementy, zięją do nas straszną nienawiścią i szukają tylko sposobności, aby nam szkodzić.»

»Prawda, że Wasza carska Wysokość w Warszawie smutnie porobiła doświadczenia«, odpowiedziała baronowa zupełnie spokojnie. »Nie dziwię się więc wcale, że szlachatne serce carskiej Wysokości doznało przykrych wrażeń, dawniej nieznanych. Wasza Mość posiada jednak w swoim gronie wiele jeszcze sług wiernych i życzliwych przyjaciół, którzyby bardzo nad tem cierpieli, gdyby ich spotkał choć cień niezасłużonego podejrzenia.«

»O! proszę mi wierzyć, pani baronowo, że znam swoich przyjaciół i że ich cenię tem wyżej, im są rzadszymi.«

Przy tych słowach księżna patrzyła na baronowę na pół przyjaźnie, a na pół smutnie.

»Są tylko wyjątki«, mówiła potem z większym ożywieniem, »które zatrują naszą atmosferę. Wzrok nasz jest jednak za mało przenikliwy i nie może ich poznać pod maską zręcznej uduł. Chciałabym chętnie ztąd wyjechać! Jakże pani jesteście szczęśliwą, że możesz każdej chwili ten kraj opuścić!«

»Teraz tem mniej tego pragnę, carska Wysokości, ponieważ nie mogłabym pozbyć się niepokoju, że Waszą carską Mość opuściłam w nieszczęściu.«

»Wierzę pani«, odpowiedziała księżna, spoglądając baronowę wzrokiem przyjaznym i pełnym zaufania. — »Nie mogłabym jeszcze nie polubić nikogo tak prędko jak panią i byłoby mi przykro, gdyby mnie pani opuściła.«

»Carska Wysokości, słowa, które co dopiero usłyszałam, napawają mnie wielkiem szczęściem i są powodem, że ani myślę o wyjeździe, choćbym nawet interesy wbrew przewidywaniu załatwiła.«

»Czy daje mi pani słowo?« pytała się Wielka Księżna z uśmiechem, pełnym niewymownego wdzięku.

»Służę na rozkazy carskiej Wysokości i zaraz na to mogę złożyć dowody. Bardzo ważne sprawy rodzinne i majątkowe zmuszają mnie do tego, abym na jakiś czas wyjechała do Krakowa. Postanowiłam już nawet, że za kilka dni wyjadę.«

»Jakże można, mój Boże, odważać się teraz na podróż przez część kraju, najbardziej zajętą przez powstańców. Czy straszną przygodą, jaka panią niedawno spotkała w podróży, nie odstrasza panią od tego zamiaru?«

»Wcale nie. Przekonałam się tylko, carska Wysokości, że kobieta, umiejąca zachować swą godność i posiadająca odwagę, nawet pośród ludzi surowych umie dać sobie radę«, odpowiedziała baronowa z lekkim uśmiechem. »Zresztą ze względu na co dopiero dane przyrzeczenie nie wyjadę, tylko powierzę swoje interesy damie do towarzystwa, bardzo wiernej mi pannie, choć rodem Polce, rozumie się pod tym tylko warunkiem, że pozyskam dla niej potrzebne paszporty.«

»O to ja się postaram.«

»Carska Wysokość jest bardzo łaskawą, chcąc się zajmować takimi drobiazgami.«

»Czyż nie zależy mi na tem, aby panią na miejscu zastrzymać? Czyż zresztą jedno moje słowo nie wystarczy, aby małżonek mój rozkazał wykonać życzenia pani jak najprędzej?«

W tej chwili dama dworu wróciła z koła tańczących, a księżna prędko przemówiła do baronowej.

»Rzecz już załatwiona. Jutro rano czekam na panią, abyśmy wspólnie mogły o tej sprawie porozmawiać.«

W tym samym prawie czasie cofnął się Wielki Książę z jakimś wyższym adjutantem do pobocznego salonu i ukryty w niszy okna wydawał rozkazy, które oficer skrzętnie zapisywał sobie do notatnika.

»Carska Wysokość przypomina sobie może jeszcze oficera pułku xxx, kapitana Gurowskiego, o którym jego pułkownik

z powodu potyczki nad jeziorem Gopłem zdał raport?» pytał się adjutant.

»Przypominam go sobie dobrze. Nazwisko jego już raz słyszałem«, odpowiedział Wielki Książę, brwi marszcząc groźnie, — i to w podobnej sprawie. Wtedy przypisywałem jego winę, o której nie chcę wspominać, przejściowym drgnięciem serca litością zdjętego. Obecnie jednak wykazuje się naocześnie, że sprzyja buntownikom, a może nawet ma z nimi stosunki.«

»Tego mniemania jest także pułkownik.«

»Jeżeli nie postaramy się o to, aby w armii utrzymać karność i posłuszeństwo, na co dotąd, dzięki Bogu skarżyć się jeszcze nie potrzeba, gdyż posiadamy mało tylko osobistości niepewnych, wtedy wszystko runie. Przeciwno takim postępcom wystąpić musimy stanowczo. Czy oficera przyprowadzono już do Warszawy?»

»Takiego rozkazu jeszcze nie wydano. Kapitan Gurowski uwięziony jest jeszcze w Kutnie.«

»Dobrze. W takim razie niech go sądzą własni koledzy podług praw wojennych. Sami zresztą najlepiej oceniają jego charakter. Życzę sobie, aby to się stało niezwłocznie i proszę mi przedłożyć akta i wyrok natychmiast. Gdyby się okazała potrzeba wydania sądu surowego, niechaj egzekucya odbędzie się na miejscu w przytomności całego pułku. Proszę odpowiedni rozkaz wysłać jeszcze dziś w nocy. Cóż tam więcej słyszać?»

»Niema już więcej raportów, carska Wysokości.«

»Cóż w tej chwili dzieje się w Warszawie?»

»Miasto jest spokojne. Straże nic nowego nie donoszą, a patrole wojskowe krążą regularnie po ulicach.«

Wielki Książę skinął głową na znak, że zwalnia adjutanta, poczem znowu wrócił do towarzystwa.

Baronowa Rosenberg opuściła już miejsce swoje obok Wielkiej Księżnej i chodziła po salonach, tu i owdzie rozmawiając z znajomymi sobie panami i paniami. Rozmowa kończyła się zwykle po kilku minutach na wymianie zwykłych grzeczności.

Gdy tak błędziła po salach przeszedł obok niej jakiś pan w cywilnem ubraniu, ozdobiony jednak kilku orderami na pier-

siach, i szepnął jej do ucha tak cicho, że nikt z otoczenia słów jego nie mógł zrozumieć:

»Czy można prosić o słów kilka?»

»W małym saloniku narożnym«, odpowiedziała baronowa równie tajemniczo, lecz z miną obojętną i nie zdradzającą najmniejszego zdumienia.

Nieznajomy odszedł natychmiast i udał się do oznaczonego pokoju, leżącego na samym końcu całego rzędu salonów gościnnych i z tego powodu zwykle pustego.

Mały pokój sprawiał wrażenie milutkie. Było w nim mebli niewiele i trochę kwiatów. Na stole przed małą kanapką leżały książki z najnowszej literatury i teka z drogocennymi sztychami. Salonik przeznaczonym był tylko dla tych, którzy odetchnąć chcieli po gwarze towarzystwa. Z tego powodu oddziało go kilka pokoi od reszty salonów.

Do tego saloniku skierowała baronowa swe kroki, pozwalając dla uniknięcia wrażenia tajemniczemu panu wejść naprzód.

Gdy weszła do pokoju, pan stał przy stole i obojętnie przerzucał w książkach kartki.

»Cóż słysząc, panie hrabio?» zapytała się, siadając na kanapie i bawiąc się od niechcenia wachlarzem.

»Są ważne wiadomości z północy.«

»Od Mierosławskiego?»

»Pobity wczoraj na głowę, podobno uciekł już za granicę.«

»Lepszej o nim wiadomości nigdy się nie spodziewałam«, odpowiedziała baronowa, nie okazując zdumienia, chociaż hrabia, robiąc minę poważną, myślał, że ta nowina inne sprawi wrażenie. »Nigdy nie miałam zaufania do tego człowieka.«

»My także nie. Musieliśmy jednak zrobić ofiarę dla jego partyi i oddać mu jakąś komendę. W chwili tak poważnej żadnych partyi być nie może.«

»Bardzo słusznie, gdyby to tylko dało się osiągnąć!«

»A jednak trzeba mu przyznać, że jest dzielnym organizatorem i teoretykiem wojskowym.«

»Tylko w praktyce nieszczęśliwym dowódcą.«

Hrabia wzruszył ramionami. Zachowując wciąż jeszcze dawną postawę i lękliwie od czasu do czasu spoglądając na drzwi, mówił dalej szeptem:

»Dziś jeszcze o pierwszej po północy odbędzie się tajne posiedzenie rządu prowizorycznego.«

»Zdaje się, że potrzeba mych usług?«

»Pańskiego poświęcenia się, pani baronowo.«

»Wiadomo panu, że nie wymawiam się nigdy! Mam więc zapewne stawić się osobiście?«

»Prosimy o to panią gorąco.«

»A więc dobrze. Proszę na mnie liczyć na pewne. Gdzie odbędzie się posiedzenie dziś w nocy?«

»W miejscu wiadomem na Krakowskim Przedmieściu.«

»Zaraz ztąd wyjadę. Kazałam, aby powóz zajechał po mnie już o północy. A więc zobaczymy się jeszcze, panie hrabio?«

»Z całą pewnością. Zebranie to ma bardzo doniosłe znaczenie.«

Baronowa wstała z miejsca, pożegnała się z hrabią przyjaźnie i uprzejmie i pospiesznym krokiem wróciła do salonów. On zaś stał na miejscu i mechanicznie przerzucał książki i sztychy, jak gdyby go na świecie prócz blahostek nic nie obchodziło. W tej postawie zastali go jeszcze inni goście, przestępujący próg saloniku narożnego.

W tej samej chwili po baronowej również nikt poznać nie mógł, że tej samej jeszcze nocy czekała na nią przeprawa bardzo niebezpieczna. Gdyby jej zamiar się wydał, w najlepszym razie straciłby ją z wyżyny towarzyskiej w nędzę i osamotnienie ciężkiego więzienia, albo też może przypłaciłaby to głową.

Pod pozorem lekkiej słabości, którą w wielkich towarzystwach tak wielostronnie można tłumaczyć, pożegnała się z Wielką Księżną i pojechała do domu, gdzie z pomocą Teresy zdjęła z siebie suknię balową i ubrała się skromnie.

Teresa wiedziała już, jakie znaczenie miały te wycieczki, w których niekiedy sama brała udział. Tym razem jednak baronowa podziękowała za towarzystwo i poleciła Teresie, aby pozostała w domu, dając jej do zrozumienia, że zachodzi potrzeba prędkiego wyjazdu, o czym później jeszcze z sobą miały pomówić.

I otem odważna kobieta sama puściła się na ciemne ulice, unikając starannie zetknięcia się z patrolami wojskowymi

też policyjnymi. W duszy postanowiła sobie, że w najgorszym razie poda fałszywe nazwisko i tłumaczyć się będzie nagłem zapotrzebowaniem lekarza. Jakiż zresztą mogłaby mieć interes policyja w zatrzymywaniu skromnej i niepodejrzanej mieszcżanki?

Taką rolę umiałaby baronowa odegrać równie dobrze, jak każdą inną.

Przechodząc po prawdziwym labiryncie ulic i uliczek, w którym doskonała pamięć zastępowała jej nić Aryadny, doszła wreszcie do celu swej nocnej wycieczki. Celem tym był mały i w ogrodzie ukryty pawilon, mogący tylko w lecie służyć za mieszkanie.

Domek leżał w środku wielkiego parku, otoczonego murem wysokim, poza który obnażone z liści i śniegiem pokryte drzewa smutnie spoglądały. Baronowa zapukała do furtki, ukrytej w murze i w porze nocnej ledwie dostrzegalnej. Wpuszczono ją dopiero po egzaminie podobnym, lecz o wiele ściślejszym, jak w domu starego Stasia w Żytomierzu.

Furtkę otworzył stary sługa, znający dobrze baronowę, którą z szacunkiem przywitał. Baronowa szybkim krokiem przeszła po śniegiem pokrytych ścieżkach, przy których stały ciemne krzewy i drzewa wysokie, do wspomnianego już pawilonu, do którego wpuszczano ją w równy sposób, jak przez furtkę.

Mały ten, jednopiętrowy i z drzewa tylko zbudowany pawilon miał przedsięonek, w którym nie wielki panował porządek. Wszędzie leżały porozrzucane graty i narzędzia ogrodnicze w bezładzie. W przedsiönku stało na straży dwóch mężczyzn, stróż i odźwierny. Sądząc po ubraniu i po zachowaniu się, ludzie ci należeli rzeczywiście do stanu służebnego. Z poza pasa widniały im rewolwery. Poznać było można, że nie starali się o to, aby je ukryć pod ubraniem.

Baronowa była im znaną, gdyż pomimo że była ubraną bardzo skromnie, przyjmowali ją z oznakiem czci, przynależnej tylko wyższym osobom. Jeden z nich otworzył drzwi, prowadzące do jedyne go pokoju w tym domku.

Pokój sprawiał daleko miłsze wrażenie jak przedsiönek, gdyż państwo, do którego park należał, w pawilonie tym w porze letniej często urządzało herbatkę dla gości. Ściany były pięknie tapetowane, pułap sklepiiony i malowany, w środku

stał podłużny stół ogrągły, a w koło niego ławy i krzesła plecione, jak zwykle w pawilonach ogrodowych.

Kosz żelazny, napelniony żarzącymi się węglami, stał w kącie i ogrzewał pokój choć niedostatecznie. Oświetlenie dawały trzy świece woskowe, stojące na stole. Całe to skromne urządzenie widocznie obliczone było na to, że można je było prędko usunąć. Wysłane szpiegi na zwiady nicby w tym pokoju podejrzanego nie znalazły.

Po obydwu stronach stołu siedziało po trzech mężczyzn. a na szarym końcu siódmy, który, sądząc po papierach przed nim leżących i po piórze, które trzymał w ręce, sprawował urząd sekretarza.

Gdyby komu niewtajemniczonemu powiedziano, że panowie siedzący przy stole, są tym prowizorycznym rządem narodowym, tym tajnym komitetem, który już od kilku miesięcy rzeczywiście więcej rządził w Królestwie, jak sam car i jego namiestnik razem z całą zgrają urzędników i armią, liczącą przeszło sto tysięcy chłopów, uśmiechnąłby się z niedowierzaniem w przekonaniu, że to tylko żarty. A jednak była do siła, którą nie tylko wyobrażnia narodu, lecz sam car nawet otaczał aureolą, należną tronowi królewskiemu.

Wszyscy ci panowie, ubrani skromnie, lecz wytwornie, byli jeszcze młodzi. Żaden z nich na pozór nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Gwarze ich były rozumne, niektóre nawet piękne, wszyscy jednak wyglądali tak samo, jak inni ludzie, których codziennie setkami spotyka się na ulicy, lub też w kołach lepszego towarzystwa. Żaden z nich nie zwracał na siebie szczególniejszej uwagi. W ich kole był także pan, który baronową na balu zamkowym zaprosił na tajne posiedzenie.

Gdy baronowa weszła, powstali wszyscy panowie i przywitali ją z uprzejmą galanterią, która z powagą położenia nie zupełnie się zgadzała. Choć było rzeczą widoczną, że baronowa w tem gronie miała tylko rolę podrzędną, ze względu na jej płeć jednak oddawano jej honory. Najlepsze i najwygodniejsze krzesło postawiono na pierwszym miejscu, naprzeciwko sekretarza. Gdy na niem baronowa zajęła miejsce, obradowano dalej.

Sekretarz odczytywał mnóstwo depeesz, po większej części cyfrowanych, które nadesłali dowódcy oddziałów na prowincyi.

Depesze te przemycaly do Warszawy nieposzlakowane przez policyę osoby w sposób rozmaity a zawsze kunsztowny. Dowódcy donosili o stratach i przewagach. Jeżeli zachodziła potrzeba prędkiej odpowiedzi, rozstrzygał jeden z panów, który widocznie piastował urząd ministra wojny.

Podpadało, że obecni panowie, chociaż nawzajem i z baronową dobrze się znali, nie wymieniali całego swojego nazwiska, lecz tylko początkowe litery. Niektórzy dobierali nawet nazwisk pożyczanych widocznie w tym celu, aby zbić z tropu szpiegów nieproszonych.

Już przed przyjściem baronowej radzono kilka godzin nad sprawami wojennymi na prowincyi, a mianowicie nad najnowszym wypadkiem, porażką Mierosławskiego. Z powodu swej nieobecności baronowa zadowolić się musiała krótkim tylko sprawozdaniem o rozmaitych wieściach, jakie o tej klęsce nadeszły. Mierosławski sam żadnego jeszcze nie przysłał raportu. Domyślano się, że przepadł.

Po klęsce nad jeziorem Gopłem mniemano ogólnie, że oddział Mierosławskiego zupełnie się rozproszył. W każdym razie złożył generał dowody wielkich zdolności do wojny podjazdowej, jeżeli już w kilka dni po porażce zgromadził około siebie na terytorium Królestwa około pięćset ludzi, z których większa część należała do rozbitego oddziału. Ponieważ w całej okolicy stały wielkie masy wojska rosyskiego, cofnął się czemprędzej na południe do gubernii Kaliskiej i założył główną kwaterę w Brudzewie, wsi położonej na północnym wschodzie od miasta Kalisza, gdzie oddział swój znowu znacznie powiększył, poczem połączył się z świeżym oddziałem, liczącym przeszło osiemset chłopów, który co dopiero przeszedł przez granicę pruską.

Mierosławski zamierzał opanować miasto Konin. Już dnia 1-go marca stoczył we wsi Boniczewie zaciętą walkę z kolumną Moskali, wysłaną z Konina. Nazajutrz wyruszyli Moskale w sile tysiąc pięćset chłopów i wyparli część powstańców na północ aż do Ślęczyna, gdzie Polacy poszli w rozsypkę. Ochotnicy z zaboru pruskiego cofali się ku granicy. Napadnięci i otoczeni przez kozaków w okolicy Słupny, częścią zginęli na polu bitwy, częścią zaś uciekli za granicę, gdzie ich stojące w pogotowiu pruskie wojska rozbroiły.

Gdzie Mierosławski się podział, jeszcze nie wiadano. Tyle tylko było rzeczą pewną, że właśni jego ludzie, rozgoryczeni doznaniem klęskami, chcieli się pomścić na jego osobie. Jedni opowiadali, że pociągnął na Litwę, drudzy zaś, że wrócił do Paryża, przepowiadając powstaniu zły koniec.

Takim sposobem powstanie na zachodzie Królestwa upadło, chociaż w tej właśnie stronie spodziewano się najlepszego powodzenia. Wszystkich oczy zwróciły się wtedy na południe, gdzie walczył jedyny dowódzca i jedyny oddział znaczniejszy, korpus Langiewicza. Z tej strony jedynie spodziewano się jeszcze zwycięstwa.

W tak ciężkich warunkach uważał rząd prowizoryczny za rzecz konieczną, aby Langiewicza jak najdokładniej powiadomić o wyniku powstania w wszystkich dzielnicach kraju. Również postanowiono powierzyć mu dyktaturę nad całym Królestwem. Z takim raportem i z takim życzeniem wielkiej doniosłości dla sprawy miano natychmiast wysłać zaufanego posłańca do obozu jenerała. Misję powierzyć można było tylko osobie niepodejrzanej, ponieważ wszystkie drogi, prowadzące na południe, były w ręce Moskali, przez co porozumienie się z Langiewiczem stawało się niemożliwem.

Zrobiono więc baronowej propozycję, aby podjęła się podróży i posłannictwa.

Po krótkim namyśle odpowiedziała, że ani na chwilę nie wahałaby się i wszelkimi siłami chciałaby okazać się godną zaufania, jakie w niej pokładano, gdyby nie przeszkadzała jej w tem rozmowa z Wielką Księżną i przrzeczenie, które ja krępowало.

»Co panowie postanowicie, wypełnię«, mówiła. Sprawie, której się poświęciłam, pozostanę wierną aż do śmierci i pomimo przyrzeczenia, danego Wielkiej Księżnie, jestem gotową, natychmiast wyjechać. Proszę jednakże, abyście się panowie namyślili, czy nie mogłabym większych usług wyświadczyć, gdybym pozostała na miejscu, w najbliższej styczności z zamkiem. Posłannictwo, które chcecie mi panowie powierzyć, spełni — za to ręczę — moja przyjaciółka, Teresa Gurowska, której odwagę i gorącą miłość ojczyzny jużście panowie poznali, równie dobrze, jakbym to sama uczyniła. Wystarałam

się już dla niej o legalne paszporty. Gdybym wyjechała sama, podpadłoby to ogólnie. Sądźcie więc, panowie, jak chcecie, kto ma wyjechać, ja, czy Gurowska.«

Po krótkiej naradzie przyznano rację baronowej.

Na tem skończyło się posiedzenie. Nazajutrz jeden z obecnych miał pani Rosenberg i Teresie oddać osobiście papiery i instrukcje.

W pawiloniku ogrodowym uprzątnięto wszystko, co w razie nieproszonych odwiedzin mogłoby wzbudzić pewne podejrzenie. Każdy z osobna poszedł swoją drogą. Baronowa również wróciła do domu, nie doznawszy żadnej przykrości.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI.

Sąd wojenny.

Ignacego Gurowskiego, jak już słyszeliśmy, odstawiono na rozkaz pułkownika do Kutna, miasteczka położonego nad drogą żelazną warszawsko-toruńską, mniej więcej na połowie drogi między temi miastami.

Zaledwie go uwięziono, zgłosiło się wielu kolegów Moskali, którzy go nie tylko stanowczo potępiali bez poprzedniego sprawdzenia winy, lecz także zarzucali mu jeszcze inne przestępstwa, zdolne obciążyć go do reszty. Powtarzano więc jego słowa, mające służyć za dowód, że kapitan sprzyjał swoim rodakom, jeżeli nie popierał wprost rewolucyi. Za złe mu brano, że zawsze trzymał się zdaleka od przeważnej części grona oficerskiego. Zarzut był słuszny, gdyż Ignacy miał tylko przyjemność w obcowaniu z prawdziwie wykształconymi kolegami. Major wreszcie przypominał wszystkim niewyśledzonego poplecznika przy ucieczce panny Henryki Postowojtówny z więzienia policyjnego w Żytomierzu.

Miał wprawdzie Ignacy niejednego przyjaciela w pułku, nawet pomiędzy rodowitymi Moskalami. Wszyscy jednak z obawy, że mogliby się sami narazić, wystrzegali się występować w jego obronie, tylko w cichości żalowali nieszczęśliwego.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie uczucia miotają Stefanem, gdy się dowiedział, że najlepszego przyjaciela odprowadzone jako aresztanta na główny odwach do Kutna. Znając powód aresztowania, wiedział Stefan na pewne, że Ignacy stanie przed sądem wojennym. Obawiał się też tem więcej, ponieważ sam wiedział najlepiej, że aresztowanie nie nastąpiło bez powodu,

choć Ignacy nie złamał przysięgi wojskowej, i z tak zwanymi buntownikami nie utrzymywał żadnych stosunków.

Martwił się bardzo, że nie było żadnego sposobu rozmówienia się z aresztantem, a tem mniej jeszcze przyniesienia mu jakiegokolwiek pomocy. Chętnie chciałby się okazać prawdziwym przyjacielem i poświęcić się dla Ignacego, tym razem jednak opuściła go fantazya, gdyż znając rozkład głównego odwachu i jego cel więziennych, wiedział doskonale, że dostać się do nich było niepodobieństwem.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak milczeć i czekać, jaki obrót weźmie sprawa Ignacego. Nie przestawał jednak łamać sobie głowy nad wynalezieniem sposobu ratowania przyjaciela, choćby do tego miał użyć gwałtownych i narażających go na największe niebezpieczeństwo środków.

O tem wszyskiem nie wiedział i nie słyszał Ignacy, gdyż był zupełnie od świata odciętym.

Miasto Kutno, jak po większej części wszystkie polskie miasta, miało tak zwany rynek t. j. plac targowy, w środku którego stał ratusz z rozmaitemi przybudowaniami, składającymi się z domów mieszkalnych i bud drewnianych z mięsem i pieczywem.

Tak było i tutaj. Stary, masywny ale już zrujnowany ratusz miał dwa piętra. Dolną część zajmował wojskowy odwach, silnie wówczas obsadzony. Do głównych drzwi wchodziło się przez otwarty przedsionek, którego dach wspierał się na słupach. Tu na ścianie wisiała broń żołnierzy, a dwa szyldwachy patrolowały bezustannie, że nikt niepostrzeżenie ani wyjść ani wejść nie mógł.

Wszedłszy do sieni miało się po jednej stronie pokój dyżurnego oficera a po drugiej salę, w której znajdowali się żołnierze. Schody prowadziły na piętro do małego korytarza, w którym wysoko umieszczone okienko słabe zaledwie przepuszczało światło. Na tym korytarzu znajdowały się cele aresztantów. Cele przeznaczone dla żołnierzy były to właściwie drewniane klatki, ciemne, wąskie i po większej części pokryte osławionemi żerdziami, stanowiącemi istne tortury, wskutek czego w niemieckiem wojsku zostały w późniejszych czasach zniesione. Na samym końcu korytarza były jeszcze dwie małe izdebki. W jednej z nich urządził sobie mieszkanie

dozorca więzienny, stary, ale czerstwy jeszcze sierżant. Drugą izdebkę o mocnych zamkach przeznaczono na celę dla aresztowanych oficerów.

Tu zamknięto Ignacego. Cela miała cztery gołe ściany. W jednej z nich pomieszczono okienko a raczej dziurę, z zewnątrz okratowaną i tak wysoko wybitą, że dostać się do niej było niepodobną. Drugą całą ścianę zajmowało łóżko. Resztę miejsca zabierał stół i stolek. Wolnej przestrzeni zostawało tylko tyle, że więzień, chcąc się poruszać, mógł zrobić tylko dwa kroki naprzód lub wstecz.

W Niemczech zamykano w podobnem więzieniu tylko zwyczajnych zbrodniarzy, a rzadko tylko ludzi z wyższych stanów, szczególnie, gdy się dopiero w śledztwie znajdowały. W Kutnie władza wojskowa nie tylko nie miała lepszego umieszczenia dla aresztowanych oficerów, a nadto wcale nie była usposobioną do względniejszego traktowania kapitana Gurowskiego, gdyż wyrok, jaki go miał spotkać, wszystkim już naprzód był wiadomym.

Ignacy nie ludził się także, odetchnął tylko lżej, gdy się za nim drzwi zamknęły i mógł pozostać sam, gdyż gorzej niż najrozpaczliwsze myśli o przyszłości dręczyły go ciekawe i urągające spojszenia, na które był w czasie transportu narażony.

Było niepodobieństwem uniknąć w przejściu z kolei na odwach spotkania się więźnia z publicznością. Jak błyskawica przebiegały słowa z ust do ust:

»To jest Polak. On z naszymi braćmi trzymał! Dla tego uwięziono go i rozstrzelać każą. Biedny człowiek!«

Ignacy nie mógł wprawdzie tych słów dosłyszeć, ale odgadł je z smutnych i litośnych spojrzeń, jakie na niego zwracano.

Ignacy rzucił wzrokiem pobieżnie na tłum, ale spuścił go zaraz w dół. Przy tem zdawało mu się, że ujrzał w tym tłumie znajomą sobie twarz, jakoby żyda Mojżesza Liepmanna, któremu w Warszawie wolność przywrócił. Był jednak zaledwie przygnębiony swoją dolą i nie zastanawiał się nad tem, czy żyd mieszkiał w Kutnie i czy istniał w ogóle.

Zresztą rysy tego człowieka nie utrwaliły mu się tak dalece w pamięci, aby pomyłka mogła być wykluczoną.

Kiedy się nareszcie sam znalazł, rzucił się na łóżko i pogrzążył w myślach, w czym mu teraz nikt nie przeszkadzał.

Myślał ze smutkiem o swej matce, ileż ona cierpieć będzie, gdy się dowie o jego uwięzieniu. Może jaka gazeta do rąk jej dojdzie, w której napiszą, że za złamanie przysięgi i zdradę kapitan Gurowski oddanym został pod sąd wojenny i na śmierć skazany? Jakkolwiek nie czuł się winnym tych zbrodni, jednak wiedział, że popełnił przestępstwo, którego mu nietylko surowi i nieubłagani sędziowie nie przebaczą, ale palając do niego nienawiścią, osądzą z całą bezwzględnością. U nich przecież inne było sumienie i poczucie honoru.

Myślał także o Henryce, która nie dawno, również jak on w więzieniu siedziała. Ale któż jemu na ratunek przyjdzie? Obawiał się, aby Stefan, ten wierny przyjaciel, nie przedsięwziął w tym celu jakiego szalonego kroku. Gdyby w jakiś sposób było możliwem, porozumieć się z przyjacielem, zakłaby go Ignacy na wszystko, aby zamiaru zaniechał.

O ucieczce mowy być nie mogło. Mury były za grube, za masywne, aby je rozbić, okienko za wąskie, żeby się przez nie, pominawszy już inne przeszkody, przecisnąć. Drzwi okutych żelazem, zamkniętych i zaryglowanych nawet siłą olbrzyma nie zdołałaby wysadzić i dalszych przejść strzeżono pilnie. Jednem słowem, każda myśl o możliwości ucieczki była szaleństwem.

Wiedział także Ignacy, że przyjaciele jego, (jeżeli oprócz Stefana miał jeszcze jakich) nie mieliby nawet czasu do przeprowadzenia jakiegoś planu, gdyż sąd wojenny prędko sprawę rozstrzyga, a skoro wyrok zapadnie, spełnienie takowego następuje zwykle w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Jakkolwiek Ignacy w nadzwyczajnem znajdował się rozdrażnieniu, jednak fizyczne zmęczenie było tak silne, że popadł w głęboki sen, trwający kilka godzin.

Wejście dozorczy, przynoszącego mu skromny posiłek wieczorny, obudziło go ze snu.

Stary sierżant był typem prawdziwego rosyjskiego żołdaka tak z powierzchowności, jak z usposobienia.

Był on, jak już wspomnieliśmy, olbrzymiego wzrostu. Carski zarząd wojskowy znalazł się w prawdziwym ambarasie przy dostarczeniu mu odpowiedniego umundurowania. Wszystko

było mu zawsze za krótkie i za ciasne, wskutek czego cała jego postawa i chód były więcej jeszcze sztywne i nienaturalne, jak zwykle u żołnierzy na długiej wojskowej służbie. Że mundur tak starego żołnierza odznaczał się czystością nadzwyczajną, samo się przez się rozumie.

Głowa odpowiadała w zupełności figurze. Była wielką i miała mongolski skład czaszki, porosłej krótko strzyżonym, ale jeszcze gęstym, choć już mocno siwiejącym włosem. Twarz miał chudą o wystających kościach i pokrytą zmarszczkami. Malutkie oczy z silnie narysowanymi brwiami i nos zadarty czerwono fioletowego koloru świadczył wymownie, że szanowny sierżant prostuchą nie gardził, chociaż go nigdy, przynajmniej na służbie, pijanym nie widziano. Długa siwa broda, pokrywająca usta i podbródek, dopełniała reszty.

Z czapką koloru białego i szabłą nie rozstawał się nigdy od czasu objęcia posady dozórce, gdyż był zawsze na służbie. Oznakiem tego urzędu był wielki, brzęczący pęk kluczy, zawieszony na pasie przy szabli i mała posrebrzana gwizdawka, zwieszająca się na szyi na długim łańcuchu, na sposób rosyjskich podoficerów marynarki. Na morzu służyła ona do wydawania sygnałów marynarzom, znajdującym się przy linach i innych przyborach okrętowych. Naszemu sierżantowi służyła do przywołania pomocy, gdyby któremu z więźniów przyszło do głowy, rzucić się na niego. Prawdopodobnie umiałby sam sobie w takim przypadku poradzić, nosił jednak gwizdawkę, bo tak służbowy przepis nakazywał.

Ponieważ Ignacy nosił na sobie dotąd mundur oficerski, uważał się sierżant za jego podwładnego, o ile więzień nie sprzeciwiał się regulaminowi więziennemu. Dozorca postawiwszy miski na stole, salutował po wojskowemu i głębokim basem pytał się, czy kapitan miał jeszcze coś do rozkazania, poczem raportował, że wróci dopiero nazajutrz o 6-ej godzinie.

Ignacy, który olbrzyma spokojnie obserwował, odrzekł krótko: „Nie!”. Sierżant uczynił wojskowy zwrot w tył, pomaszerował ku drzwiom i takowe starannie zamknął i ryglował.

Ten pierwszy wieczór, spędzony w więzieniu przy czadzącej lampce olejnej, bez sposobu rozproszenia jakimś zajęciem rozpaczliwych myśli, wydał się Ignacemu nieznośny.

W nocy nie miał także spokoju. Przeszkadzał mu kaszel starego dozórce, który drzwi od swojej komory otworzył, aby móżdż, leżąc na sienniku w pełnym uniformie i drzemiąc, lepiej nasłuchiwać, czy się coś nadzwyczajnego w celi powierzonego mu więźnia nie dzieje. Od czasu do czasu wstawał z posłania i ciężkim krokiem odprawiał rondę, przyczem poruszał rygłem celi, aby się przekonać, czy mocno trzyma.

Cóż jednak znaczyły te drobne nieprzyjemności, twarde posłanie, skąpy posiłek i brak ruchu w porównaniu z przeświadczeniem Ignacego, że był ciężko obwinionym więźniem, na którego surowa kara już w połowie zapadła.

Z febryczną niecierpliwością oczekiwał Ignacy tej chwili, w której miał stanąć przed sądem. Gdyby pułkownik wyznaczył tylko karę dyscyplinarną, byłby Ignacy już o tem wiedział. Ponieważ jednak nikt się o więźnia nie troszczył, wnioskował Ignacy zupełnie słusznie, że o jego rzekomej zbrodni posłano raport do Warszawy do Wielkiego Księcia, i że ztamtąd dopiero oczekiwano rozkazu zwołania sądu wojennego.

Nasi czytelnicy wiedzą już, że się Ignacy w swych domysłach nie mylił, i że odnośny rozkaz wydano już dnia 3-go marca.

Już dnia następnego otrzymał go w Kutnie pułkownik, który w głębokim przekonaniu, że Wielki Książę miał szczególniejsze powody, aby wobec kapitana Gurowskiego postąpić z bezwzględnością surowością, czego się pułkownik domyślał z rozmowy z namiestnikiem na owej pamiętnej paradzie, postanowił pokornie słuchać najwyższego rozkazu.

Jeszcze tego samego wieczoru dowiedział się Ignacy od adjutanta, który go w więzieniu odwiedził, że następnego rana miał stanąć przed sądem wojennym i z jakich członków sąd ten miał się składać.

Wybór sędziów dowodził jasno, że się Ignacy nie mylił, przewidując, iż pułkownik postara się o skład sądu wojennego tylko z takich oficerów, którzy wprost byli osobistymi nieprzyjaciółmi Ignacego, lub też z nim nie żyli na przyjaznej stopie. Ignacy milczał jednak, ponieważ wiedział, że wszelkie protesty z jego strony nie miałyby żadnego celu. Z tych samych powodów podziękował za obronę wyznaczonego mu prawnego obrońcy, gdyż mu nie dowierzał. Zresztą cóż mu

miała pomódz obrona? — W takich okolicznościach byłaby tylko czczą formą.

Sąd miał odbyć swoje posiedzenie — zapewne pierwsze i ostatnie — w oficerskiej izbie na odwachu i zgromadził się tamże już wczesnym rankiem. Ignacy, który z wyjątkiem szabli musiał przywdziać pełny uniform, został przez dwóch dozorujących go oficerów wprowadzony do izby.

Formalności sądownictwa wojskowego, choć są proste, przytaczanie ich znużyłoby jednak czytelników naszych i dla tego o nich nie wspominamy. Oskarżenie zarzucało Ignacemu zdradzieckie stosunki z nieprzyjacielem — pogardzanych powstańców spotkał zaszczyt, że tak ich nazywano — i rozmyślnie ułatwienie ucieczki brańcowi, znajdującemu się już w rękach wojska carskiego, oprócz tego niedbalstwo w służbie i inne drobne wykroczenia.

Wszystkie te zarzuty należało wprowadzić dopiero udowodnić, urzędowy oskarżyciel jednak ułatwił sobie zadanie. Opierając się na zeznaniu pułkownika, wywodził, że kapitan Gurowski w potyczce nad jeziorem Gopłem w podpadający sposób unikał walki, że umyślnie nie korzystał z najodpowiedniejszej chwili do ataku na powstańców, tak że dopiero na wyraźny rozkaz szedł w ogień. Kilku podoficerów i żołnierzy zeznało, że Ignacy zakazał im strzelać na Polaka, któremu potem udało się uciec. Co powstaniec krzyknął po polsku do oskarżonego, nikt z świadków nie chciał rozumieć. Przypominamy, że słowa te brzmiały: »Dzięki kapitanie! nigdy nie zapomnę szlachetnego czynu pana, gdybyśmy się kiedy mieli jeszcze spotkać!« Z tych słów, przez nikogo nie wytłumaczonych, oskarżenie wysnuwało wnioski, że oficer znał się z powstańcem osobiście i że się z nim porozumiewał. Dalej oskarżyciel kładł nacisk na to, że nawet po ucieczce powstańca kapitan zakazał strzelać do niego. Wreszcie przypomniano jeszcze raz podejrzenie, jakie padło na kapitana w Żytomierzu, że ułatwił i umożliwił ucieczkę panny Postojtówniej i wywleczono rozmaite plotki z przeszłości oficera.

Ignacy bronił się z najwyższą godnością i zupełnym spokojem. Wszystko, co mówił, było rzeczywistą prawdą. Jednego tylko wyparł się stanowczo, że wiedział coś o uwięzieniu i ucieczce swej przybranej siostry.

Na tem skończyło się sądowe śledztwo i aresztanta wprowadzono na chwilę, aby sąd mógł radzić nad wydaniem wyroku.

Sąd wojenny ogłasza wyrok podług swego moralnego przekonania, zupełnie tak samo, jak sąd cywilny. Zachodzi tylko ta znaczna różnica, że pierwszy prowadzi także śledztwo, po którym, w razie winy oskarżonego, wyrok następuje natychmiast.

W małe półgodziny wprowadzono znowu oskarżonego i przeczytano mu wyrok.

Brzmiał on krótko i węzłowato: »Winien wszystkich zbrodni i przestępstw, podniesionych w skardze i skazany na śmierć przez rozstrzelanie.«

Gdyby nawet Ignacy łudził się poprzednio, myśląc, iż łagodniejszy dla niego zapadnie wyrok, zmieniłby musiał mniemanie, gdy wszedłszy powtórnie na salę, spojrzał na ponure i nieprzyjemne twarze swych teraźniejszych sędziów, a dawniejszych towarzyszy.

Jeżeli jednak spodziewali się sędziowie, że Ignacy wobec surowego wyroku ulęknie się lub słabym okaże, to w grubym znajdowali się błędzie.

Bez wypowiedzenia jednego nawet słowa skłonił się tylko, ale nie mógł się powstrzymać, aby nie rzucić pogardliwego spojrzenia na tych ludzi, podlegających plemiennej i osobistej nienawiści.

Wróciwszy do więzienia, nie oddawał się również próżnym skargom i wybuchom rozpacz, ale spokojnie obrachowywał się z życiem, które mu sąd niesprawiedliwy odbierał. Przez starego dozorcę, na którego ogorzałej i surowej twarzy przebiegał się cień litości, kazał prosić pułkownika, będącego zarazem komendantem miasta, aby mu wolno było napisać do najbliższych i pożegnać się z nimi. Byłby także chętnie prosił o pozwolenie widzenia się z Stefanem, ale bał się, że mógłby go skompromitować. Zaniechał więc tego zamiaru.

Po godzinie odebrał Ignacy na swój wniosek odmowną odpowiedź.

»Wyrok odesłany został Wielkiemu Księciu do Warszawy do zatwierdzenia«, kazał mu powiedzieć pułkownik, »i dopóki

takowy nie nadejdzie, nie wolno skazanemu ostatniej załatwić korespondencji.»

Ta odpowiedź nasunęła Ignacemu myśl, której się rzeczywiście przestraszył.

A gdyby Wielki Książę, o którym wiadano, że kary śmierci nie lubi i tylko zmuszony ją zatwierdza, uwolnił go od kuli, zamieniając ją na hańbiące i dręczące więzienie! — Czuł, że zbłądł i lekko dręć zaczął. Przypomniawszy sobie, co mu w tym względzie mówił Stefan, kiedy go przestrzegał, aby w uwolnieniu Henryki wystrzegał się wszelkiego nierozważnego kroku.

Ignacy czuł, iż takiego poniżenia znieśćby nie mógł. i wobec tego kula wydawała mu się dobrodziejstwem.

Pelen rozpaczy toczył wzrokiem dokoła swej celi, szukając sposobu, aby w danym razie móżdż sobie życie odebrać. Nie posiadał noża ani niczego, coby mu umożliwiło spełnienie tak strasznej zbrodni.

Tak przechodziły mu godziny w oczekiwaniu ostatecznej decyzji, jaka z Warszawy nadejść miała.

Sąd wojenny zapadł 5-go marca rano. Dnia następnego przed południem o niezwykłej godzinie otworzyły się drzwi jego celi i wszedł pułkownik w towarzystwie dwóch wyższych oficerów i adjutanta, który trzymał w ręce akta.

Ignacy poznał, że przychodzą z ostateczną decyzją i zbłądł jak trup. Zerwał się z łóżka, na którym leżał, ale napróżno zbierał wszystkie siły, aby się na nogach utrzymać i osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w złowrogi papier.

Znając zimną krew i zdolność panowania nad sobą Gurowskiego, czego dowody złożył przy wysłuchaniu wyroku śmierci, nie mogli pojąć tak pułkownik, jak oficerowie, obecnego rozdrażnienia i fałszywe zapewne wyprowadzili z tego wnioski.

«Jego Cesarska Wysokość, Wielki Książę wydał nad Wami ostateczny wyrok», przemówił pułkownik, pozwoliwszy wprawdzie ochłonąć cokolwiek Ignacemu. «Mój adjutant przeczyta go panu.»

Adjutant rozwinął z miną poważną papiery, usiadł i uroczystym głosem czytał:

«Zważywszy, iż dowody oskarżające kapitana Gurow-

skiego o zbrodnię i służbowe przestępstwa wydają mi się nie dość jasno przeprowadzone, zważywszy dalej, iż pułkownik regimentu xxx złożył mi przed niedawnym czasem raport pochwalający tak służbowe, jak pozasłużbowe postępowanie wyżej wymienionego oficera, zważywszy drugostronnie, że oskarżony nie postąpił sobie w każdym razie, jak mu przysięga i obowiązek carskiego oficera w tych niespokojnych czasach nakazują, i że dopuścił się ciężkiego przestępstwa w służbie, postanawiam wydany przeciw niemu przez sąd wojenny wyrok złagodzić w ten sposób, iż będzie zdegradowany z wojska, wydany i na dziesięć lat ciężkich robót w Syberii skazany.

«Szef sztabu generalnego rozporządzi, co nadal będzie potrzeba.»

Zanim jednak adjutant skończył, zachwiał się Ignacy, upadł na kolana i złamanym głosem wybełkotał:

«Łaski! łaski! Powiedzcie Wielkiemu Księciu, iż go błagam o śmierć. Takiego wyroku znieść nie jestem w stanie.»

Nieszczęśliwy skazaniec miał wzrok tak błagający, że nawet oficerowie czuli się wzruszeni. Patrzeli na niego zdumieni, bo nie spodziewali się nigdy podobnej sceny.

Tym razem z trudnością przybrał pułkownik surową minę, chcąc obowiązek swój do końca wypełnić. Nie był on właściwie złym człowiekiem, a powołanie się Wielkiego Księcia na dawniejsze jego o kapitanie Gurowskim świadectwo doprowadziło, iż pomylił się, sądząc, że Jego Wysokość pragnie zguby oskarżonego.

Ignacy wskutek nadzwyczajnego wzruszenia zemdlał i leżał bezwładny na podłodze. Nie pozostawało więc nic innego, jak zawołać pułkowego chirurga.

Pułkownik i oficerowie oddalili się, a pierwszy rzekł do adjutanta:

«To zemdlenie nie pociągnie za sobą żadnych następstw. Staraj się pan jutro rano odstawić więźnia do cytadeli warszawskiej.»

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI.

Żyd Mojżesz Lipmann.

Wieczorem tegoż samego dnia, w którym zapadł wyrok na nieszczęśliwego kapitana Gurowskiego, siedział w jednym z najordynarniejszych szynków miasta Kutna, w którym zawsze roilo się od żołnierzy, robotników i chłopów, dwóch mężczyzn przy stoliku, wsuniętym w ostatni kąt. Prowadzili oni z takim zajęciem rozmowę po cichu, że zdawali się zapominać o pełnych, stojących przed nimi szklankach.

Obydwaj nie byli osobistościami, mogącemi zwracać na siebie uwagę reszty gości, którzy po większej części mocno już byli podbili.

Jeden z nich był żołnierzem piechoty i miał na sobie jasno-szary płaszcz, jak wszyscy jego koledzy, drugi był biednym żydowskim kramarzem, który swój tłumok podróżny postawił obok na ławce i co chwilę spoglądał nań tak niespokojnym wzrokiem, jakby się w nim kryły wszystkie skarby Wschodu.

Żyd był młodym mężczyzną o ładnej twarzy i inteligentnych, przenikliwych oczach, ale z powodu brudnego swego kostiumu nie czynił zbyt miłego wrażenia. Żołnierz był mężczyzną lat około trzydziestu i zdawał się dbać bardzo o swoją powierzchowność, gdyż mundur pod względem czystości nie pozostawiał nic do życzenia, a czarne wąsiki były starannie wypomadowane i do góry zakręcone. Miał wzrost wysoki i figurę bardzo zięcną, a choć był szczupły, zdradzał wiele siły fizycznej. Twarz świeża, okrągła nie wyrażała wprawdzie wiele rozumu, była jednak ożywiona i o tyle inteligentną, że łatwo można było po niej poznać człowieka myślącego, a nie

bezmyślną maszynę, jak po większej części wyglądają rosyjscy żołnierze.

»A więc to rzeczywista prawda, że go na śmierć skazano?« pytał żyd głosem poważnym i smutnym. Rozmawiali po polsku, gdyż język ten był także ojczystą mową żołnierza.

»Kochany Mošku«, odpowiedział wojak, »wprawdzie wyroku na własne uszy nie słyszałem, gdyż powinienś wiedzieć, że żadnemu z nas podsłuchiwać nie wolno, gdy panowie oficerowie zgromadzą się w sali na sąd wojenny, wątpić jednak o tem nie potrzebujesz. Już raz ci to powiedziałem. Wszyscy naprzd wiedzieliśmy, co się stanie, gdy go przed sądem stawiono. Z artykułami wojennymi nie ma żartów. Po wysłuchaniu wyroku wyszedł kapitan z izby dumny, jak sam car. Nic to jednak nie znaczy. Znam go dobrze, gdyż walczyłem z nim razem już pod Sebastopolem. Jest odważny, jak lew, i zaręczam ci, że ani oka nie zmruży, choć o dziesięć kroków luły karabinów skierują się na niego. Oprócz tego słyszałem jeszcze, gdy panowie oficerowie wychodzili z sądu, — opowiadałem ci już, że dziś do południa byłem na odwachu — jak pułkownik odezwał się w przedśionku do tego grubego majora: »Jestem ciekawy, czy równie będzie uparty, gdy runie na ziemię?« Czyż to nie dosyć wyraźnie, Mošku? Taki stary żołnierz, jak ja, rozumie doskonale, co te słowa znaczą!«

»Nie wątpię o tem, Wacławie!« potakiwał mu żyd, pogrążony w zadumie. »A cóż ty na to?«

»Ja?« zapytał żołnierz nieco zdziwiony.

»No tak, ty przecież opowiadałeś mi, że walczyłeś pod jego komendą w bitwie pod Sebastopolem, i że był dla ciebie zawsze dobrym i sprawiedliwym przełożonym.«

»Tak, to prawda, Mošku. Przysięgam na Matkę Boską Częstochowską, że chętnie poświęciłbym lewą rękę, gdybym mu teraz w czem mógł pomóc.«

Żyd rzucił tajemne, szybkie spojrzenie na siedzących naprzeciwko, a potem uśmiechając się, mówił:

»Gdybyś oddał lewą rękę, pocziwy Wacławie, nie mógłbyś dłużej być żołnierzem.«

»To fraszka! Czy sądzisz, że z przyjemnością wlażem w ten mundur i że nie ściągnąłbym go najchętniej dziś jeszcze?«

»Oj wiem, wiem i pamiętam dobrze, choć wtenczas dzieckiem jeszcze byłem, co to było za narzekanie w całym mieście, gdy cię przed dziesięciu laty z rodzinnego Piotrkowa porwano w żołdacy. Nie zapomnę szczególniej matki twojej, Wacławie, tej dzielnej kobiety, która nawet dla nas, biednych żydziaków, miała zawsze przyjazny uśmiech i słowa uczciwe. Widzę ją jeszcze biegającą po mieście i rwącą siwe włosy.«

»Dosyć, dosyć Mojżeszu«, powiedział żołnierz, którego twarz spochmurniała nagle. »Nie rozrzewniaj mnie! Ta nie-szczęśliwa kobieta od dwóch lat nie żyje, a ja jej od czasu branki jeszcze nie widziałem.«

»Ale masz jeszcze zamężną siostrę w Piotrkowie.«

»I tej już pewno nigdy nie zobaczę, chyba że przy obecnych ciągłych zmianach miejsca, pułk nasz przypadkowo tam zajdzie.«

»Ażeby może miasto wzięść szturmem i puścić je z dymem.«

Żołnierz pobladł i przygryzł wargi.

»Jak długo musisz jeszcze służyć wojskowo?« zapytał żyd po chwili.

»Okolo dziesięciu lat.«

»Dla Boga! to jeszcze bardzo długo. Kto wie, czy w ogóle powrócisz do domu? Może gdzie na Kaukazie polegiesz albo —«

»Żydzie, nie krakaj złowróź!« przerwał gwałtownie żołnierz, którego twarz stawała się coraz chmurniejszą.

»No, nie bierz mi za złe bracie, życzę ci przecież dobrze. Czyż nie mam racji? — Życie żołnierza, to psie życie!«

»Bóg to wie najlepiej!« odpowiedział Wacław wzdychając.

»Dwadzieścia lat służby, lichego żołda, marny wikt i wieczny strach przed aresztem i knutem. Nadto jeszcze strzelać do swoich rodaków, może dach nad głową rodzonej siostry pod pałac i na koniec w najlepszym razie wrócić do domu na ciężkim kaleką!«

Żołnierz schwycił gwałtownie szklanę i za jednym ciągnięciem ją wypróżnił.

»Ale po co narzekać, kiedy nic zmienić nie można?« ciągnął dalej. »Wróćmy lepiej do twego biednego kapitana

Cobyś na to powiedział, Wacławie, gdyby cię odkomenderowano do strzelania do niego?«

»Mnie?« zawołał żołnierz, blednąc coraz więcej. »Dla czego mnie właśnie?«

»No, jest to przecież możliwe, a tobie nie pozostawałoby nic innego, jak słuchać. Czy nie tak?«

»Wolałbym raczej sobie kulę w łeb wpakować!«

»Kiedy odbędzie się egzekucya?«

»Bo ja wiem? — Prawdopodobnie musi Wielki Książę dać pozwolenie, na które z pewnością długo nie będą potrzebowali czekać, — najpóźniej dwa do trzech dni.«

Teraz Mojżesz zbladł.

»I mówisz to tak spokojnie?« zapytał.

»Czyż mogę to zmienić?«

»Kto wie«, szepnął mu żyd, zbliżywszy się i patrząc na towarzysza błyszczącym wzrokiem, którego znaczenie żołnierz zdawał się pojmować. — »Kto wie, czy nie mógłbyś tego zmienić, Wacławie.«

»Czyś zwaryował, Mošku?« zapytał żołnierz, wpatrując się w żyda.

»Cicho, bracie, nie unos się przy ludziach. Czyż byłbyś w stanie zdradzić swego rodaka, twego przyjaciela, tego małego żydziaka, który znał i kochał twoją matkę, zmarłą z tęsknoty za tobą — jednym słowem, czy zdradziłbyś Mojżesza Lipmana?«

»Do diabła, tego nie uczynię nigdy. Ale cóżes ty mówił o moim kapitanie?«

»Ja cię pytałem, czy masz tyle odwagi, co biedny żydowski kramarz, aby go ocalić?«

»Ja odwagi? Gdybyś mnie widział pod Sebastopolem! — A ty? Czego ty chcesz właściwie?« wyjąkał zmieszany żołnierz.

»Słuchaj mnie i nie przerywaj!« odpowiedział żyd. — »Możesz potem robić, co ci się podoba, możesz nawet żyda Lipmanna zaprowadzić na szubienicę, jeżeli ci na to sumienie pozwoli.«

»Co ty gadasz, Mošku! Ja cię dotąd jeszcze nie rozumiem.«

»Cicho! Tyś mi powiedział, a więcej jeszcze z twojej twarzy wyczytałem, że niechętnie służysz w wojsku i wolałbyś do swego gniazda powrócić. Nie chciałbyś na Kaukazie wyjść na dziada ani domku swojej siostry i całego jej dobytku

puszczać z dymem, ani strzelać do swoich rodaków i do swego kapitana. Nie potrzebowałbyś lewej ręki tracić, Wacławie, a mógłbyś wiele czynić i lepiej w życiu się pokierować, niż to teraz myślisz, gdybyś tylko mojej rady posłuchał.»

Żyd, na którego twarzy silne odbijało się wzruszenie, szeptał jeszcze długo żołnierzowi do ucha. Wacław słuchał go uważnie, stając się przy tem coraz bledszym.

»Ale przysięga?« zapytał głucho.

»Czyś im dobrowolnie przysięgał? Czy cię do tego nie zmuszono?«

»To prawda!«

»A więc, gwałtem wymuszona przysięga nie znaczy nic wobec religii. Każdy ksiądz katolicki z niej cię rozwiąże.«

Po długiej chwili, w której Żyd z niewyczerpaną wymową starał się przekonać żołnierza, przerwał mu nagle Wacław, choć coraż więcej zdawał się ulegać i krzyknął:

»Niemożliwe!«

»I to mówi ten, który walczył pod Sebastopolem?« pytał Mojżesz Lipmann tonem prawie szyderczym. »I to mówisz do biednego Żyda, który na takież samo naraża się niebezpieczeństwo, co i ty? — Wacławie, ja mam w domu żonę i dziecko, których kocham więcej, jak samego siebie, ale mam także wdzięczne i odważne serce i zanim z zimną krwią miałbym się przyglądać, jak do tego człowieka, któremu wszystko zawdzięczam, strzelać będą jak do psa, zanim —«

»Masz rację, Mošku!« przerwał nagle żołnierz, ściskając kurczowo rękę Żyda. »Co po mojem życiu, jeżeli mam je dalej tak wieść, jak w ostatnich latach dziesięciu? Powiedz tylko, co mam czynić, — oddaję ci się z duszą i ciałem.«

»Nie mnie«, odpowiedział Żyd z pewnym rodzajem dumy. »Poświęcasz je twemu dzielnemu kapitanowi, twej Ojczyźnie, twej rodzinie i swemu własnemu szczęściu.«

Obydwaj rozmawiali jeszcze dłuższy czas tajemniczo, następnie rozeszli się po przyjaznem pożegnaniu uściskiem dłoni, wyrażającym wzajemne porozumienie.

Żyd szedł, mając tryumfujący wyraz twarzy, żołnierz zaś poważny i zamyślony powrócił do swej kwatery.

Następnego dnia t. j. 6-go marca pełnił znowu Wacław służbę na głównym odwachu w ratuszu. Wprawdzie

przyszła jeszcze na niego kolej, ale on już umyślnie tak wszystko urządził.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że był to ten sam dzień, w którym ogłoszono ostateczną decyzję Wielkiego Księcia w sprawie Ignacego. Naturalnie, iż prości żołnierze nic o tem nie wiedzieli. W całym mieście panowało przekonanie, iż następnego rana oficer, którego z wiadomych powodów osądzono na śmierć, będzie rozstrzelanym.

Świeża warta, która w południe złuzowała starą, nie wiedziała nic, że rano wezwano chirurga do więźnia, który puszczaniem krwi przywrócił go znowu do życia. Wiadomość ta bowiem nie wyszła poza koła oficerów.

Ignacy wróciwszy do przytomności i przypomniawszy sobie wszystko, co go spotkało, popadł jakby w stan półsnu, w którym jakkolwiek pojmował całą grozę położenia, nie miał jednak siły oburzyć się i rozpaczą wybuchnąć. Leżał cały dzień na łóżku z oczami wlepionymi w sufit swojej celi, nie myśląc o niczem wyraźnie. Starał się koniecznie zapomnieć o rzeczywistości i wmawiał w siebie, że to tylko sen okrutny go dręczy.

Jedzenie stało nietknięte. Wieczorem przyniósł dozorca więźniowi światło i powiedział, że byłoby dobrze, gdyby się cokolwiek do drogi przysposobił, gdyż nazajutrz rano wywiezą go z Kutna.

»Dokąd?« zapytał Ignacy jakby nieprzytomny.

»Myślę, iż do Warszawy.«

Stary żołnierz nie był człowiekiem pozbawionym serca. Dla więźnia, zwłaszcza od chwili, gdy się przekonał, z jakim spokojem wysłuchał skazaniec wyroku śmierci na siebie i jakie przynębiające wrażenie wywarło nań ułaskawienie przez Księcia, miał wiele współczucia. Wyszedł więc prędko z celi, aby nie przedłużać rozmowy, gdyż czuł to dobrze, że każde słowo, jak ostrze noża raniło serce Ignacego.

Gurowski jednak rozumiał już wszystko. A więc za kilka godzin wywiezą go tam, do Warszawy, aby, wśród najwięcej poniżających ceremonii odsadzić go od czci, wykreślić z grona obywateli państwa a zaliczyć do rzędu najpodlejszych zbrodniarzy! Był znowu bliskim szaleństwa, pohamował się jednak i w głuche zapadł milczenie. Myśli o samobójstwie zbudziły się na nowo. Czyżby nie miał znaleźć sposobu odebrania

sobie życia? Można się przecież powiesić na chustce do nosa, lub żyły szkłem sobie przeciąć, albo głowę o mur rozstrzaskać!

Jakkolwiek jego uczciwa i prawa natura wzdrgała się przed podobnym czynem, jednak głos jakiś szeptał mu do ucha: »Lepsza śmierć niż wstyd.« Wtedy ogarnęła go dzika, prawie szalona ochota odebrania sobie życia w jakikolwiek sposób.

W chwili tego bezgranicznego zwątpienia zarysowały się w jego wyobraźni dwie postacie tak wyraźnie, jakby je w rzeczywistości własnymi oglądał oczyma. Pierwszą z nich była jego matka, ta kobieta, która w życiu swoim cięższe z pewnością przeżyła bóle i cierpienia, niż syn jej w tej chwili. Wzrokiem smutnym zdawała się go błagać, aby nie tracił Wiary i Nadziei i tym grzesznym czynem nie zrywał jedynej spójni, jaka ją z życiem łączyła. Drugą postacią była Henryka. Ta patrzyła na niego poważnie i wyzywająco, jak podczas owej walki z wilkami, a wzrok ten wyrażał jakby zapytanie: »Czyż odważnym być umiesz tylko na polu walki? Czy wolno człowiekowi zwątpić kiedykolwiek?«

Zachwiał się więc w swem postanowieniu. Do odebrania sobie życia odeszła go ochota. Im dłużej myślał o tych dwóch ukochanych istotach i przypominał sobie dziecinne lata, tem większe ogarniało go rozrzewnienie. Niejedna łza spłynęła mu po rozpalonej od wzruszenia twarzy.

Takie to sprzeczne uczucia miały nieszcześnie. O śnie ani nie pomyślał. Jakże mógł dobrowolnie skracać sobie chwile, jakie mu jeszcze do ostatecznego rozstrzygnięcia losu zostawały?

Na odwachu szło wszystko utartym zwyczajem. Co dwie godziny zmieniały się stráže, a w przerwach wolno było żołnierzom zdrzemnąć się na wielkich, drewnianych pryczach w pełnem uzbrojeniu. Z pozwolenia tego chętnie każdy korzystał. W oficerskiej izbie paliło się światło przez całą noc, ale dyżurny oficer po odejściu ostatniej rondy nigdy się u żołnierzy po północy nie pokazywał.

Noc była jasna i zimna. Księżyc stał wysoko na niebie a przez jaśniejące gwiazdami firmament pojedyncze i lekkie tylko przeciągały chmurki.

O północy stał Wacław wraz z jednym jeszcze towa-

rzyszem na straży przed odwachem w celu pilnowania zawieszonych w przedsionku muszkietów i odpoczywających żołnierzy. Obydwaj z bronią na ramieniu biegali po ulicy, tupając dla ogrzania się nogami, jak wszyscy zwykle czynimy, będąc wśród mrozu zmuszeni, dłuższy czas pozostawać na dworze.

Wacław był zawsze znanym jako wesoły towarzysz, przez dobę jednak bardzo się odmienił. Chodził ponury, zamyślony i trudno było z niego słowo wydostać. Koledzy spoglądali na niego najpierw ze zdumieniem, a w końcu zaczęli go wypytwać o przyczynę złego humoru.

»Co was to obchodzi?« odpowiedział szorstko. »Czyż mam się śmiać i żartować, choć nie mam do tego ochoty?«

»Ale cóż ci się stało, bracie?«

»Nic!« odbąknął i odwrócił się szybko.

Towarzysze jednak odgadywali powód tego smutku a nawet go do pewnego stopnia dzielali. Wielu z nich odbyło niejedną wyprawę z kapitanem Gurowskim i pamiętało jego odwagę i sprawiedliwość względem poddanych mu żołnierzy. Wiadomo, że nic tak nie przywiązuje podwładnych do przełożonych, jak wspólnie przebyte trudy i niebezpieczeństwa. Dzieje się to szczególnie przy wojsku, jeżeli oficer nie stara się nawet korzystać z praw, jakie mu wysokie stanowisko nadaje. Ignacy był zawsze kochanym przez swych ludzi. Choć w czasie sądu wojennego świadczyli niektórzy przeciw niemu, uczynili to jednak tylko ludzie zupełnie zepsuci, albo też tacy, którymi kierowała obawa przed pułkownikiem. Do takiej ofiary, jakiej się w Wacławie już domyślamy, nie byłby żaden zdolny. Nawet Wacławowi nie byłoby z pewnością przyszło na myśl, poświęcić się dla kapitana, gdyby nie namowy żyda Mojżesza Lipmanna.

Mniej więcej o wpół do pierwszej w nocy ostatnia ronda skontrolowała straż. Po jej odejściu wszyscy, z wyjątkiem obydwóch sztyldwachów ułożyli się na pryczach. Wkrótce śliczny koncert chrapiących rozbrzmiewał wśród ciszy. Nawet oficer śnił słodko, siedząc na krześle z poręczami.

Oba sztyldwachy, stosując się ściśle do rozkazu, nie zamieniały z sobą ani słowa.

Nagle po przeciwnej stronie od głównego wejścia do

ratusza dały się słyseć skargi i jęki ludzkie o tyle głośne, że doszły wyraźnie do uszu czuwającej straży.

»Musiało się stać jakieś nieszczęście«, rzekł Wacław do swego towarzysza, młodego Moskala, który niedawno dopiero wstąpił do wojska. »Idźże Iwan między rzeźniczkie budy i zobacz, co się tam stało.«

»Nie mogę przecież opuścić stanowiska?« odpowiedział tenże wahając się.

»Baranie! czyż ja tu nie pozostanę? — Może w tem przecież kryć się jakiś podstęp, a naszym obowiązkiem jest zwracać pilną uwagę na wszystko, co się w pobliżu ratusza dzieje.«

Rekrut usłuchał starszego towarzysza. Zaledwie doszedł do skrzyżtka, gdy z przeciwnego rogu wysunęła się ciemna postać i przebiegłszy szybko przez rynek, zniknęła w przedsionku prowadzącym na odwach. Wacław w tym kierunku właśnie pilną zwracał uwagę i musiał wszystko doskonale widzieć, nie zbudził jednak wołaniem odwachu i nie ruszył się z miejsca.

Po chwili wrócił rekrut i zapewniał w prostocie ducha, że nikogo nie widział i wogóle nic podejrzanego nie znalazł.

»To jakieś nieczyste sprawy«, zauważył Wacław kręcąc głową i robiąc znak krzyża świętego.

Spojrzał na niego rekrut zdziwionym i zaniepokojonym wzrokiem, otworzywszy przytem usta szeroko.

»Co chcesz przez to powiedzieć?« zapytał.

»Słuchaj, przyjacielu, przecież słyszałeś jęki tak samo wyraźnie jak i ja?«

»Naturalnie.«

»I nic nie znalazłeś. Teraz już rozumiem. Otóż wiesz co?« To duch kapitana, który jutro ma być straconym, krąży już wokoło.«

Zababonny Moskal zadrżał ze strachu.

»Jestem doświadczonym żołnierzem i takie rzeczy już przeżyłem«, ciągnął dalej Wacław. Chcąc jak najdłużej zająć uwagę żołnierza, zaczął mu opowiadać najstraszniejsze historie o duchach.

A teraz podążmy za tą tajemniczą postacią, która widocznie w porozumieniu z szyldwachem wsunęła się na odwach. Domysłają się już zapewne czytelnicy, że nie był to nikt inny, tylko żyd Mojżesz Lipmann. Trzeba przyznać,

że posiadał wiele odwagi, tak rzadko spotykanej w jego własnym plemieniu.

Miał na sobie zwyczajny kostium, na który zarzucił kożuch barani, na buty zaś wciągnął filcowe pantofle. Tym sposobem mógł się szybko poruszać, a chód jego był cichy i zaledwie dosłyszalny.

Przesuwał się więc jak cień przez cały korytarz aż do pierwszego stopnia schodów, prowadzących na piętro. Tu stanął i nadśluchiwał. Z ostatniego końca korytarza dochodził do uszu jego lekki kaszel.

Nie wiadomo, czy żyd dawniej już znał rozkład odwachu, czy też Wacław tak dokładny mu dał opis, dosyć, że umiał się doskonale oryentować, czego dowodem była jego pewność, że dozorca znajduje się w swojej izbie. Zaczął więc wstępować na schody wolniuteńko i tak cicho, że o dwa kroki już go słyseć nie było. Wszedłszy na górę, stanął znowu i słuchał.

Korytarz oświetlała tylko mała, olejna lampka.

Najzupełniejsza cisza panowała wokoło. Stary sierżant przestał kaszleć i spał spokojnie, choć może nie tak mocno, jak zwykle.

Mojżesz Lipmann wyciągnął z kieszeni kożucha brudną, kolorową chustę i flaszeczkę, napelnioną do połowy bezbarwnym płynem. Odwróciwszy głowę, wylał tyle płynu na chustę, że się dostatecznie zwilżyła. Potem flaszeczkę schował i trzymając ostrożnie chustę za plecami, posuwał się dalej aż do otwartych drzwi do celi dozorca. Zajrzał uważnie do jej wnętrza.

Stary leżał spokojnie wyciągnięty, lekkie tylko oddychanie dowodziło, że nie spał twardo.

Cicho i zwinnie jak kot przyskoczył Mojżesz Lipmann do niego i podsunął pod nos mokrą chustkę.

Śpiący zrobił ruch, jakby chciał się zerwać, ale upadł natychmiast ciężko, jak olów. Mięśnie twarzy drgały mu kurczowo. Leżał wyciągnięty i sztywny. Zrobił jeszcze kilka poruszeń ręką i palcami, ale i to wkrótce ustało.

Z uśmiechem zadowolenia rozwinał Mojżesz chustkę i zakrył nią twarz odurzonego. Poczekał jeszcze kilka sekund, odczepił śpiącemu ostrożnie pęk kluczy od pasa szabli i wziął

je z sobą. Uważnie oglądał każdy klucz z osobna i badał dziurkę w zamku celi Ignacego. Ostrożnie przesuwał klucze, wybierał.

Nareszcie zdecydował się, podniósł rygiel i jak tylko można najciszej, otworzył obydwie zamki.

Więzię siedział jeszcze na łóżku w tej samej pozycji w jakiej go zostawiliśmy. Złamany zupełnie wsparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w rękach, które od łez czy też śmiertelnego prawie potu zupełnie były wilgotne.

Nagle posłyszał szmer pode drzwiami. Klucz obrócił się w zamku. Cożby o tej porze chciał od niego dozorca? Zkąd się tu wziął, kiedy nawet kroków jego słyhać nie było? Miałoby już nadejść czas, w tę straszną podróż wyruszyć?

Oślupiałym wzrokiem patrzył przed siebie.

W tej chwili drzwi się otworzyły. Ignacy nie dowierzał własnym oczom. Czyżby go sen zmarzył?

Miałoby to być żyd Mojżesz Lipmann, którego od branki uwolnił i którego po przybyciu swoim do Kutna spostrzegł na dworcu?

A jeżeli to on rzeczywiście, jeżeli to nie sen ani rozbijała fantazja, to jakim sposobem ten człowiek wszedł jak duch i co chciał od niego?

Ignacy potarł oczy, ale zjawisko nie zniknęło. Żyd położył palec na ustach na znak milczenia i zbliżył się, drugą ręką wskazywał, żeby Ignacy pozostał na miejscu.

Więzię wskutek wzruszenia nie był nawet w stanie się poruszyć.

„Panie kapitanie!”, szepnął żyd, którego uwagi nie uszło zdumienie Ignacego, „jestem Mojżesz Lipmann, żyd z Miodowej ulicy, któregoś pan wyratował, a który ci teraz przychodzi okazać swoją wdzięczność. Jesteś pan wolny. — Ależ zapanuj pan nad sobą, na Boga! Nie mamy chwili do stracenia, tu chodzi o życie trzech ludzi!”

„Zkąd się tu wziąłś Mojżeszu?”, zapytał Ignacy cały drżący nerwowo, nie mogąc jeszcze pojąć dobrze słów żyda.

„O tem dowiesz się pan później”, odpowiedział żyd. „Teraz zarzuć pan prędko to futro na swój mundur i chodź za mną. Kilkaset kroków poza miastem stoi lekki wózek, który nas szybko ztąd uniesie.”

„Ale dozorca, Mojżeszu?”

„Ten śpi i nie prędko się obudzi.”

„A szyldwachy?”

„Puszczą nas bez przeszkody, a jeden pójdzie nawet z nami. Wszystko już przygotowane, tylko nie ociągaj się pan dłużej.” Żyd mówił nalegając, przyczem ściągnął futro i podał je Ignacemu.

Ten jednak wskutek ostatnich przejść stracił dawną energię. Ociągał się więc i z niedowierzaniem pytał:

„Gdzież mnie chcesz zaprowadzić Mojżeszu?”

„Boże przodków moich! Gdzieżby, jeżeli nie na wolność?”

„Pochwyć nas i zgubię cię wraz ze mną.”

„Co do mnie”, odpowiedział Mojżesz poważnie, „choć tylko ubogim jestem żydem, nieraz już śmierci zaglądałem w oczy i to bez strachu, jak się pan wkrótce o tem przekonasz. Nie myśl więc pan o mnie. A ciebie, panie kapitanie, jakież los gorszy może jeszcze spotkać, jak rozstrzelanie?”

Ignacy przypomniał sobie, iż przed chwilą jeszcze myśląc nad tem, co go czekało, śmierć uważał za dobrodziejstwo. To przypomnienie w rozpacz go znowu wprawiło. Nie ociągał się więc dłużej i rzekł:

„Posłucham cię, Mojżeszu, niech się dzieje, co chce!”

Wyrwał gwałtownie futro z rąk żyda i ubrał się w nie.

„Bogu niech będą dzięki, że nareszcie przyszedł do rozumu!” szepnął żyd do siebie i mówił dalej:

„Naciągnij pan jeszcze te filcowe trzewiki, gdyż chód pański niepewny. Tak. Teraz trzymaj się pan blisko mnie, stąpaj jak najciszej, gdyby zaszło coś nadzwyczajnego, rób to, co ja.”

Ignacy szedł jak w śnie, stawiał rzeczywiście niepewne kroki, gdyż drżał na całym ciele.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY.

Oswobodzenie kapitana Gurowskiego.

Stary sierżant leżał wciąż jeszcze bez ruchu na łóżku. Żyd przechodząc koło drzwi otwartych do jego celi, spojrzał przelotnie i kiwnął głową z zadowoleniem. Ignacy tak był rozstrojony, że nic nie widział.

W innych lokalach odwachu było również cicho. Gdyby kto nagle zaszedł im drogę, byłoby wszystko stracone. Wiedział o tem Mojżesz i serce biło mu gwałtownie, choć nie pokazywał tego po sobie. Schwyciwszy rękę kapitana, ciągnął go szybko przez sień aż do przedsionka.

Obydwa szyldwachy rozmawiały jeszcze. Rekrutowi coraz straszniej robiło się na sercu, gdy słuchał opowiadań towarzysza. Waclaw nie zapomnił skrycie spoglądać na drzwi prowadzące do wyjścia.

W tej chwili ukazały się w nich dwie postacie. Przy padkowo i Moskal spojrzał w tę stronę, a ponieważ było dość jeszcze jasno, rozpoznał, że to nie była nowa straż, ale ktoś obcy. Krzyknął więc nagle, jakby domyślił się całej prawdy: »Jesteśmy zdradzeni!« i pobiegł, nie zważając na swego towarzysza, do budki strażniczej, z której na rosyjski odwach przeprowadzony jest dzwon do celi strażniczej. Dzwonu tego używa posterunek za sygnał, aby żołnierze stanęli pod bronią.

Ale Waclaw był jeszcze zwinniejszym. Rysy twarzy mu się przeciągnęły, oczy zaiskrzyły, schwycił obiema rękami muszkiet, powalił na ziemię towarzysza i wpakował mu bagnet między żebra z taką siłą, że go przeszył na wylot. Nieszczęśliwy padł trupem, nie wydawszy z siebie ani jednego jęku.

»Stało się!« westchnął ciężko Waclaw. »Inaczej groło nie mogłem.

Ponieważ rekrut już nie żył, nie troszczył się więc o niego Waclaw dłużej, tylko odwrócił się i szybko podążył za uciekającymi, którzy już znajdowali się na rynku.

Na odgłos kroków obrócił się nagle Ignacy i zadrżał na widok zbliżającego się żołnierza. Myślał naturalnie, że jego zniknięcie zostało już odkrytem.

»Spiesz się pan«, nalegał żyd i ujawszy znowu rękę Ignacego, ciągnął go za sobą. »Nie potrzebujesz się go obawiać, bo on z nami idzie. To Waclaw z pańskiej kompanii, który tak samo starał się pana oswobodzić jak ja.«

W tej chwili nadszedł żołnierz. Pocałował prędko rękę oficera i szepnął:

»Waclaw nie zapomniał, że pod twoimi rozkazami walczył, panie kapitanie, on nie mógł opuścić cię w nieszczęściu i już do śmierci przy tobie pozostanie.«

Ignacy nie mógł zdobyć się ani na jedno słowo odpowiedzi. On wogóle nie pojmował nawet w części, co się z nim stało.

Z rynku aż do wylotu ulicy, prowadzącej z miasta na południe, było zaledwie kilkadziesiąt kroków. Wyjście to z powodu w bliskości znajdujących się powstańców było przez podwójne straże strzeżone. Z tego powodu musiano nadłożyć drogi i przejść między stodołami, których tu znajdowała się znaczna ilość.

Niedługo znaleźli się poza miastem na polnej drodze. Tu stał lekki odkryty wolant zaprzężony w trzy konie, któremi powoził mały żydowski chłopiec. Ten widokiem trzech nadchodzących mężczyzn nie zdawał się być wcale zdziwionym, jak to później zauważył Ignacy.

Wszyscy trzej nie mając dotąd czasu porozmawiać z sobą, wsiedli szybko do powozu, a tenże potoczył się w największym pędzie.

Szosa prowadziła do Piotrkowa, oddalonego stąd mniej więcej dziesięć mil.

Konie pędziły, ile im tylko sił starczyło, a żydziak popędzał je jeszcze batem.

Ignacy siedział wciąż jakby ogłuszony, choć z przyjemnością oddychał świeżem, zimnem powietrzem nocy, którego płuca jego tak były spragnione. Waclaw przypatrywał mu

się, zdziwiony niezmiernie milczeniem i jak mu się zdawało, upadkiem ducha kapitana. Żyd to spostrzegł i cicho rzekł mu:

»Nie dziw mu się, Waclawie. Co innego iść na wycelowane paszcze nieprzyjacielskiej baterii, a inna rzecz być skazanym na rozstrzelanie.«

»Takim jeszcze go nigdy nie widziałem«, odpowiedział żołnierz powoli.

»To przejdzie. Moje interesy dobrze poszły. Stary sierżant zasnął wybornie i życzę mu z całego serca, aby się rano obudził, bo z chloroformem niepewna rzecz. — Zabija, jeżeli zbyt wielką zażyje się dozę. Ale ty pewno nie wiesz, co to jest chloroform?«

»Nie, ale musi to być gwałtowny środek, skoro takiego niedźwiedzia, jakim jest stary sierżant, pokonał. A więc wszystko w porządku. Ty użyłeś trucizny, a ja bagnetu. Niech mi to Bóg przebaczy i Najświętsza Matka Częstochowska.«

Waclaw przeżegnał się znowu.

»Przelałeś więc krew?« zapytał żyd, drgnawszy.

»Byłem do tego zmuszony. Byłbym wolał zakneblować mu usta i związać go, ale mi na to nie pozostawił dosyć czasu. Dziwne to jednak! Ileż razy chwalono mnie, że tyle przelałem krwi ludzkiej — naturalnie na polu walki — no i sam dumny z tego byłem. Nie bez zasługi przecież zdobyłem medal piersi moją. Dziś powieszonoby mnie za to, że zabiłem człowieka tylko z musu, w obronie mojego kapitana, którego ratować było moim obowiązkiem!«

Obydwaj zamyslili się głęboko, co nawet Ignacy zauważył.

Ujechano już co najmniej cztery do pięciu mil, aż wreszcie zatrzymał się powóz przed niedźnią, tuż przy drodze leżącą karczmą. Krótki odpoczynek, choć narażał na niebezpieczeństwo pogoni, był jednak koniecznym ze względu na konie robiące bokami i buchające parą ze zmęczenia.

Mojżesz Lipmann zeskoczył szybko z woza i poszedł do zamkniętego domu. Towarzyszący zaś swoim polecił, aby zostali na wozie. Zapukał do drzwi kilka razy w pewnych od-

stępach, co w rzeczywistości było umówionym z mieszkańcami sygnałem.

W parę minut otworzyły się drzwi, i stary żyd, którego roztargane włosy i kostyum w nieładzie świadczyły, że go ze snu wyrwano, stanął na progu, kiwnął głową Mojżeszowi i z pewnym rodzajem trwogi rozejrzał się dokoła. Gdy spostrzegł siedzących na wozie żołnierzy w wojskowych płaszczach, wystraszył się na dobre, ale Mojżesz zbliżył się do niego szybko i kilku słowami uspokoił zupełnie.

Ignacy i Waclaw widzieli, jak się obydwaj żydzi przyjaźnie uściskali i zaczęli z sobą pertraktować, żywo gestykulując. Z rozmowy tej jednak nie można było żadnego zrozumieć słowa.

Tymczasem zaczęło się robić coraz jaśniej i pierwsze brzaski zwiastowały dzień. Teraz dopiero Ignacy zaczął się budzić jakby ze snu i rozpoznawać naprzeciw siedzącego żołnierza. Teraz dopiero zaczęła mu się cała przeszłość w pamięci jasno przedstawiać.

»Zkąd się tu wzięłeś Waclawie?« zapytał towarzysza.

»Hm, panie kapitanie«, odpowiedział tenże pokornie i nieco zakłopotany, bo uważał zawsze jeszcze Ignacego za swego przełożonego, — nie szło inaczej. Uciekłem, dezertowałem.«

Ignacy zarumienił się mimo woli, po chwili zaczął znowu.

»Nie chciałeś mnie opuścić, pocziwy Waclawie, nie prawdaż? Tyś mi pozostał jedynym przyjacielem.«

»Nie mogłem pozwolić, aby zastrzelono pana kapitana — a wreszcie zbrzydła mi służba i nie chcę walczyć przeciw tym, których mi Pan Bóg za braci przeznaczył. Nie odstąpię już nigdy mego kapitana, gdziekolwiek on pójdzie, do Kutna tylko wracać bym nie chciał«

»Tak, mój szlachetny chłopcze«, mówił Ignacy wzruszony, podając rękę Waclawowi, którą tenże zamiast uścisnąć, pocałował, »przypominam sobie, iż mi Mojżesz Lipmann powiedział, że tyle co i on przyczyniłeś się do mego oswobodzenia. A choć nie wiem w jaki sposób to zrobiłeś, dziękuję ci serdecznie i przyrzekam, że tylko z tobą przejdę granicę, jeżeli naturalnie uda nam się szczęśliwie do niej dostać.«

»Przez granicę?« pytał tonem rozczarowania, choć tak nieśmiało, jakby nie czuł się w prawie sprzeciwiać kapitanowi. W tej chwili wrócił Mojżesz Lipmann i zaczął szybko opowiadać.

»Mój współwynawca i stary przyjaciel da nam świeże konie, gdyż temi nie ruszylibyśmy z miejsca a musimy się spieszyć, bo obawiam się, że kozacy pogonią za nami. Musi pan, panie kapitanie zdjąć mundur, również i ty Wacławie, gdyż wojskowe ubranie przy jasnym dniu zdradziłoby nas niezawodnie. Nowe rzeczy są już przygotowane. Zsiadajcie tylko panowie. Musimy się także posilić i rozgrzać, bo ranek jest zimny, a droga czeka nas daleka. Na to wszystko mamy zaledwie dziesięć minut czasu, trzeba więc spieszyć się bardzo.«

Najwidoczniej wiedział Aaron, takie bowiem imię miał stary żyd, o szlachetnym czynie Ignacego względem Mojżesza Lipmanna, gdyż powitał zbliżającego się Gurowskiego głębokim ukłonem, pocałował koniec jego płaszcza, a wzrok żyda wyrażał nadzwyczajny szacunek, nawet podziw. Nie było jednak czasu na długie rozmowy. Podczas gdy przebudzona ze snu żona Arona przygotowywała na prędko śniadanie, Ignacy, którego Mojżesz do małej izdebki wprowadził, zmieniał szybko swój mundur na skromne ubranie, jakie noszą zwykłe zamożniejsi obywatele małych miasteczek.

Zmiana położenia wpłynęła dodatnio na Ignacego. Przyszedł do siebie, i odrętwienie, w jakie go przebyte w więzieniu cierpienia pogrążyły, znikło zupełnie.

To też znalazłszy się sam na sam z Mojżeszem, nie wstydził się Gurowski uściskać żyda i wyrażał mu w gorących słowach swoją wdzięczność. Żyd, jakkolwiek tą serdecznością czuł się trochę zmieszany, uśmiechał się jednak przyjaźnie i dumnie spoglądał.

»Za wiele łaski, wielmożny panie«, mówił on. »Pan przecenia moją przysługę. Ja przecież spełniłem tylko mój obowiązek. Czyż nie zawdzięczam wszystkiego, co mam i czem jestem, panu? Cóżby się było stało z moją żoną, dzieckiem, ze mną samym, gdyby mnie byli zabrali w soldaty i powlekli w głąb carstwa, z kąd z pewnością nie byłbym powrócił, nie byłbym swoich nigdy oglądał?«

»To uczucie wdzięczności przynosi ci zaszczyt, kochany Mojżeszu«, odpowiedział Ignacy. »Przymiot ten rzadko nader spotyka się u ludzi.«

»Ja nietylko obowiązek, ale dług zaciągnięty przez moją żonę względem pana spłaciłem. Któż wie, czy to nie ona nieszczęsna swoją porywcznością nie sprowadziła na pana całego nieszczęścia?«

»Nie mówmy o tem. — Zapewniłem ją przecież, że jej przebaczam. Ale powiedz mi, Mojżeszu, jakim sposobem dowiedzieliście się o moim w Kutnie pobycie i z kąd się tam wzięliście, skoro, jak myślę, ukrywaliście się w okolicach Piotrkowa?«

»Na te pytania odpowiem panu w odwrotnym porządku«, mówił żyd, lekko się uśmiechając. »Rzeczywiście uciekłem do Piotrkowa, z kąd byłem rodem i ukryłem się w okolicy u moich dobrych przyjaciół. Niebawem przekonaliśmy się, że nikomu ani się śniło mnie ścigać. Ponieważ władze miejskie znały mnie jako człowieka spokojnego i o nic nie podejrzwały, więc też nie uległem po raz drugi nieszczęściu i nie dostałem się powtórnie na listę rekrutów.«

»A czemuż rosyjska policja w Warszawie miała o tobie tak niekorzystne wyobrażenie?« zapytał Ignacy.

»Gdybym chciał panu dokładnie wszystko opowiedzieć, musiałbym mieć więcej czasu, jak go obecnie mamy«, odpowiedział żyd z filuternym uśmiechem. »Dość, że mnie obwiniono, jakobym tajemnemu rządowi narodowemu tu i owdzie małe oddawał przysługi, czego jednak Mojżeszowi Lipmannowi nie udowodniono.«

Ale oni mieli rację, Mojżeszu, prawda?«

»Przed panem kapitanem nie mogę się tego zaprzecć«, odpowiedział żyd, kiwając głową.

»Nie nazywaj mnie kapitanem«, odrzekł Ignacy, spuszczając mimowoli oczy, gdyż trzeba ci wiedzieć, iż wczoraj Wielki Książę i Namiestnik zamienił w drodze łaski wyrok śmierci na degradację i zesłanie na Sybir na lat dziesięć.«

»Śliczna mi łaska!« zawołał żyd z ironią. — Panu wydawała się z pewnością gorszą niż śmierć. Cieszę się więc podwójnie, że nam się ucieczka powiodła.«

»A ja ci jestem podwójnie wdzięczny, przyjacielu.«

»Czuając się w Piotrkowie zupełnie bezpiecznym, ciągnął dalej swe opowiadanie Lipmann, pomagając przytem Ignacemu przy ubieraniu się, »powróciłem do mego dawnego zajęcia, do roznoszenia towarów po okolicy. Nikt nie wiedział, co się tam pod podwójnem dnem mego pudła kryło, ale mogę za ręczyć, że gdyby kozacy odkryli tajemnicę, byłiby mnie na pierwszej lepszej gałęzi powiesili.«

»Czemuż jednak prowadziłeś tak niebezpieczne interesy?« zapytał Ignacy.

»Rząd narodowy płaci dobrze. Zresztą po wszystkich dworach szlacheckich byłem pożądanym gościem.« Zdanie to wypowiedział Mojżesz z pewnym rodzajem dumy, która u każdego innego z jego współwyznawców wydawałaby się komiczną, u niego jednak, ponieważ złożył już dowody poświęcenia się, była zupełnie naturalną. »Z patriotyzmu byłem także szpiegiem i przenosiłem wiadomości z jednego obozu do drugiego. W takim więc samym charakterze przybyłem do Kutna, będąc poprzednio u Mierosławskiego. Przypadkowo zupełnie spostrzegłem pana na dworcu i zdrętwiałem z przerażenia, wiedząc, jaki los pana spotkał z tej tylko może przyczyny, że pan zapewne również szlachetnie, jak ze mną postąpiłeś sobie i względem kogoś innego.

Nie mylisz się, Mojżeszu.

»Byłem tego pewien, że człowiek takiego jak pan charakteru nie mógł się żadnej zbrodni dopuścić. Od pierwszej zaraz chwili powziąłem stanowczy zamiar oswobodzenia pana, choćbym to nawet własną miał przypłacić głową.«

»Szlachetny, zacny człowieku!« rzekł Ignacy, ściskając mu rękę.

Dalej opowiadał Lipmann, jak ułożył sobie plan, aby jakiego polskiego żołnierza z rosyjskiego garnizonu przekupstwem, lub też szlachetniejszymi środkami dla swoich celów pozyskać. Przypadkiem spotkał swego dawnego znajomego i współrodaka Wacława, a w jaki sposób na niego wpłynął i pozyskał go, to już naszym czytelnikom wiadome.

Ignacy skończył właśnie z przebieraniem, gdy wszedł stary Aron, oznajmując, że śniadanie gotowe i świeże konie do powozu zaprzężone. — Stary żyd zapewniał, iż co najmniej od osmiu dni nie widziano żadnego Moskala w okolicy.

powstańcy zjawiali się tu i owdzie w celu zakupu żywności, za którą albo płacili gotówką, albo wydawali kwity do kasy narodowej. Piotrków obsadzony był Moskalami. Dla tego Mojżesz wybrał daleką drogę, aby miasto ominąć.

Przytem było jeszcze jedno nierozstrzygnięte pytanie: dokąd zbiegłego kapitana i Wacława zaprowadzić?

»No, panie kapitanie«, powiedział żyd, wlepiając wzrok badawczy w twarz Ignacego, »myślę, że obóz Langiewicza byłby dla pana najpewniejszym schronieniem. Tak dzielnego i doświadczonego oficera przyjętoby z radością.«

Zdawało się, iż były kapitan miał już gotową odpowiedź na ustach, zamilczał ją jednak i w głębokie popadł zamyślenie. Po dłuższej pauzie powiedział tylko:

»Prowadź mnie, gdzie uważasz za właściwe. Powierzam ci się zupełnie, Mojżeszu.«

W kwadrans później toczył się znowu szybko powóz, w którym siedziały cztery osoby, licząc ku temu i woźnicę. Siedzący w powozie podróżni rozmawiali z nadzwyczajnem ożywieniem. Ignacy dowiedział się teraz dokładnie, w jaki sposób przeprowadzono jego oswobodzenie. Jakkolwiek śmierć dwóch ludzi żałem przejęła Ignacego, nie mógł przecież robić wymówek swoim wiernym przyjaciółom. Wreszcie nie miał czasu długo zastanawiać się nad tem, gdyż pochłaniała go całkowicie myśl, dokąd miał się udać, przyczem staczał sam z sobą zaciętą walkę.

Pozostawały mu dwie drogi, jedna za granicę i to austryacką, gdyż Prusacy wydaliby go na pewno Moskalom, druga — obóz Langiewicza, jak to już powiedział żyd. Wybierając pierwszą, rzucał Ojczyznę, pozbawiony będąc wszelkich środków do życia. Czekala go więc trudna i ciężka walka o byt. Gdyby nawet Polska zwyciężyła, powrót do niej byłby dla Ignacego niemożliwy, gdyż rodacy nie dowierzaliby a może nawet wyrzucaliby mu, iż choć był młodym, silnym i w sztuce wojennej doświadczonym żołnierzem, nie oddał swych sił i zdolności na usługi Ojczyzny, ale z początku walczył nawet przeciwko własnym rodakom.

Z drugiej znowu strony, miałże Langiewiczowi ofiarować swoje usługi i podnieść broń przeciw carowi, któremu na wierność przysięgał? Że Rosyę nienawidził w tej chwili

a miłość Ojczyzny zawładnęła nim potężnie, o tem nikt wątpić nie mógł.

Nareszcie po dłuższem pasowaniu się z sobą doszedł Ignacy do następującego rezultatu. Przez degradację został z przysięgi rozwiązany, nie mógł więc nikt, nawet Moskale wymagać od niego, aby jako zesłaniec do ciężkich robót na Sybir, czuł się jeszcze do wierności zobowiązany. Ucieczka wracała mu wolność a obowiązki względem Ojczyzny, jak również i własne pragnienia prowadziły go do obozu powstańców. Skoro tylko doszedł do podobnego przekonania, postanowił całą duszą i z wszystkich sił dążyć do celu.

Zwrócił się więc do Mojżesza i głosem spokojnym, lecz stanowczym zapytał go, czy ma dokładne wiadomości, gdzie się Langiewicz rozłożył obozem.

Żyd dał odpowiedź potakującą. Wprawdzie nie mógł podać nazwy miejscowości, zajętej wówczas przez generała, wiedział przecie na pewno, że Langiewicz operował w ziemi Krakowskiej, niedaleko granicy, że go więc długo szukać nie było potrzeba.

»Czy pan ma zamiar udać się do niego?« pytał się Żyd wielce uradowany.

»Tak jest. Chciałbym generałowi ofiarować swoje usługi.«

Mojżesz Lipmann zresztą posłując tajemnie i mając ściśle stosunki z najznakomitszymi osobistościami wśród powstańców, wiedział dokładnie, co się w ostatnich czasach działo na południu. Na prośbę Ignacego objaśnił go o wszystkim z całą chęcią.

Langiewicz nie mogąc połączyć się z Kurowskim, tylko wzmocniony rozbitkami z jego oddziału, pomaszerował wzdłuż Nidy na północ, chcąc się spotkać z oddziałem Jeziorańskiego, który dotąd operował nad górną Wartą. Rzeczywiście zetknęli się obaj dnia 24-go lutego rano w Małogoszczy, miasteczku, położonem między wzgórzami, kilka mil od Kielc na zachód. Równocześnie jednak nadeszli Moskale w trzech kolumnach, licząc cztery tysiące chłopów wraz z jazdą i sześciu armatami. poczem Polacy opuścili miasto i ustawili się w szyku bojowym razem z trzema małemi armatkami na wzgórzach, położonych na zachód od Małogoszczy. Moskale, zapaliwszy miasteczko, ustawili się na wschód od niego, poczem rozpoczęła się wza-

jemna kanonada, trwająca od ósmej rano do pierwszej po południu. Podczas bitwy rzucili się kosynierzy pod osobistem dowództwem Langiewicza kilka razy na moskiewskie armaty i rzeczywiście dwie z nich zdobyli. Nie mogli ich jednak zabrać z powodu braku zaprzęgu. Pod Langiewiczem padły dwa konie a sam lekko został raniony w nogę. Ostatecznie cofnęli się Moskale czemprędzej do Kielc, przyczem zabrali Polakom kilka próżnych furgonów. Zdobyczą tą chęlipili się Moskale i przez dłuższy czas chwalili się przed światem z odniesionego zwycięstwa, choć w bitwie stracili około czterystu ludzi. Z pod Małogoszczy poprowadził Langiewicz z powrotem swój korpus przez Nidę na południowy zachód, zamierzając początkowo uderzyć na Miechów. Usłyszawszy jednak, że zajęli go Moskale, którzy klasztor tamtejszy silnie obwarowali, odstąpił od pierwotnego planu. W ostatnich dniach Langiewicz z Jeziorańskim stoczyli jeszcze w okolicy Miechowa kilka szczęśliwych potyczek. Tam też należało ich szukać.

Takich wiadomości udzielił Mojżesz Lipmann Ignacemu. Żyd wybierał się właśnie do Langiewicza, dla którego miał przy sobie kilka listów od dowódców powstańczych, operujących w północno-zachodniej części Królestwa.

Chcąc uniknąć Moskali, należało zbaczać z prostej drogi. Z tego powodu odległość z Kutna do Miechowa trzeba było liczyć na osiemnaście do dwudziestu mil. Mojżesz licząc na to, że w porozumieniu z swoimi współwyznawcami w drodze nie zabraknie mu świeżych koni, spodziewał się, że całą podróż odbędzie do następnego dnia rano.

Żyd się nie mylił. Tajemni pomocnicy słuchali go bez wyjątku na pierwsze skinienie. W ciągu całej podróży nie pokazał się ani razu żaden rosyjski żołnierz lub żandarm. Żaden z nich nie odważyłby się zapuścić w okolice zajęte przez powstańców. Za to spotykano na każdym kroku małe oddziały żołnierzy polskich, pieszych i konnych. Podróżnych nie zaczepiali oni w żaden sposób, nawet się o nich wcale nie troszczyli, gdyż zupełnie inne cele mieli na oku, szczególnie zaś dostarczenie żywności i prowiantów dla całego wojska.

Chłopi względem powstania zachowywali się wrogo raczej, niż życzliwie, z obawy jednak przed zemstą rodników

nie odważali się na nich napadać. Mojżesz Lipmann opowiadał kilka takich przykładów strasznej zemsty. Rząd prowizoryczny przed dawnym już czasem ogłosił w swoich organach publicznie, że każdy będzie karany śmiercią, kto się okaże zdrajcą wobec rządu narodowego lub powstańców. Srodek ten niezbędny w celu własnej obrony zastosowywano z podziwienia godną wytrwałością wszędzie, nawet w miejscowościach zajętych przez Moskali. Domy i wsi, których mieszkańcy pochwytali polskich rozbitków, oddając ich potem w ręce Moskali, palono i z ziemią równano. Zdrajców sprawy narodowej wieszano, przywiązując im do szyi kartę, na której wypisano rodzaj przestępstwa wobec narodu. Podobnej karze podlegały nawet kobiety, jeżeli wysługiwały się Moskalom na szkodę Ojczyzny. Moskale przeciwko tym tak zwany przez nich mordom podnosili krzyki w niebogłosy, zapominając oczywiście o okrucieństwach, grabieżach i łupiestwach urzędników i żołdactwa, tak że sam Wielki Książę czuł się zniewolonym do wydania ostrego zakazu przeciwko takim nadużyciom.

Nie doznawszy w drodze żadnej przygody, przyjechali nasi podróżni w nocy z dnia 7-go na 8-go marca do Małagoszcy, z której po bitwie z dnia 24-go lutego pozostały prawie same tylko ruiny i zgliszcza. Mieszkańcy, którzy przed bitwą schronili się do lasów, po większej części znowu wrócili do domów. Wskutek utraty całego mienia cierpieli niesłychaną nędzę.

W Małagoszcy dowiedział się Mojżesz od znajomego żyda, że w nocy z dnia 5-go na 6-go marca odbyła się pod wsią Piaskową Skalą, leżącą tuż nad granicą, strasznie krwawa walka między Moskalami, pod dowództwem księcia Bagracyona i oddziałem Langiewicza, która się zakończyła stanowczym zwycięstwem powstańców. Dowiedział się dalej jeszcze, że Polacy urządzili wielki obóz we wsi Goszczy, odległej tylko o półtorej mili i położonej tuż nad granicą galicyjską.

Do Goszczy więc udali się nasi podróżni natychmiast.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY.

Rzeź w Piaskowej Skale.

Wiadomości, jakich Mojżesz Lipmann udzielił o losach oddziału Langiewicza swojemu towarzyszowi podróży, polegały na prawdzie. Wieczorem dnia 4-go marca założyli Polacy obóz pod Piaskową Skalą.

Jestto wieś, leżąca w pobliżu miasteczka Skały, położonego w okolicy nadzwyczaj romantycznej. W tem miejscu ciągnie się jar głęboki, lasem porosły. Na dnie jaru szumi potok szeroki, którego wody, spadając po głazach sterczących w łożysku, tworzą raz po raz małe wodospady. Potok wije się wstęgą srebrzystą na kilka mil daleko, przebiegając w dziwacznych zagięciach zakręty wąwozu, do którego wpadają liczne doliny, mniej lub więcej urwiste. Na stromych stokach jaru rosły gęste krzewy i stare, wysokie drzewa wszelkiego gatunku. Z tego powodu widok wąwozu, szczególnie w zimie ponure sprawiał wrażenie. Wieś z daleko od siebie porozrzuconymi zagrodami leży dosyć wysoko, najwyżej cmentarz, a na samym końcu mały i biedny kościółek.

Korpus Langiewicza po połączeniu się z oddziałem Jeziorańskiego liczył przeszło sześć tysięcy ludzi, z których załedwie piąta część zaopatrzoną była w broń palną, reszta zaś uzbrojoną była li tylko w kosy. Oprócz tego było jeszcze kilka set jazdy na dobrych koniach pod dowództwem hrabiego Czapskiego, który przedtem na własną rękę i z powodzeniem operował w gubernii kaliskiej. Artylerya wreszcie składała się z pięciu dział, dwóch ciężkich, żelaznych i trzech małego kalibru.

Po długich marszach przyszli Polacy do Piaskowej Skąły bardzo wyczerpani i spragnieni wypoczynku. O jakiej takiej wygodzie jednak mowy być nie mogło, gdyż leżąc w szczerem polu, cierpieli powstańcy od zimna i słoty. Brak należytego schronienia szczególnie kosynierom dawał się we znaki, gdyż po większej części lichy byli odziani. Zresztą z powodu bliskości nieprzyjaciela nie można było myśleć o zupełnym spokoju, tylko wciąż mieć się na baczności. Dla tego w różnych miejscach ustawiono czaty a konne patrole zapuszczały się daleko, szczególnie w kierunku Miechowa, odległego tylko o dwie mile i zajętego znowu przez dawnego przeciwnika Langiewicza, pułkownika księcia Bagracyona.

Wkrótce się okazało, że te środki ostrożności wcale nie były zbyt skuteczne.

W nocy otrzymał najprzód dowódzca przedniej straży, Jeziorański, a przez niego Langiewicz raport, że na drodze z Miechowa zbliżały się pospiesznym marszem wielkie masy Moskali. Wkrótce potem zawrzała zacięta walka straży przedniej. Moskale szli do ataku w zapędzie, ponieważ chcieli na powstańców napaść z nienacka. Ludzie Jeziorańskiego w obec przemocy musieli się cofać, gdyż liczbą nie dorównywali Moskalom.

Było niemożliwem, dokładnie ocenić siły wroga z powodu ciemnej nocy. Ponieważ Moskale także pod każdym innym względem mieli przewagę nad powstańcami, nie chciał Langiewicz przyjąć walnej bitwy, tylko posłał rozkaz Jeziorańskiemu, aby się bronił jak najdłużej, sam zaś z własnym oddziałem w wozie cofnął się ku północy.

Jeziorański wypełnił rozkaz z podziwienią godnem poświęceniem, narażając cały swój oddział na niechybną zgubę. Cofał się krok za krokiem, opędzając się nieprzyjacielowi tak, że Langiewicz dosyć miał czasu do działania podług własnej woli, nie będąc narażonym na zaczepkę. Polacy w obydwóch oddziałach, a nawet niektórzy oficerowie szemrali, że Jeziorańskiego wydano na zgubę. Zaczynający Jeziorański jednak znając zamiary generała, lub też domyślając ich się, uspokajał swoich ludzi i nie tracił otuchy.

Moskale rzucili się do ataku na cmentarz, którego dzielnie bronili powstańcy. Aż do samego dnia ustępowali Polacy

powoli przed naporem wroga. Naraz Jeziorański wpadł z całym swoim oddziałem do jaru i zniknął, księżę Bagracyon zaś wrócił do wsi, założył obóz na cmentarzu i wysłał depesze do władzy, chwając się z świetnego zwycięstwa. W raporcie donosił, że połączone bandy Langiewicza i Jeziorańskiego zupełnie rozbite uciekły ku granicy.

Z tą tryumfalną depeszą wysłano natychmiast oficera i kilku dragonów do Miechowa, z kąd miała odejść do Warszawy do Wielkiego Księcia Namiestnika. Księciu Bagracyonowi zależało bardzo na pospiechu, ponieważ od jakiegoś już czasu przebąkiwano, że popadł w niełaskę u cara, ponieważ nie udało mu się dotąd rozprościć luźnej bandy Langiewicza.

Generał tymczasem nie zważając na szemrania swoich ludzi, maszerował bez wytchnienia ku północy. Nagle jednak zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku do wsi Wielmoży, leżącej na drodze, która prowadzi do miasta Skąły. Tam stanął w pustej i odludnej okolicy obozem.

Po rozstawieniu straży odbył długą i tajną naradę z swoimi podkomendnymi Czapskim, posiwiąłym Waligórskim, który dowodził batalionem strzelców i innymi. Jeziorański jeszcze się nie stawiał. Wielu mniemało, że przepadł.

Wskutek rady wojennej wysłano w okolicę liczne patrole konne a żołnierzom i kosynierom obwieszczono, aby się przygotowali na dalszy marsz i nowy bój. Wiadomość tę przyjęto ogólnie z wielką radością.

Na prędko improwizowany obóz w okolicy, której dzika przyroda sama przez się już wywierała potężne wrażenie, godny był pędzla malarza. Przed oczami widza przesuwwały się liczne sceny niezwykle i barwne.

Namiotów było tylko kilka, przeznaczonych dla wyższych dowódców. Ustawiono je w samym środku obozu. Miały kształt okrągły i były zrobione z płótna, podszytego skórą, aby deszcz przez nie przeciekać nie mógł. Około tego środka, do którego należało jeszcze stanowisko dla koni oficerskich i własna kuchnia, stali żuawi na straży, tworząc miejsce wolne i ściśle odgraniczone, którego żadnemu z żołnierzy bez pozwolenia nie było wolno przekroczyć.

Dokoła rozłożyły się rozmaite oddziały wojska, któremu wciąż jeszcze brakowało rzetelnej organizacji. Ustawieniem

kierowali oficerowie z głównego sztabu i inni dowódcy. Ponieważ nie chciano zatrzymywać się długo, nie zważano też bardzo na rozkład obozu. Główną rzeczą było, aby każdy żołnierz miał broń w pogotowiu i aby każdy oddział miał dosyć miejsca do utworzenia szeregów i linii bojowej.

W rozmaitych miejscach zapalono ognie, dla których drzewa dostarczyła lesista okolica. Około ognisk potworzyły się grupy, wśród których uwijały się jednostki, cieszące się sławą dobrych kuchmistrzów. Kucharze ci gotowali dla współtowarzyszów żywność, którą nagromadzono i rozdzielono w Piaskowej Skale i okolicy, żołnierze zaś położyli się dokoła na kozuchach, na gołej i wilgotnej ziemi, lub też na posłaniu z gałęzi. Nie zważając na dym, buchający na nich kłębami, grzali się przy ogniskach i gawędzili o potyczce, stoczonej poprzedniej nocy i o tej, jakiej się w najbliższej przyszłości spodziewali.

Od czasu do czasu przedstawiały się oczom bardzo ciekawe obrazy. To jakiś żołnierz mozolnie czyścił flintę z rdzy, jaka wskutek śniegu i deszczu utworzyła się na stali. Tam inny znowu, nie będąc wyuczonym rzemieślnikiem, wysilał się, chcąc odartą podeszwę znowu przymocować do butów, lub też załatać inną część ubrania, domagającego się gwałtownie naprawy z powodu zbyt podpadających braków. Owdzie znowu owczarz, który z patriotyzmu porzucił swoje stado i chwycił za kosę, odgrywał rolę chirurga i opatrywał brodatego towarzysza, któremu kula przed kilku dniami pod Małagoszczą strzaskała lewe ramię i który z bólu zgrzytał zębami. W innym znowu miejscu dobrana parka w brudnych kozuchach bawiła się w brudniejsze jeszcze karty i w zapale gry zapomniiała zupełnie o fłaszce, która krążyła dokoła wśród grona sąsiadów. Głośnego śpiewu, jak wogóle wszelkiego hałasu zabroniono surowo, gdyż jenerałowi wtedy właśnie więcej jeszcze, kiedykolwiek zależało na tem, aby nieprzyjaciół nie mógł się dowiedzieć, gdzie się obóz polski znajdował.

Poza czołem wojska ustawiono obok siebie pięć armat, o których przedtem już wspominaliśmy. Na obydwóch skrzydłach przywiązano konie, z których nawet i siodeł nie podejmowano, w długich szeregach linkami do drzewców, utkwionych w ziemię, zawiesiwszy na lby końskie wia-

z obrokiem. Obok każdego konia sterczała więc długa lanca z igrającym na wietrze proporczykiem.

Na samym końcu wreszcie stały wozy z bagażami. Między niemi a obozem panował wciąż ruch ożywiony. Na kilku z nich leżeli ciężko ranni żołnierze, którym dotąd nie zdołano jeszcze dostarczyć lepszej opieki. Zapewne byli tam także umierający, a może nawet trupy, gdyż o kilka set kroków dalej kopało kilku ludzi w zaroślach dół głęboki. Czcigodny kapelan polowy, ksiądz Paweł Kamiński, który niedawno temu wydał do swoich konfratrów manifest, wzywając ich do świętej wyprawy krzyżowej przeciwko Moskalom, chodził z krucyfiksem w ręku od jednego do drugiego, wlewał otuchę w zwątpiałe serca i głosił słowo Boże z tym samym zapalem, jak gdyby stał na kazalnicy wobec dawniejszych swoich parafian.

Obok znowu kuźnia polowa wesoło sypała iskrami, stuk młota dźwięczał głośno a konie niecierpliwie parskaly, nie chcąc pomimo przekleństw jeźdźców pozwolić dobrowolnie, aby je podkuto.

Jednem słowem był to obraz, jaki sobie tylko najbujniejsza wyobraźnia przedstawić jest zdolna.

Wróćmy do głównego sztabu. Obiad wcale nie świetniejszy, jak u prostych żołnierzy, już się skończył. Ponieważ słońce wyjrzało właśnie z za chmury i rzuciło kilka ciepłych promieni, przypominających wiosnę, utworzyło się przed namiotami małe kółko osób najwybitniejszych w obozie.

Na mokrej ziemi rozłożono kilka der wełnianych i postawiono na nich półkołem kilka krzeseł polowych. Reszta umeblowania tego salonu pod gołym niebem składała się z kuferków, skrzyń z amunicją i snopów słomy, na których każdy usadowił się, jak tylko mógł najlepiej i najwygodniej.

W tem gronie przede wszystkim podpada mąż, który pierwszą jest osobą i na którego barkach spoczywa ciężar odpowiedzialności za życie tysięcy ludzi, więcej nawet jeszcze, bo cała przyszłość wielkiego narodu, spoglądającego ku niemu z wiarą i ufnością. Że w głębi duszy czuje ogrom zadania, jakie mu losy przeznaczyły, świadczy o tem wzrok poważny i zamyślony, nie licujący wcale z młodzieńczą jeszcze twarzą i głębokie bruzdy na wyniosłym czole. Usta zaciśnięte zdradzają niejedną troskę, chowaną w głębi duszy, lecz także nie-

wzruszoną siłę woli, która w każdym, co na tę twarz spoziera, wzbudzać musi zaufanie.

Choćby Langiewicz w całej kampanii nic jeszcze nie zdziałał, — dotąd małemi środkami dokazał wielkich rzeczy — na pierwszy rzut oka poznalby każdy, że generał był stworzonym na wodza, przynajmniej w wojnie podjazdowej. Doświadczenie wojskowe miał niewielkie. Geniusz jednak góruje nad rutyną i świeci własnem światłem.

Postać generała powstańców opisaliśmy już dawniej. Teraz tylko dodajemy, że owego dnia miał na głowie konfederatkę z czapłem piórem, na ramionach zaś zarzucone na kurtkę, szamerowane krótkie futerko, podobne do husarskich, a na spince pasa trupa głowę jako symbol. Romantyki tego ubrania nie trzeba kłaść na karb próżności osobistej. Szary tłum chciwy jest wrażeń dla oka. Kto chce w nim wzbudzić wiarę, powinien zważać nawet na szatę zewnętrzną.

W szczupłym tem gronie jest dalej sześćdziesięcioletni starzec Waligórski, zawołany patryota i żołnierz doświadczony, który obecnie znowu organizuje batalion strzelców i któremu generał powierzył dowództwo nad całą piechotą. Widzimy dalej dzielnego pułkownika jazdy, hrabiego Czapskiego, pięknego młodzieńca, z którego oczu pełnych ognia tryskają wszystkie cechy polskiego charakteru i który z swoimi ułanami najchętniej popędziłby natychmiast na Warszawę, by szalona jazdą zdobyć śmierć lub zwycięstwo.

Bardzo podpadającą postacią, szczególnie wskutek swego kostiumu, jest dowódca żuawów, Francuz, Rochebrone, która do obozu sprowadziła więcej może chętna doznania przygód, jak współczucie do braci Polaków, którym Francja tyle zawdzięcza, a których cesarz teraz opuszcza. Jestto człowiek smukły i średniej wysokości. Francuzka żywość widna w wszystkich ruchach i w błyszczących ciemnych oczach. Twarz jego miałaby wygląd prawie wschodni, gdyby nie nosił wąsika w górę wykręconego i brody w klin wyciętej. Na głowie ma biały turban z spadającymi i złotem haftowanymi końcami. Szerokie spodnie, mundur żuawów i broń za pasem czynia go podobnym do Turka. Dziwnie odbija od całości wielki krzyż biały, przyszyty do czarnej kamizelki. Kostium ten jest niesłychanie fantastyczny i trzeba by się śmiać z niego,

gdyby człowiek, który go nosi, nie był rzeczywiście takim, jakim się przedstawiał, oryginalną postacią, typem lekkiego, pogardzającego śmiercią i nad wszelki wyraz odważnego żuawa.

Jest tam jeszcze pięciu do sześciu innych dowódców, którzy zdobyli już sobie dobre imię, i gotowych iść za Langiewiczem na oślep. Są to po większej części sami ugrzecz-nieni i zawsze weseli Polacy, na pozór lekkomyślni, w duszy jednak noszący taką siłę patryotyzmu i bohaterstwa, jak rzadko się zdarza u mężów innej narodowości. W ich piersiach, które bez wahania i z radością w boju nastawiają wrogowi Ojczyzny, ma także miejsce i ból i jęk. Chwila ich jednak porwa i unosi. Dziś gotowi płakać i walczyć za Ojczyznę, jutro znowu tańczyć i śpiewać. Są to żołnierze aż do szpiku kości. Napoleon wiedział, że z pomocą takich można świat zdobywać. Dla tego ich wabił do siebie i ludoł nadziejami, których spełnić ani mu się śniło, — a szlachetni i łatwowierni Polacy przelewali za niego krew strumieniami.

Pomiędzy tymi bohaterami powstańców znajdujemy także znowu Henrykę Postojtównę, która w ostatnich potyczkach z równą walczyła odwagą, jak dawniej i zupełnie słusznie zasłużyła sobie na zaszczytne stanowisko, jakie w sztabie głównym zajmowała. Zresztą nie była ona jedyną kobietą w obozie. Wyróżniano ją tylko, nadając jej wysokie stanowisko. Były w obozie jeszcze inne kobiety, które nie chcąc rozstawać się z mężami i braćmi, razem z nimi poszły do powstania i wykonywały te wszystkie prace, do których potrzebna jest ręka kobieca. Inne znowu, podobnie jak Postojtówna, przebrały się po mężku i chwyciły za broń, pragnąc walczyć z nienawidzonymi Moskalami. Obowiązki swoje wypełniały gorliwie i nie mało przyczyniały się do wzbudzenia i utrzymywania u mężczyzn odwagi i rozgorzyczenia. Z tego powodu nie można im było odmówić pobytu w obozie.

Jakie Langiewicz wtedy miał zamiary, o tem wiedzieli tylko najbliżsi jego przyjaciele i podkomendni. Nikt inny nie śmiałby o takie rzeczy pytać. Nawet w tem szczupłym gronie powierników nie rozmawiano o tem głośno. Rozmowa toczyła się o sprawach ogólnych, szczególnie o powodzeniu

Mierosławskiego w północnej części kraju, o czém najsprzeczniejsze nadchodziły wiadomości.

Na ogół nie cieszył się Mierosławski, jak to już dawniej powiedziano, u Polaków wielkiem zaufaniem. Langiewicz porówno z swoimi przyjaciółmi, nie należąc do stronnictwa skrajno-republikańskiego, nie najlepsze miał o nim wyobrażenie; przeciwnie uważał powierzenie mu dowództwa za szkodę dla Ojczyzny. Nie można Langiewiczowi brać za złe, choćbyśmy go nawet posądzali o zazdrość, że się obawiał, aby rząd prowizoryczny nie powierzył temu ambitnemu i zarozumiałemu człowiekowi naczelnego dowództwa nad całym powstaniem. W takim razie Mierosławski zostałby przełożonym Langiewicza i mógłby mu swoje plany wojenne narzucać. Zebrani około generała przyjaciele byli tego zdania, że takiego rozkazu rządu prowizorycznego nie należałoby słuchać. Langiewicz sam swojego zdania o tem nie wyjawiał. Rozprawy o tym przedmiocie zaczynały być coraz burzliwsze, przerwały się jednak nagle, ponieważ na placu zjawilo się kilku ułanów, prowadzących między końmi związanego rosyjskiego żołnierza.

Jeńiec był rosyjskim dragonem i miał lekką ranę na głowie, którą na prędce opatrzył.

Tem zjawiskiem poruszył się cały obóz. Zaciekawieni powstańcy tłumnie cisnęli się do ułanów, którzy poważnie i w milczeniu siedząc na koniach, na wszelkie pytania żadnej nie dawali odpowiedzi. Skończyło się więc na tem, że Moskale okrutnie przeklinano. Zresztą żuawi, stojący na straży nie pozwolili ciekawemu tłumowi przystąpić do głównej kwatery, dokąd ułani wprost się udali.

Oficerowie siedzący przed namiotami, uważnie przypatrywali się przybyszom.

Zdaje mi się, że Bagracyon przesyła nam pozdrowienie, przemówił generał z uśmiechem. »Ułani spisali się dzielnie. Wiele mi na tem zależało, abyśmy schwytali jeńca. Chciałem wiedzieć dokładnie, co się dzieje po drugiej stronie u naszych zielonych przyjaciół.

Jeden z ułanów z kopyta puścił się naprzód aż do generała, skoczył z konia i z wprawą starego żołnierza zdał raport służbowy.

Dowiedziano się więc, że konny patrol polski nadybał

oficera i jeźdźców, których książę Bagracyon wysłał z depeszą o zwycięstwie do Miechowa i że na nich Polacy natarli. Moskale bronili się odważnie i utorowali sobie drogę, musieli jednak pozostawić na miejscu rannego dragona, pod którym konia ubito.

Biedny żołnierz cierpiał nie tylko bóle fizyczne, lecz z pewnością był także na to przygotowanym, że go powieszą na pierwszym lepszym drzewie. Nic dziwnego, że w takim stanie gotów był na każde pytanie odpowiadać. Z strachem spoglądał po otoczeniu generała. Gdy Langiewicz do niego przemówił, upadł mu do nóg. Biedne człeczysko z przerażenia drżało na całym ciele i traciło przytomność. Uspokoił się dopiero trochę, gdy usłyszał, że będzie znowu wolnym, jeżeli szczerą wyzna prawdę. Nie dziwić mu się że przystał na to chętnie. Opowiadał więc, że pułkownik książę Bagracyon obozuje jeszcze w Piaskowej Skale, oczywiście w tym celu, aby dalej jeszcze ścigać powstańców. Opowiadał dalej, że cały korpus Bagracyona biwakuje na cmentarzu, z kądem prawdopodobnie dopiero nazajutrz wyruszy. Z całego opowiadania wnioskować było można, że Moskale uważali za zbyt cenne, zachować środki ostrożności i że im nawet na myśl nie przyszło, że pobici powstańcy mogliby wrócić i wsiąść im na kark.

Jeńca na rozkaz generała odprowadzono do furgonów, gdzie go strzeżono, jak oka w głowie. Langiewicz zaś uśmiechając się, powiedział do towarzyszków:

»Mam nadzieję, mości panowie, że jeszcze nadarzy nam się sposobność do życzenia Bagracyonowi dobrej nocy!«

Co generał chciał przez to powiedzieć, zrozumieli wszyscy i niezmiernie się ucieszyli. Radość była tem większa, i w jednej chwili doszła do szczytu, gdy z obozu spostrzeżono jeźdźca w towarzystwie jedyne go tylko ułana. Obydwaj pędzili co koń wyskoczy prosto do obozu. Na ten widok powstał w obozie wielki krzyk zachwytu. Żołnierze porzucali swoje zatrudnienia i cisnęli się gromadnie ku drodze, na której przybył, zwalniając biegu, przejeżdżali przez obóz. Jeździec na przedzie kłaniał się na wszystkie strony, rozmawiał też z niektórymi, nie zatrzymując się jednak.

»Jeziorański! zawołali wszyscy jednym chorem. Pułkownik Jeziorański — tytułu tego dostąpił dopiero

w armii powstańczej — był pięknym i okazałym mężczyzną około lat czterdziestu. Konno jeździł znakomicie. Ponad dumnie zagiętym nosem spoglądały wielkie, jasne oczy śmiało i z pewnością siebie dokoła. Długie blond wąsy nadawały twarzy wyraz prawdziwie wojskowy. Pod konfederatką spływały mu jasne pierścienie włosów po obu stronach wysokiego i szlachetnego czoła na ramiona. Był ubrany w skromny, granatowy mundur z srebrnymi naramiennikami.

Przybywszy do głównej kwatery, zwinnie skoczył z konia, cugle oddał ordynansowi i szybkim, elastycznym krokami szedł prosto do generała, który właśnie już wyszedł mu naprzeciw. Oba uścisnęli się i jak bracia przez chwilę trzymali się w objęciach w obliczu żołnierzy, którzy wielkim głosem bez ustanku wołali: hurra!

Jeziorański wskutek dzielnej obrony w nocy poprzedniej stał się bohaterem. Wszyscy wiedzieli, że z jego głównej pomocą udało się Langiewiczowi wycofać z swoim korpusem z Piskowej Skały bez straty.

Generał też wyraził pułkownikowi w gorących bardzo słowach swoje podziękowanie, poczem go wprowadził do namiotu w celu wysłuchania raportu i dalszej narady. Jeziorański poniósł ciężkie straty. Żołnierze jego walczyli jak lwy, a Moskale znużyli się wreszcie i zaprzestali dalszego pościgu. Po ciężkich trudach oddział Jeziorańskiego zbliżał się do obozu Langiewicza, który im krótko i węzłowato wydawał rozkazy. Za kilka minut szło po całym obozie z ust do ust wołanie: »Ruszamy i pomścimy się na Moskalach za wczoraj!«

Zaczęło się już zmierzchać. Można się było spodziewać, że za godzinę lub dwie ciemna noc zapadnie.

W największym porządku i spokoju pakowali żołnierze swoje ruchomości i stanęli pod bronią. Cisza panowała mniej wskutek rozkazu dowódców, jak z własnej woli wojska, wyczekującego z naprężoną uwagą, co się stanie. Gdy wszyscy już gotowi byli do wymarszu, nadszedł oddział Jeziorańskiego, który w tem miejscu miał wypocząć i czuwać nad armatami i furgonami, których Langiewicz nie chciał z sobą zabierać. Większa część kawalerii również pozostała w obozie.

Na wyraźne życzenie szli kosynierzy na samym przodzie, a generał w otoczeniu swojego sztabu, w którym nie brakło

oczywiście Henryki Postwojtówniej, sam pochód prowadził. Potem maszerowali strzelcy i żuawi, którzy będąc już zaopatrzeni w doskonałe flinty, stanowili najlepszą część korpusu. Byli oni tak doskonale wyćwiczeni, że zupełnie równać się mogli z regularnem wojskiem państw innych.

Nakazano i zachowywano jak najgłębszą ciszę. Pod zasłoną ciemnej nocy maszerowano na tej samej drodze, którą rankiem przebyto, dążąc do obozu.

Sam Langiewicz przyłączył się do szczupłej garstki straży przedniej, która wolno posuwała się naprzód w lesistym wąwozie. Rosyjskie czaty, któreby natrafiono po drodze, miały być sprzątnięte bez szelestu. By nie alarmować obozu nieprzyjacielskiego, nie miano dać ani jednego strzału. Kosynierzy polegali zupełnie na swojej niedostatecznej wprawdzie, lecz w walce pierś o pierś tak strasznej broni, którą przodkowie niejedno świetne odnieśli zwycięstwo. Było rzeczą trudną do zrozumienia, jak mało środków ostrożności zachowywali Moskale. Chociaż w jarze nieprzebytym kilka tylko posterunków wystarczało do opanowania wązkich ścieżynek, Moskale nawet i tego nie uczynili. Krótko po północy powstańcy, skradając się cichaczem, ujrzeni naraz biwak na cmentarzu, otoczonym niskim tylko murem.

Moskale, nie przeczuwając nic złego, pogrążeni byli we śnie. Cisza panowała, jakby makiem zasiał. Tu i owdzie tylko obok ognisk, płonących mdławem światłem, przesuwwały się raz po raz jakieś cienie. Zapewne były to straże w obozie, czuwające nad bronią, długimi rzędami ustawioną w kozły. Po obydwu stronach spali żołnierze, wyciągnięci na słomie i wszelkiem rupieciu, jakie im się udało ze wsi pościągać.

Lepiej uzbrojone oddziały Polaków, pozostające w odwodzie, ustawiły się po drogach w zbitych kolumnach, chcąc odczekać skutków pierwszego ataku i w razie potrzeby pospieszyć na pomoc, lub też odwrót zasłonić. Langiewicz z oficerami pozsiadali z koni, zostawiając je w tyle. Generał z kosą w ręku sam dowodził kompanią, a innym powyznaczył miejsca, gdzie miały stanąć. Tak więc cmentarz osaczono dokoła. Atak mógł się zacząć z wszystkich stron jednocześnie. Rozkazy spełniano bez szelestu. Szło wszystko, jak z płatką, ponieważ nie było ani jednego Polaka, któryby

z całej duszy nie życzył śmiertelnemu wrogowi najstraszniejszej klęski, lub nawet zupełnej zagłady, do czego nadarzała się obecnie znakomita sposobność. Jak widnia wspinali się powstańcy po stromych ścianach jaru, formując się potem w szeregi. O godzinie pierwszej każdy stał na swoim miejscu.

Dokola muru cmentarnego z rzadka stały strażę i drzymały oparte na lufach karabinów. Pół we śnie, pół na jawie marzyli o wszystkim, tylko nie o Polakach, o których myśleli, że się pokryli za dziesiątą górę. Może im się śniły ojczyste strony, może ojciec i matka na dalekim wschodzie, oplakujący syna porwanego przed laty do wojska.

Nagły szelest budzi ich ze snu i odpędza senne marzy. Ciemne postacie wylaniają się, jakby z ziemi wyrosłe. Pełno ich wszędzie, z przodu i po bokach. Zabójcza broń błyska im przed oczami. To kosy powstańców! Jedna myśl błyskawicą udziela się wszystkim. Obóz i śpiący towarzysze są w niebezpieczeństwie. Zanim zdążyli jednak wypalić lub krzyknąć, zabójcza kosa z wielkim zamachem odcina im głowy lub topi swe ostrze zagięte niespodzianie w piersi. Słaby jęk śmiertelny zagłuszyły od razu grzmiące okrzyki: hurra! Langiewicz dał do nich hasło.

„Boże zbaw Polskę! Śmierć Moskalom!..” woła jenerał, jak lew grzmiącym głosem. Kilka tysięcy krzyków wściekłych z gniewu wtoruje temu wołaniu, które strasliwym echem odbija się o uszy budzących się Moskali.

Grobową ciszę nocy zmieniła się nagle w piekielną wrzawę i dzikie hałasy, odurzające zmysły. Okrzyki bojowe, przekleństwa, jęki rannych i konających, pomieszane z odgłosem dźwięków starego hymnu narodowego, tworzyły i koncert, przechodzący wszelkie pojęcie.

Nie niema strasliwszego, jak napady nocne. Obecny udał się znakomicie.

Bez oporu wdarli się Polacy przez mur i wpadli w środek Moskali, którym nawet czasu nie pozostawało się do broni. O szyku bojowym ani myśleć nie mogli. Była to walka na pięści. Człowiek ścierał się z człowiekiem, z piersią. Brano się za łby, dławiono. Po trupach poległych

pędzono naprzód na oślep, szukając nowej ofiary. Straszna rzeź, spotęgowana ciemnością nocy!

Strach niezmierny padł na rosyjskie żołdactwo. Choć nawykli do karności, nie słuchali wtedy rozkazów i komendy oficerów, pragnąc przedewszystkiem wydostać się z cmentarza, który w kilka minut stał się prawdziwym polem trupów, leżących na ziemi. Kosynierzy nie mogli bawić się w brankę jeńców i pardonu nie dawali. Kilku Moskali uciekło do kościółka, lecz Polacy wpadli tuż za nimi i wycięli w pień wszystkich.

Wreszcie udało się oficerom zebrać poza murem kilka gromadek, które salwę za salwą posyłały w zbity tłum przyjaciół i wrogów. Dając raz po raz ognia, cofały się moskiewskie rozbitki przez wieś, w której kilkanaście chałup od razu stanęło w płomieniach.

Łuna pożaru, świecąca krwawym blaskiem, spotęgowała jeszcze obustronną wściekłość. Langiewicz porównywał z każdym żołnierzem walcząc dotąd kosą, wydał teraz rozkaz, aby ustawieni w odwodzie strzelcy i żuawi stanęli na placu boju. Nie potrzebując się obawiać, że Moskale mogliby jeszcze wziąć górę, chciał ich zniszczyć do szczeretu. Skoro jednak posiłki polskie zjawiły się na cmentarzu, Moskale zaprzestali dalszego oporu i w dzikim popłochu rozpierzchli się na wszystkie strony lub też w małych gromadach cofali się czempredzej, gdzie droga była jeszcze otwartą.

Langiewicz mógł się zadowolić osiągniętym sukcesem, gdyż swemu śmiertelnemu wrogowi Bagracyonowi zadał ciężką klęskę. Kazał więc dać sygnał do zaprzestania walki. Nie mało jednak kosztowało móżdż, zanim się udało rozgorączkowanych i zwycięstwem upojonych Polaków powstrzymać od dalszego pościgu, który był daremny, a nawet mógł się stać niebezpiecznym.

Bitwa skończyła się jeszcze przed brzaskiem dnia. Dopiero po świtanu można się było przekonać, jak straszną klęskę ponieśli Moskale. Straty Polaków były stosunkowo nieznaczne. Cały cmentarz i przyległe do niego pole zasłane były trupami i rannymi. Żniwo było okropne. Prawie wszystkie rany, zadane kosami były śmiertelne. Około czterystu Moskali padło trupem na miejscu.

Wysłane za nieprzyjacielem patrole jazdy wróciły z raportem, że książę Bagracyon w największym pośpiechu, nie zatrzymując się nigdzie ani na chwilę, cofnął się do Miechowa. Dodajemy jeszcze, że zapewne wskutek przegranej bitwy padł w niełaskę. W kilka dni później zastąpił go książę Szachowski.

Na polu walki, obficie krwią zroszonym, uklękli Polacy i razem z kapłanem wojskowym zaśpiewali: Te Deum. Zwycięstwo nappełniło ich dusze otuchą i nadzieją. Langiewicza zaś czcili nie tylko towarzysze broni, lecz także kraj cały, po którym wieść o zwycięstwie pomimo zaprzeczeń Moskali rozniosła się lotem błyskawicy, jako zbawcę Ojczyzny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZOSTY.

W obozie dyktatora.

Po jednodniowym odpoczynku na polu chwały stanął Langiewicz znowu obozem niedaleko wsi Dąbrowy, między Miechowem a Goszczą. Ponieważ nie rozporządzał dostatecznymi siłami do ataku na Miechów, który dobrze był wzmocniony i miał silną załogę, postanowił przeto zorganizować swój oddział i należycie uzbroić. W tym celu otrzymywał potajemnie przez granicę austriacką transporty broni.

Nowa pozycja znowu była bliską granicy i zajmowała teren odpowiedni do stawienia oporu w razie zaczepki. Miejsca łatwiej dostępne otoczono zresztą palisadami i nasypami ziemnymi.

W południowym kierunku od drogi, prowadzącej do na zachód leżącego Olkusza, teren stopniowo się wznosi i pokryty jest lasami, ciągnącemi się aż do samej granicy. Dwie rzeczulki wpadające do Wisły ograniczają go na wschodzie i zachodzie. Na północ od wyżej wspomnianej drogi stała na stoku pagórka straż przednia Polaków. Składała się ona z strzelców Zielińskiego, kompanii żuawów Rochebruna i tak zwanego batalionu akademickiego z dwoma bronzowymi działami. Na prawo, na skraju łąki stał oddział kosynierów, dwa szwadrony ułanów i jedno dział.

W tyle, na samym środku pagórka był właściwy obóz, przy którym znajdowały się także furgony, kuźnie polne i ambulanse. Stał tu pułk strzelców, reszta żuawów, batalion kosynierów, a opodal na prawo dwa pułki piechoty narodowej. Główną kwaterę stanowił mały folwarczek, położony jeszcze bardziej wstecz w lesie, po za lewem skrzydłem obozu. W kierunku południowym strzegły folwarku gęste linie straży.

Także w kierunku wschodnim, na drodze do Proszowic, stały silne wedety, strzelcy Waligórskiego i dwa działa.

Umyślnie opisaliśmy tak szczegółowo tę wojskową pozycję, aby czytelnik nabrać mógł pojęcia, jakimi siłami rozporządzał w owym czasie Langiewicz. Cały korpus składał się z około ośmiu tysięcy chłopów i sześciu małych armatek. Znakomity organizator zdołał już siły swoje podzielić w regularne hufce, chociaż wciąż był w marszu i w ciągłych uderzeniach.

Dnia 7-go marca przyszedł do Dąbrowy, zajął prędko opisaną już pozycję, założył obóz i wzmocnił go na przypadek zaczepki ze strony Moskali.

Jenerał sam mieszkał w wspomnianym już folwarku. Od pierwszej chwili jednak widziano go wciąż w obozie, pieszo lub konno, jeżeli piśmienne prace w tem mu nie przeszkadzały. Niestrudzony, poważny, spokojny i pełen otuchy rewidował strażę, to znowu ambulanse, gdzie rannych pocieszał. Zachodził do magazynów z prowiantami lub przebywał wśród wojska, które wciąż jeszcze pomimo szarugi i zimna poważnie leżało w szczerem polu. O poświęceniu się i zapale tych ludzi dosyć już wspominaliśmy, nie potrzebujemy więc tego powtarzać.

Jenerał stał właśnie w samym środku wielkiego obozu na szczycie pagórka i wydawał rozkazy, gdy spostrzegł, że mała, odkryta i w trzy konie zaprzężona powózka, na której siedziało kilku ludzi, w otoczeniu kilku polskich ułanów, zbaczająca powoli z głównego traktu na drogę, prowadzącą wprost do obozu. Zaciekawiony, co to znaczyło, wyjechał naprzeciw podróżnym.

Langiewicz był sam, gdyż Henryka, która mu wciąż towarzyszyła, zawiozła rozkaz do jednego z oddziałów, stojącego na skrzydle.

Gdy jenerał się zbliżył, wóz stanął a jeden z kawalerzystów zdał raport.

„Ah, Mojżesz Lipmann!”, zawołał Langiewicz, widocznie uradowany. „Stary znajomy, który nam zwykle przywozi porządane nowiny!”

Po tych słowach jeszcze bardziej zbliżył się do wozu, z którego podróżni chcieli właśnie wysiadać.

„Dzień dobry Mojżeszu!”, wołał wesoło do żyda, który

wśród setnych i uniżonych ukłonów zbliżając się, chwycił za nogi jenerała, aby na długich butach złożyć pocałunek. „Nie rób głupstwa stary przyjacielu, tylko mi powiedz, czy i żądasz przywozisz mi nowiny.”

„Mam wiele ważnych wiadomości, Ekscelencyo!”, odpowiedział żyd. „Przyjeżdżam wprost z okolicy Kutna.”

„W takim razie wiesz doskonale, co się dzieje z Mierosławskim?” przerwał mu prędko jenerał.

„Nic się z nim nie dzieje, Ekscelencyo. Oddział jego w puch rozbity, poszedł w rozsypkę, lub też utonął w jeziorze Gople. On sam zaś przedarł się przez granicę i uciekł.”

Twarz Langiewicza nabrała wyrazu pewnego zadowolenia. Był to jednak tylko objaw przelotny, gdyż jenerał nagle się zmienił i powiedział poważnie:

„Tak więc wieści o zupełnej jego porażce nie były zmyślone. Dowiedzieliśmy się o nich już przed kilku dniami. — Nowina, jaką nam przywozisz, jest smutną, Mojżeszu Lipmannie.”

Żyd wzruszył tylko ramionami i wskazując na swoich towarzyszy, stojących jeszcze w tyle, dodał:

„Przywożę Ekscelencyi świadka tej potyczki. Będzie on mógł opowiedzieć wszystko z szczegółami. Jestto —”

Langiewicz nie zważał już na żyda. Z żywą ciekawością zwrócił się do dwóch drugich przybyszów.

Wiemy już, że byli to Ignacy i Wacław, obydwaj w skromnych mieszczańskich ubraniach. W zachowaniu się ich wobec jenerała uderzająca zachodziła różnica. Wacław miał minę pokorną i onieśmiałą, jak zwykle ludzie z prostego stanu wobec wyżej postawionych osób i bał się nieomal wzrok podnieść na jenerała. Ignacy zaś stał spokojny i pewny siebie.

Uważnie przypatrywał się człowiekowi, którego oglądał pierwszy raz w życiu, a którego imię głośnem było w całej Polsce. Starał się o ile możliwości najszybciej wyrobić sobie własny sąd o jenerale, aby wiedzieć, jak ma dalej względem niego postępować. Służąc długie lata w regularnej armii w randze oficera, miał pewien rodzaj uprzedzenia do Langiewicza, będącego tylko wodzem partyzantów. Musiał jednak przyznać, że tak w twarzy jak i w całym zachowaniu się tego

człowieka było coś, co nakazywało szacunek i jednało mu serca. Mimowoli pochylił przed nim głowę niżej jak zamierzał i jak mu na to własne stanowisko pozwalało.

Po tym ruchu musiał generał poznać człowieka dobrze wychowanego i wykształconego, gdyż odpowiedział na ukłon bardzo grzecznie. Ubiór mieszczański nie zdziwił go wcale, gdyż do obozu powstańców przekradano się często w rozmaitem przebraniu.

»Z kim mam honor mówić?« zapytał się generał.

»Jestem Ignacy Gurowski i do tej chwili prawie byłem kapitanem piechoty w cesarsko-rosyjskiej armii.«

Langiewicz zdumiał i spojrzał tak przenikliwym wzrokiem na Ignacego, jak gdyby przypuszczał zdradę i chciał duszę jego przejrzeć na wylot.

»Jesteś pan Polakiem?« pytał dalej.

»Tak jest. Ojciec mój w roku 1831 poświęcił życie, walcząc w obronie Ojczyzny.«

»A pan służysz w rosyjskim wojsku?«

»Okoliczności zmusiły mnie już w młodości do obrania sobie tego zawodu.«

»Dla czegoś porzuciłeś pan obecnie tę służbę?«

»Aby wyjaśnić powody, które mnie do tego kroku skłoniły, musiałbym pana generała prosić o dłuższą rozmowę. W każdym razie zapewnić mogę, że do porzucenia służby zmusiły mnie także okoliczności.«

»A czegoż pan sobie życzysz odemnie, panie kapitanie!«

»Walczyć pod pańskimi rozkazami dla dobra Ojczyzny.«

»Ah!« wykrzyknął mimowoli generał. »domyślałem się tego.«

Jakkolwiek starał się Langiewicz okazać względem Gurowskiego jak najuprzejmiejszym, jednak wyraz twarzy zdradzał pewną nieufność, do czego przyczyniła się także przykra sprawa, o której niżej opowiemy.

Tłumiąc osobiste wrażenia, rzekł generał, lekko się kłaniając:

»Doswiadczeni oficerowie doznają zawsze miłego przyjęcia w moim obozie, jeżeli tylko szczerze pragną służyć świętej naszej sprawie, dla której postanowiłem walczyć do ostatniej krwi kropelki. Z całą przyjemnością wysłucham

pańskiego zwierzienia, panie kapitanie, muszę tylko najpierw smutny, ale niemniej konieczny spełnić obowiązek. Czy chcesz mi pan towarzyszyć?«

»Jestem na rozkazy pana generała.«

Langiewicz skłonił głowę i nie zważając więcej na Ignacego, zwrócił się do Mojżesza Lipmanna, który w pokornej postawie i z odkrytą głową czekał posłuchania. Generał postąpiwszy parę kroków, skinął na żyda, aby się do niego przybliżył.

»Czy możesz mi za swego protegowanego zaręczyć, Mojżeszu?« zapytał po cichu.

»Ręczę moją głową, Ekscelencyo«, odpowiedział Mojżesz z żywością.

»Oho! tak pewnym jesteś swego?«

»Jak najpewniejszy. Ja wszystko opowiem.«

»Nie teraz. Nie mam obecnie czasu słuchać długich opowiadań. Cóż mi jeszcze z północnej strony przynosisz?«

»Oprócz wiadomości o porażce Mierosławskiego przynoszę jeszcze od różnych dowódców pisma, które mam zaszyte pod podszewką mego surduta.«

»Dobrze. Spytaj o drogę do głównej mojej kwatery, przygotuj listy i czekaj tam na mnie. Co się teraz odbędzie w obozie, nie interesuje cię wcale.«

»Do usług, Ekscelencyo. A moi towarzysze!«

»Któż jest ten drugi?«

»Prosty, rosyjski żołnierz, ale dobry Polak, — mój ziomek i zarazem wierny sługa mego dawniejszego kapitana.«

»To niechże z nim przy mnie pozostanie. Najdalej za godzinę przyjdę na folwark, gdzie jest moja główna kwatera. Możesz mi wtedy szczegółowe zdać sprawozdanie. A teraz idź!«

Generał mówił do żyda krótko i tonem rozkazującym, choć nie pozbawionym przyjaznego odcienia. Mojżesz, który nadzwyczajnym szacunkiem dla wodza był przejętym, uklonił się pokornie i odszedł ku wozowi, nie omieszkał jednak rzucić swoim dotychczasowym towarzyszom spojrzenia, które zdawało się mówić: »Nie bójcie się, wszystko idzie dobrze!«

»Jeżeli łaska, proszę za mną, panie kapitanie!«, odpowiedział Langiewicz, a patrząc znacząco na Wacława, dodał:

»Ten człowiek może nam towarzyszyć.«

Ignacy szedł obok konia jenerała, który jadąc »tępa, kierował się ku najbliższemu obozowisku.

Obydwa nie zamienili z sobą ani słowa.

Jak już czytelnikom wiadomo, obóz wraz z bagażami znajdował się na wzgórzu, za nim zaś, nad brzegiem lasu stały główne siły korpusu.

Tu, jak zauważył Ignacy, panował wielki ruch. Żołnierze i kosynierzy pośpiesznie się ubierali, jak gdyby przewidywali, że wkrótce zostaną pod bronią zawezwani.

Langiewicz zawołał na jednego z trębaczy z pułku strzelców i wydał krótki rozkaz:

Daj sygnał do egzekucyi!»

Ignacy spojrzawszy zdumiony na wodza. Zdawało mu się, że źle zrozumiał wyraz »egzekucya«. Langiewicz zauważył zdziwienie Ignacego. Gdy trębacz dał sygnał, który natychmiast powtórzony przez resztę trębaczy, brzmiał po całym obozie aż do najodleglejszego zakątka, zwrócił się jenerał do Gurowskiego i tonem poważnym, prawie smutnym powiedział:

»Przyszłeś pan do nas w złej godzinie, panie kapitanie, ale mam nadzieję, iż pan nie jesteś zabobonny i nie przyjmiesz tego za złą wróżbę dla siebie. Dziś rano zwołaliśmy sąd wojenny, a wyrok, który niestety zatwierdzić musiałem, ma być właśnie wykonany. Ponieważ jesteś pan tu obcym, obowiązuję się w obowiązku objaśnić pana o przyczynach wyroku, którego wkrótce będziesz świadkiem. Idzie tu właśnie o jednego z dawniejszych pana kolegów, o oficera rosyjskiej armii, którego pojмалиśmy w niewolę w bitwie pod Malagoszczą. Uwzględniając jego stanowisko, pozostawiłem go w obozie na wolnej stopie, naturalnie pod warunkiem, na co dał mi słowo honoru, że nie ucieknie. Na honorze tego człowieka gorzko się zawiodłem. Przekonawszy się wczoraj na spacerze, jak strasznie jest ustawioną, przybliżył się do jednego z sztyldwachów i wdał się z nim w rozmowę. Nagle wyrwał mu z ręki bagnietę, usiłując powalić go na ziemię prawdopodobnie w tym celu, aby mógł uciec i zdradzić nas Bagracyonowi. Na szczęście przeszkodzono jego haniebnym usiłowaniom i napowrót uwięziono. Podług wojskowego prawa, przynętego przez wszystkie cywilizowane narody, zwołaliśmy dziś rano sąd wojenny, który

go skazał na śmierć przez powieszenie. Dla skazanego nic więcej uczynić nie mogłem, jak stryczek na kulę zamienić. Czy myślisz pan, że dobrze postąpiłem.«

Ignacy w przykrem znajdował się położeniu. Zrozumiał bowiem doskonale, że jenerał, choć rozporządzał wszelkimi środkami ostrożności, nie dowierzał mu także i tylko dla tego chciał go uczynić świadkiem egzekucyi, aby go przestrzedz. Opanował się jednak szybko i odpowiedział:

»Oficer ten postąpił sobie niehonorowo i na los swój zasłużył.«

»Nie czasy po temu, aby łaski udzielać«, odpowiedział Langiewicz posępnie.

Ignacy milcząc rozglądał się po obozie. Jakkolwiek nieufność Langiewiczza gniewała go, musiał jednak przyznać, że była usprawiedliwioną, szczególnie wobec dopiero co opisanego wypadku, który tak smutnie miał się wkrótce zakończyć.

Z nadzwyczajną szybkością i w wielkim porządku, które w zdumienie wprowadziły Ignacego, posuwały się różne oddziały wojska polskiego nad brzeg lasu, gdzie stali właśnie jenerał i Gurowski. Utworzyły one wielki czworobok, pozostawiając jedną stronę otwartą. Ignacy zauważył, że oddziały Mierosławskiego, które obserwował zdaleka w czasie polyczki nad jeziorem Gopiem, były daleko gorzej zorganizowane, umundurowane i uzbrojone. Tutaj doznawał wrażenia, że się znajduje w obozie regularnego wojska, — w każdym razie podstawa dzielnej armii była już gotową — i serce jego wzbralo narodową dumą.

Jeżeli Langiewicz obserwował Ignacego, to musiał jego wrażenia z wyrazu twarzy wyczytać.

Powoli nadjeżdżali konno oficerowie sztabu, gromadząc się wokoło jenerała. Z zdumieniem spoglądali na dwóch mężczyzn w mieszczańskich ubraniach. Musiał im jednak Langiewicz tajemny dać znak, gdyż o nic nie pytali.

Biedny Wacław drżał jak listek o mi, gdy odgadł cel zbierania się wojska. Przyszło mu nawet na myśl, czy czasem jenerał nie kazał kapitanowi i jego rozstrzelać. Ignacy musiał mu dopiero krótkie dać wyjaśnienie, aby go cokolwiek uspokoić.

Panna Postojtówna nie znajdowała się w sztabie jene-

rała. Tkliwość kobiecego serca, której przemódz nie mogła, (co jej tylko zaszczyt przynosiło) nie pozwoliła jej być świadkiem tak okropnej sceny.

Gdy już wojsko zajęło właściwą pozycję, wprowadzili strzelcy, na znak dany przez generała, delikwenta.

Był to młody jeszcze człowiek, o prawdziwie moskiewskich rysach twarzy, ubrany w mundur carski. Ignacy nie znał go osobiście. Jakkolwiek bardzo blady, panował jednak nad sobą, tylko jakby w poczuciu popełnionej winy, nie śmiał oczu podnieść do góry.

Na kapelana polnego, który obok niego postępował, nie zwracał uwagi, gdyż nie był to ksiądz jego wyznania.

Cale postępowanie było po wojskowemu proste, co dla delikwenta, nie mogącego oddawać się żadnej nadziei, stanowiło istne dobrodziejstwo.

Skoro tylko strażę przyprowadziły go przed generała w środek czworoboku, wojsko sprezentowało bron, a jeden z oficerów sztabu przeczytał głośno ostateczny wyrok sądu wojennego w całej rozciągłości i uzasadnieniu. Na wolnym placu stała z surowych desek zbita trumna. — Nieszczęśliwego objaśniono, że musi usiąść i pozwolić sobie zawiązać oczy chustką, czemu się tenże bez oporu poddał.

Oddział złożony z dwunastu strzelców, z oficerem na czele, przybliżył się mniej więcej na dziesięć kroków do nieszczęśliwego. Żołnierze milcząc wycelowali na niego nabita bron i na znak wydany z najsilniejszą powagą przez generała, oficer zakomenderował: »Ognia!« Dwanaście strzałów przeszło od razu delikwenta, który padł trupem na wznak do trumny.

Natychmiast ułożono go w niej i wywieziono do lasu, aby ciało w przygotowanym już pochować grobie.

Potem miał jeszcze Langiewicz krótką przemowę do wojska, w której dosadnie wytłomaczył mu konieczność tak surowego postępowania. Potem każdy oddział pomaszerował z powrotem na swoje stanowisko.

«Jeżeli na pańskie rozkazy, panie kapitanie», rzekł generał do Ignacego, «proszę mi towarzyszyć do mojej głównej kwater, tam możemy swobodnie prowadzić przerwana rozmowę.»

Pożegnał następnie swoje otoczenie i poprzeczając nieco Ignacego i Wacława, jechał z wolna ku folwarkowi. Nasi obaj znajomi byli nadzwyczaj opisani co dopiero sceną wzruszenia.

W głębi duszy przyznawał Ignacy, iż surowe postępowanie generała względem niehonorowego i zdrazieckiego rosyjskiego oficera było zupełnie słuszne.

Moskale postępowali względem naszych z bezwzględnością bez granic, a okrucieństw nie starali się nawet pokryć płaszczykiem jakiegokolwiek prawa. Trudno więc było odwzajemniać im się łagodnością. Langiewicz musiał tak postąpić, aby nie tylko Moskali przestraszyć i odstraszyć, ale aby i własnych ludzi nie demoralizować. Rosyjski oficer na swój los zasłużył.

Generał wraz z Ignacym i Wacławem byli już niedaleko folwarku, gdy naraz na drodze, prowadzącej przez las ukazał się jeździec, w pełnym galopie zbliżył się do generała, stanął i nie zważając na jego towarzyszy, zdał po wojskowemu krótki raport.

Ignacy stanął także i z nadzwyczajną ciekawością przyglądał się oryginalnemu kostyumowi młodego oficera. Miał on na sobie biały płaszcz, który do połowy go tylko zakrywał. Gdy spojrzał na twarz, o mało z zdziwienia nie krzyknął, gdyż zdawało mu się, iż w młodym oficerze poznał Henrykę. Tak samo wyglądała, kiedy w męzkim przebraniu z więzienia z Żytomierza uciekała, z kąd znowu z starym Stachem udała się do Bukaresztu. Od tego czasu nic o niej nie słyszał. Raz tylko z listu matki dowiedział się, że się w Bukareszcie u krewnych znajduje.

Zkądże się w tym wojowniczym kostymie w obozie Langiewicza wzięła? To chyba tylko uderzające podobieństwo! Nie mógł się jednak z wrażenia otrząsnąć i zdumiony wzrok utkwiał w młodego adjutanta.

Przypadkiem spojrzał także adjutant na Ignacego i śnać uderzyło go jakieś podobieństwo, gdyż twarz jego tak radosne odbijała wrażenie, że je nawet generał zauważył.

Zanim jednak zdążył Langiewicz jedno lub drugie zapytać, zeskoczył adjutant z konia, którego puścił luzem i z otwartymi ramionami rzucił się na szyję Ignacemu, wołając radosnie:

«Ignacy! mój drogi, ukochany bracie!»

Henryko, więc to ty, ty rzeczywiście? I pokonani nadzwyczajnem wzruszeniem pozostawali dłuższy czas w serdecznym uścisku, nie mówiąc nawet do siebie. Jenerał i Wacław przypatrywali się z nieopisanem zdziwieniem zagadkowej scenie.

Nareszcie Henryka przemówiła pierwsza. »Zkąd się tu wzięłeś Ignacy?»

»Przybyłem tu, aby walczyć pod rozkazami Langiewicza. A ty?»

»Ja to już czynię od dawna. Mówiłam ci przecież zawsze, że to moje powołanie. Niech Bóg twoim błogosławi zamiarom, Ignacy! Przeczuję, że nigdy już nie włożysz na siebie nieprzyjacielskiego munduru.«

Henryka zwróciła się teraz do jenerała z jaśniejącami radością oczyma i ściskając za szyję Ignacego, rzekła:

»Proszę ci wybaczyć, panie jenerale, że teraz dopiero przedstawię mu mego przybranego brata. Jestto zaena, dzielna, prawdziwie polska dusza. Ale pan go już zna, nieprawdaż?»

»Nie pani«, odpowiedział jenerał, uśmiechając się. »Znałomność moja z kapitanem Gurowskim była dotąd bardzo powierzchowną. Muszę otwarcie się przyznać, że z pewną nieufnością obserwuję go od godziny. Teraz jednak, gdy pani go polecasz, wyciągam do niego rękę z całym zaufaniem i witał serdecznie jako pożądanego towarzysza broni.«

Langiewicz poparł czynem swoje słowa.

»Zdaje mi się, że czynię mnie świadkiem tej okropnej sceny, jaka się przed chwilą rozegrała, chciales mnie pan, panie jenerale, odstraszyć od naśladowania podobnie odwiecznego czynu«, mówił Ignacy, odwzajemniając serdeczny uścisk dłoni. Jestem jednak pewnym, że niedługo będę miał sposobność przekonać pana o moim szczerym patryotyzmie.«

»Nie potrzeba już tego zapewnienia. — Ja to raczej proszę pana o przebaczenie. A teraz pozostawiam państwa samych, bo z pewnością macie sobie wiele do powiedzenia. Aby wam nie przeszkadzać, pojadę naprzód na folwark, gdzie was obojga oczekiwać będę.«

»Opiece pana powierzam mego młodego bohatera adjutanta«, mówił dalej jenerał, patrząc z znaczącym uśmiechem na Henrykę. Następnie uklonił się i zaciął konia.

Wacław tymczasem pochwycił za cugle konia Henryki, na którą spoglądał, jakby na siódmy cud świata, i postępował zwolna za rodzeństwem, które szło, prowadząc się pod ramię.

»Zdaje mi się, że śnię, Henryko i nie dotąd nie rozumiem,« mówił Ignacy, ogarniając siostrę wzrokiem pełnym miłości i zarazem jej strój podziwiając.

»Czyż mnie znasz tak mało, Ignacy?« odpowiedziała z żywością Henryka. Czy myślałeś, iż będę z założonemi rękami siedzieć w Bukareszcie, podczas gdy moja Ojczyzna we krwi się kąpie? — Ten zacny człowiek, Langiewicz nie żartował. Jestem rzeczywiście jego adjutantem i to, jak myślę, nie najgorszym.«

»A więc rzeczywiście zamieniłaś w czyn, co ja uważałem za marzycielswo?«

»A ja myślałam, że ci dość stanowczo moje przekonania wyraziłam. Czy nie pamiętasz już, jaki ślub uczyniłam? Ale mów mi o sobie. Co cię przyprowadziło na myśl opuszczenia znienawidzonej chorągwi? Jakim sposobem umknąłeś Moskalom i co znaczy strój, jaki dziś masz na sobie?»

Pozostawmy naszych młodych przyjaciół na drodze do folwarku, niech się narozmawiają do woli.

Jenerał przybył tymczasem do swojej kwatery i kazał zwołać natychmiast Mojżesza Lipmanna, który mu poufne pisma doręczył i odpowiedni zdał raport.

Tak zwany folwark był to mały w nieporządku utrzymany budynek, położony wśród lasu na najwyższym pagórku. Mieszkańcy opuścili go z obawy przed mogącą tu zająć bitwą, a Langiewicz umieścił w tym ciasnym domu swój sztab i małą straż, sam zajmował tylko jeden, źle umebłowany pokój.

Podczas gdy żyd znajdował się jeszcze na posłuchaniu u jenerała, zameldowano temu ostatniemu, że jakaś młoda kobieta, ubrana po wiejsku, przyjechała w towarzystwie starego mężczyzny, na prostym chłopskim wozie i życzy sobie koniecznie mówić natychmiast z jenerałem. Jako swoją legitymację przesyła odpowiednie pismo.

Langiewicz wziął natychmiast podany sobie mały, zapieczętowany list i rozerwał pieczętkę. W kopercie znajdowała się zwyczajna karta z pieczęcią i podpisem: »Stefan Bobrowski.«

Po przeczytaniu tej tajemniczej karty twarz jenerała ożyła się nadzwyczajnie.

Zwracając się do żyda, rzekł nagle: »Dobrze Mojżeszu, dziękuję ci za wszystko. Teraz musisz odejść, gdyż mam ważną wizytę do przyjęcia.«

Następnie rozkazał ordynansowi, który mu list przyniósł, aby natychmiast ową panią przyprowadził.

Ten drugi wóz, który prawie równocześnie z naszymi podróżnymi przybył do obozu, nadjechał z przeciwnej strony i był przez ułanów na folwark przyeskortowany. Na wozie oprócz woźnicy, zwyczajnego chłopca, do którego wóz i konie należały i którego podróżni dobrze opłacić musieli, znajdowały się jeszcze dwie osoby: młoda kobieta o pięknej i słodkiej wyrażającej twarzy i delikatnych rękach, wcale nie licujących z jej obecnym ubraniem, i stary, ale jeszcze rzeźki mężczyzna z siwymi włosami i tegoż koloru długimi, na dół opadającymi wąsami. Gdy polscy żołnierze zatrzymali konie, młoda kobieta wystraszyła się cokolwiek. Za to jej towarzysz, który nosił na sobie małomieszczański ubiór, nie tylko nie okazał najmniejszego zakłopotania, ale owszem, bystrym wzrokiem muśtrował wszystko, co się przed jego oczami przesunęło, a szczególnie żołnierzy. Po wyrazie twarzy łatwo można było zgadnąć, że był z przeglądu zadowolonym. Mówił nie wiele, odpowiadał tylko krótko na stawione mu pytania i żądał jak najenergiczniej, aby go wraz z towarzyszką zaprowadzono do głównej kwatery jenerała. Cała jego postać tchnęła taką powagą i stanowczością, że nie ośmielono się jego życzeniom sprzeciwiać.

Dla młodej kobiety zdawał się być przejętym nadzwyczajną przyjaźnią, ona zaś odwdzięczała mu się zaufaniem. Ponieważ rozmawiali po polsku, eskortujący ich kawalerzyści przysłuchiwali się z niemałym zdziwieniem, jak ów stary mężczyzna objaśniał swą towarzyszkę w sposób, zdradzający najdokładniejszą znajomość sztuki wojskowej, o rozłożeniu obozu Langiewicza, wykazując nawet od czasu do czasu małe niedostatki w urzędzeniu. Musiał to być stary, doświadczony żołnierz, o czem, wyjąwszy ubranie, świadczyła cała postawa.

Ordynans, który przy odbieraniu listu od przybyłych patrzył na nich z pewnem lekceważeniem, powrócił z zupełnie

inną miarą, gdyż słyszał dobrze wyrazy, wymówione przez jenerała do żyda. Poprosił więc w najgrzeczniejszy sposób młodą kobietę, aby za nim poszła.

Stary mężczyzna, odznaczający się nadzwyczaj silną budową ciała, zszedł także z woza i stanawszy przed domem, wdał się w rozmowę z trzymającym straż strzelcem, którego tak broń jak umundurowanie otwarcie krytykował.

Tymczasem młoda kobieta weszła do pokoju, w którym znajdował się sam tylko Langiewicz, gdyż Mojżesz Lipmann odszedł natychmiast, a ordonans cofnął się także na dany znak przez jenerała.

»Domyślam się, że ubiór ten jest tylko przebraniem łaskawej pani«, rzekł jenerał, podchodząc bliżej ku młodej kobiecie i kłaniając się jej z największą uprzejmością.

»Nazywam się Teresa Gurowska«, odpowiedziała nowo przybyła z godnością, zdradzającą aż nadto, że do wyższych sfer towarzyskich należała. »Papiery, które od rządu prowizorycznego przywożę dla pana jenerała, dadzą mu dostateczne o mojej osobie wyjaśnienie. Jadąc koleją z Warszawy do Mrzygłodu, musiałam dla ostrożności wziąć na siebie strój wiejski.«

Jenerał podał jej krzesło i usiadł sam naprzeciwko. Widać było po nim, że ciekawym był treści zawartej w papierach, starał się jednak zapanować nad sobą i czekał cierpliwie, dopóki Teresa nie wyjęła ukrytych na piersiach papierów i nie podała mu ich.

»Myślę, że łaskawa pani nie doznała w drodze żadnych nieprzyjemności?« pytał jenerał.

»Nie panie. Ja i mój towarzysz byliśmy zaopatrzeni w jaknajlepsze paszporty, które sam Wielki Książę podpisał.«

»To widać, że rząd prowizoryczny ma wpływowe znajomości«, dorzucił Langiewicz, uśmiechając się. Zdaje się więc, że nasza sprawa w Warszawie wcale źle nie stoi.«

»Wszyscy na pana wzrok mają zwrócony.«

»Byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu«, odpowiedział jenerał, biorąc papiery z rąk Teresy.

»Te papiery dowiodą, jak nieograniczone zaufanie pokładają w panu.«

»A więc treść ich nawet jest pani znana?«

»Przynajmniej najważniejsze rzeczy. Myślę, iż dobre przywiozłam panu generałowi wiadomości.«

»A więc podwójnie jestem pani wdzięcznym. A teraz proszę mi łaskawie pozwolić na przeczytanie owych wiadomości.«

Przystąpiwszy do okna, otworzył papiery, które były zapisane znanymi mu znakami. Teresa pilnie śledziła wrażenia, odbijające się na twarzy generała i obserwowała go z nadzwyczajną ciekawością. Jakkolwiek wyobrażała go sobie innym, to jednak nie czuła się wcale niemile rozczarowaną.

Generał starał się przy czytaniu zachować spokój. Mimo woli jednak zarumieniał się lekko, a twarz jego wyrażała na przemian dumę i radość. Potem spoważniał i zamyślił się głęboko. Nareszcie odłożył papiery na stronę, zbliżył się wolnym krokiem do Teresy i rzekł:

»A więc pani zna treść pisma, przysłanego mi od rządu prowizorycznego?«

Teresa podniosła się z krzesła i podczas gdy generał ogarniał ją badawczym spojrzeniem, ona uroczystym prawie głosem odpowiedziała:

»Tak jest, panie, i czuję się szczęśliwą, iż mogę pierwsza oddać hołd Dyktatorowi Polski.«

Langiewicz wzruszony bardzo podał jej rękę.

»Oby to postanowienie rządu prowizorycznego przyniosło szczęście naszej Ojczyźnie. Niechaj Bóg im i mnie błogosławi!« mówił Langiewicz z uczuciem. »Mam sobie za najświętszy obowiązek, godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu i przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność nie dla tego, abym czuł się jedynie do tego powołanym, bo Ojczyzna posiada więcej fachowo wykształconych ludzi, ale dla tego, iż jestem głęboko przekonany, że niema w całej Polsce serca, któreby dla niej czystsze i świętsze było uczuciem jak moje. Przyrzekam, że danej mi władzy nigdy nie nadużyję i jeżeli szczęście ludu wymagać tego będzie, złożę ją znowu w ręce tego, którego naród na swego rządcę wybierze.«

»Niech Bóg błogosławi Polsce i jej dyktatorowi!« rzekła wolno Teresa, z błyszczącymi od łez oczyma.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY.

Dalszy ciąg.

Ignacy i Henryka mieli dość czasu w drodze na folwark, opowiedzieć sobie choć w krótkości wszystko, co dotąd przeżyli. Ignacy nie mógł dostatecznie zrozumieć postanowienia Henryki, które jakkolwiek dowodziło wielkiej wspaniałomyślności serca, podług jego jednak mniemania przekraczało granicę kobiecości. Henryka zaś cieszyła się niezmiernie, że okoliczności zmusiły Ignacego do pokonania skrupułów sumienia i zaprowadziły go do szeregów obrońców ojczyzny.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do głównej kwatery na folwarku a pierwszą osobą, która ich uwagę na siebie zwróciła, był stary Chłapowski. Czyelnicy domyslili się już zapewne, że towarzyszem Teresy nie był kto inny, tylko jej przybrany ojciec. Baronowa bowiem na prośby Teresy wystarała mu się o paszport, na którym figurował jako służący. Chłapowski prowadził jeszcze bardzo ożywioną rozmowę z kilku strzelcami o zaletach i wadach rozmaitej broni palnej. Imponująca postawa starca musiała rzeczywiście zwrócić na siebie uwagę każdego.

»Zdaje mi się, że nasze szeregi nową zyskają siłę«, mówiła Henryka, wskazując wzrokiem na Chłapowskiego. »Ten starzec, którego tu nigdy jeszcze nie widziałam, robi na mnie wrażenie doświadczonego żołnierza. Stanowisko adjutanta generała daje mi prawo zapytania go o cel jego tu przybycia.«

Stary Chłapowski zdumiał, postrzegłszy fantastycznie ubranego młodego oficera i zapytał żołnierza, z którym właśnie rozmawiał, kto to jest.

»Nigdybyś pan tego nie zgadł«, odpowiedział żołnierz z uśmiechem.

»Hm«, mruzczał Chłapowski, »gdyby ten młodzieniec nie miał tak błyszczących czarnych oczu i nie nosił szabli i rewolwera, to sądząc po wielkim krucyfiksie, zawieszonym na jego szyi, wziąłbym go za waszego polnego kapelana.«

Strzelcy wybuchnęli śmiechem, co zdawało się starego mocno drażnić, gdyż takim wzrokiem mierzył każdego z osobna, że im się śmiać odechciało.

»Wybacz pan, że się śmiejemy«, rzekł jeden z nich. »Ten ktoś, to żeński adjutant naszego generała.«

»Kto? — Do diabła!«

»Panna Postojtówna, która choć kobieta, odznacza się taką odwagą, jak najstarszy żołnierz.«

»Zdaje się, moi chłopcy, że sobie ze mnie żarty stroicie«, mówił stary sierżant prawie groźnie.

»Przysięgam panu, że mówimy zupełną prawdę. To jest kobieta. Ale towarzysze, baczność!«

Szyldwachy sprezentowały broń a reszta żołnierzy salutowała adjutanta po wojskowemu, który teraz szybkim krokiem zbliżał się do nich. Ignacy szedł za nim.

»Kto to jest?« spytała Henryka, która wobec żołnierzy odpowiednią przybrała postawę.

»Jakiś obcy, który towarzyszył pewnej pani, znajdującej się obecnie u generała.«

Henryka kłaniając się starcowi, zapytała go uprzejmie: »Pan chciałby zapewne także widzieć się z generałem?«

»Pragnę tego rzeczywiście«, odpowiedział Chłapowski, przypatrując się Henryce z widocznym zdziwieniem.

»Jesteś pan zapewne starym żołnierzem, — oficerem może?«

»Nie panie — czy pani, gdyż sam nie wiem, jak mam mówić. Wprawdzie przed piętnastu laty, w czasie powstania w Poznaniu, dowodziłem batalionem kosynierów u Mierosławskiego, ale właściwie jestem tylko starym sierżantem z roku 1831 i nie pragnę innego, wyższego tytułu.«

»O, mój dzielny, stary przyjacielu«, zawołała Henryka entuzjastycznie. »Jesteś żołnierzem z czasów najnieszczęśliwszych dla Polski, ale zarazem najpełniejszych sławy.«

»Ja już pod znakiem Napoleona nietylko Hiszpanię, ale pół świata przebiegłem«, mówił Chłapowski, uderzając się w piersi. »Walczyłem w roku 30-tym i 31-szym w sławnym czwartym pułku ułanów, 1848 roku pod Mierosławskim w Wielkiem Księstwie Poznańskim, a dziś przychodzę do Langiewicza prosić, aby mi pozwolił z muszkietem lub, jeżeli tak być musi, z kosą w rękę pójść na Moskalą.«

Strzelcy słuchając tych słów, zaczęli na starego zupełnie innemi spoglądać oczyma, a Henryka, której twarz zarumieniała się z radości, wyciągnęła rękę do Chłapowskiego, mówiąc:

»Jesteś pan jednym z ostatnich dziesięciu, którzy służyli w walecznym czwartym pułku, którego pamięć świętą jest dla każdego Polaka. Co to za radość i chluba dla Langiewicza, że podobny człowiek pospiesza służyć pod jego dowództwem.«

Zanim stary mógł cośkolwiek odpowiedzieć, przystąpił do niego nagle Ignacy i kładąc mu rękę na ramieniu, z widocznym wzruszeniem zawołał:

»Jeżeli pan służyłeś w czwartym pułku piechoty, to musi mu być znane nazwisko starego towarzysza, mego ojca.«

»Łatwo być może«, odpowiedział starzec, przypatrując się uważnie Ignacemu, jak gdyby w nim kogoś znajomego rozpoznawał. »Może mi pan powie swoje nazwisko?«

»Gurowski« odpowiedział Ignacy. »Mój ojciec służył w czwartym pułku« —

Naraz przestał mówić, a wszyscy obecni przerazili się prawie zmianą, jaka zaszła w fizyonomii starego sierżanta.

Surowa jego twarz promieniała, żrenice się rozszerzyły, utkwiał w Ignacego wzrok jakiś dziwny. Chciał mówić, ale szczęki, jakby sparaliżowane, nie chciały się poruszać. Ramiona, które rozłożył, jakby Gurowskiego pragnął do piersi przycisnąć, bezwładnie opadły mu na dół. Pobladł strasznie i począł się chwiać.

»Ale cóż się panu stało, stary bohaterze!« zawołała Henryka wystraszona, a kilka strzelców podbiegło, aby starca podtrzymać.

Ale ten przyszedł do siebie nadspodziewanie prędko. Potarł ręką czoło i mówił półgłosem, jakby do siebie:

»Umarli zmartwychwstają. Gdzież ja miałem oczy, że go od razu nie poznałem?«

»Uspokój się, czcigodny starcze«, rzekł Ignacy, do głębi wzruszony. — »Sądząc po nadzwyczajnem wrażeniu, jakie na panu moje nazwisko uczyniło, wnoszę, iż pan znałeś doskonale mego ojca.«

»Powtórz mi jeszcze swoje nazwisko!« zawołał dzikim prawie głosem Chłapowski, przyczem pochwycił rękę Ignacego i kurczowo ją ścisnął.

»Ignacy Gurowski.«

»A twój ojciec służył w czwartym pułku?«

»O ile sam wiem i z opowiadań matki, ojciec mój poległ przy wzięciu Warszawy, pod Wolskimi rogatkami.«

»Dosyć, dosyć!« wołał starzec w najwyższym uniesieniu. »Niech cię uściskam, synu mego nieszczęśliwego przyjaciela i towarzysza! To ja jestem owym sierżantem, Tadeuszem Chłapowskim. Ja mu zamknąłem oczy i grób w obcej wykopałem ziemi. Jam jest wykonawcą jego ostatniej woli.«

Łkanie tłumilo głos starego wojaka a łzy spływały po siwej jego brodzie. Ignacego trzymał wciąż w uścisku. Naraz wyrwał się z objęć, pochwycił gwałtownie obie ręce kapitana i patrząc na niego błyszczącym wzrokiem, mówił:

»Matka twoja nosiła cię jeszcze pod sercem, gdy to nieszczęście nad nią, nad nami wszystkimi zawisło, ale miałaś już wtenczas siostrę, młode, delikatne dziecię.«

»Moja matka do dziś jeszcze oplakuje swoją ukochaną Teresę.«

»Do dziś powiadasz?« przerwał mu stary sierżant. »A więc matka żyje jeszcze?«

»Żyje. — Jej mężne serce zniosło najcięższe cierpienia.«

»O! Bóg jest miłosierny i sprawiedliwy«, mówił uroczyście Chłapowski, biorąc znowu Ignacego w swoje objęcia. Najwyższy wynagrodził jej cierpienia i pozwolił doczekać się szczęścia, o którym już nie marzyła. Matka twoja ujrzy córkę a ty siostrę swoją Teresę.«

»Boże Wielki, czyż to możliwe! Czy pan wiesz, gdzie jest moja siostra, gdzie jest Teresa?«

»Tutaj!«

»Nie męcz mnie pan! Powiedz, gdzie jest Teresa?«

»Tu, na folwarku. Przywiozła jenerałowi listy od rządu prowizorycznego.«

Na rozkaz Henryki żołnierze już dawno oddalili się, tak że ani jednego słowa z całej rozmowy zrozumieć nie mogli. Młoda dziewczyna pozostała w pobliżu.

Nie mogła teraz powstrzymać się, aby nie wykrzyknąć z podziwienia.

»Zobaczysz ją za chwilę«, mówił dalej stary sierżant, pieszcząc Ignacego jak dziecko, »i przekonasz się, że stary Chłapowski wiernie wypełnił testament twego ojca i wychował ją na dzielną Polkę i złą kobietę, z której tak matka, jak i ty dumni być możecie.«

»Ale«, mówił dalej, ocierając pot z czoła, »Teresa przeszła wiele nieszczęść i nerwy jej stargane. Muszę ją przysposobić na to niespodziewane spotkanie się, bo nawet i radość, gdy nagle serce uderzy, może być ciału szkodliwą. Ty się usuniesz, a ja z nią pomówię. Albo nie. — W mojej starej głowie pali się. Nie mogę myśli zebrać. — Pani to weźmie na siebie, prawda? Powiedziano mi przecież, że jesteś kobietą.«

»Tak, jestem kobietą«, rzekła Henryka i przybliżywszy się, pochwyciła rękę starca. »Wychowaliśmy się razem z Ignacym. Byłam mu zawsze i jestem najprzywiązanszą siostrą, przyjmuję więc chętnie to polecenie. Jak tylko Teresa powróci od jenerała, zabiorę ją do swego pokoju, który się w tym samym domu znajduje, pomówię z nią i przysposobię do tego radośnego spotkania. Was zaś obydwuch zewezwę wtenczas, kiedy uznam to za właściwe.«

»Stokrotne dzięki«, powiedział Chłapowski i chciał pocałować rękę Henryki, na co ona jednak nie pozwoliła.

Pożegnała się następnie i poszła do domu, aby się spotkać z Teresą.

Ileż to tematu do rozmowy mieli nawzajem Chłapowski z Ignacym? Starzec przerywał często opowiadanie i z rozrzewnieniem przyciskał Ignacego do piersi. Upatrywał w nim nadzwyczajne podobieństwo do ojca, o którego śmierci w wzruszający opowiadał sposób.

»Jak długo myślisz tu, ojcze, wraz z Teresą pozostać?« pytał Ignacy z obawą, aby rozstanie się zbyt prędko nie nastąpiło.

»Co do Teresy, to o jej wyjeździe rozstrzygać nie mogę, gdyż zależy to zupełnie od postanowienia generała. Ja zaś tu pozostaję, z czego obecnie podwójnie się cieszę, gdyż walczyć będę za Ojczyznę wspólnie z synem mego najukochańszego przyjaciela.«

»Czy rzeczywiście masz, drogi ojcze, zamiar pomimo tak podeszłego wieku, pochwycić za broń i narazić się na trudy i niewygody, na jakie obecna nasza wyprawa więcej, niż każda inna wystawia?«

»O, spojrzysz na mnie!« zawołał starzec, prostując się, przyczem oczy jego ogniem błyszczały. »Czyż wyglądam na niedołężnego inwalidę? Czy mój krok nie pewny? Czyż nie mam muszkulów, jakby ze stali?«

I wywinął szybko ręką w powietrzu.

»Proszę ci przebaczyć«, prosił Ignacy, który starca bał się obrazić. »Ja nie wątpię, że pan posiadasz siły i zdrowie potem, aby zamiar swój przeprowadzić. Gdybyś mi pan sam nie był powiedział, nie byłbym nigdy uwierzył, że liczysz pan już siedmdziesiąt pięć lat życia.«

»Okrągłe siedmdziesiąt pięć«, mówił z dumą Chłapowski.

»Boję się tylko«, ciągnął dalej Ignacy, aby zmienione warunki życia nie miały złych następstw.«

»Ależ dla czego? Czyż ty myślisz, że ja w Paryżu w puchach leżałem? Ja tam rapierami ćwiczyłem, a mało kto z młodych dorównał staremu.«

»Ty, ojcze, dość już wysłużyłeś się Ojczyźnie, pozwól teraz nam młodszemu w jej obronie walczyć. Tyś powinien, ojcze, w spokoju odpocząć, lub conajmniej walczyć tylko przyglądać.«

»O nie, mój synu«, odpowiedział stary sierżant z powagą.

»Dla Ojczyzny nie można nigdy dosyć uczynić, a nasza więcej niż każda inna wymaga od swych dzieci usług i poświęcenia. Czyż ta zacna młoda dziewczyna, twoja przybrana siostra, nie jest w tym względzie świętszym przykładem?«

»Co zaś do niebezpieczeństwa, o którym wspomniałeś, to ja takiego wyrazu nie znam. W moich czasach, za wojen napoleońskich, taki wyraz dla żołnierzy nie istniał. A wreszcie zapewniam cię, że daleko milej byłoby mi umierać na polu bitwy, niż na łóżku, tak przystoi na ostatniego z czwartego

pułku. Mnie nawet podobny koniec przepowiedziano, a nikt swemu przeznaczeniu nie ujdzie.«

»Źle mnie rozumiesz, drogi ojcze«, mówił Ignacy cokolwiek zawstydzony odpowiedzią starego wojaka. »Słowa moje podyktowała mi tylko troska, aby ciebie, drogi ojcze, którego dopiero co znalazłem, nie utracić znowu. Skoro jednak poznałem twoje przekonania, już im się więcej sprzeciwiać nie będę. I ja jestem gotów służyć Ojczyźnie aż do ostatniej kropli krwi i sądzę, że nie długo będziesz miał, ojcze, sposobność przekonać się, że nie mniej od ciebie nie boję się niebezpieczeństwa.«

»Tak przystoi mówić prawdziwemu Gurowskiemu!« zawołał starzec, ściskając rękę Ignacego. »Odbędziemy wspólnie kampanię pod Langiewiczem, a jeżeli mnie kula trafi, ty mi oczy zamkniesz, jak ja to twemu ojcu uczyniłem. A teraz, jeżeli masz ochotę, odprowadź mnie do generała, gdyż Teresa przyrzekła mi, że zaraz audyencyę u niego wyrobi.«

W tej chwili właśnie ujrzeni idącego do nich ordonansa.

»Zdaje się, że nas już wzywają. Chodź ze mną, gdyż chcę cię generałowi jako mego odzyskanego przedstawić synu.«

Rzeczywiście przynosił ordonans dla obydwóch zaproszenie od generała.

Jestto zupełnie naturalne i zrozumiałe, że generał odebrawszy tak ważne dla siebie nowiny, zapomniał zapytać Teresę, czy ją nie łączy jakie pokrewieństwo z Ignacym ze względu na ich równobrzmiące nazwisko. Nie mając więc pojęcia, że się w bliskości brata znajduje, opuściła Teresa pokój generała, któremu przyrzekła, że kilka dni jeszcze zabawi w obozie, aby o ile możliwości być świadkiem rozstrzygającego zwycięstwa nad Moskalami, którem Langiewicz chciał zaznaczyć swoją nominacyę na dyktatora. Wiadomość zaś o tem zawiozłaby Teresa do Warszawy.

»Moje mieszkanie, jak pani widzi, jest bardzo szczupłe«, mówił generał z uśmiechem. »Poproszę więc mego adjutanta, pannę Postojotównę, aby panią do swego pokoju w gościnę przyjął.«

Tym sposobem usłyszała Teresa po raz pierwszy o bohaterkiej amazonce.

Langiewicz kazał poprosić pannę Postowojtównę i zapoznał z nią Teresę. Następnie obie damy cofnęły się do pokoju Henryki, która natychmiast zabrała się do spełnienia polecenia, danego jej przez Chłapowskiego.

Tymczasem dyktator przyjmował obydwóch panów.

»Sędziwy bohaterze«, mówił generał do starego sierżanta, którego z prawdziwym powitał szacunkiem, — »pańska córka wyraziła mi już twoje życzenie, a ja uważam sobie za najwyższy zaszczyt, iż ostatni z Czwartego pułku chce w mojej służyć chorągwi. Jestem także pewny, że tak dzielny i doświadczony żołnierz dobrych rad mi nie odmówi. Wybierz sobie pan w moim wojsku jakie chcesz stanowisko, jakie ci najlepiej do gustu przypada, a ja nominację natychmiast podpiszę.«

»Mój jenerale«, odpowiedział Chłapowski z powagą starca i dumą starego wojaka, »muszę panu na jego propozycję to samo, co przed laty generałowi Mierosławskiemu oświadczyć: Na oficera jestem niezdatny, gdyż jestem tylko zwyczajnym, praktycznie wykształconym żołnierzem. W cudze piórka stroić się nie chcę, a jestem już za stary, aby być próżnym i honorów żądnym. Dla tego pozwól mi pan w stopniu sierżanta którym długie lata byłem, Ojczyźnie służyć i dla niej umrzeć.«

»Pańską wolę, równie jak jego siwą głowę uszanuję zawsze«, odpowiedział Langiewicz.

»Mam tylko jedną prośbę«, mówił dalej Chłapowski, — »pozwól mi, jenerale, służyć przy boku kapitana Gurowskiego, który jest synem najlepszego i najdroższego mego towarzysza z czwartego pułku.«

»A więc panowie są starymi znajomymi?« pytał generał zdziwiony.

»To nie. Przed godziną dopiero ujrzelismy się poraz pierwszy w życiu, ale to wystarcza, że się pokochaliśmy, jak ojciec z synem.«

»Dobrze, nie rozłączcie się panowie. Ale —« dodał z namysłem Langiewicz, »czy dama, która w pańskim towarzystwie tu przybyła i depesze mi przywiozła, nie nosi tego samego, co kapitan nazwiska?«

»Jestto jego rodzona siostra.«

»Niepodobna!« zawołał generał zdumiony. »Nic mi nie mówiła, że jej brat w moim znajduje się obozie.«

»Gdyż ona o tem nie wie jeszcze. Dowie się dopiero teraz z ust pańskiego adjutanta, który podjął się, przysposobić ją do tak radosnej niespodzianki.«

»Czy podobna!« zawołał Langiewicz. »Ależ to są rzeczy nadzwyczaj ciekawe. Poproszę pana o bliższe szczegóły. Zdaje się, że w moim obozie zaczyna do pana szczęście się uśmiechać.«

Obydwaj panowie opowiadali na przemian historię swego życia, a Langiewicz słuchał z wielkim zainteresowaniem, nie mogąc nieraz ukryć zdumienia z powodu nadzwyczajnych okoliczności i wypadków, jakie w ich życiu aż do ostatniej chwili zachodziły. Życzył im z całego serca, aby w przyszłości byli szczęśliwi.

Jesteś pan doświadczonym i z wojną obeznanym oficerem«, powiedział generał do Ignacego. »Poznawszy z opowiadania dotychczasową jego działalność wojskową, sądzę, że się nie zawiodę, gdy panu powierzę opróżnioną komendę nad drugim pułkiem strzelców, w stopniu majora. Myślę, że z przyjemnością dowodzić pan będziesz tym pięknym oddziałem, w którym wiele pokładałam nadziei. Jutro możesz pan już służbę objąć, skoro go batalionowi przedstawię. Dziś jest już za późno, a zresztą jutro po południu zarządzę wielką paradę i polowe nabożeństwo, do czego mam szczególniejsze powody. A teraz pozostawiam panów samych i życzę z całego serca, abyście nigdy nie żalowali, że do mnie przyszliscie.«

Sklonił się następnie bardzo przyjaźnie zdumionemu Ignacemu, który czuł się niesłychanie uszczęśliwionym otrzymaniem stanowiskiem. Staremu zaś sierżantowi podał rękę, mówiąc:

»Co do pana, mój stary bohaterze, to podług twego życzenia, załączam cię do batalionu majora Gurowskiego. Pracujcie wspólnie wojskowo. W mojej kwaterze będziesz pan zawsze jak najmilej widziany. Każdego z moich żołnierzy uważałbym za złego człowieka i Polaka, gdyby, niosąc ten sam co i ty mundur, nie oddał ci należnej czci i szacunku.«

»Jeżeli mi pozwolisz, mój jenerale«, odpowiedział starzec, przyczem rozpiął swój mieszczkański ubiór i ukazał stary, zni-

szczony mundur czwartego pułku, to pozostanę do końca mego życia przy tym znanym ci z pewnością zaszczytnym uniformie.

Langiewicz skłonił głowę z uszanowaniem przed tym sławnym mundurem.

»Noś go pan i powiadaj moim młodym żołnierzom, jak ich przodkowie w tych mundurach nieśmiertelną okryli się sławą. Niech ich naśladowają, niech im dorównają, a wtedy Polska nie zginie.«

Dyktator skłonił się i obydwaj panowie odeszli.

Langiewicz przywołał natychmiast do siebie najwyższych dowódców i oznajmił im o władzy otrzymanej od rządu prowizorycznego, oni zaś z entuzjazmem powitali Dyktatora Polski. Tego samego jeszcze wieczora, dnia 10-go marca, w obozie pod Goszczą wydał odezwę do wojska i narodu, w której postanowił przyjąć dyktaturę i wziąć do pomocy rząd cywilny.

Jeziorańskiego i Waligórskiego mianował generałami, a Czapskiemu oddał dowództwo nad kawalerją.

Obwieszczenie tej proklamacyi było nadzwyczaj uroczyste w obozie obchodzone.

Dla wyjaśnienia czytelnikom ważności tej zmiany powiemy, że dyktatura zawierała w sobie najwyższą władzę, tak wojskową, jak obywatelską całego Królestwa polskiego, którą rząd prowizoryczny składał w ręce Langiewicza.

Teresa była początkowo zdumiona nadzwyczajną przyjaźnią, okazywaną jej przez Henrykę, tem bardziej, że posadzała młodą amazonkę o brak kobiecości. Po dłuższej jednak rozmowie Henryka swem wzięciem i serdecznem słowem zyskała w zupełności zaufanie Teresy.

Z całą otwartością i uczuciem opowiadała koleje swego życia i wspomniała nareszcie o wielkiej radości, jakiej co dopiero doznała, gdyż niespodziewanie odnalazła w obozie swego przybranego brata.

»O, jakże pani jesteś szczęśliwą!« rzekła Teresa z westchnieniem.

»O! z pewnością jest to wielkiem szczęściem, mieć przy swym boku wiernego przyjaciela, kochanego i kochającego brata. A pani, czy nie ma rodzeństwa?»

»Jeżeli je mam, to losy nie pozwoliły mi ich poznać,

gdy nie udało mi się dowiedzieć, czy matka moja, którą dzieckiem będąc utraciłam, żyje jeszcze.«

»Rozumiem w zupełności pani boleść. Doświadczyłam sama, jak to ciężko jest stracić matkę. Ufaj pani jednak, jak ja. Moje serce nie zna rozpacz i nadzieje nie zawiodły mnie, gdyż dziś już odzyskałam mego brata.«

»Ale ja nie mam się już czego spodziewać. Matka moja już się z pewnością między żyjącymi nie znajduje, a gdyby nawet żyła, to przeszłybyśmy koło siebie, nie poznawszy się nawet.«

»Sądząc po ludzku, to może masz pani rację«, odpowiedziała Henryka. »Ale czyż pani ni wierzysz, że Bóg cudownie połączyć znowu może tych, których niegdyś podobało Mu się rozłączyć?«

Przy tych słowach tak poważnie, prawie uroczyste przez młodą dziewczynę wymówionych, w których brzmiała więcej pewność, niż wiara, Teresa zdumiona spojrzała nagle na mówiącą i spostrzegłszy w jej oczach łzy, rzekła:

»Pani tak żywe okazujesz mi współczucie.«

»Jak dla rodzonej siostry. Może też Bóg, za którego wolą tu się spotkałyśmy, pozwoli mi zaprowadzić cię do matki i brata.«

»Do brata!« zawołała Teresa gwałtownie. »Czy wiesz pani, że mam brata?«

»A gdybym wiedziała?«

»Byłoby to okrucieństwem, gdybyś mnie pani miała bezpodstawnymi nadziejami łudzić«, mówiła Teresa, drżąc jak w febrze. »Pani wiesz więcej, niż mi powiedziałaś. Widzę to. Czy znasz pani moją rodzinę?«

»Doskonale.«

Teresa upadła na krzesło.

»Boże! czemuż panią moje słowa przerażają?« krzyknęła Henryka, obejmując ramionami szyję Teresy i przyciągając ją delikatnie do siebie. »Czyż nie spełnią się najgorętsze pani życzenia, skoro ujrzysz matkę i brata?«

»O, mów pani, mów pani dalej!«

»A więc matka pani i brat żyją, a ja znam ich dobrze.« Teresa skoczyła na równe nogi.

»To jakieś nieporozumienie! Nazwisko moje panią zwodzi!« wołała, choć nadzieją błyszczały jej oczy.

»Czyżby to nie było z mojej strony nierozwagą, okrucieństwem nawet z mojej strony«, mówiła Henryka, patrząc na Teresę przyjaźnie, »gdybym w sercu pani rozbudziła nadzieje, nie mające rzeczywistej, prawdziwej podstawy? Ojciec pani był kapitanem w czwartym pułku polskich ułanów. W bitwie pod Warszawą został raniony śmiertelnie i umarł, przeszedłszy jednak wpierw granicę pruską. Panią zabrał z sobą. Po jego śmierci sierżant Chłapowski, najwierniejszy jego towarzysz i przyjaciel, został opiekunem pani i wyjechał z tobą razem do Paryża. Matka pani i brat Ignacy, który się dopiero później urodził, popadli w moc wroga i zostali zesłani na Sybir, gdzie ojciec mój Postojtow był generałem —«

»O Boże! Boże!« jęczała Teresa, do najwyższego stopnia wzruszona. »Co się stało z moją nieszczęśliwą matką i bratem?«

»Matka pani jest najserdeczniejszą i długoletnią przyjaciółką mojej matki, mieszkają razem w gubernii lubelskiej. Kocham ją jak drugą matkę. Brat zaś pani jest tutaj.«

»Moja matka żyje? Ignacy, mój brat tutaj?« powtarzała Teresa, jak we śnie.

»Droga moja siostró, zapanuj nad sobą!« wołała Henryka, rzucając się na szyję Teresie. »Ignacy, mój przybrany, a twój rodzony brat jest tutaj i z niecierpliwością oczekuje chwili aby cię uściskać. Wkrótce ujrzysz także swoją matkę, która nie przeczuwa nawet, jakie ją czeka szczęście.«

»Przyprowadź mego brata do mnie!« szeptała Teresa.

»A czujesz się dość silną do zniesienia tego radosnego spotkania?«

»O, radość nie zabija.«

Henryka wstała i wyszła.

W parę minut później padło sobie rodzeństwo w objęcia, zamieniając z sobą tysiące zapytań i odpowiedzi. Henryka zaś i Chłapowski obserwowali ich z radością....

Jedenasty marca był dniem posępnym i dżdżystym. Słońce napróżno usiłowało przedrzeć się przez chmury.

Po naradzie z generałami i wyższymi dowódcami postanowił dyktator raz jeszcze na miasto Miechów uderzyć, pragnąc

jak można najprędzej doprowadzić do rozstrzygającej bitwy i tym sposobem większe jeszcze zyskać zaufanie narodu.

Wojsko więc nie wystąpiło do parady, jak to było zapowiedziane, ale do wymarszu.

Ignacy postarał się o potrzebne umundurowanie i objął dowództwo batalionu, któremu go Dyktator osobiście przedstawił. Stary Chłapowski ukazał się rzeczywiście w swoim starym mundurze, a wojsko dowiedziawszy się o znaczeniu tegoż oraz o tem, że noszący go jest starym polskim bohaterem, przyjmowało go z nadzwyczajnym entuzjazmem.

Naturalnie, że Chłapowski nosił na swym mundurze tylko odznaki sierżanta i wymagał, aby go tak tytułowano. W rzeczywistości jednak zajmował stanowisko adjutanta przy Gurowskim, nie będąc przytem do żadnej służby zmuszanym. Ubrojony w szablę po ojcu Ignacego i krotką flintę, spodziewał się, że dobrze jeszcze da się we znaki nieprzyjacielowi, skoro się po temu sposobność nadarzy.

Henryka znajdowała się znowu w czasie marszu przy boku Dyktatora, a Teresa jechała za nim w najwygodniejszym powozie, jaki można było wówczas dostać. Mojżesz Lipmann, który podwójnym szacunkiem był dla Teresy przejęty, raz jako dla siostry Ignacego, powtóre jako dla tak znakomitej, iak się zdawało, posłanniczki rządu prowizorycznego, dobrowolnie ofiarował jej swoje usługi, gdyż zamierzał jeszcze czas jakiś przy korpusie pozostać. Wacław wstąpił do batalionu Gurowskiego w stopniu podoficera i w małym kółku swych towarzyszy cieszył się pewną powagą. Przysięgał, iż nie ma większego życzenia, jak wziąć się z Moskalami w zapasy.

Cały korpus poruszał się trzema kolumnami, które jednak w ścisłej z sobą pozostawały łączności, wzdłuż szosy warszawskiej na północ do Miechowa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY.

Hiobowe wieści.

Tego samego dnia, 11-go marca, około południa założono nowy obóz w szczerem polu przy wiosce Sosnowskiej, milę na wschód od Miechowa i wysłano małe patrole w okolice miasta.

Po południu miał kapelan polowy Kamiński odprawić nabożeństwo, poczem miało całe wojsko złożyć przysięgę Dyktatorowi i tymczasowemu rządowi na wierność.

W tym celu postawiono w środku obozu ołtarz, około którego wojsko utworzyło wielki czworobok.

Nastroj panował świąteczny, gdyż każdy przeczuwał, że powstanie wstępuje w nową fazę, w której pokładano najpiękniejsze nadzieje. Wspaniała była to widok tej rzeszy wojaków, a między nimi straszliwych kosynierów, okrytych sławą pod Piaskową Skalą, na których ostrej stali krew świeża nieprzyjaciół jeszcze nie skrzepła, klęczących pokornie z pochyloną głową i odbierających od księdza błogosławieństwo.

Potem przystąpił Langiewicz w pełnym mundurze do ołtarza i przysięgał na krzyż, jaki mu podał ksiądz w ornat ubrany, że powierzonej sobie władzy użyje tylko dla dobra Ojczyzny, a nie dla względów osobistych i że pragnie postępować podług dawniej już wydanych praw rządu tymczasowego. Po krótkiej i jędrnej przemowie do wojska żołnierzełożyli ręce na broń i słubowali wierność pod przysięgą, której słowa dyktował im kapelan.

W tej samej chwili ujrano na niebie zjawisko, które nawet w zwykłych okolicznościach uważamy za pomyślną wróżbę, a które w tej tak podniosłej uroczystości poważny nastrój zmieniło w niesłychany zapał. W tym bowiem dniu po raz pierwszy przedarły się przez ciemne chmury jasne blaski

słońca, a wprost nad ołtarzem, opromieniając go aureolą, ukazała się na niebie tęcza wspaniała.

Czyż była to wróżba pomyślna? — Pobożni wojacy widzieli w tem zjawisku widoczny palec Boży. Z tysięcy piersi wydarły się dźwięki »Te deum«, śpiewane z takim nabożeństwem i z taką siłą ogromną, że huczało po polach, a lasy echem szumiały.

W nowym obozie zaczął Langiewicz znowu sypać szańce.

Wysłane zwiady nie przynosiły wieści pożądanych. Dowiedziano się bowiem, że generał, ksiązę Szachowski przyszedł do miasta z wielkimi posiłkami i że objął komendę po księciu Bagracyonie. Nawet do obydwuch pobliskich, na zachód położonych miasteczek Wolbromia i Olkusa wkroczyły silne kolumny moskiewskie. Polacy więc ani marzyć nie mogli, aby zaczepiać Moskali, lecz przygotować się musieli na atak wroga, dorównującego im liczbą.

Nieprzyjaciół długo nie zwlekał. Szachowski powziął zamiar stanowczy stoczenia walnej bitwy i pobicia Langiewicza na głowę. W tym też celu coraz więcej ściągał wojska do siebie.

Iuż dnia 13-go zaczęła kolumna moskiewska polskie straże przednie pod Szczepanowicami, jednak po dosyć gorącym ogniu musiała się cofnąć.

W tej potyczce Ignacy po raz pierwszy walczył w szereгах swoich współbraci i odznaczył się roztropnością i osobistą odwagą do tego stopnia, że dyktator publicznie go pochwalił. Chłapowski brał także udział w utarczce. Ponieważ jednak nie przyszło do walki na bagnety, posłał Moskalom tylko kilka kulek. Przy tej sposobności odezwała się w nim na nowo stara żyłka wojacka.

Ponieważ z każdą godziną coraz to większe przychodziły Moskalom posiłki kolejają, a dyktator stanowisko swoje w odkrutem polu nie uważał za dosyć obronne, ponieważ dalej musiał się obawiać, że nieprzyjaciół od strony Kielc mogłyby mu odciąć odwrót przez Nidę, więc postanowił zabezpieczyć się na wszelki przypadek, aby zależnie od okoliczności cofnąć się znowu w okolice Łysej Góry, lub też w ostatecznej konieczności przeprowadzić swój korpus przez granicę austriacką.

Z tego powodu cichaczem opuścił pewnego poranku zajmowane dotąd stanowisko i pomaszerował w kierunku wschodnim aż do wsi Chrobrze, położonej tuż nad brzegiem Nidy, przez którą w tem miejscu prowadził most drewniany.

Teresa uczestniczyła w tym pochodzie, gdyż w żaden sposób nie chciała rozstawać się z bratem, szczególnie, że każdej chwili spodziewać się było można wielkiej bitwy. Oprócz tego było prawie niepodobieństwem, dotrzeć do jakiej stacyi kolei warszawskiej, ponieważ Moskałe wielkim łukiem otoczyli korpus Langiewicza od północy i zachodu. Wprawdzie miała ona paszport podpisany przez samego Wielkiego Księcia, naraziłaby jednak siebie i baronową na wielkie niebezpieczeństwo, gdyby się chciała wydostać z obozu powstańców. Wielka tęsknota ciągnęła ją także do Turowic, do matki, lecz i ta podróż w danych okolicznościach była niemożliwą, ponieważ droga oznaczona w paszporcie inny zupełnie miała kierunek.

Mojeszowi Lippmannowi nadzieja blizkiej bitwy wcale się nie uśmiechała. Ponieważ w walce rzeczywiście na nic przydać się nie mógł, poprosił więc dyktatora, aby mu dał jakie zlecenie, z któremi by mógł wrócić do miejsca rodzinnego i na łono rodziny. Prośba zupełnie była uzasadnioną i nie można jej było odmówić. Gdy więc Langiewicz wyruszył z Sosnowskiej, Mojżesz pożegnał się z swoimi przyjaciółmi.

Przywiązanie jego do Ignacego było rzeczywiście wzruszającym. Chociaż w sumieniu mógł sobie pomyśleć że dosyć już się wywdzięczył, dalekim był jednak od zapomnienia, co mu Ignacy wyświadczył dobrego. Prosił więc kapitana jak najusilniej, aby o nim nie zapominał i zawsze do niego się udał, gdyby kiedykolwiek zachodziła jaka potrzeba.

„Jestem tylko biednym i od wszystkich pogardzanym żydkiem“, mówił, — „lecz nawet najlichszy przyjaciel nieraz może się przydać. Razem z żoną moją będziemy wdzięcznymi sługami pana majora, a dom nasz i całe nasze mienie prosimy uważać za własne.“

Ignacy uściśnął mu rękę serdecznie i życzył szczęśliwej drogi w podróży nie bardzo bezpiecznej. Mojżesz był jednak jak najlepszej myśli i twierdził, że z Moskalami da sobie radę i że tak samo będzie u nich bezpieczny, jak u powstańców.

Zresztą liczył w razie potrzeby na pomoc współwyznawców. Ostatecznie wzięwszy pudło z towarami na plecy, puścił się w drogę.

Siedmnastego marca stanął Langiewicz pod Chrobrem na prawym brzegu Nidy i zajął wysokie brzegi doliny. Nagle około południa rozeszły się wieści, że Moskałe nadchodzą. Polacy ustawili się szybko w szyku bojowym. Część jazdy, stojącej na prawym skrzydle dla osłony furgonów, wysłano na zwiady. W bardzo krótkim czasie zetknęli się ułani z przeważającą siłą rosyjskiej kawalerii, mającej widocznie zamiar otoczyć prawe skrzydło Polaków.

Zagrzmiały trąby do ataku i obie linie jazdy wpadły na siebie.

Walka, jak zwykle w podobnych razach, rozstrzygnęła się wkrótce. Moskałe przełamali linię Polaków. Jakiś inny jeszcze szwadron natarł z boku na powstańców, tak że po krótkim, lecz zaciętym oporze musieli zawrócić i popędzili w zupełnej rozsypce z powrotem. Moskałe w pogoni za rozbitkami o mało że nie zabrali furgonów, wśród których powstało wielkie zamieszanie. Dość wcześniej jednak przybiegła piechota i zmusiła jazdę moskiewską do odwrotu.

Bitwa zaczęła się nie bardzo pomyślnie, Langiewicz jednak sam natychmiast udał się na prawe skrzydło, przywrócił porządek i zachęcał ludzi do odwagi. Jazda poniosła bardzo ciężkie straty.

Następnie wyruszyła moskiewska piechota i rozpoczęła ogień na całej linii, na który Polacy żywo odpowiadali. Zagrzmiały nawet po obu stronach armaty. Polacy nie ustępowali ani kroku, kilka razy nawet lewe skrzydło poszło do ataku i pędziło nieprzyjaciela przed sobą.

W tem miejscu walczyli Ignacy i Chłapowski. Pierwszy zaskarbił już sobie zaufanie swych strzelców, którzy słuchali go na skinienie i nigdy nie byliby go opuścili. Z początku z pewną obawą przypatrywał się wojsku rosyjskiemu, gdyż sprawiałoby mu przykrość walczyć przeciwko pułkowi, w którym dawniej służył. Miał w nim niejednego dobrego towarzysza, szczególnie Siefana. Tej goryczy doznawać nie potrzebował, gdy pułk jego do boju nie stanął.

Stary sierżant odżył na nowo, a przykład jego nie mało

działał na strzelców. Nie oszczędzał się wcale. Gdy Ignacy z powodu tego robił mu wymówki, odpowiedział ostro:

»Kula, jaka mi przeznaczona, nie ominie mnie ani dziś, ani jutro.«

Bój trwał już do samego wieczora, a żadna strona poszczycić się nie mogła, że odniosła znacniejszą przewagę. Naraz Moskałe wielkimi kolumnami jeszcze raz wyruszyli przeciwko prawemu skrzydłu Polaków i rzucili się na nie z wielką zaciekłością i dzikim wrzaskiem.

Niestety stały w tem miejscu najświętsze i najgorzej uzbrojone rotty, niezdolne wytrzymać szalonego naporu. W wielkim nieładzie rozpierzchły się na wszystkie strony.

Po raz drugi przybiegł Langiewicz, przy boku którego zawsze była Henryka i zatrzymał przynajmniej kilka oddziałów. Ponieważ jednak przekonał się, że dalsza obrona w tem miejscu była niemożliwą, nakazał odwrót przez most na Nidzie, który też wykonano w możliwym porządku. Strzelcy i żuawi, zakrywający pochód, walczyć jeszcze musieli gorąco aż do późnej nocy. Na samym ostatku również przeszli po moście, który natychmiast za sobą spalili.

Teresa cały ten dzień spędziła w niesłychanej trwodze w jakiejs chałupie we wsi Chrobrzu. Wrzawa wojenna była dla niej nowością. Na widok rannych, wynoszonych z placu boju, krew jej się w żyłach ścinała. Gdyby w takim stanie miała zobaczyć swojego brata Ignacego! — Wkrótce jednakże zapanowała nad sobą, a myśl, że także stać się może pożyteczną, pielęgnując rannych, podnosiła ją na duchu. Powziawszy ten zamiar, nie ociągała się z jego wykonaniem. Ofiarna i szlachetna praca, której oddała się z całym poświęceniem, wynagrodziły ją niejednym słowem wdzięczności i niejednym spojrzeniem dziękczynnem. Pielęgnując rannych, zapomniała o trosce i obawie.

Gdy rozpoczęto odwrót przez most, rozkazał Langiewicz, aby na samym czele jechały furgony z rannymi. Do nich przyłączyła się także Teresa. Nie czuła już znużenia, ani obawy. Tyle miała nawet odwagi, że sama jedna pozostała na drugim brzegu rzeki, oczekując nadejścia batalionu Ignacego.

Wreszcie nadszedł brat i stary Chłapowski, obaj bez szwanku i cało. Z radości wszyscy ściskali się serdecznie.

Ponieważ chwilowo nie było dla Teresy lepszego pomieszczenia, jechała za wojskiem na wozie razem z rannymi.

Langiewicz pozwolił wojsku na drugiej stronie rzeki wypocząć tylko kilka godzin. Jeszcze przed brzaskiem dnia pomaszerował dalej na wschód, ponieważ kolumny moskiewskie zaczęły już przechodzić przez Nidę powyżej Chrobrza. Ustawili już także strażę przednie i czaty, ale na Polaków uderzyć nie śmieli.

Nowa pozycja, jaką powstańcy zajęli na wzgórzach, dotykała lewem skrzydłem doliny Nidy, prawem zaś wsi Zagoszczy. W takim stanowisku oczekiwał dyktator zaczepki nieprzyjaciela.

Atak nastąpił dopiero dnia 18-go po południu.

Najprzód Moskałe zatoczyli działa i rozpoczęli rżęsisty ogień armatni. Potem ruszyła piechota do ataku. Chociaż przez cztery godziny walczone zacięcie, szala zwycięstwa w dniu tym nie przechylała się jeszcze na żadną stronę. Podczas walki udało się nieprzyjacielowi na krótki czas okolicę prawe skrzydło Polaków, przez co furgony, zastawione przez kawalerję i strzelców, popadły w wielkie niebezpieczeństwo. Udało im się jednak jeszcze wycofać, a Moskałe zostali znowu pobici.

Na próżno stanął dyktator sam na czele prawego skrzydła, gdzie walczyły oddziały wybrane i napróżno szedł naprzód do ataku. Kartacze i salwy z ręcznej broni zmusiły go do odwrotu. Polacy bili się rozpaczliwie, zostawiając mnóstwo poległych na placu.

Gdy Moskałe zaprzestali walki, Polacy pozostali jeszcze na dawnym stanowisku. Mimo to większą część z nich popadła w zwątpienie. Jakż cel miły wszelkie wysiłki i straty, jeżeli Polacy ani kroku naprzód się nie posuwali? — Każdy był pewnym, że Moskale zgnieść się nie uda. Otaczali oni mały korpus polski coraz ciasniejszym pierścieniem, otrzymując wciąż nowe posiłki, gdy Polakom nika nie przychodził na pomoc. W najlepszym razie oczekiwała ich smutna konieczność przejścia przez granicę austryacką, odległą tylko o mil kilka, i rozbrojenie przez Austryaków.

Langiewicz sam zachowywał jeszcze zwykły sobie spokój, gdy przejeżdżał przed frontem i żołnierzom dodawał odwagi. Wszyscy jednak widzieli, że miał czoło chmurne. Może

powodem zaspęcenia był brak entuzjazmu wśród wojska. Nie witano go już, jak dawniej grzmiącymi okrzykami, tylko ten i ów krzyknął dyktatorowi: »niech żyje!«

Starem jest doświadczenie, że świat ocenia ludzi tylko podług powodzenia. Maryan Langiewicz wypełniał sumiennie wszystkie obowiązki, jakich się podjął, jednak zaufanie podwładnych prędko zanikało, gdy szczęście zaczęło się od niego odwracać. Boleć musiał tem bardziej, że miał serce czułe i szlachetne. Nie oceniano go dostatecznie.

Henryka wydawała się jeszcze więcej ponurą, gdy dyktatorowi towarzyszyła w obozie. Mając sposobność poznania go gruntownie i podziwiając jego szlachetny charakter, równie jak jego wielki talent, dotkliwiej jeszcze, niż on sam uczuwała krzywdę, jaką mu wyrządzano.

Wprawdzie nikt się nie odważył zarzucić wodzowi jakąś winę. Zdrowy zmysł podwładnych byłby się na takie oszczerstwo oburzył. Zanikała tylko wiara w jego szczęśliwą gwiazdę.

Ze dyktator rozumiał grozę położenia, dowodził rozkaz, aby tego samego dnia jeszcze wieczorem zebrała się rada wojenna.

Zebranie było bardzo burzliwe, gdyż ścierały się z sobą różnorodne zdania. Jedni chcieli urządzić na Moskali nocny napad, inni znowu tej samej jeszcze nocy wyruszyć ku granicy austriackiej i przejść ją niezwłocznie, poczem oczywiście nastąpić musiało rozbrojenie. Byli także tacy, którzy radzili, aby korpus podzielił się na drobne oddziały. Każdy z nich miał w inną udać się stronę i walczyć na własną rękę, dopóki by nie wzmocnił się należycie i dopóki by nie nadeszła stanowcza pora do wydania Moskałom rozstrzygającej wielkiej bitwy.

Mysł ta, uzasadniona okolicznością, że cały korpus zaczynał cierpieć niedostatek wskutek braku prowiantów, najczęściej znalazła poparcia. Zupełnej jednomyślności jednak osiągnąć nie było można.

Wtedy podniósł się dyktator, który dotąd wszystkim planom przysłuchiwał się w milczeniu, lecz z uwagą i z pewnością siebie powiedział stanowczym głosem:

«Dzisiaj w nocy cofnie się korpus jeszcze dalej i zajmie nową, więcej skoncentrowaną pozycję pod wsią Buskiem. Tam się jutro raz jeszcze będziemy bili z Moskałami.»

Skinieniem ręki dał do zrozumienia, że posiedzenie rady wojennej zakończone.

Nikt nie ośmielił się głośno protestować, na twarzach jednak przeważnej części zebranych wyraźnie malowało się niezadowolenie.

Nie zważając na to, pożegnał się Langiewicz z wszystkimi dowódcami z wyjątkiem kilku najzaufańszych, których sekretnie poprosił, aby jeszcze zostali w celu dalszej narady.

Pomiędzy nimi był stary Waligórski, Jeziorański, Czapski, kilka osobistości mniej wybitnych i panna Henryka Postojówna.

Oczem generał z temi osobami w ciszy nocy w swoim namiocie radził, pozostało tajemnicą. Kilku tylko ciekawych podpatrywaczy opowiadało, że widzieli, jak pisano jakiś dokument.

Również w innych miejscach obozu odzywały się głośne objawy niezadowolenia. Tu i owdzie znowu siedzieli żołnierze lub oficerowie przy ogniskach gromadkami i rozmawiali z sobą po cichu, mając smutek w twarzy.

Podobną gromadkę około gasnącego już ogniska, ponad którym leniwie unosiły się pasma różowego dymu, tworzyły także trzy znane nam osoby, Chłapowski, Ignacy i Teresa. Pocciwy i wierny Wacław pomimo wyższego stopnia nie wstydził się wcale posługiwać swojemu majorowi. Obecnie czuwał nad tem, aby nikt im nie przeszkadzał, ani też rozmowy nie podsłuchiwał.

Kilka snopów słomy z trudem zdobytej, służyło im za siedzenie a daszek zreczną ręką Wacława spleciony z prętów wierzbiny, zasłaniał ich niedostatecznie przed ostrym wiatrem. Raz po raz wielkie krople deszczu spadały na tę gromadkę, siedzącą pod gołym niebem.

Choć i Teresę życie nie rozpieściło zbyt, organizm jej jednak nie dosyć był zahartowanym, aby trwały obozowe i wichry wiosenne nie dały jej się we znaki. Wobec Chłapowskiego i brata, którzy ją otaczali troskliwą opieką, nie skarżyła się na niewygodę, przeciwnie twierdziła, że czuje się zdrową. Wygląd jej przecie zadawał kłam wyrazom. Nietylko mroz jej dokuczał i wywoływał gorączkowe dreszcze, lecz także niepokój duszy trapił ją niesłychanie. Wiedziała bowiem, jak

powodem zasepienia był brak entuzjazmu wśród wojska. Nie witano go już, jak dawniej grzmiącymi okrzykami, tylko ten i ów krzyknął dyktatorowi: »niech żyje!«

Starem jest doświadczenie, że świat ocenia ludzi tylko podług powodzenia. Maryan Langiewicz wypełniał sumiennie wszystkie obowiązki, jakich się podjął, jednak zaufanie podwładnych prędko zanikało, gdy szczęście zaczęło się od niego odwracać. Bolec musiał tem bardziej, że miał serce czułe i szlachetne. Nie oceniano go dostatecznie.

Henryka wydawała się jeszcze więcej ponurą, gdy dyktatorowi towarzyszyła w obozie. Mając sposobność poznania go gruntownie i podziwiając jego szlachetny charakter, równie jak jego wielki talent, dotkliwiej jeszcze, niż on sam uczuwała krzywdę, jaką mu wyrządzano.

Wprawdzie nikt się nie odważył zarzucić wodzowi jakąś winę. Zdrowy zmysł podwładnych byłby się na takie oszczerstwo oburzył. Zanikała tylko wiara w jego szczęśliwą gwiazdę.

Ze dyktator rozumiał grozę położenia, dowodził rozkaz, aby tego samego dnia jeszcze wieczorem zebrała się rada wojenna.

Zebranie było bardzo burzliwe, gdyż ścierały się z sobą rozróżnione zdania. Jedni chcieli urządzić na Moskali nocny napad, inni znowu tej samej jeszcze nocy wyruszyć ku granicy austriackiej i przejść ją niezwłocznie, poczem oczywiście nastąpić musiało rozbrojenie. Byli także tacy, którzy radzili, aby korpus podzielił się na drobne oddziały. Każdy z nich miał w inną udać się stronę i walczyć na własną rękę, dopóki by nie wzmocnił się należycie i dopóki by nie nadeszła stanowcza pora do wydania Moskałom rozstrzygającej wielkiej bitwy.

Myśl ta, uzasadniona okolicznością, że cały korpus zaczynał cierpieć niedostatek wskutek braku prowiantów, najwięcej znalazła poparcia. Zupełnej jednomyślności jednak osiągnąć nie było można.

Wtedy podniósł się dyktator, który dotąd wszystkim planom przysłuchiwał się w milczeniu, lecz z uwagą i z pewnością siebie powiedział stanowczym głosem:

»Dziś w nocy cofnie się korpus jeszcze dalej i zajmie nową, więcej skoncentrowaną pozycję pod wsią Buskiem. Tam się jutro raz jeszcze będziemy bili z Moskałami.«

Skinieniem ręki dał do zrozumienia, że posiedzenie rady wojennej zakończone.

Nikt nie ośmielił się głośno protestować, na twarzach jednak przeważnej części zebranych wyraźnie malowało się niezadowolenie.

Nie zważając na to, pożegnał się Langiewicz z wszystkimi dowódcami z wyjątkiem kilku najzaufanszych, których sekretnie poprosił, aby jeszcze zostali w celu dalszej narady.

Pomiędzy nimi był stary Waligórski, Jeziorański, Czapski, kilka osobistości mniej wybitnych i panna Henryka Postoitówna.

O czem generał z temi osobami w ciszy nocy w swoim namiocie radził, pozostało tajemnicą. Kilku tylko ciekawych podpatrywaczy opowiadało, że widzieli, jak pisano jakiś dokument.

Również w innych miejscach obozu odbywały się głośne objawy niezadowolenia. Tu i owdzie znowu siedzieli żołnierze lub oficerowie przy ogniskach gromadkami i rozmawiali z sobą po cichu, mając smutek w twarzy.

Podobną gromadkę około gasnącego już ogniska, ponad którem leniwie unosiły się pasma różowego dymu, tworzyły także trzy znane nam osoby, Chłapowski, Ignacy i Teresa. Pocziwy i wierny Wacław pomimo wyższego stopnia nie wstydył się wcale posługiwać swojemu majorowi. Obecnie czował nad tem, aby nikt im nie przeszkadzał, ani też rozmowy nie podsłuchiwał.

Kilka snopów słomy z trudem zdobytej, służyło im za siedzenie a daszek zręczną ręką Wacława spleciony z prętów wierzbiny, zasłaniał ich niedostatecznie przed ostrym wiatrem. Raz po raz wielkie krople deszczu spadały na tę gromadkę, siedzącą pod gołym niebem.

Chociaż Teresa życie nie rozpieściła zbyt, organizm jej jednak nie dosyć był zahartowanym, aby trudy obozowe i wichry wiosenne nie dały jej się we znaki. Wobec Chłapowskiego i brata, którzy ją otaczali troskliwą opieką, nie skarżyła się na niewygodę, przeciwnie twierdziła, że czuje się zdrową. Wygląd jej przecie zadawał kłam wyrazom. Nietylko mroz jej dokuczał i wywoływał gorączkowe dreszcze, lecz także niepokój duszy trapił ją niesłychanie. Wiedziała bowiem, jak

wszyscy inni, że krew się rozlewa daremnie i że z pewnością niedługo wybiję godzina strasznej klęski. Cóż wtedy miała począć sama i coż jej najdrożsi?

Obaj panowie opiekowali się słabą dziewczyną, jak tylko mogli najlepiej. Ustali jej miękkie siedzenie na słomie i nogi okryli wełnianym kocem. Zresztą była ubraną w piękne i ciepłe futro podróżne.

Widok biwaku sprawiał na siedzących przy obozowym ognisku wrażenie smutno-romantyczne. Przez ciemną zasłonę nocy migotały drobne światełka, otoczone różową mgłą dymu. Na tem ile jaśniejszem przesuwaly się bez ustanku ludzkie cienie, miejscami zaś stojąc nieruchomie, zlewały się z nocy pomrokiem. Nic więcej oko dojrzeć nie mogło, do ucha zaś dolatywał szmer głuchy i niewyraźny, jaki zwykle dolatuje z daleka, gdy wielkie rojowisko ludzi zmieszany chorem rozmawia ze sobą głosem przytłumionym. Jednostajne szmery przerywał raz po raz głośny okrzyk ludzki i rżenie koni ułańskich, lub też oficerskich.

«Jestto jedna z najgorszych nocy, jaką kiedykolwiek w życiu spędziłem», mówił stary sierżant ponuro, otulając się mocno w ciasny płaszcz żołnierski i długą gałęzią poprawiając równocześnie płonące u stóp jego zarzewie. «Nie chcę przez to powiedzieć, że nie byłem wystawiony na gorsze jeszcze powietrze. W krajach południowych pora dżdżysta wcale nie jest drobnostką dla nas dzieci północy. Gdy się przemoknie do ostatniej nitki, trzeba dzwonić zębami z zimna, jak podczas najtęższego mrozu. — W roku 1812 także nie mieliśmy w Moskwie upałów afrykańskich. Niejednego towarzysza, gdy zasnął na ziemi, pokrył śnieżny całun tak wysoko, że się nikt z pod niego już nie wygrzebał. Dziś jednak mamy dziwnie Niemile powietrze. Zdaje mi się ciągle, że słyszę głos trąbki, wzywającej nas do odwrotu.»

«Gwiazda Langiewicza gaśnie», powiedział Ignacy smutnie.

«A ja nie widzę żadnej innej na niebie», odpowiedział starzec z pewnym rodzajem rozpaczliwego humoru, wznosząc oczy ku niebu, pokrytemu ciemnymi chmurami.

«Gdyby jednak rzeczywiście spotkała nas klęska i gdyby dyktatora pobito, coż wtedy pocniemy?» pytała się Teresa z obawą.

«Dziewczyna prawdziwie trafiła w samo sedno. Dobry żołnierz nawet w zwyciężkim szturmie nie powinien zapominać o tem jak sobie odwrót zapewnić», powiedział Chłapowski. «Rzeczywiście, Ignacy, czas jest największy, abysmy złożyli radę wojenną, podobnie jak dyktator z generałami i sztabowymi oficerami, choć co tam uradzono, nie wiemy ani słówka. Wartoby jednak wiedzieć, gdzie się jutro skórę wystawi na targu.»

«Kochany ojczy, zdaje mi się, że ojciec także trochę się gniewa na Langiewicza?» zapytał Ignacy.

«Broń Boże, kochany synu! Mąż ten spełnił swój obowiązek, jak należy. Nie jego o to winić, jeżeli jutro polskiej armii na południu Królestwa nie będzie.»

«Ciesz się, że tak stary i doświadczony żołnierz, jak ojciec wyraża się z uznaniem o zasługach naszego dzielnego naczelnika, do którego przywiązałem się całem sercem, i nad którego smutną dolą szczerze ubolewam», powiedział Ignacy. «Wciąż jeszcze nie tracę nadziei, że tak źle nie będzie, jak ojciec przypuszcza.»

«Kochany synu, swoich własnych rodaków nie znasz jeszcze tak dobrze, jak ja z doświadczenia», odpowiedział starzec głosem smutnym. — «Przykłady masz z roku trzydziestego pierwszego. Polacy są dzielnymi, powiedziałbym nawet najlepszymi żołnierzami, dopóki walczą zwycięsko. Znoszą wtedy z ochotą głód i pragnienie, upały i mrozy. Nie znają znużenia i z śpiewem na ustach lecą na śmierć niechybną, pełni zapału i poświęcenia dla Ojczyzny i bezgranicznego zaufania do szczęśliwego wodza. Jeżeli jednak słońce zwycięstwa zajdzie, a nawet tylko skryje się za chmury, jeżeli adjutanci przyjadą z wstrętnym rozkazem odwrotu, wtedy dzieje się podobnie, jak gdyby chmura gradu spadła na kielkujące zboże. Zapal wtedy niknie, a co gorsza jeszcze, ginie zaufanie do wodza. Ni ztąd ni z owąd wkrada się wtedy do szeregów lekkomyślnie powiedziane, lecz daleko sięgające słowo: «zdrada.» Oszczerstwa takie miotano w roku trzydziestym pierwszym nieraz na mężów najzasłużeńszych. Mojem zdaniem, nas Polaków pobiją wszyscy, jeżeli zaraz z pierwszym szturmem nie zwyciężymy. Jestem tyll o zwyczajnym, starym podoficerem i nigdy nie uczyłem się strategii. Gdybym jednak kiedykolwiek był

zmuszonym objąć dowództwo nad rodakami, całą tajemnicą mojej sztuki wojennej byłoby to przeświadczenie.

»Może ojciec ma rację«, odpowiedział Ignacy, spuściwszy smutnie głowę na piersi. »Cóż jednak zdziałać mogła ta garstka źle uzbrojonych powstańców przeciwko przemocy?«

»Hm! Przypominasz sobie jeszcze, że Kościuszko pod Dubienką z garstką kosynierów pobił trzy razy liczniejszych dobrze uzbrojonych i w armaty zaopatrzonych Moskali? — Nie wiesz, że niedawno jeszcze temu gromadka chłopów szturmem wzięła w Rawie koszary, zajęte przez mnóstwo Moskali, gdy dzielny porucznik Godlewski utorował drogę przez okno, sam zatapiając w własnej piersi dziewięć bagnatów wystających z okna. — Polacy poświęcają się chętnie za Ojczyznę. Naród nasz wydaje mnóstwo bohaterów.«

Nastąpiła krótka pauza, podczas której wszyscy w milczeniu spoglądali na ognisko. Naraz Ignacy zaczął znowu mówić:

»Wciąż jeszcze mam zaufanie do geniuszu Maryana Langiewicza.«

»Dobrzeby było, gdyby wszyscy tak samo myśleli, jak ty!« odpowiedział starzec. »Cóż znaczy jednak geniusz, jeżeli niema ogólnego uznania i nie znajduje dostatecznego poparcia?

— Mowmy teraz przecie o sobie. Dobrzeby było, jak już Teresa wspomniała, gdybyśmy między sobą odbyli naradę wojenną. Podług ludzkiego rozumu, dwie rzeczy mogą jutro nastąpić, albo nas jutro Moskałe przepędzą przez granicę, albo też, czego się nie spodziewam, odetną nas od niej i w puch rozbiją na wszystkie strony.«

»Nie masz więc już, kochany ojcze, nadziei zwycięstwa?« pytała się Teresa z cicha.

»Nie«, odpowiedział starzec z głębokiem westchnieniem.

»Co się tyczy mojej osoby«, mówił dalej po chwili — »nie boję się o to, że jeszcze raz będę zmuszony opuścić ziemię rodzinną. Jestem na to za stary i chciałbym spoczywać pod mogiłą ojczyzną. Teraz już wcale o tem nie wątpię, że stara cyganicha dobrze mi wróżyła. Dożywszy wieku sędziewego, umrę śmiercią gwałtowną. Zdaje mi się, że godzina się zbliża.«

»Ojcze!« zawołali oboje rodzeństwo jednym głosem. »Ia-
kież smutne przecucia!«

»Zapewniam was, że się wcale niemi nie smucę«, odpowiedział starzec z nieco wymuszonym uśmiechem. »Zresztą rozum ludzki jest tylko partactwem, a przyszłość nasza leży w ręku Boga. W każdym razie postanowienie naszej rady wojennej niechaj będzie zarazem moim testamentem. Przypuśćmy więc pierwszą możliwość, że nas Moskałe przepędzą przez granicę, a Austriacy rozbroją. Cóż wtedy? — Ty, Tereso, powołasz się na swój paszport i pojedziesz do Krakowa. — Możesz powiedzieć, że powstańcy gwałtem zatrzymali cię w podróży. — Rozsądek nakazuje podobne kłamstwo. W takim razie pozwolą ci wrócić do Warszawy do baronowej Rosenberg.«

»Kochany ojcze, ani ciebie, ani Ignacego nie opuszczę«, odpowiedziało dziewczę stanowczo.

»Wybacz, kochana córko, ale takie zamiary są wielką niedorzecznością. Niech się stanie, co chcę, w każdym razie więcej przydasz się swojemu bratu, żyjąc w uregulowanych stosunkach w Warszawie, jak razem z nim blakając się po świecie.«

»Zgadzam się pod tym względem z ojcem zupełnie«, wniósł Ignacy, ująwszy rękę Teresy i sciskając ją czule w swej dłoni. »Ze wszystkich sił starać się będę, aby moja siostra postępowała podług rady ojca.«

»Dobrze mówisz, kochany synu! O ciebie się nie obawiam. Tobie świat cały stoi otworem, bo jesteś młody i zdrowy. Wobec powikłanych stosunków, jakie obecnie w Europie panują, prędzej czy później znajdzie się sposobność, że silne ramię i doświadczenie wojskowe na coś ci się przyda. O tem nie zapominaj, że każda słuszna walka o niepodległość jakiegobądź narodu jest cegiełką do odbudowania naszej Ojczyzny Polski. Skoro ludy Europy wyzwolą się z jarzma i ucisku, przemówi też do nich sumienie. Wtedy każda nędza i ciemność znajdzie porządek i nikt nie ucierpi, aby gdziekolwiek żyli niewolnicy. Sztuczną budowa starej dyplomacji runie pewnego poranku i pogrzebie w gruzach budowniczych. Na zwaliskach zaś zazielenią się i zakwitną śliczne ogrody, w których przechodnie w swoim własnym ojczystym języku nawzajem grzecznie się będą witali. — Teraz rozważyć nam

należy drugą możliwość, gdyby nasz korpus odcięto od granicy i rozbito na wszystkie strony świata?»

W tej samej chwili zawołał Wacław, który dotąd w milczeniu rondę odbywał, głośno tonem zupełnie wojskowym:

»Stój! Kto idzie?«

»Na Boga, zdaje mi się, że jesteśmy w samym środku moskiewskiego obozu!« odpowiedziano ciekim głosem. »Czy mnie nie poznajesz, Wacławie?«

»A, pani adjutantka! — proszę mi wybaczyć!« zawołał uczciwy chłopak.

Była to Henryka. Prędko zbliżyła się do towarzystwa.

»Kochana Henryko«, powiedział Ignacy, skoczywszy z miejsca i biegnąc ku niej. — »Jakże to pięknie, że o nas nie zapomniałaś tej nocy!«

»Czyż to możliwe?« zapytała się dziewczyna, podając jednemu po drugim rękę na przywitanie.

»Przynosi nam pani jakie nowiny? Przebywasz pani u samego źródła«, mówił stary sierżant. »Czy można bez naruszenia tajemnicy zapytać się, co postanowiła rada wojenna?«

»Ze jutro znowu bić się będziemy z Moskalami.«

»To dobrze! A potem?«

»Potem?«

»Czy Langiewicz spodziewa się jeszcze zwycięstwa?«

»Odważny nigdy nie traci nadziei, czcigodny bohaterze. Czy trzeba to panu jeszcze przypominać?«

»Żyw Bóg, łaskawa pani!« odpowiedział starzec, do ust podnosząc rękę Henryki. — »Bohaterstwo pani zawstydzia mnie.«

»A więc pan także straciłeś wszelkie zaufanie, panie Chłapowski?«

»Nie do dyktatora«, zapewniał sierżant żywo, — »tylko do generałów, oficerów i żołnierzy, którzy w tej ciężkiej chwili nie szukają jedynego ratunku w ślepem posłuszeństwie.«

»Zyczyłabym sobie, aby Langiewicz słyszał te słowa«, odpowiedziała Henryka półgłosem do siebie. — »Słowa te pokrzepiłyby go na duchu zupełnie.«

»Chciałam jeszcze powiedzieć«, dodała żywo, — »że za godzinę znowu wyruszymy.«

»Dokąd?«

»Tylko kawałek drogi, aby pod wsią Buskiem zająć korzystniejsze stanowisko. Tymczasem pozwólcie mi, że się w waszem towarzystwie trochę zabawię. Kto wie, czy jutro wieczorem będziemy jeszcze z sobą razem, jak obecnie?«

Henryka usiadła bez ceremonii w gronie przyjaciół obok Teresy. Zdawało się, że deszcz i zimno nie dokuczały jej wcale. Mimo to jakiś cień poważnego smutku osiadł jej na czole. Rozmowa nie mogła w żaden sposób nabrać tonu wesołego, choć wszyscy się o to starali.

Mniej więcej godzinę później stanęło wojsko pod bronią. Pobudki trąbki nie grały, wydano tylko ~~tajne rozkazy~~.

Henryka musiała zżęć do serca, niż zwykle i przez żegnaniu przycisnęła Teresę czulej do serca, niż zwykle i przez chwilę zatrzymała dłoń Ignacego w swej własnej.

»Jutro nas czeka dzień rozstrzygający«, szepnęła mu cicho. — »Być może, że los nas rozłączy.«

»Co to ma znaczyć?« zapytał Ignacy, zdziwiony uroczystą przemową.

»Że życzę sobie, abyśmy na zawsze pozostali kochającą się rodziną. Odzyskawszy siostrę rodzoną, nie chcę zapominać o tej, którą od dziecka ma prawo do Twojego serca!«

»Nigdy o Tobie nie zapomnę, Henryko! — Mówisz jednak takim tonem, jakbyśmy żęgnali się na zawsze.«

»Nie na zawsze, ale może na czas dłuższy«, odpowiedziała głosem, jakby jej ły gardło ścisnęły.

Jeszcze raz uściśnawszy Ignacego za rękę, pobięła z powrotem.

»Zachowanie Henryki dziwnem mi się wydaje«, szepnął Ignacy do siebie i zamyślony poszedł do swojego batalionu, aby nad nim objąć komendę.

Chłapowski tymczasem zaprowadził znowu Teresę do furgonu i przygotował na nim wygodne siedzenie. Jej także do oczu ły się ciśnęły mimowoli gdy z starcem zaczęła się żęgnąć.

W zupełnej ciszy maszerował korpus Langiewicza w stronę wsi Buska, gdzie na nowo ustawił się w szyku bojowym.

Położenie Polaków dosyć już było groźne. Nad ranem jeszcze gorsze przyszły wiadomości.

Załoga kielecka bowiem pod jenerałem Uszakowem wyruszyła z miasta, dążąc księciu Szachowskiemu na pomoc. Tak więc mogli Moskale w czterech silnych kolumnach za-
czepić Polaków z rozmaitych stron. Dalszy opór powstańców prawie był niemożliwy. Mimo to Polacy bitwę przyjęli i wal-
czyli po bohatersku. W dwóch dniach poprzednich stracili już przeszło trzystu poległych, lecz niewielu tylko pozwoliło się wziąć do niewoli.

Batalion Ignacego stał znowu na samym końcu lewego strzydła i zajął na pochyłości pagórka, przy drodze do Stobnicy lasek, który Moskale napróżno starali się zdobyć. Po-
zycja ta miała bardzo ważne, strategiczne znaczenie, ponieważ panowała nad głównym traktem, zabezpieczającym odwrót.

Potyczka zaczęła się znowu około południa i wrzała już całemi godzinami. Ponieważ ani Ignacy, ani Chłapowski nie chcieli opuszczać batalionu, oddali więc Teresę w ręce Wacławowi. Młody żołnierz skrzywił się, gdy usłyszał, że w bitwie udziału brać nie miał, słuchał jednak rozkazu. Stał on przy małym i odkrytym wozie, o jaki Ignacy wystarał się dla siostry, o jakie tysiąc kroków poza linią bojową na wyżej wspomnianym trakcie i z tego stanowiska z uwagą śledził przebieg bitwy, jak daleko jej pole wzrokiem mógł ogarnąć. Od czasu do czasu mówił sam do siebie, co w żadnym razie nie przyczyniało się do uspokojenia strwożonej dziewczyny.

Dziwno się wydawało, że Langiewicz w tym dniu mniej się pokazywał, niż zwykle. Stał wprawdzie na placu boju i wydawał rozkazy z zwykłym sobie spokojem, nie zważając na świszczące dookoła kule nieprzyjacielskie. Niejednokrotnie wysuwał się nawet na miejsca najniebezpieczniejsze, wszystko jednak czynił z taką dziwną obojętnością, że żołnierze raz po raz do siebie szeptali:

«Jesteśmy straceni, — dyktator nie ma najmniejszej nadziei.»

Naraz jenerał wraz z swoim sztabem zniknął zupełnie, a dowódcy oddziałów zaczęli działać na własną rękę.

«Gdzie jest dyktator?» szeptano do siebie z uwagą.

Nikt tego nie wiedział. Jedni mówili, że poległ, lub też ciężko jest rannym, drudzy zaś ponuro, lecz otwarcie głosili:

«Dyktator nas opuścił. Jesteśmy zdradzeni.

Ignacy także już od dłuższego czasu nie widział Langiewicza. Chciał on koniecznie poprosić o świeże posiłki, gdyż przekonał się, że batalion nie długo już będzie mógł za-
słaniać skrzydło przed naporem wroga.

Pieszko więc, jak stał, opuścił na chwilę linię bojową, uprzedziwszy o tem poprzednio Chłapowskiego i pobiegł wstecz przez wązki szmat lasu, z skraju którego miał widok otwarty na pole.

Wtem zobaczył o kilka set kroków przed sobą mały oddział jeźdźców, jadących stępą przez pole w stronę południową. Było to kilku oficerów sztabowych, między którymi dokładnie poznał Langiewicza, Czapskiego i Henrykę. Około trzydziestu ułanów jechało za nimi.

Oddział ten tak dziwnie smutny przedstawiał widok, że Ignacy mimowoli zadrżał. Dokądże jechał jenerał? W kierunku, w którym dążył, nie było ani jednego polskiego żołnierza. Droga prowadziła do granicy galicyjskiej, którą w tem miejscu tworzy rzeka Wisła.

Nieopisana trwoga ogarnęła majora. Pobiegł kilka kroków naprzód, jak gdyby próbował jeźdźców zawrócić. W tej samej jednak chwili ruszyli z kopyta i w krótkce zniknęli mu z oczów poza małym pagórkiem.

«Koniec!» chciałby Ignacy zawołać z piersi kurczowo ścianaionej.

Poczucie obowiązku wkrótce jednak przywiodło go znowu do przytomności. Powoli wrócił do batalionu, który wciąż jeszcze z szturmującymi Moskalami dzielnie się uciierał.

«Dyktator nas opuścił», szepnął do ucha staremu Chłapowskiemu, który właśnie flintę przykładł do strzału.

Z oddalanej ręki flinta starcowi opadła. Ignacy zauważył wyraźnie, że Chłapowski zbladł strasznie, gdy się odwrócił i krótko zapytał?

«Z czego to wnioskujesz?»

«Widziałem go właśnie w otoczeniu kilku towarzyszy, jadącego w stronę południową.»

«Dobrze», odpowiedział starzec, tłumiąc w sobie westchnienie. — W takim razie być się będziemy bez wodza i umrzemy, jak na mężów przystoi.

Jenerał Jeziorański, do którego dywizyi należał batalion

Ignacego, przyskoczył w tej chwili na koniu i rozkazał, aby powoli rozpoczęto odwrót na drodze do Stobnicy.

»Czyśmy pobici, jenerale?« zapytał się Chłapowski.

Jenerał wzruszył ramionami.

»Kochani przyjaciele«, powiedział potem schylając się z konia ku starcowi i Ignacemu, tak cicho, że go strzelcy zrozumieć nie mogli — »całe prawe skrzydło Moskałe w puch już rozbili, bitwa jest przegrana, korpus poszedł w rozsypkę.«

»A gdzie jest dyktator?«

»Tego nie wiem. Wydał on rozkaz wszystkim dowódcom, aby każdy swoje oddziały podług swego rozumienia i jak można najlepiej uratował. Co się tyczy mojej osoby, ani o tem nie myślę, żebym się dał Austryakom rozbroić, tylko przedrę się w Lubelskie. Pozostawię jednakże każdemu żołnierzowi do woli, skoro tylko bitwa się ukończy, czy będzie chciał przejść przez granicę, lub też wolał iść ze mną. Czy mogę liczyć na panów?«

»Na mnie w każdym razie«, odpowiedział Ignacy pospiesznie.

»Ja także nie mam ochoty rzucać broń komu pod nogi«, dodał Chłapowski ponuro. — »Jest mi obojętnem, gdzie padnę, bylebym poległ na polskiej ziemi.«

»Dziękuję panom za zaufanie, jakim mnie obdarzacie«, mówił Jeziorański. »Wycofaj pan tylko, panie majorze Gurowski, swych ludzi z walki, gdyż dalszy wylew krwi na nic się nie przyda. Na wielkim trakcie resztki mojego korpusu zetkną się z panem.«

Ignacy wywiązał się z powierzonego mu zadania z wielką dokładnością. Wielu żołnierzy płakało, gdy znienawidzonemu wrogowi tyl podawać musieli i gdy się przekonali, że pomimo trzy dni trwających, niesłychanych zapasów i wysiłków bitwę przegrali. Wielu też kłęło siarczyście, na czym świat stoi. Pomimo tych objawów rozgoryczenia miłość, szacunek i zaufanie do dowódcy batalionu w niczem nie ucierpiały. Major wyprowadził swój oddział na trakt główny. Moskałe nie bardzo nacierali.

Na szosie połączyło się kilka rozmaitych hufców, które wspólnie pod wodzą Jeziorańskiego szybkim marszem pociągnęły na wschód. Mnóstwo zaś rozbitków pędziło na południe

ku granicy, nie zważając na namowy ani na rozkazy. W pochodzie na wschód spotkał Ignacy z Chłapowskim Teresę i Wacława.

»Czy wszystko stracone?« pytała się Teresa, drżąc na całym ciele.

»Dziś wszystko. Pan Bóg jednak nie pozwoli, aby cała przyszłość wielkiego narodu rozstrzygnęła się w dniu jednym«, odpowiedział Ignacy.

Tego samego dnia późnym wieczorem przeprawiało się przez Wisłę na pramie pod wsią Jaśnikami razem z końmi kilku mężczyzn, którzy, sądząc po ubraniu, byli oficerami polskich powstańców.

Już wielu innych polskich rozbitków w tem i na innych miejscach przeprawiło się na łódkach rybackich, lub też wpław przez rzekę na austryacką stronę. Kozacy trop w trop ścigali Polaków, przyczem nieraz trafiały się utarczki.

Na granicy wzdłuż rzeki stali austriaccy huzarze i piechota oraz wielkie tłumy ludu z pobliskich wiosek. Zbiegowisko powstało wskutek huków dział i salw z ręcznej broni, słyszanych z daleka. Nieszczęśliwych Polaków przyjmowano nie tylko z ciekawością, lecz z objawami najwyższego współczucia. Wielu z nich w nadziei, że wkrótce uda im się wrócić do Ojczyzny na nowe boje, pochowało broń po lasach, inni zaś wydawali ją bez oporu austriackim żołnierzom, którzy prawie bez wyjątku zachowywali się bardzo przyzwoicie. Wszystkich powstańców odprowadzono potem do naprzód już wyznaczonych koszar. Przez cały czas śpiewano polskie pieśni narodowe, którym lud czasami wtórował. Wszakże to byli także Polacy, chociaż szczęśliwsi niż ich bracia pod zaborem moskiewskim.

Na pramie znajdujący się mężczyźni, o których wyżej wspomnieliśmy, spoglądali przed siebie poważnie i smutnie i rzadko tylko szepnęli do siebie jakie słówko. Wszyscy okazywali szczególniejszy szacunek tylko jednemu, który wsparty na karku konia, bez ustanku wpatrywał się smutnym wzrokiem na brzeg, który co dopiero opuścił.

Był to eksdyktator Polaków, Maryan Langiewicz.

W przekonaniu, że niemożliwym było opierać się dłużej przemocy Moskali a nadto rozgoryczony budzącą się nieufnością i sprzeciwianiem się swoich podkomendnych, postanowił złożyć dyktaturę i korpus podzielić na cztery oddziały. Każdy z nich miał umknąć Moskalom i na własną rękę prowadzić wojnę podjazdową w rozmaitych stronach kraju.

Dowódczom pozostawił pożegnalną proklamację, którą później opublikowano. W niej to usprawiedliwiał dyktator swój postępek, dobrowolnie zrzekł się powierzonej mu władzy, przyrzekał jednak, że znowu powróci, jeżeli załatwi konieczne i tajne sprawy, które go zmuszały do opuszczenia korpusu.

Czy przyrzeczenie to brał na seryo, czy użył go tylko za środek na uspokojenie wzburzonych umysłów? — Maryan Langiewicz nie miał już wrócić do Ojczyzny.

Trzydziestu ułanów, których zabrał z sobą dla bezpieczeństwa, odesłał znowu z powrotem, gdy przybył na brzeg Wisły. Towarzyszyło mu tylko kilku najzaufanszych przyjaciół.

Na terytorium austriackiem jeźdźcy powsiadali znowu na konie i stępem pojechali dalej.

Wkrótce zetknęli się z patrolem austriackich huzarów, których prowadził oficer. Jeźdźcy nie próbowali uciekać. Oficer ich zatrzymał i każdego zapytał o nazwisko.

Langiewicz pokazał paszport wystawiony przez szwedzkie poselstwo w Paryżu na imię Waligórskiego i syna. Jako syna przedstawił młodego oficera, który mu towarzyszył.

Oficer austriacki wyczytał w paszporcie, że Waligórski miał mieć lat sześćdziesiąt. Spojrzał więc na Langiewicza, a potem na młodzieńca i z niedowierzaniem kiwał głową.

Stosownie do odebranej instrukcyi aresztował powstańców z zachowaniem wszelkich względów uprzejmości i odstawił ich do wsi Ujścia, jednego z miejsc zbornych, gdzie już było mnóstwo Polaków, którzy przeszli granicę.

Powstańcy od razu poznali dyktatora i przywitali go grzmiącym okrzykiem.

Sam też nie zapierał się dłużej, że jest Maryanem Langiewiczem a oficer, którego początkowo podał za swojego syna, panną Henryką Postojotówną.

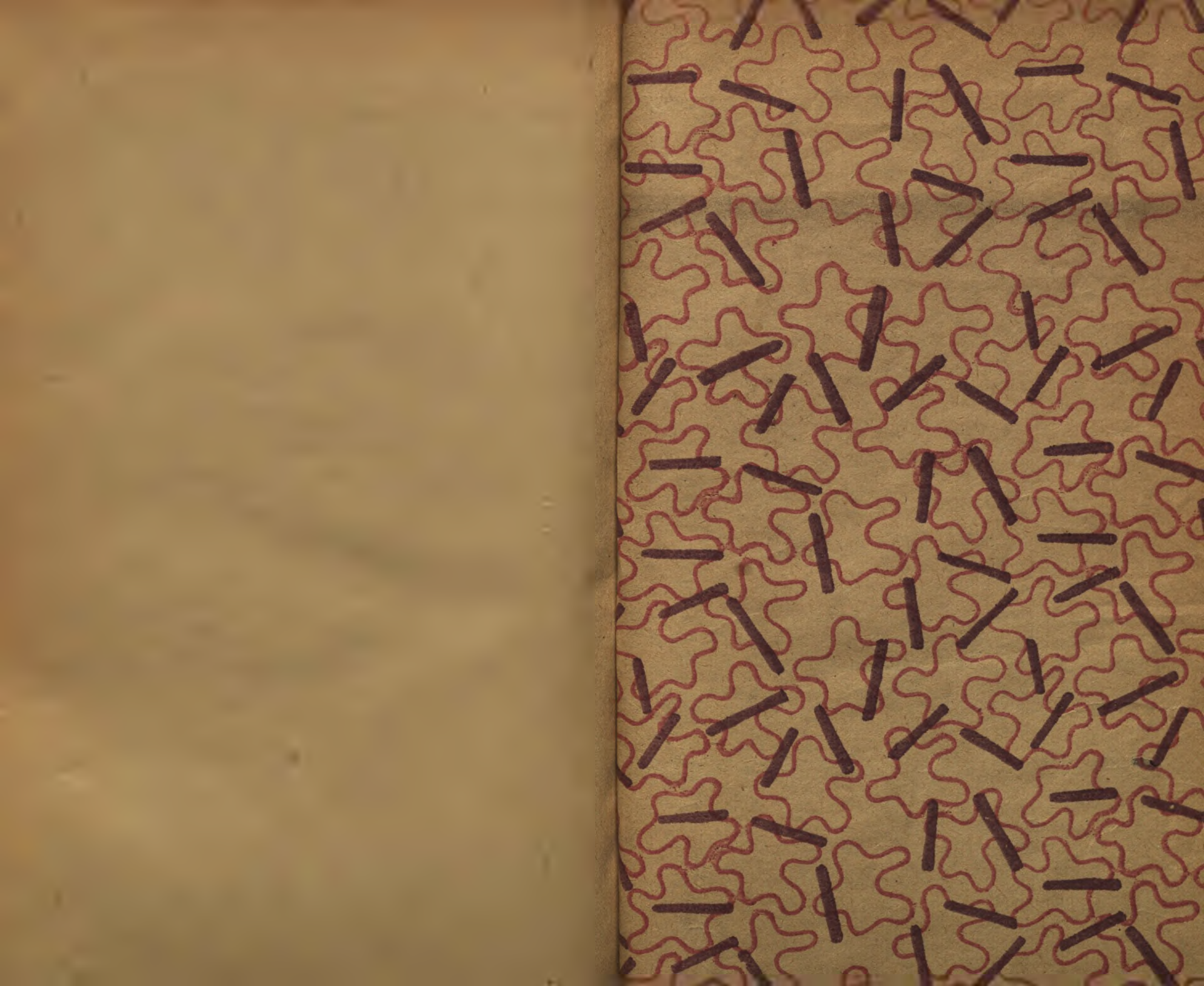
Nazajutrz przed południem przybyli jeńcy pod eskortą huzarów do Tarnowa. Langiewicz, któremu pozostawiono jak największą swobodę i okazywano cześć przynależną, chciał natychmiast pociągiem nadzwyczajnym wyjechać do Wiednia. Władze jednak odmówiły w sposób bardzo grzeczny. Langiewicz udał się więc do hotelu krakowskiego, przed którym zebrały się wielkie tłumy ludu, wznosząc entuzjastyczne okrzyki.

W kilka dni później odprowadzono go razem z towarzyszami do Krakowa i wyznaczono mu pokój na zamku. Przed drzwiami jednak postawiono straż.

Henrykę oddzielnie umieszczono w gmachu dyrekcyi policyi. Mieszkanie jej mało przypominało więzienie, gdyż pozwolono jej do syta rozmawiać przez otwarte okno z polskimi damami, okazującemi jej jak najżywszą sympatyę. Pokój jej leżał na parterze z widokiem na ulicę.

KONIEC TOMU DRUGIEGU.





Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

1981/II S



001-001982-02-0

BIORY ŚLĄSKIE